Alfred Szklarski

Tomek na czarnym lądzie

Spis treści:

1. **Niezwykłe safari**
2. **Przygotowania do wyprawy**
3. **W drodze do Nairobi**
4. **Nocny strzał**
5. **Witaj, Kirangozi**
6. **Polowanie na lwy**
7. **Czarne oko**
8. **Bosman pokazuje pazury**
9. **Opór Murzynów**
10. **Tajemniczy napad**
11. **U źródeł Nilu Białego**
12. **Zasadzka**
13. **Na dworze kabaki Bugandy**
14. **Cień tse-tse**
15. **W mroku dżungli**
16. **Leśni ludzie**
17. **Łowy na goryle**
18. **Najniżsi ludzie świata**
19. **Na tropie okapi**
20. **Żelazne pazury**
21. **Klęska i zwycięstwo**
22. **Polowanie na słonie i żyrafy**
23. **Zakończenie**

Londyn, dnia 20 czerwca 1903 roku.

Droga Sally!

Wczoraj przyjechał do Londynu mój kochany Ojciec! Wiesz już zapewne, co to oznacza. Wyruszamy na nową wyprawę łowiecką, tym razem do Kenii i Ugandy w Afryce. Będziemy chwytali: goryle, hipopotamy, nosorożce, słonie, lwy i żyrafy! Czy możesz to sobie wyobrazić?! Po usłyszeniu tej wiadomości nie spałem niemal całą noc, myślałem już o niezwykłych przygodach, jakie mogą się nam przydarzyć na Czarnym Lądzie.

Jutro wyjeżdżamy do Hamburga. Ojciec spotka się tam z panem Hagenbeckiem trudniącym się sprzedażą dzikich zwierząt do cyrków i ogrodów zoologicznych. Ojciec z panem Smugą, tym sławnym podróżnikiem i łowcą zwierząt, którego poznałaś podczas naszego pobytu w Australii, pracowali do tej pory w przedsiębiorstwie pana Hagenbecka. Ale obecną wyprawę organizujemy całkowicie na własną rękę. Stało się to możliwe dzięki spieniężeniu bryły złota ofiarowanej mi w Australii przez pana O'Donella, gdy dopomogłem jemu i jego synowi w uwolnieniu się z rąk rozbójników.

Udajemy się więc do Afryki. Oprócz ojca i pana Smugi jedzie z nami również bosman Nowicki. Oczywiście zabieram mego wiernego Dinga. Zmienił się bardzo od czasu, kiedy ofiarowałaś mi go na pamiątkę. Z młodego, rozkosznego psiaka przeistoczył się w dzielnego Przyjaciela. Oddaliśmy go w Anglii do specjalnej szkoły, gdzie przyucza się psy do polowania na grubego zwierza. Byłabyś z niego dumna tak jak ja, gdybyś mogła go teraz zobaczyć. W tej chwili leży przy moim biurku i przekrzywiwszy głowę, spogląda na mnie, jakby wiedział, do kogo piszę.

Myślałem, że przed wyruszeniem na nową wyprawę uda mi się razem z ojcem odwiedzić wujostwa Karskich w Warszawie. Tęskno mi trochę za nimi, bo przecież spędziłem u nich tyle lat po śmierci Matki. Nie jest to jednak możliwe, dopóki Rosjanie okupują Warszawę. Na pewno zaraz by aresztowali Tatusia, który za spiskowanie przeciwko carowi musiał uciekać za granicę.

Dziękuję Ci, kochana Sally, za miłe listy. Kiedy je czytam, zawsze mi się przypomina, jak to dzięki Dingowi znalazłem Cię wtedy zagubioną w buszu w pobliżu Waszej farmy. Widzisz, że chętnie dotrzymuję obietnicy i często piszę w swoim oraz Dinga imieniu. Mam nadzieję, że naprawdę przyjedziesz z wizytą do Anglii, jak zapewniają Twoi Rodzice. Poznałem Twego Stryja, u którego masz zamieszkać po przybyciu do Londynu. Mówił mi, że spodziewa się Ciebie za kilka miesięcy. On również, chociaż nie jest już tak młody, kocha podróże i przygody.

Teraz oczekuj moich listów z Afryki. Postaram się przesłać Ci kilka ciekawych fotografii. Pozdrawiam Cię serdecznie, moja Droga Przyjaciółko, a Dingo liże różowym jęzorem Twój mały nosek.

Tomasz Wilmowski

P. S. Dingo naprawdę polizał Twoją fotografię. Kupiłem doskonały nóż myśliwski.

Tomek

NIEZWYKŁE SAFARI

Tomek poruszył się niespokojnie na wąskiej koi. Otworzył oczy i natychmiast rozejrzał się po kabinie. Promienie wschodzącego słońca oświetlały ją przez okrągły iluminator. Zrazu chłopiec nie mógł pojąć, dlaczego zbudził się nieoczekiwanie o tak wczesnej porze. Zaczął więc czujnie nasłuchiwać; po krótkiej chwili nie miał wątpliwości — jego sen przerwało nagłe znieruchomienie statku.

Zgrzyt łańcuchów opuszczanych kotwic oznaczał, że przybyli już do Mombasy w Afryce Równikowej.

Tomek zerwał się z koi. Szybko narzucił na siebie ubranie, po czym wybiegł na pokład. Marynarze zakotwiczali statek w malowniczej zatoce. Błękitno-zielone morze otaczał półkolem ląd porosły wspaniałą, tropikalną roślinnością. Z dala można było rozróżnić strzeliste palmy kokosowe z pióropuszami koron obok starych, zadziwiających ogromem baobabów, rozłożyste drzewa mangowe, szerokolistne migdałowce i smukłe papajowce. Wśród drzew bieliły się mury domów, a na wzgórzu w środku miasta sterczały rumowiska dawnej budowli obronnej.

Białawe rafy koralowe, ciągnące się wzdłuż pokrytego bujną zielenią wybrzeża, dodawały Mombasie niezapomnianego uroku.

W zatoce stało kilkadziesiąt statków ze zwiniętymi żaglami. Większość z nich miała nieskazitelny kształt starych arabskich żaglowców. Gdy się na nie spoglądało, wydawać się mogło, że tutaj czas nie postępuje naprzód. Od wieków niezmiennie północno-wschodni monsun, wiejący od wybrzeży Azji, przywiewał podobne stateczki do Mombasy, natomiast wiatr południowo-zachodni umożliwiał im powrót do portów macierzystych[1]. Jak dawniej, tak i teraz z kuchni okrętowych mieszczących się pod płóciennymi dachami unosił się zapach korzeni, którymi Arabowie zwykli przyprawiać pożywienie.

---

[1] Monsun (z arab. *mausim* — pora roku) — wywoływany sezonowymi zmianami ciśnienia atmosferycznego nad kontynentem i oceanem wiatr, który w ciepłej porze wieje znad morza w stronę lądu, a w porze chłodnej odwrotnie. Wraz ze zmianą kierunku wiatru następuje nagła zmiana pogody. Monsunowi lądowemu (zimowemu) towarzyszy przeważnie pogoda sucha, a morskiemu (letniemu) deszczowa. Monsuny występują w południowej i południowo-wschodniej Azji. Zalicza się do nich także podobne wiatry wschodniej Afryki Równikowej, południowej Australii oraz słabsze, mniej regularne wiatry południowego wybrzeża Alaski, północnej Kanady, północno-wschodniej Europy i północnej Syberii.

Tomek rozglądał się z zainteresowaniem. Przecież port Mombasa miał bardzo ciekawą, choć nie zawsze chlubną przeszłość. Od paru wieków stanowił niejako bramę dla całej Afryki Wschodniej. Podczas dawnego najazdu Portugalczycy spalili miasto, lecz dzięki węzłowemu położeniu na szlaku komunikacji morskiej, szybko dźwignęło się z popiołów. Przez długie lata Mombasa była jednym z głównych ośrodków handlu niewolnikami. Dziesiątki tysięcy afrykańskich Murzynów wywieziono stąd na dalekie kontynenty.

Tomek rozmyślał o tym i nie mógł po prostu pojąć, iż w tak uroczym zakątku popłynęło tyle krwawych łez nieszczęsnych brańców.

— A to dopiero z ciebie ranny ptaszek! — odezwał się Wilmowski, podchodząc do syna ze Smugą i bosmanem Nowickim.

— Zbudziłem się, gdy maszyny ucichły na statku — odparł chłopiec. — Podziwiam piękny krajobraz i stojące w porcie malownicze stare żaglowce. Zastanawiam się, czy nie służyły do wywożenia stąd niewolników.

— Jestem tego niemal pewny — wtrącił bosman Nowicki i zaraz dodał ciszej: — Słyszałem, brachu, że w Mombasie podobno jeszcze teraz handluje się ludźmi. Jeżeli masz wielką ochotę, to za sztukę perkalu możesz kupić tutaj Murzyna lub Murzynkę.

— Czy to naprawdę możliwe, tatusiu? — zapytał Tomek, gdyż niezbyt dowierzał słowom żartobliwego bosmana.

— W roku tysiąc osiemset czterdziestym piątym Anglicy wymogli na miejscowym sułtanie podpisanie porozumienia zakazującego wywożenia niewolników z Afryki Wschodniej. Łatwiej jednak było spowodować zawarcie umowy, niż dopilnować zaprzestania handlu przynoszącego duży dochód Arabom oraz niektórym kacykom murzyńskim. Nic więc dziwnego, że i dzisiaj jeszcze handluje się w tym kraju niewolnikami — odpowiedział Wilmowski.

Tomek nie prosił o dalsze wyjaśnienia, gdyż uwagę jego pochłonęła duża motorówka, w której przybyli na statek angielscy urzędnicy portowi. Dzięki rekomendacjom Hagenbecka, dobrze znanego władzom angielskim, Wilmowski szybko załatwił wszelkie formalności celne i łowcy wkrótce mogli zejść na wybrzeże.

W porcie panował nadzwyczaj ożywiony ruch. Murzyni oraz Arabowie rozładowywali i załadowywali statki, w zakamarkach pokładów bawiły się gromady brudnych, półnagich dzieci. Murzyńscy rybacy wynosili z łodzi kosze pełne wielkich, kolorowych krabów, poruszających niezgrabnie długimi kończynami.

Dalsze obserwacje Tomka i jego towarzyszy przerwał wysoki, chudy mężczyzna, który właśnie do nich podszedł.

— Czy mam przyjemność powitać panów Wilmowskiego i Smugę? — zapytał, uchylając białego korkowego hełmu.

— To zapewne pan Hunter? Spodziewaliśmy się, że będzie nas pan oczekiwał w porcie — odparł Wilmowski, wyciągając dłoń. — Oto reszta towarzystwa: pan Smuga, bosman Nowicki i mój syn Tomek.

Hunter przywitał się ze wszystkimi kolejno. Był on zawodowym przewodnikiem i tropicielem zwierząt. Został polecony Wilmowskiemu przez jednego ze współpracowników Hagenbecka na przewodnika wyprawy łowieckiej, a powiadomiony telegraficznie o dniu ich przyjazdu, już czekał na wybrzeżu.

Należy wyjaśnić, że organizatorzy ekspedycji łowieckich zazwyczaj najmowali zawodowych wytrawnych białych strzelców-tropicieli, znających doskonale okolicę. Zagłębianie się bez nich w dziki, nieznany kraj byłoby zwykłym szaleństwem. Hunter już od dawna przebywał w Kenii i brał udział w wielu wyprawach. Posiadał szczególną dla naszych łowców zaletę — władał dość biegle językiem polskim, którego nauczył się towarzysząc polskiemu podróżnikowi i badaczowi Janowi Dybowskiemu[2] w jednej z jego wypraw do Konga. Hunter mieszkał w Mombasie w małym jednopiętrowym domku położonym w pobliżu malowniczych ruin dawnej fortecy portugalskiej. U niego rozgościli się nasi łowcy.

Następnego dnia po przybyciu do Mombasy Wilmowski zwołał z samego rana walną naradę. Zaraz na początku rozmowy tropiciel zapytał, na jakie zwierzęta łowcy mają zamiar polować. Wyjaśnień udzielił mu podróżnik Jan Smuga, on to bowiem na prośbę Wilmowskiego opracował plan wyprawy.

— Nasze stosunkowo skromne środki finansowe z góry wykluczają łowy na zbyt wiele gatunków zwierząt — mówił Smuga. — Dlatego też mamy zamiar chwytać jedynie okazy, za które będziemy mogli uzyskać w Europie najwyższe ceny. Uzgodniliśmy tę sprawę z Hagenbeckiem i zarządem ogrodu zoologicznego w Nowym Jorku. Uzyskaliśmy konkretne zamówienia. Z tego powodu przede wszystkim interesują nas goryle.

Hunter gwizdnął z cicha. Po krótkiej chwili milczenia powiedział: — W Kenii nie znajdziecie małp człekokształtnych.

— Słusznie, lecz w okolicach jeziora Kiwu, a więc na pograniczu Konga i Ugandy, żyją goryle górskie, natomiast w dżungli Ituri znajdziemy goryle właściwe[3]. Tam właśnie mamy zamiar na nie polować — odparł Smuga.

Po dość długim namyśle Hunter powiedział:

---

[2] Począwszy do 1889 r. Jan Dybowski badał południową Algierię. Saharę i Kongo.

[3] Małpy człekokształtne obejmują trzy gatunki: jeden azjatycki — orangutan *(Pongo pygmaeus)* oraz dwa afrykańskie — szympansy i goryle. Wśród szympansów rozróżnia się: szympansa gambijskiego *(Pan chimpanse),* tak zwane nsoko *(Pan castomale),* marungu *(Pan marungensis)* i tszego *(Pan satyrus).* Do goryli należą: goryl właściwy *(Gorilla gorilla).* spotykany nad Zatoką Gwinejską i w Kongu, oraz goryl górski *(Gorilla beringei).* żyjący w górach w okolicach jeziora Kiwu. Samce goryli wyróżniają się w rodzinie małp człekokształtnych najwyższym wzrostem, przekraczającym nieraz 2 metry.

— Prawdę mówiąc, nie brałem dotąd udziału w polowaniu na goryle. Jak wynika z tego, co tu usłyszałem, chcecie złowić je żywe. No, nie wiem, czy przemyśleliście dobrze całą sprawę. Nie będzie totakie łatwe przedsięwzięcie.

— Nie jesteśmy nowicjuszami, panie Hunter — spokojnie wtrącił Wilmowski.

— Wiem o tym, lecz moim obowiązkiem jest przestrzec was przed niebezpieczeństwem grożącym podczas łowów na goryle — odparł Hunter. — Nie tylko niedostępność terenu oraz dzikość zwierząt będą utrudniały łowy. W tamtych okolicach nie jest zbyt spokojnie. Na pewno przyjdzie nam się zetknąć z plemionami murzyńskimi, które jeszcze nie widziały białych ludzi lub, co gorsza, wycofały się ze wschodnich wybrzeży w obawie przed handlarzami niewolników. Możemy się spotkać z niezbyt życzliwym przyjęciem.

— Musimy się z tym liczyć — przyznał Smuga. — Jesteśmy wyposażeni w doskonałą broń. Postaramy się również o godnych zaufania, odważnych ludzi, aby móc polegać na nich we wszystkich okolicznościach.

— Najlepsza broń palna, nawet w ręku wytrawnego strzelca, nie ustrzeże przed zatrutą strzałą zdradliwego Bambutte... — wolno powiedział Hunter.

W tej chwili bosman Nowicki zrobił śmieszny grymas. Tomek zachichotał, lecz szybko się opanował i zapytał:

— Kto to są ci Bambutte?

— To Pigmejczycy zamieszkujący okolice nad rzeką Semliki Chociaż są najniższymi ludźmi świata, każdy z nich potrafi zatrutą strzałą wypuszczoną z łuku powalić nawet największego słonia — wyjaśnił Hunter. — Idziesz niby to przez nie zamieszkaną przez ludzi dżunglę, a tu nagle z drzewa świśnie mała strzała i byle cię tylko drasnęła, żegnasz się z tym światem.

Bosman wstrząsnął się, mruknął pod nosem coś nieprzyjemnego o Pigmejczykach Bambutte. Hunter znów zagadnął Smugę:

— Jakie jeszcze zwierzęta oprócz goryli macie zamiar łowić?

— Czy słyszał pan coś o okapi? — zapytał Smuga.

Twarz Huntera spochmurniała jeszcze bardziej. Wzruszył ramionami i rzekł:

— Słyszeć to i słyszałem... Wspominał mi o tym gubernator Ugandy, Sir Harry Johnston. Dowiedział się od Stanleya[4], z którym sam rozmawiał, że w puszczach na zachód od Jeziora Alberta rzekomo żyje duże, podobne do osła zwierzę. Budową ma jakoby przypominać żyrafę. Krajowcy mówiąc o tym zwierzęciu używali nazwy okapi[5].

— Czy Stanley lub Johnston widzieli okapi? — zaciekawił się Wilmowski.

---

[4] Henry Morton Stanley (1841 -1904) — dziennikarz amerykański, jeden z najsłynniejszych podróżników po Afryce.

[5] W 1901 r. wielkie wrażenie w Europie wywołała wiadomość, że w Kongu odkryto nowego, dużego ssaka. Rozpoczęto poszukiwania tego legendarnego zwierzęcia, zwanego przez krajowców okapi. W końcu zdobyto jego skórę i czaszkę. Później przywieziono do Europy kilka skór i szkieletów, a nawet jedną żywa sztukę. Okapi (*Okapia johnstoni)* żyje najliczniej w bagnistych dziewiczych lasach północno-wschodniego Konga, pomiędzy Jeziorem Alberta i rzekami Uelle, Kongo i Aruwimi. Należy do rodziny żyraf, wśród których rozróżniamy dwa rodzaje: okapi i żyrafę właściwą *(Giraffa).* żyjące jedynie w Afryce w dżungli Konga w pobliżu Ugandy.

— O ile mi wiadomo, do tej pory żaden biały człowiek nie widział tego legendarnego zwierzęcia. Myślę również, że w ogóle nikt go nie widział. Coś mi się wydaje, że podczas naszego safari będziemy tropić jakieś senne mary — powiedział Hunter chmurząc czoło.

— No, jak pan jednak widzi, nie zostałem tak całkowicie błędnie poinformowany — zauważył Smuga uśmiechając się przyjaźnie. — O okapi słyszałem w Szwajcarii, i to od kogoś, kto w zupełności zasługiwał na zaufanie. Podobno zwierzęta te można spotkać@

— Jeżeli nie są one jedynie wytworem czyjejś wyobraźni, będziemy łowili okapi i, jak mówiliśmy, goryle. Co jeszcze macie panowie w programie? — zapytał tropiciel.

Smuga roześmiał się i odparł:

— Przebrnęliśmy już chyba przez najgorsze. Reszta zapewne stanowi dla pana codzienny chleb. Chcemy łowić lwy, lamparty, żyrafy i szympansy. Mamy również zamiar schwytać parę młodych hipopotamów i słoni oraz nosorożca. Musimy przecież zapewnić sobie rentowność wyprawy na wypadek, gdyby nie udało się dowieźć do Europy żywych goryli i gdybyśmy nie zdołali wytropić okapi, w których istnienie tak bardzo pan powątpiewa.

— Zwierzęta te moglibyśmy znaleźć w Kenii[6]. Natomiast pierwsze przedsięwzięcie będzie wymagało, no... powiedzmy... dużego ryzyka. Czy panowie stanowczo obstajecie przy wykonaniu założonego planu?

— Postaramy się zrealizować go w całości — poważnie potwierdził Smuga. — Wyprawę tę urządzamy na własny koszt. Nie możemy sobie pozwolić na straty.

— Czy ma to oznaczać, że bez względu na grożące niebezpieczeństwa jesteście zdecydowani wyruszyć na tę wyprawę? — upewniał się Hunter.

— Nie zważając na nic, drogi panie!

— Nawet na bezpieczeństwo tego chłopca? — zdumiał się tropiciel wskazując Tomka.

— Zostaw pan naszego mikrusa w spokoju — wtrącił rubasznie bosman Nowicki, który mimo wielu lat spędzonych poza Warszawą nie zatracił gwary używanej na Powiślu. — U tego chłopaka nie znajdziesz pan cykorii nawet na lekarstwo, a głowę ma nie od parady. Jestem ciekaw, czy przyciśnięty do muru mierzyłbyś pan tygrysowi między ślepia zamiast w komorę. Bo nasz mikrus inaczej nie strzela![7]

— Czy pan mówi to poważnie? — zapytał Hunter.

— Bosman powiedział szczerą prawdę — odparł Smuga. — Tomek zabił w ten sposób tygrysa, który przypadkowo wydostał się z klatki na statku podczas naszej

---

[6] Kenia (Republika Kenii) — począwszy od VII w. koloniści arabscy tworzyli na wybrzeżu Kenii tzw. sułtanaty. Od XVI w. sułtanaty podlegały Portugalii, potem zostały podbite przez sułtana Zanzibaru, a następnie włączyli je do swych posiadłości Brytyjczycy. Od 1963 r. Kenia jest państwem niepodległym. 65% ludności Kenii należy do ludów Bantu (Kikuju, Luo, Kamba), nilotyckich (Diomo. Masajowie) i kuszyckich (Somalijczycy. Galla); reszta ludności to Indusi. Europejczycy i Arabowie nie zapuszczają się w niezbadane dżungle Ugandy.

[7] Powiedzeniem tym bosman chciał wyrazić sprawność strzelecką Tomka. Strzelając w płaski łeb tygrysa czy lwa ryzykuje się tak zwaną obcierkę, to znaczy, że kula może drasnąć zwierze boleśnie, lecz nieszkodliwie po czaszce i wprawić je w stan niebezpieczny dla myśliwego. Rzuca się ono wtedy na niefortunnego strzelca bez względu na okoliczności.

ostatniej wyprawy. Strzałem tym uratował mi życie i swoje również. Jest bardzo odważny, strzela nadzwyczaj celnie. Muszę jeszcze dla ścisłości dodać, że jako strzelec. Tomek jest uczniem bosmana Nowickiego.

— Niech się pan o mnie nie obawia, proszę pana — wtrącił Tomek. — Bosman zawsze sprawuje nade mną opiekę podczas łowów, a przecież żaden goryl nie dorówna mu siłą.

Bosman obruszył się na to mimowolnie dwuznaczne porównanie. Reszta mężczyzn roześmiała się ubawiona. Hunter pierwszy spoważniał i powiedział:

— Goryl przegryza z taką łatwością lufę karabinu, jak ty łamiesz zapałkę w palcach. Więc chcecie panowie zaryzykować wszelkie niebezpieczeństwa?

— Nie będziemy się lekkomyślnie narażali, lecz mamy szczery zamiar wykonać nasz plan całkowicie — oświadczył Wilmowski. — Czy potwierdza pan teraz swą zgodę na udział w wyprawie?

Hunter przenikliwym wzrokiem obrzucił czterech łowców. W jasnych oczach Wilmowskiego odzwierciedlały się rozwaga i opanowanie. Hunter pomyślał, że człowiek ten nie zwykł postępować nierozważnie. Z postaci Smugi biła znów stanowcza pewność siebie, której się nabywa jedynie przez pokonywanie niebezpieczeństw. Tak więc i Smuga budził zaufanie jako towarzysz przyszłych łowów. Błyski niecierpliwości w oczach Tomka mówiły za siebie. Gdy Hunter spojrzał z kolei na herkulesowo zbudowanego bosmana, napotkał jego kpiący wzrok. Wydało mu się, że ten sękaty jak pień drzewny olbrzym drwi sobie z niego i jego zastrzeżeń. Pod wpływem tego ironicznego spojrzenia rumieńce wystąpiły na twarz tropiciela.

"Małpolud... Złośliwy małpolud! — pomyślał. — Ale naprawdę wygląda na to, że można z nim wziąć nawet diabła za rogi!"

Tropiciel nie wytrzymał niemej drwiny bosmana z Powiśla. Przymknął na chwilę oczy, a gdy je znów otworzył, nie było już w nich cienia wahania.

— No, pal licho goryle i te... okapi. Idę z wami — zadecydował trochę podniesionym głosem.

— Wobec tego układ jest ostatecznie zawarty — powiedział zadowolony Wilmowski. — Angażujemy pana na okres pół roku. Zaliczkę na poczet honorarium w wysokości dwumiesięcznej pensji wypłacamy natychmiast, resztę zdeponujemy u bankiera, którego wskaże nam pan w Mombasie. Zgoda?

— Zgoda! — powtórzył Hunter i podał silną dłoń Wilmowskiemu.

— Byłem pewny, że pan z nami pójdzie — zawołał Tomek.

— A to dlaczego?

— Bo... bo chyba każdy łowca chciałby sprawdzić, czy okapi istnieją w rzeczywistości. Przecież to ogromnie ciekawe!

Hunter poważnie spojrzał na chłopca.

— Dziwne to, synu, ale naprawdę się nie pomyliłeś. Sprawa okapi intryguje mnie od wielu lat. Pewien znajomy proponował mi kiedyś wyprawę w celu rozwiązania tej zagadki. Odmówiłem mu jednak, mimo że spędziłem z nim prawie cały rok na polowaniu w okolicach Jeziora Wiktorii. Wtedy więcej przywiązywałem wagi do życia niż dzisiaj...

— Czy spotkało pana coś złego? — zapytał Tomek nieśmiało.

— Rok temu umarła moja żona, którą bardzo kochałem.

— To przykre — szepnął chłopiec. — Wiem, jak się robi smutno i ciężko, gdy człowiek zostaje sam.

PRZYGOTOWANIA DO WYPRAWY

Po słowach Tomka zapanowała w izbie chwila kłopotliwego milczenia. Każdy z obecnych stracił już przecież kogoś z najbliższych lub za kimś tęsknił. Toteż łowcy szczerze współczuli Hunterowi. W milczeniu spoglądali na jego pochyloną na piersi głowę. Pierwszy odezwał się Smuga:

— Nikt nie uchroni się przed swoim przeznaczeniem. Zamiast więc teraz rozmyślać o smutnych koniecznościach życia, zastanówmy się nad tym, co nas czeka podczas wyprawy. Przede wszystkim każdy powinien się orientować w stosunkach panujących w Kenii i Ugandzie, aby nie narazić się później na różne niespodzianki.

— Muszę wyjaśnić, że pan Smuga, jak zwykle podczas naszych łowów, będzie odpowiedzialny za bezpieczeństwo uczestników ekspedycji — poinformował Wilmowski. — Jest doświadczony, już kilkakrotnie podróżował po Afryce, ja znów słyszałem dużo o tym kontynencie, lecz bosman i mój syn przybyli tu po raz pierwszy. Tymczasem, jak zaznaczył pan Smuga, dla uniknięcia w przyszłości niespodzianek wszyscy powinniśmy znać tutejsze warunki, a nawet i trochę historii tego kraju. Porozmawiajmy więc teraz na ciekawiące nas tematy.

— Jeżeli o mnie chodzi, to orientuję się już w historii Afryki — wtrącił Tomek niby to obojętnym tonem, lecz przekorne błyski w jego oczach świadczyły, że od dawna przewidział możliwość sprawienia ojcu niespodzianki.

— Hm, z twoich słów wynika, że wiesz coś niecoś o Kenii i Ugandzie — zdziwił się Wilmowski. — Może więc podzielisz się z nami swymi wiadomościami?

Tomek rozsiadł się wygodnie, położył dłoń na głowie siedzącego przy nim Dinga i przymrużywszy oczy wyrecytował nieomal jednym tchem:

— W końcu czternastego wieku Portugalczycy, jako pierwsi z Europejczyków, zainteresowali się wschodnimi wybrzeżami Afryki.

— Fiu, fiu! A toś sięgnął, brachu, głęboko — mruknął bosman Nowicki rozsiadając się wygodniej.

Tomek spojrzał na niego z wyrzutem i ciągnął dalej: — Wyparli arabskich i perskich kupców, a potem w różnych punktach wybrzeża rozmieścili małe garnizony wojskowe

dla ochrony swych interesów. W pierwszej połowie osiemnastego wieku Arabowie z Omanu[8], wezwani na pomoc przez współbraci zamieszkałych w Afryce Wschodniej, wyparli Portugalczyków z północnej części wybrzeża. W następnym stuleciu Arabowie, od dawna osiedleni na Czarnym Lądzie, uwolnili się od opieki Omańczyków. Pod rządami Sayyed Burghasa stali się wyłącznymi panami wschodnich wybrzeży. W głąb lądu w poszukiwaniu kości słoniowej oraz niewolników udawały się tylko pojedyncze karawany. Duże zasługi położyli również angielscy i amerykańscy misjonarze, którzy krzewiąc wśród Murzynów chrześcijaństwo badali jednocześnie kraj. Dopiero w roku tysiąc osiemset czterdziestym ósmym pierwszy biały podróżnik, Rebmann, ujrzał Kilimandżaro, najwyższą górę Afryki. W następnym roku Krapf[9]

Chłopiec odetchnął głęboko. Triumfująco spojrzał na mężczyzn.

— Brawo, Tomku! Skąd się tego wszystkiego dowiedziałeś? — zapytał Smuga.

— Z encyklopedii w londyńskiej bibliotece — wyjaśnił Tomek z zadowoleniem.

— Można ci powinszować roztropności i pilności — pochwalił ojciec. — Widzę, że jesteś dobrze przygotowany na tę wyprawę. Może teraz pan Hunter łaskawie poinformuje nas o stosunkach panujących wśród krajowców, z którymi podczas łowów będziemy musieli się zetknąć.

— Ludy zamieszkujące Kenię żyją jeszcze w stanie plemiennym, to znaczy grupują się w plemionach nie tworząc jakiegokolwiek państwa[10] — wyjaśnił Hunter. — Ludność nie jest zbyt liczna z powodu dużej śmiertelności, no i panoszącego się do niedawna jeszcze handlu niewolnikami. Poszczególne plemiona często prowadzą między sobą wojny o bydło bądź bronią się przed białymi kolonistami zagarniającymi im najlepsze pastwiska. Obecnie najwięcej kłopotu sprawiają wojowniczy Masajowie i Nandi[11], którzy napadają nie tylko na swych słabszych współbraci, ale także na pociągi kursujące od roku tysiąc dziewięćset pierwszego na linii Mombasa-Kisumu. Mimo to dotarcie koleją do granic Ugandy stanowi najłatwiejszy odcinek naszej marszruty.

— Jak sobie przypominam, Masajowie zamieszkują okolice Kilimandżaro. Tam, w razie nie sprzyjających warunków w Ugandzie, mamy zamiar odbyć drugą część łowów — wtrącił zafrasowany Wilmowski.

---

[8] Oman leży w południowo-wschodniej części Półwyspu Arabskiego.

[9] Johann Ludwig Krapf (1810-1881) — niemiecki misjonarz i badacz Afryki. W 1837r. udał się jako misjonarz do Abisynii, a w 1844 osiedlił się w Rabai koło Mombasy. Krapf z misjonarzami J. Rebmannem (1820-1881) i J. Erhardtem (1823-1901) odbył kilka podróży po wschodniej Afryce, podczas których zasłyszał od krajowców o wielkich jeziorach w głębi kontynentu. W 1855 r. Erhardt opublikował mapę jezior, która zachęciła Anglików Burtona i Speke'a do podjęcia wypraw i odkrycia źródeł Nilu, zobaczył ośnieżone szczyty Kenii. W końcu dziewiętnastego wieku Niemcy i Anglicy podzielili między siebie wschodnią Afrykę Równikową. Wtedy to właśnie Kenia stała się kolonią angielską, a Uganda protektoratem.

[10] Anglicy zarządzający wówczas Kenią przyznali garstce Europejczyków najurodzajniejsze grunty, skazując tym samym krajowców na głód bądź niewolniczą pracę. Toteż szczególnie po II wojnie światowej, tak jak w całej Afryce, wzmógł się w Kenii ruch narodowowyzwoleńczy. Powstało szereg partii pod przewodnictwem przywódców afrykańskich. Domagały się one zniesienia ustaw pozbawiających Murzynów ziemi, zlikwidowania dyskryminacji rasowej oraz przyznania Kenii autonomii. W 1952 r. Anglicy zdelegalizowali Afrykański Związek Kenii i aresztowali jego przywódcę, Jomo Kenyattę, pod pretekstem, że partia ta jakoby ma kierować terrorystycznym stowarzyszeniem Mau-Mau. W Kenii zaprowadzono stan wyjątkowy. Około 87 tyś. krajowców zamknięto w obozach. Rozgorzały walki powstańcze, którym przewodziły szczepy: Kikuju, Embu, Meru i Wakamba. Dopiero w 1959 r. Anglicy znieśli stan wyjątkowy. Ze zjednoczonych krajowych partii powstał Afrykański Związek Narodowy Kenii. Dzięki jego zdecydowanej postawie Anglicy zwolnili Jomo Kenyattę i przyrzekli pewne ustępstwa Afrykanom. Patrz notka nr 6.

[11] W 1907 r. ekspedycja angielska pokonała plemię Nandi i usunęła je do rezerwatu.

— Postaramy się nawiązać z nimi przyjazne stosunki. Znam jednego z ich wodzów — uspokoił go Hunter. — Gorzej jednak będzie w Ugandzie, dokąd musimy się udać, aby schwytać goryle i okapi. Przecież wpływy Anglików są tam jeszcze bardzo powierzchowne. Mieszkańcy południowej i zachodniej części Ugandy nie są zbyt łatwi do ujarzmienia. W przeciwieństwie do plemion zamieszkujących Kenię, dawno już utworzyli kilka silnych królestw. Największą rolę odgrywa królestwo Bugandy, od którego, razem z resztą wcielonych prowincji, cały kraj przybrał nazwę Ugandy[12].

Wilmowski uważnie słuchał tych wyjaśnień; teraz rozłożył na stole mapę. Wszyscy się nad nią pochylili.

— Wydaje mi się, że terenem naszych łowów będzie Buganda — odezwał się Smuga podnosząc głowę znad mapy.

— Kto tam jest obecnie władcą? — zagadnął Wilmowski.

— Kabaką, czyli królem, jest obecnie kilkuletni chłopiec Daudi Chwa — odparł Hunter.

— Jak krajowcy ustosunkowani są do białych? — pytał dalej Wilmowski.

— Przyjaźnie, gdy to odpowiada ich interesom — rozpoczął Hunter. — Kiedy w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym piątym Stanley przybył do Bugandy, ówczesny kabaka, Mutesa, oznajmił mu, że chętnie będzie widział misjonarzy w swoim kraju. Ochłódł jednak szybko, gdy za nimi nie ujrzał wojska, koniecznego do ochrony przed zakusami Egipcjan. Jego następca, Mwanga, dwukrotnie stawiał opór Anglikom. Teraz rządzi tam jego nieletni syn bardziej ulegający wpływom, ale kto wie, czy nie jest to tylko cisza przed burzą. Nieliczne oddziałki brytyjskie są kroplą w gęstwie dżungli.

Hunter zamilkł. Wilmowski i Smuga spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Tropiciel słusznie przestrzegał ich przed niebezpieczeństwem. Trzeba było mieć doborową, silną eskortę, aby się nie narazić na kłopoty. Tylko bosman Nowicki zdawał się nie przejmować sytuacją. Wesoło mrugnął do Tomka, po czym odezwał się niefrasobliwie:

— Coście tak, szanowni panowie, pospuszczali nosy na kwintę? Bugandczyki nie lubią Anglików i nie ma im się co dziwić. Któż by kochał najeźdźców? Nasza wyprawa to zupełnie inna para kaloszy. Tomek pobawi się trochę z małoletnim kabaka i wyklaruje mu raz dwa, że Polacy nie lecą na niczyją ziemię.

Tomek natychmiast się ożywił:

— Pan bosman podsunął mi pewną myśl — zawołał. — Jeżeli król Bugandy jest tak młody, to na pewno usposobi się do nas przychylnie, gdy mu ofiarujemy jakąś ładną zabawkę.

— Chyba kocioł do gotowania jeńców — mruknął Hunter.

---

[12] Uganda, dawny protektorat brytyjski, od 1962 r. niepodległe państwo, składa się z szeregu królestw zachowanych z okresu przedkolonialnego. Najważniejsze z nich, Buganda, dominuje nad innymi. Bugandą rządził król, który opierając się na wielkich feudałach dążył do uzyskania niepodległości Bugandy bądź całej Ugandy pod przewodnictwem Bugandy. W 1960 r. polityczna partia — Kongres Narodowy Ugandy — wysunęła żądanie natychmiastowej niepodległości państwa oraz ograniczenia władzy kabaki. Angielski projekt połączenia Ugandy, Kenii i Tanganiki w Federację Afryki Wschodniej nie został zrealizowany.

— Czy oni są ludożercami? — zaniepokoił się Tomek.

— Wprawdzie nie słyszałem o tym, ale wiele dziwnych rzeczy można ujrzeć w głębi Czarnego Lądu — odparł Hunter.

— Nie martwmy się na zapas, a na wszelkie niespodzianki najlepszym lekarstwem jest odpowiednie zabezpieczenie się przed nimi — wtrącił Smuga. — Przede wszystkim musimy mieć pewną eskortę. Kogo radzi pan zaangażować?

— Musimy się zastanowić. Idziemy między wojownicze plemiona, powinniśmy więc mieć ludzi odważnych i sprawnych do walki, aby nie zawiedli w niebezpieczeństwie. Masajowie będą się chyba najlepiej nadawali do tego celu.

— Czy oni naprawdę są tak dzielni? — zapytał Tomek.

— O, tak, odwaga ich jest powszechnie znana. To prawdziwi wojownicy — potwierdził tropiciel. — Wyobraź sobie, że już od niemowlęcia przygotowują chłopców do rzemiosła wojennego.

— W jaki sposób to robią?

— No, na przykład opasują niemowlętom łydki od kostek aż do kolan sznurem, a zdejmują go dopiero wtedy, gdy dziecko zaczyna chodzić. W ten sposób hamują rozwój tych mięśni, które, według rozpowszechnionego wśród Masajów mniemania, przeszkadzają człowiekowi w szybkim biegu i skoku. Chłopcom zakuwają ramiona w metalowe obręcze, by naciskać mięśnie najwięcej pracujące przy strzelaniu z łuku. Dzięki skrępowaniu mięśnie te nabierają większej sprawności, podobnie jak koń wyścigowy biegnie lepiej, gdy ma na nogach opaski ściągające mu mocno pęciny. Te dziwne na pozór zabiegi sprawiają, że Masajowie osiągają wspaniałe rezultaty w chodzie, biegu, wspinaniu się, skokach, a także w strzelaniu z łuku, rzutach kamieniem lub oszczepem.

— Wobec tego musimy się postarać o Masajów — stwierdził Tomek.

— Zgoda, niech będą Masajowie, jeżeli pan Hunter tak radzi — dodał Smuga. — Gdzie ich znajdziemy?

— O dwa dni konnej jazdy od Nairobi przebywa plemię, z którego usług już korzystałem. Obóz ich powinien teraz znajdować się tutaj — mówiąc to Hunter pochylił się nad mapą.

Nasi łowcy w skupieniu przysunęli się do niego i długo studiowali trasę wyprawy. W końcu Wilmowski postanowił:

— Wsiądziemy do pociągu w Mombasie i udamy się do Nairobi. Tam postaramy się zwerbować kilku Masajów, po czym pojedziemy koleją aż do Kisumu. Stamtąd wyruszymy do Kampali, skąd bez większych trudności powinniśmy się już dostać do Bugandy. Na zachodnim pograniczu, nad rzeką Semliki i w lasach Ituri, będziemy polowali na goryle, okapi i lamparty. Na inne zwierzęta, jeżeli zajdzie konieczność, urządzimy wyprawę w okolice Kilimandżaro.

— Kiedy wyruszamy? — krótko zapytał Hunter.

— Musimy uzupełnić sprzęt obozowy. Niewątpliwie zajmie nam to trochę czasu — zauważył Wilmowski. — Zapewniono nas, że tutaj można nabyć taniej niż w Europie ekwipunek konieczny na wyprawę.

— Tak też jest rzeczywiście — potwierdził Hunter. — Ponadto w ten sposób unika się przewożenia statkiem zbyt wielu bagaży. Dopiero za trzy dni odjedzie stąd pociąg do Nairobi, nie ma więc pośpiechu.

— Czy pociągi odchodzą tak rzadko? — zdziwił się Tomek.

— Linia Mombasa-Kisumu obsługiwana jest dwa razy w tygodniu. Ponieważ pociąg odjechał wczoraj rano, następny wyruszy dopiero za trzy dni.

— Mimo to nie traćmy czasu i przygotujmy się do drogi jak najszybciej — doradził Smuga.

— Słusznie, najlepiej uczynimy zaopatrując się od razu we wszystko, czego potrzebujemy na wyprawę — poparł go Wilmowski. — Pan Hunter zapewne będzie mógł zaprowadzić nas do sklepu, w którym uzupełnimy ekwipunek.

— Bardzo chętnie — zgodził się Hunter. — Jeżeli macie, panowie, ochotę, to chodźmy natychmiast.

Wkrótce łowcy w towarzystwie tropiciela znaleźli się w dzielnicy europejskiej. Białe wille wprost ginęły wśród drzew i kwitnących krzewów. Tu i ówdzie widniały wielowieczne, olbrzymie baobaby, sprawiające wrażenie słoni świata roślinnego. Tysiące palm kokosowych wysoko, u szczytu smukłych pni powiewało zielonymi wachlarzami liści. Podróżnicy wsiedli do ryksz, wygodnych, dwukołowych powozików ciągniętych przez biało ubranych kulisów. Pomknęli w kierunku centrum miasta leżącego wokół starego portu.

Niebawem ryksze znalazły się w dzielnicy indyjskiej. Niezbyt wysokie, jasne domy wysuwały się osłoniętymi balkonami i przybudówkami ponad ulice. W podcieniach przed sklepami siedzieli w kucki poważni handlarze indyjscy, arabscy lub goańscy. Nie zapraszali przechodniów do oglądania swych towarów, jak to się dzieje w innych miastach wschodnich, lecz na widok wchodzącego do sklepu klienta natychmiast podnosili się ze spokojem i wielką powagą. Na wąskich, krętych uliczkach ryksze posuwały się bardzo wolno. Tomek z uwagą przyglądał się wystawom sklepowym. Nie brak tu było wyrobów ze złota, kości słoniowej, piór strusich, drogich kamieni, jak i oryginalnych indyjskich tkanin stanowiących główny przedmiot handlu. W dzielnicy indyjskiej szczególną uwagę zwracały kobiety o rysach twarzy niezwykle regularnych, o pięknych poważnych oczach, ubrane w różnokolorowe suknie i wąskie spodnie zakończone u dołu szeroką falbanką. Ich szyje, ręce, nogi, uszy i nawet nosy zdobiły bogato rzeźbione srebrne lub złote obręcze, niekiedy wielkiej wartości artystycznej.

Dzielnica murzyńska przedstawiała odmienny widok. Przeważały tu niskie lepianki o małych okienkach, niekiedy o ścianach z chrustu, nie pobielane, z dachami pokrytymi liśćmi palmowymi. Garbate zebu pasące się na jednym z placów przypomniały Tomkowi wyspę Cejlon, na której był w ubiegłym roku, lecz teraz nie miał czasu na wspomnienia, gdyż ryksze wtoczyły się w arabską dzielnicę miasta. Tutaj barwny potok ludzi przedstawiał mieszaninę ras, narodowości i języków. Widziało się Arabów. Indusów, Goańczyków, Europejczyków i prawdziwe mrowie Murzynów o odcieniach skóry od jasnobrązowej do czarnej. Tomek z zapartym tchem spoglądał na przechodniów, z których wielu wyglądem swym przypominało, jakby żywcem wzięte z obrazów, typy piratów i handlarzy niewolników. Napatrzywszy się do syta, łowcy powrócili do dzielnicy indyjskiej. Hunter polecił kulisom zatrzymać się przed dużym sklepem. Powitani uprzejmie przez wysokiego Indusa, właściciela sklepu, wkroczyli w chłodne mury domostwa.

W rozległym składzie piętrzyły się sterty najrozmaitszych przedmiotów. Można tu było nabyć wszystko, począwszy od igieł, a skończywszy na doskonałej broni palnej.

Zakupy zajęły łowcom kilka godzin. Dla siebie i towarzyszy Wilmowski wybrał dwa duże zielone namioty brezentowe oraz cztery białe dla eskorty i tragarzy murzyńskich. Potem przyszła kolej na pięć wąskich, lecz wygodnych łóżek polowych, nad którymi rozwieszało się szczelnie zapinane moskitiery, czyli muślinowe zasłony, chroniące przed owadami. Każdy namiot wyposażono w składany stolik i umywalnię wykonaną z płótna nieprzemakalnego. Wilmowski wybrał również kilka dokładnie zamykanych, blaszanych waliz. Miały one chronić znajdujące się w nich przedmioty przed mrówkami, będącymi prawdziwą plagą dla podróżników i mieszkańców kraju.

W głębi lądu krajowcy nie używali w owym czasie pieniędzy i nie znali ich wartości, należało więc zaopatrzyć się w towary zastępujące monetę. Za radą Huntera nasi łowcy zakupili kilka bel białego perkalu oraz materiału bawełnianego, kolorowe szklane korale, zwane przez krajowców "same-same", oraz parę zwojów mosiężnego i miedzianego drutu. Jak Tomkowi wyjaśnił ojciec, szklane korale zastępowały Murzynom monetę miedzianą, materiały srebrną, a drut mosiężny złotą.

Następnie nabyto zapasową odzież, koce, lekarstwa, żywność, sól, tytoń oraz kilka karabinów dla eskorty. Wszystko to pakowano od razu w skrzynie i walizy. Tomek zapisywał, gdzie każdy przedmiot został umieszczony, aby później, w razie potrzeby, można go było łatwo odnaleźć. Tuż przed wieczorem paki załadowano na duży wóz, po czym łowcy zmęczeni całodziennymi zakupami powrócili do domku Huntera.

W DRODZE DO NAIROBI

Tomek niecierpliwie kręcił się na ławce, wyglądając przez okno wagonu. Od chwili opuszczenia Mombasy pociąg wciąż jechał wolno po coraz wyżej wznoszącym się kraju. Po kilku godzinach zniknęły uprawne okolicę, obfitujące w palmy kokosowe i bananowce. Miejsce ich zastąpiły kaktusy, agawy, rozłożyste palmy i biało kwitnące dzikie krzewy. Im pociąg piął się wyżej, tym uboższa stawała się roślinność. Przed nastaniem wieczoru po obydwu stronach toru kolejowego rozciągał się już tylko spalony słońcem step. Gdzieniegdzie sterczały kolczaste drzewa; jedynie wzdłuż łożysk wyschniętych rzek roślinność krzewiła się trochę bujniej, tworząc w krajobrazie charakterystyczne wstęgi zieleni.

Gdy noc zapadła nad stepem, Tomek wtulił się w kąt ławki. Wzrok jego zatrzymał się na podłużnym futerale położonym na półce. Uśmiech zadowolenia pojawił się na twarzy chłopca. W futerale tym znajdował się przecież jego wspaniały sztucer, który otrzymał w podarunku od ojca na wyprawę do Australii. Strzałem z niego Tomek zabił tygrysa bengalskiego, o czym Smuga wspomniał już podczas pierwszej rozmowy z Hunterem. Od owego zdarzenia ojciec i jego przyjaciele zaczęli traktować Tomka na równi z dorosłymi. Był z tego szczególnie dumny, gdyż nie lubił, gdy ktokolwiek przypominał mu jego młody wiek. Dla dodania sobie powagi zaraz w Mombasie przypasał rewolwer systemu Colta, ofiarowany mu na pamiątkę przez Smugę po zabiciu tygrysa, i nawet teraz, mimo że przeszkadzał w wygodnym ułożeniu się do snu, nie odkładał go na półkę. Ukradkiem spojrzał na Smugę. On również nie odpiął pasa z rewolwerami, a poprzez kieszeń spodni bosmana Nowickiego wyraźnie rysowały się kontury broni. Tomek domyślał się, dlaczego jego starsi przyjaciele zachowywali tę ostrożność. Przecież Hunter opowiadał o Nandi napadających dość często na pociągi — Jedynie ojciec powiesił swój pas z rewolwerem na wieszaku i, jakby nic im nie groziło, wypytywał tropiciela o zwyczaje Masajów.

Tomek w milczeniu porównywał ojca z dwoma przyjaciółmi. Od chwili poznania Smuga stał się dla niego ideałem bohatera. Nawet taki siłacz i zawalidroga jak bosman Nowicki pełen był podziwu dla odwagi i opanowania podróżnika, który o swych

najniezwyklejszych przygodach opowiadał z zupełną obojętnością. Stalowy, zimny błysk w oczach Smugi znikał jedynie podczas rozmowy z Tomkiem. Chłopiec wyczuwał, że ma w nim szczerego przyjaciela.

Rubaszny, dobroduszny i bezpośredni w obcowaniu bosman Nowicki traktował Tomka jak najlepszego kolegę. Nie zwracał uwagi na różnicę wieku. Zaprzyjaźnił się z chłopcem, gdyż obydwaj nade wszystko kochali Warszawę; gdy tylko mieli ku temu sposobność, rozmawiali o rodzinnym mieście. Obydwaj jednakowo przepadali za przygodami, dlatego też Smuga stał się dla nich wzorem.

Tomek spojrzał na ojca. Ten wysoki, barczysty, o łagodnym wyrazie twarzy mężczyzna różnił się usposobieniem od swych towarzyszy. Nie łaknął przygód ani sławy, a we wszystkich ludzkich istotach widział przyjaciół. Podczas wypraw łowieckich Smuga i bosman gotowi byli torować sobie drogę stanowczością lub siłą. Wilmowski natomiast wolał nawiązywać z krajowcami przyjazne stosunki, do czego miał wyjątkowe szczęście. Spoglądając na ojca, Tomek mimo woli przysłuchiwał się jego rozmowie z Hunterem.

— Wśród Murzynów zamieszkujących Kenię można wyróżnić dwie zasadnicze grupy o odrębnych zwyczajach i sposobie życia — wyjaśniał teraz Hunter. — Pierwszą stanowią liczne szczepy Bantu. Do nich należą Kikuju i Wakamba, którzy jako rolnicy lub pasterze prowadzą osiadły tryb życia. Na ogół są łagodni i trochę bojaźliwi, toteż dość łatwo poddają się wpływom Europejczyków. Do drugiej grupy należą ludy pochodzenia chamickiego. Głównymi jej reprezentantami są Masajowie, Nandi i Luo o głęboko zakorzenionych tradycjach wojowników. Jako koczownicy wędrują ze swymi stadami z pastwiska na pastwisko. Wojownicze usposobienie, odwaga oraz niechęć do wszystkiego, co obce, uodporniają ich na wpływy europejskie. Stanowią też trudny orzech do zgryzienia dla angielskiej administracji.

— Czy sądzi pan, że uda nam się namówić Masajów do wzięcia udziału w wyprawie do Ugandy? — zapytał Wilmowski.

— W zasadzie nie lubią na długo opuszczać swych żon, a ma ich niemal każdy Masaj kilka lub nawet więcej. Wszakże w ostatnich latach mór wyniszczył im stada, powinni więc teraz nie gardzić dobrym zarobkiem. Przecież żony ich wciąż potrzebują nowych ozdób, którymi obwieszają się z prawdziwym zamiłowaniem — odparł Hunter.

— No to przekupimy je sznurami same-same — ucieszył się Wilmowski.

— To najlepszy sposób — przytaknął Hunter.

Wilmowski przeciągał rozmowę z tropicielem nie zważając na późną porę. Inni natomiast spali od dawna, a i Tomka zaczął już morzyć sen. Przymykając oczy rozważał:

"Tatuś myśli o wszystkim jak prawdziwy wódz przed walną bitwą. Nawet odważny pan Smuga i bosman polegają całkowicie na jego doświadczeniu. Jakie to dziwne —

tatuś odłożył broń, lecz czuwa, a my, uzbrojeni, śpimy w najlepsze, bo wiemy, że on jest z nami. Kochany tatuś."

Jasny dzień zbudził Tomka. Jego towarzysze stali przy szerokim oknie. Tomek pomyślał, że musieli ujrzeć coś niezwykle ciekawego, natychmiast więc zerwał się z ławki, podbiegł do nich i zapytał:

— Co tam widać, tatusiu?

— Rozejrzyj się po okolicy! — zachęcił go ojciec.

Tomek wyjrzał przez okno wagonu. W oddali, na południu, piętrzyła się wysoko ku niebu olbrzymia góra. Dwa z jej trzech szczytów, rozdzielone od siebie siodłem górskim, rozległym na kilka kilometrów, zdawały się wisieć w powietrzu, gdyż przepływające poniżej chmury tworzyły wokół nich kłębiasty wieniec.

— To jest na pewno Kilimandżaro, najwyższa góra Afryki[13] — domyślił się chłopiec.

— Zgadłeś — powiedział ojciec. — Wysokość jej wynosi blisko sześć tysięcy metrów.

— Imponujący widok przedstawia góra pokryta śniegiem w samym sercu Czarnego Lądu, i to niemal na równiku — przyznał Smuga.

— Nie należy się też dziwić, że niektóre plemiona murzyńskie, mieszkające na stokach Kilimandżaro, oddają jej boską cześć — dodał Hunter. — Na przykład Wadżaggowie wierzą, że niedostępne człowiekowi za życia kratery szczytów Kibo i Mawenzi, mają dopiero po jego śmierci służyć mu za wieczne mieszkanie. W myśl legendy, na Kibo gromadzą się duchy mężczyzn, na Mawenzi kobiet. Na lodowcach mają nadto przebywać złe duchy warumu, które każdego śmiałka, próbującego wydrzeć im tajemnicę, karzą śmiercią.

— Chciałbym się z bliska przyjrzeć Kilimandżaro! — powiedział Tomek.

— A może pachnie ci wspinaczka tak jak na Górę Kościuszki, pamiętasz? — zagadnął Smuga.

— Ho, ho! Żeby tylko tatuś zgodził się na to! Mielibyśmy się czym pochwalić!

— Wątpię, czybyśmy się zdołali wspiąć na Kilimandżaro — wtrącił Wilmowski, który jako geograf najwięcej miał wiadomości o osobliwościach świata. — Jest niemal trzy razy wyższa od Góry Kościuszki. Zbocza jej nie są zbyt przystępne. Od chwili gdy Rebmann podał wiadomość o istnieniu na równiku wielkiej góry pokrytej wiecznym śniegiem, wielu podróżników i alpinistów kusiło się o zdobycie jej szczytów. Jeden z nich, Johnston, przez pół roku przebywał na Kilimandżaro, lecz dotarł tylko do wysokości czterech tysięcy dziewięciuset metrów. Z kilku następnych ekspedycji jedynie Anglik Charles New wspiął się do granicy wiecznego śniegu. Trzykrotnie na szczyt tej góry próbował wedrzeć się Niemiec, geograf i alpinista, Hans Meyer. Dopiero w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym, podczas trzeciej wyprawy, udało mu się jako

[13] Kilimandżaro (w języku krajowców: Kilima Ndżaro — góra ducha sprowadzającego zimno). Góra posiada 3 szczyty: Kibo— 5895 m, Mawenzi — 5355 m i Szira — 4300 m.

pierwszemu osiągnąć Kibo, jeden ze szczytów Kilimandżaro, i zbadać wygasły krater oraz pokrywające go lodowce. Od tej chwili uwierzono w to, co mówił swego czasu Rebmann. Niewielu szczęśliwym podróżnikom udało się później wejść na szczyt Kibo[14]. Konieczne są do tego siła, wprawa i odpowiedni ekwipunek, a tymczasem my nie jesteśmy na to przygotowani.

— Słuchaj, brachu! Mogę łazić po rejach okrętowych jak kot, ale daj mi spokój z górami i lodowcami — odezwał się do chłopca bosman Nowicki. — Na takim lodowcu pewno nawet rum zamarza w żołądku.

— Och, drogi panie bosmanie, przecież my tylko tak sobie rozmawiamy — pocieszył go Tomek.

Kilimandżaro znikała z pola widzenia, lecz okolica nie wydawała się już tak posępna jak poprzedniego dnia. Co pewien czas pojawiały się wśród stepu, nawet niedaleko od jadącego pociągu, jasnożółte antylopy. Było ich nieraz po kilkadziesiąt sztuk. Jedne pasły się spokojnie, inne patrzyły na pociąg prezentując swe wysokie rogi. Tu i ówdzie wśród stada złocistych antylop bieliły się pręgowate zebry, gdzie indziej znów czerniały gnu pasące się razem z wielkimi afrykańskimi strusiami. Te ostatnie przypomniały Tomkowi i bosmanowi ich niefortunne łowy na emu w Australii. Z humorem opowiedzieli Hunterowi swą niebezpieczną przygodę.

Czas szybko mijał. Rozweselony Hunter opowiadał z kolei ciekawostki ze swych polowań i ani się spostrzegli, jak pociąg wjechał na Kapiti Plains. Był to prawie pusty step porosły nikłą, krzaczastą i kolczastą roślinnością, wśród której roiło się od zwierzyny. Przebiegały całe jej stada liczące po kilkaset sztuk. Czasem, nie opodal pasących się zwierząt, stał samiec antylopy gnu, który, jak zapewniał tropiciel, pilnował bezpieczeństwa stada. Zwykle trzymał się na uboczu, stawał na wyższym cokolwiek miejscu i widać go było jeszcze nawet wtedy, gdy spłoszone stado znikało w ucieczce.

Widoki roztaczające się z okna pociągu pochłonęły Tomka bez reszty. Pierwszy też spostrzegł pięknego, oryginalnego ptaka wielkości żurawia, o stosunkowo długiej szyi i wysokich nogach, który kołował nad mijaną przez pociąg rzeką Athis. Tomka zachwyciła kita piór zwisająca z czuba ptaka — wydał okrzyk podziwu.

— To wężojad sekretarz[15] — wyjaśnił chłopcu Smuga.— Żyje nie tylko tu, ale i w Ameryce. Stanowi przejściowy gatunek między ptakiem brodzącym a jastrzębiem; żywi się gadami i płazami. Skoro wypatrzy zdobycz, najeża kitę na głowie i z natężoną uwagą śledzi ruchy węża, potem jednym skokiem rzuca się na niego, przyciska szponami do ziemi, a przed ukąszeniem broni się skrzydłami. Poluje również na węże jadowite, które

[14] Do 1935 r. na Kilimandżaro wspięło się zaledwie 39 osób. Jednym z pierwszych był Polak, dr Antoni Jakubski, pracownik Instytutu Zoologicznego Wszechnicy Lwowskiej, który w latach 1909-10 badał Tanganikę. 13 marca 1910 r., pozostawiwszy niżej w obozie zmęczonych i wylękłych tragarzy, samotnie osiągnął szczyt Kibo. W okresie drugiej wojny światowej wyczynu tego dokonało dwóch Polaków, członków Polskiego Klubu Wysokogórskiego: w 1944 r. na szczyt Kibo wspiął się Jerzy Golcz, a w 1945 r. inż. Wiktor Ostrowski wraz z angielskim dziennikarzem A. W. Parsonem.

[15] *Serpentarius secretarius.*

pożera razem z gruczołami jadowymi. Jest tak pożyteczny w tępieniu płazów i gadów, że znajduje się pod ochroną.

Tomek urozmaicał sobie długą podróż przeglądaniem podręcznej torby. Miał w niej różne drobiazgi. Pokazał bosmanowi szklaną kulę z trójmasztowym statkiem w środku, nowy nóż myśliwski, kilka fotografii Sally i spory zapas różnych świecidełek tak pożądanych zawsze przez Murzynów. Łowcy toczyli długie dysputy, które przerwano wtedy dopiero, gdy pociąg zbliżał się do Nairobi.

Po dwudziestu godzinach od chwili opuszczenia Mombasy pociąg zatrzymał się w Nairobi. Tutaj nasi łowcy wysiedli, zabierając z sobą tylko najniezbędniejszy ekwipunek. Resztę bagaży mieli odebrać później na stacji w Kisumu. Przed dworcem oczekiwał na nich mały dwukołowy wózek z oślim zaprzęgiem. Powoził Murzyn zatrudniony na plantacji Anglika Browna, który jako jeden z pierwszych białych kolonistów osiedlił się w pobliżu Nairobi. Hunter przyjaźnił się z Brownem i podczas pobytu w tym mieście zawsze się u niego zatrzymywał.

Załadowawszy bagaże na wózek, łowcy szli za nim piechotą przez miasto. Nairobi miało zaledwie kilka szerokich ulic. W pobliżu dworca rozpościerały się magazyny i budynki administracyjne zarządu kolei, nieco dalej stały szeregi niskich, białych domów z wieloma sklepami, dobrze zaopatrzonymi w najrozmaitsze towary.

Był to zaledwie początek okresu kolonizacyjnego Kenii, toteż na ulicach spotykano niewielu białych. Łowcy przeszli obok rozpoczętej budowy pałacu gubernatora angielskiego, potem minęli mały, brzydki kościółek katolicki, a następnie znaleźli się wśród ogrodów, w których stały wille nielicznych Europejczyków. Za nimi dopiero widać było małe, kwadratowe, ulepione z gliny chaty murzyńskie o czterospadowych dachach krytych słomą.

Posiadłość Browna znajdowała się na peryferiach miasta. Anglik przyjął łowców nadzwyczaj gościnnie. Oddał do ich dyspozycji oddzielny domek w ogrodzie. Wilmowski i Hunter nie skorzystali jednak z możliwości wypoczynku. Zaraz udali się do handlarza koni w celu nabycia kilku wierzchowców. Zdaniem Smugi były one konieczne przy chwytaniu niektórych szybkonogich zwierząt. Wprawdzie Wilmowski wyraził obawę, czy w głębi lądu uda im się utrzymać konie przy życiu z powodu groźnych tse-tse, ale Hunter i Smuga zapewnili go, że śmiercionośne muchy spotyka się jedynie na niżej położonych terenach.

Tomek i Smuga, nie chcąc bezczynnie oczekiwać na powrót towarzyszy, wyszli obejrzeć plantację kawy[16]. Zaintrygowany Tomek przyglądał się bacznie krzewom kawowym, bujnie rosnącym w cieniu wysokich, rozłożystych palm. Otóż zamiast ziarenek kawy na gałęziach widniały purpurowo-fioletowe dojrzałe owoce, przypominające swym kształtem oliwki lub nasze małe śliwki...

---

[16] *Coffea arabica.*

— Przecież te owoce wcale nie mają wyglądu kawy — zagadnął w końcu.

— Czy przypuszczałeś, że ziarna kawy rosną bezpośrednio na krzewach? Jeżeli tak, to byłeś w błędzie — padła odpowiedź. — Właśnie w miąższu tych owoców, zwanych przez plantatorów czereśnią, znajdują się zwykle dwa półokrągłe, spłaszczone, twarde ziarenka, które dopiero po wyłuszczeniu i odpowiednim przygotowaniu stają się kawą, czyli produktem handlowym.

— Coś podobnego, nie wiedziałem — zdumiał się Tomek. — A dlaczego pan Brown nie każe wyciąć palm, które nie dopuszczają słońca do krzewów kawowych?

— Kultury kawowe są nadzwyczaj delikatne. Nie znoszą zbyt intensywnego nasłonecznienia, toteż palmy zastępują im parasole — wyjaśnił Smuga. — Zaraz widać, że Brown jest dobrym fachowcem. Spójrz tylko, jak bujnie owocują krzewy. Na jednej gałęzi spotyka się dojrzałe już czereśnie i kwitnące kwiaty. Brown zapewne wkrótce rozpocznie zbiór czereśni, gdyż przejrzałe owoce marszczą się, czernieją i zsychają, a wtedy trudniej wydobywać z miąższu ziarenka kawy.

— Jak teraz zrozumiałem, wyłuszczone ziarna jeszcze nie są gotową do sprzedaży kawą — indagował Tomek.

— Masz rację, po wydobyciu z miąższu należy je bowiem wymyć, oczyścić na szczotkach, pozbawić wierzchniego pergaminowego naskórka, dzięki czemu ziarna tracą możność kiełkowania, a w końcu trzeba je wypolerować na polerkach. Po poddaniu ziaren procesowi tak zwanego palenia przybierają one czarną barwę i wtedy dopiero kawa wygląda tak, jak widzimy ją w sklepach.

— Ho, ho, wcale nie myślałem, że Murzyni muszą tak się napracować chcąc wypić szklankę kawy — rzekł Tomek. — Przecież chyba nie każdego stać tutaj na zakupienie maszyn do wyłuszczania ziaren, oczyszczania, polerowania i wszystkiego, co jest konieczne do preparowania kawy!

— Słuszna uwaga, Tomku, toteż krajowcy wydobywają ziarna z miąższu przez fermentację. W wysokiej, temperaturze miąższ rozkłada się, potem zaś suszą ziarna na słońcu i prymitywnymi metodami pozbawiają je pergaminowego naskórka. Poza tym Murzyni nigdy nie spożywają ziaren kawy, tylko w czasie długich, nużących marszów żują zwykle sam miąższ owocu, podobnie jak orzeszki kola[17].

— Czyżby miąższ czereśni był odżywczy?

— Podobno wzmacnia i dodaje energii[18].

— Jeśli tak, to muszę go spróbować! Chciałbym jeszcze o coś zapytać. Czy wszystkie czereśnie zawierają po dwa ziarenka kawowe?

---

[17] [17]Kola *(Cola acuminata)* — drzewo z rodziny zatwarowatych rosnące w Afryce Zachodniej. Jego owoce zawierają nasiona znane pod nazwą orzeszków kola. Wyciąg z nich używany jest w lecznictwie w przypadkach przemęczenia fizycznego i psychicznego oraz do wyrobu napojów.

[18] Miąższ czereśni kawowych zawiera spory procent kofeiny, która wzmaga czynność serca oraz ośrodkowego układu nerwowego (kora mózgowa) i wywołuje pobudzenie psychiczne

— Nie, Tomku, kilka dzikich odmian kawy afrykańskiej posiada w czereśniach po jednym okrągłym ziarenku, znanym pod nazwą perłówka.

Smuga spacerował między rzędami krzewów. Tomek kroczył obok niego, lecz nie zasypywał go już nowymi pytaniami. Nagłe zamilknięcie młodzieńca zwróciło w końcu uwagę Smugi. Spojrzał na niego. Tomek wprawdzie szedł za nim krok w krok, lecz od razu można było spostrzec, że krzewy kawowe przestały go interesować. Nachmurzony śledził bzykające owady.

— O czym rozmyślasz? — zapytał zainteresowany Smuga.

— Niepokoję się o Dinga — odparł chłopiec.

— Czy coś mu się stało? Dlaczego nie zabrałeś go z sobą?

— Zamknąłem Dinga w pokoju, bo się boję, żeby go nie ugryzła tse-tse — wyjaśnił Tomek zafrasowany. — Teraz naprawdę żałuję, że wziąłem poczciwca do Afryki.

— A więc o to ci chodzi, przyjacielu. Wydaje mi się, że się zupełnie niepotrzebnie obawiasz.

— Naprawdę? Słyszał pan jednak, co mówił ojciec? Ukąszenie tse-tse bywa śmiertelne dla koni, wołów, owiec i psów.

— To prawda, lecz nie każda tse-tse jest roznosicielką zarazków. Poza tym wszyscy w równej mierze będziemy narażeni na niebezpieczeństwo. Wiesz przecież, że ukąszenie tse-tse może spowodować u człowieka chorobę kończącą się śmiercią. Miejmy nadzieję, że Opatrzność nas ustrzeże. Polowałem w rejonach ogarniętych plagą śpiączki i wyszedłem szczęśliwie.

— Czy nie ma żadnych sposobów ochrony przed tą niebezpieczną muchą? — ciekawił się Tomek.

— Tse-tse jest nadzwyczaj ostrożna, a jej lot jest niemal bezdźwięczny. Tym samym nie zwraca na siebie uwagi. Nie siada również na jasnym tle, na którym staje się zbyt widoczna. Dlatego najlepszą przed nią ochroną jest biała odzież. Krajowcy często odganiają się przed owadami różnymi miotełkami bądź też noszą ozdoby z piór lub kit zwierzęcych spełniające tę samą rolę.

Tomek westchnął ciężko i szedł dalej w milczeniu. Nie lubił oczekiwać na niebezpieczeństwo z założonymi rękoma, toteż przemyśliwał teraz nad sposobami, które w jego mniemaniu, mogłyby zabezpieczyć psa przed ukąszeniem zdradliwej muchy. Niebawem rozchmurzył się; pogwizdując wesoło pobiegł w kierunku domu.

NOCNY STRZAŁ

Był wczesny ranek, gdy Hunter przywiódł przed werandę pięć osiodłanych wierzchowców i jednego konia do objuczenia bagażem. Razem z bosmanem Nowickim wynieśli przygotowane juki ze sprzętem obozowym oraz żywnością, by je przytroczyć do uprzęży luzaka. Wkrótce wyszli z domu pozostali łowcy, uzbrojeni w karabiny i rewolwery.

— A gdzie jest Tomek? — zapytał Wilmowski nie widząc syna, który zazwyczaj pierwszy był gotów do drogi.

— Gdzieś stale teraz znika jak kamfora — zauważył Smuga zawieszając karabin na pasie na łęku siodła.

— Tomku! Tomku! Pospiesz się! — zawołał Wilmowski.

— Po co to robić gwałt? Przecież szkapy nam nie zwieją, a Tomkowi pewno nie służy kuchnia pana Browna — burknął bosman Nowicki wzruszając niechętnie ramionami. — Mógłbyś pan, panie Hunter, wyklarować swemu krajanowi, żeby trochę oszczędzał korzeni. Taniej by go to kosztowało i człowiek mógłby spokojnie siadać na szkapę. Dziwić się tu Tomkowi, kiedy ja sam czuję...

— A to co? Cóż to za maskarada? Czyś ty oszalał, chłopcze? — krzyknął Wilmowski, przerywając wywody bosmana na temat sposobu przyrządzania potraw.

Wszyscy spojrzeli w kierunku domu i ujrzeli Tomka ciągnącego na smyczy niezadowolonego Dinga. Mężczyźni jak na komendę wybuchnęli śmiechem. Chłopiec i jego ulubieniec przedstawiali niecodzienny widok: Tomek ubrany był w białą bluzę i długie spodnie wpuszczone w wysokie sztylpy, pomalowane grubo białym lakierem. Na głowie miał hełm korkowy z opadającą na kark muślinową osłoną. Z hełmu wokół głowy swobodnie zwisały futrzane ogonki. Spod zawiniętych powyżej łokci rękawów bluzy opadały na gołe ręce długie skrawki futerka. Dingo wyglądał równie dziwacznie. Nałożono mu specjalną uprząż, do której przytwierdzone były futrzane ogonki, powiewające jak chorągiewki. Pies gniewnie spoglądał na nie; wyraźnie niezadowolony, nie chciał iść za chłopcem.

— Co to ma znaczyć. Tomku? — skarcił go ojciec. — Wszyscy czekamy na ciebie, a ty stroisz sobie żarty.

— Ha, więc uważacie, panowie, że płatam głupie figle — odparł Tomek urażony rozbawieniem towarzyszy. — No, no! Niech i tak będzie! Ten się śmieje dobrze, kto się śmieje ostatni. Nie jestem jednak pewny, czy wkrótce nie zrobicie tego samego co ja!

— Cóż to znowu za pomysł, mój synu? W jakim celu mielibyśmy się przebierać za straszydła? — zapytał Wilmowski.

— Zapomnieliście widocznie, panowie, o tse-tse, której lot jest bezdźwięczny, a ukąszenie zabójcze dla koni, wołów, owiec, psów i nawet dla najsilniejszych ludzi, panie bosmanie — odparł zjadliwie Tomek, specjalnie akcentując wyrazy.

Przerwał na chwilę, aby stwierdzić, jakie wrażenie wywarły jego słowa. Przesądny jak większość marynarzy, bosman przestał się natychmiast śmiać. Hunter również spoważniał. Tomek chrząknął zadowolony i dodał:

— Najlepszą ochroną przeciwko tse-tse jest biały kolor ubrania, ponieważ ostrożna mucha nie lubi jasnego tła, na którym jest zbyt widoczna. Ogonki futrzane natomiast spełniają doskonale rolę wachlarzy. W tym też celu krajowcy stroją się w nie według zapewnień pana Smugi, który chyba dobrze wie, co mówi.

— Łatwo odgadnąć, że nasłuchałeś się jakichś bzdurnych opowiadań. Oj, Tomku, kiedy ty wreszcie spoważniejesz? — powiedział ojciec.

Smuga, ubawiony wyjaśnieniami chłopca, uśmiechnął się dyskretnie, a bosman rzekł pojednawczo:

— Ostatecznie nie ma znów z czego tak się śmiać. Pamiętam jeszcze ze szkoły, że i z Kopernika wszyscy najpierw szydzili. Może ten chłopak kapuje się nieźle na rzeczy? Każdy pędrak ma swój rozum...

— Szkoda teraz czasu na sprzeczanie się o głupstwa — zakończył rozmowę Wilmowski. — Spuść, Tomku, psa ze smyczy i siadaj na konia. Dingo na pewno zaraz zapomni o swoim stroju i pobiegnie za nami.

Tomek odpiął obrożę. Nie spiesząc się wsiadł na wierzchowca. Ruszyli stępa z miejsca. Dingo wstrząsnął kilka razy grzbietem, lecz nie mogąc się pozbyć niewygodnej uprzęży, szczeknął chrapliwie, po czym pogonił za łowcami.

Wkrótce podróżnicy zostawili daleko za sobą plantacje kawy oraz łany porosłe kukurydzą i bananowcami. Po dwóch godzinach wjechali w kraj o charakterze stepowo-pustynnym. W południe, to jest w czasie najintensywniejszego działania słońca, zatrzymali się na dłuższy postój. Szczery step nie dawał możliwości schronienia przed upałem, rozbito więc namioty, w których można było zaznać trochę cienia.

Po krótkim wypoczynku łowcy znów dosiedli koni. Okolica z wolna zmieniała wygląd. Teren stawał się pagórkowaty, później górzysto-skalny. Niebawem konie wkroczyły na wąską, pnącą się w górę ścieżkę, która biegła grzbietem nad przepaścistym stokiem.

Zatrzymali się dopiero na szczycie przełęczy. U jej stóp rozciągała się równina, otoczona ze wszystkich stron skalistymi wzgórzami. Wokół przeważała płowa barwa stepu, miejscami tylko zieleniły się krzewy lub ciemniały gęste zarośla. Pasma wysokich drzew, jakby zielone wstęgi, znaczyły łożyska rzeczułek. Jak się później okazało, niektóre z nich były zupełnie wyschłe, podczas gdy w innych jeszcze dość głęboka woda płynęła wartkim strumieniem.

Łowcy pognali konie. Zjechali zboczem w dół, wypatrując z daleka miejsca na nocleg. Zatrzymali się na brzegu rzeczułki. Tomek z ochotą pomagał przy rozbijaniu obozu i zbieraniu chrustu na ognisko. Nie brakowało tutaj opału; skaliste brzegi porastała gęstwina drzew akacjowych.

Nadszedł gwieździsty, chłodny wieczór, toteż łowcy wydobyli z juków grube, wełniane koce. Na protesty Tomka, że śmiesznie byłoby przykrywać się nimi w Afryce Równikowej, ojciec wyjaśnił mu krótko:

— Chociaż, jak słusznie twierdzisz, jesteśmy niemal na równiku, znajdujemy się jednocześnie na wysokości dwóch tysięcy metrów nad poziomem morza. Z tego względu noce tu są dość chłodne, o czym przekonasz się wkrótce.

Postanowiono czuwać w nocy na zmianę: Ponieważ Tomek stanowczo nie zgodził się na wyłączenie go z czat, wyznaczono mu najwcześniejszy dyżur. Zaraz po kolacji udał się do namiotu na krótki wypoczynek. Zdawało mu się, że zaledwie zdążył przymknąć powieki, gdy poczuł potrząśnięcie za ramię. Przebudził się natychmiast i zapytał:

— Czy mam już wstać na czaty?

— Czas stanąć na posterunku — przytaknął Hunter, który podczas wyprawy pełnił jednocześnie funkcję przewodnika i obożnego. — Wszyscy położyli się już spać. Masz zegarek? To dobrze, teraz dochodzi dziesiąta. O dwunastej zbudzisz pana Smugę. Chodź!

Tomek wygrzebał się spod moskitiery; za nim wyskoczył Dingo. Chłopiec przypasał rewolwer i wziął do rąk sztucer.

— Już jestem gotów — oznajmił wychodząc z namiotu.

— Chłodno ci będzie — ostrzegł tropiciel. — Może nałożysz coś cieplejszego?

— Rozgrzeję się obchodząc obóz dookoła. Co należy do moich obowiązków?

— Dorzucaj chrustu do ognia, żeby nie wygasł, i dobrze nasłuchuj. W pobliżu znajduje się wodopój zwierząt, ale one się nie zbliżą do płonącego ogniska. Gdyby cokolwiek wydało ci się podejrzane, zbudzisz któregoś z nas. Nie będziesz się bał czuwać w pojedynkę?

— Nie, proszę pana. Australijczyk Tony nauczył mnie nie bać się puszczy. Już w Australii odbywałem samotne nocne wędrówki. Bardzo lubiłem tropić na własną rękę niedźwiadki koala.

Hunter uważnie spojrzał na Tomka. Ku swemu zdziwieniu nie ujrzał w nim podniecenia czy strachu, co byłoby w jego wieku zrozumiałe. Uśmiechnął się nieznacznie widząc marsową minę chłopca i powiedział:

— Dobranoc!

— Dobranoc panu! — odparł Tomek, sprawdzając uważnie zamek sztucera.

Hunter znikł w pobliskim namiocie, który dzielił z bosmanem Nowickim.

— Jak się spisuje nasz mikrus? — zapytał marynarz.

— Jak stary wyga — poinformował tropiciel.

— Byczy kumpel, mówię panu, ale chyba będziemy trzymali wachtę razem z nim?

— O tej porze zazwyczaj nic się na stepie nie dzieje, obiecałem jednak panu Wilmowskiemu, że zaopiekuję się chłopcem. Znajdujemy się w pobliżu terenów zamieszkałych przez Masajów. Lepiej więc wiedzieć, co w trawie piszczy.

— Dobra, czuwajmy więc razem i zerkajmy przez dziurkę na pędraka — zakończył bosman, siadając na składanym krzesełku przy otworze namiotu.

Tymczasem Tomek nie domyślał się nawet podstępu przyjaciół. Spojrzał w ciemny step i odetchnął radośnie pełną piersią. Przez chwilę delektował się zdrowym, orzeźwiającym powietrzem, po czym ostrożnym, powolnym krokiem zaczął spacerować wokół obozu. Pod prawą pachą trzymał gotowy do strzału sztucer. Obok Tomka szedł bezszelestnie Dingo strzygąc uszami. Wkrótce jednak chłopcu sprzykrzyło się obchodzenie obozu. Sprawdził więc, czy konie dobrze są przywiązane do wbitych w ziemię palików, dorzucił chrustu do ogniska i usiadł przy nim. Dingo położył się obok, opierając łeb na łapach. Mijał kwadrans za kwadransem. Wokół panowała cisza. Nagle Dingo uniósł głowę, zastrzygł uszami i pytająco spojrzał na Tomka. Chłopiec uspokoił go ruchem dłoni. W pobliskich krzewach rozległ się jakby jękliwy śmiech. Tomek poprawił sztucer spoczywający na jego podwiniętych nogach i położył palec na spuście.

"To na pewno hiena[19]" — pomyślał. Zaraz przypomniało mu się polowanie na dzikie psy dingo w Australii. Skowyt ich jednak brzmiał wtedy jak skarga upiora, podczas gdy hiena po prostu śmiała się nieprzyjemnie.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien obudzić Huntera, lecz zaraz odrzucił tę myśl. Przecież tchórzliwa hiena nie odważy się zaatakować ludzi w obozie. W ostateczności łatwo będzie ją spłoszyć. Gdyby zaś podeszła zbyt blisko, miałby wspaniałą okazję do strzału. Hieny z natury są bardzo tchórzliwe, lecz głód może pobudzić je do niewiarygodnej zuchwałości.

"Mógłbym ją zachęcić do zbliżenia się do ogniska" — pomyślał Tomek.

---

[19] **Do hien właściwych *(Hyaenide)* należy niewiele gatunków żywiących się prawie wyłącznie padliną. Hiena cętkowana *(Crocotta crocuta)* zamieszkuje Afrykę (tereny na południe od Sahary). Obok niej występuje w niektórych okolicach hiena pręgowana *(Hyaena hyaena).* Dawniej żyła w Europie krewniaczka hieny cętkowanej — hiena jaskiniowa *(Hyaena spelaea).* W Afryce Południowej występuje hiena brunatna *(Hyaena brunnea),* mniejsza od swoich krewniaczek, która żywi się głównie padliną wyrzuconą z morza. Wszystkie hieny są nocnymi, często stadnie żyjącymi zwierzętami. Występują w Afryce oraz w południowo-zachodniej Azji. Głos ich przypomina okropny śmiech, mają nieładny chód i wydają nieprzyjemną woń.**

Jeszcze raz nakazał Dingowi nie ruszać się z miejsca; sam podniósł się i wyjął ze stojącego opodal kociołka kawał mięsa pozostały z kolacji. Postąpił kilka kroków w kierunku zarośli, skąd uprzednio rozbrzmiał jękliwy śmiech hieny. Wziąwszy rozmach, rzucił ociekający tłuszczem kąsek. Zadowolony z siebie wytarł ręce w wiecheć trawy, dołożył chrustu do ogniska, po czym najspokojniej w świecie usiadł na ziemi obok psa. Teraz umieścił na kolanach sztucer przygotowany do strzału i czekał...

Śmiech hieny rozbrzmiał po raz drugi już znacznie bliżej. Zaniepokojone konie zaczęły głośno parskać. Tomek był nieco zdziwiony, że żaden z jego towarzyszy nie przebudził się do tej pory. Wygłodzona hiena, czując zapach koni i słysząc ich niepokój, wychyliła z gąszczu szary łeb. Naraz zwietrzyła w pobliżu kawał mięsa. Błysnęła ślepiami w kierunku jasno płonącego ogniska. Kompletna cisza działała zachęcająco. Powoli coraz bardziej wychylała spomiędzy krzewów swój pochylony do tyłu grzbiet. Jakby kulejącym krokiem zaczęła się skradać do drażniąco pachnącego kąska.

Sierść zjeżyła się na karku Dinga. Drżąc z niecierpliwości niespokojnie spoglądał na swego pana, to znów na skradające się w milczeniu dzikie zwierzę. Tomek zaś, nie unosząc z kolan broni, wymierzył w zadnie nogi hieny. Spokojnie nacisnął spust. Huknął strzał. Hiena przeraźliwie zaskowyczała. Zaczęła kręcić się wokoło, wlokąc za sobą strzaskaną łapę. Tomek przyklęknął błyskawicznie, uniósł sztucer do ramienia. Mierząc krótko strzelił po raz drugi. Hiena wyprężyła się i jak rażona piorunem padła na ziemię.

Tomek uspokajał jeżącego sierść Dinga, gdy nagle ujrzał obok siebie bosmana i tropiciela z bronią w ręku.

— Niech cię kule biją, brachu! — zawołał bosman. — Gracko sobie począłeś z tym afrykańskim wyjcem! A co, panie Hunter, nie mówiłem, że nasz mały nie posieje cykorii?!

— Powinszować, powinszować, naprawdę doskonały strzał, i to nocą — chwalił Hunter ściskając serdecznie rękę Tomka.

Zaraz też do tych życzeń przyłączyli się Smuga i Wilmowski, a Tomek spoglądał na nich zdumionym wzrokiem. Przecież, według zapewnień tropiciela, wszyscy mieli się udać na spoczynek, gdy obejmował czaty, a tymczasem otaczali go teraz całkowicie ubrani, jakby nie kładli się do snu.

— Coś mi się zaczyna wydawać, że żaden z panów nie spał do tej pory. Czy ma to oznaczać brak zaufania do mnie? — oburzył się Tomek.

— Nie bądź znów taki drobiazgowy, kochany brachu — pojednawczo rzekł bosman. — Zrobiłem zakład z panem Hunterem, że zachowasz się na warcie jak stary wiarus. Wobec tego musieliśmy wyglądać przez otwór w namiocie, aby sprawdzić, który z nas stawia butelkę. Czy nie tak było, panie Hunter?

— Oczywiście, tak — szybko potwierdził tropiciel, z wdzięcznością spoglądając na bosmana za zręczne wybawienie z kłopotliwego położenia.

— No dobrze, ale dlaczego nie spali tatuś i pan Smuga? — indagował Tomek.

Smuga spojrzał chłopcu prosto w oczy i odparł:

— Powiem ci szczerze, Tomku. Po prostu chcieliśmy się przekonać, czy przez roczny pobyt w mieście nie odwykłeś od dżungli. Byłoby to przecież zupełnie zrozumiałe. Teraz mogę z zadowoleniem stwierdzić, że nauka nie poszła w las. Cieszy nas to bardzo, gdyż na tej wyprawie możemy spotkać wiele niebezpiecznych niespodzianek. Dobrze wiedzieć, że można polegać na każdym uczestniku ekspedycji. Od tej pory posiadasz nasze pełne zaufanie. Wierzysz mi, prawda?

— Jak mógłbym panu nie wierzyć! — zawołał Tomek niemal wzruszony i rzucił się Smudze na szyję.

— Coś mi się wydaje, panie Hunter, że mamy dobrą okazję do wysuszenia butelczyny rumu — zauważył bosman Nowicki. — Wybiliśmy się ze snu, więc po łyknięciu specjału prędzej zaśniemy. Tomkowi za to na pewno się przyda kubek gorącej kawy. Co wy na to, panowie?

— Już dawno nie słyszałem tak dorzecznej wypowiedzi — przytaknął Smuga. — A ty, Andrzeju?

— Wypijmy za pomyślność naszej wyprawy — zgodził się ochoczo Wilmowski.

WITAJ, KIRANGOZI

Wchodzące słońce zastało naszych łowców gotowych do dalszej drogi. Po krótkiej jeździe przebyli kamienistą górską przełęcz i znaleźli się na wysoko położonym płaskowyżu. Z jego rozległej równiny wystrzelały ku niebu pojedyncze stożkowate wzgórza.

— Dobrze teraz uważaj, Tomku, tu łatwo spotkać zwierzynę — oznajmił Hunter.

Wkrótce sprawdziła się jego zapowiedź. Jeźdźcy zbliżali się do mimozowego gaju, gdy nagle Dingo, biegnący przy koniu Tomka, zaczął zdradzać niepokój. Wiatr wiał od strony rzadko rosnących drzewek. Musiał nieść drażniący zapach dzikiej zwierzyny, Dingo bowiem, unosząc pysk do góry, poruszał nozdrzami, strzygł uszami i spoglądał co chwila na chłopca. Tomek uspokoił psa i zwrócił uwagę towarzyszy na jego zachowanie. Hunter podniesieniem ręki nakazał milczenie. Przynaglił konia do biegu. Gaj mimoz stawał się coraz bliższy. Miękka ziemia tłumiła tętent kopyt końskich; łowcy jadąc pod wiatr mogli się zbliżyć do drzew, nie zwracając na siebie uwagi płochliwych zwierząt. Zanim zdołali dopaść pierwszych zarośli, jakiś żółtobrunatny kształt poderwał się z zieleni gaju, błysnął w słońcu lirowato rozwidlonymi rogami, znikł na chwilę w gąszczu, a potem jeszcze kilka razy ukazał się skacząc wysoko ponad ziemię.

— Dorkasy[20]! Rozciągnąć się w szereg! Pieczeń na obiad przed nami! — zawołał Hunter na widok zwierzęcia.

Gaj nagle się ożywił. Jeszcze kilkadziesiąt metrów dzieliło łowców od drzew, gdy stado gazel w podskokach wybiegło na równinę. Wzrostem nie dorównywały naszym sarnom, lecz były od nich smuklejsze, zgrabniejsze i jakby bardziej delikatne.

Smuga zaledwie ujrzał gazele, odłączył się od swych towarzyszy. Cwałem ruszył wzdłuż linii mimozowego gaju.

Tomek bez wahania pognał za nim. Konie przynaglone do biegu brzuchami niemal szorowały po szorstkiej trawie. Dingo olbrzymimi susami wysforował się przed jeźdźców.

---

[20] ***Gazella dorcas***

Przez moment gazele, jakby zdziwione, przyglądały się łowcom, później rzuciły się do ucieczki. Smuga trzymając broń w prawej dłoni, lewą ostro osadził wierzchowca. Zaledwie karabin przylgnął do ramienia — padł strzał! Jedna z najbliższych gazel zwinęła się w skoku i runęła na ziemię. Dalszy pościg za szybkonogimi dorkasami był bezskuteczny. Mknęły teraz z wiatrem w zawody, a biegły lekko, niemal nie dotykając ziemi. Co pewien czas niektóre przystawały, oglądały się na swych prześladowców, po czym znów dalej uciekały w step.

Łowcy zwolnili bieg wierzchowców rezygnując z bezcelowego pościgu. Smuga i Tomek zdążali do zastrzelonej gazeli, reszta towarzyszy wkrótce przyłączyła się do nich. Zastali Dinga stojącego przednimi łapami na szyi martwego zwierzęcia. Pies wpatrywał się w nieruchome, szeroko otwarte, duże, ciemne oczy gazeli. Na widok nadjeżdżających machnął ogonem i szczeknął.

— Ha, uważam się za dobrego strzelca, ale tutaj widać już rękę prawdziwego mistrza — pochwalił Hunter, z szacunkiem spoglądając na Smugę. — Celny strzał z konia do umykającej gazeli to sztuka niemal cyrkowa.

Smuga uśmiechnął się i odparł:

— Miałem niezłych nauczycieli. Bywałem w Teksasie słynącym z mistrzów rewolwerowych. Właśnie od kowbojów nauczyłem się trafiać z rewolweru w monetę rzuconą do góry.

Hunter zeskoczył z konia. Dingo wyszczerzył kły, gdy tropiciel pochylił się nad gazelą. Tomek natychmiast przywołał psa. Tropiciel obejrzał martwe zwierzę. Był to kozioł wagi około czterdziestu kilogramów. Miękka jak jedwab skóra pokryta była na grzbiecie i bokach żółtobrunatną sierścią, podczas gdy na brzuchu i na delikatnych, jakby z kości słoniowej wyrzeźbionych nogach przybierała barwę śnieżnobiałą. Zgrabne racice zwierzęcia były z przodu mocno zaostrzone. Głowę kozła ozdabiały czarne, wygięte pierścieniowato rogi długości około trzydziestu centymetrów. Z przodu przypominały lirę. Tomek spojrzał w nieruchome, łagodne oczy, w których zamarł strach. Jak zwykle w takich wypadkach, żal mu się zrobiło pięknego zwierzęcia.

— Trafił pan prosto w komorę — orzekł Hunter. — Przytroczę gazelę do jucznego konia, a podczas wieczornego postoju ściągnę skórę. Zrobimy z niej wspaniały worek na wodę.

Nie tracąc czasu zarzucił upolowane zwierzę na grzbiet konia, przywiązał sznurem, po czym wszyscy dosiedli wierzchowców. Coraz częściej w ich polu widzenia ukazywały się rozmaite zwierzęta, głównie elandy[21], największe z antylop o śrubowato skręconych rogach, pasące się razem z kudu[22], których grzbiet i boki znaczyły białe pasy. Tomek miał ochotę zbliżyć się do antylop, lecz widok długich na metr, wygiętych i skręconych

---

[21] Eland albo kanna *(Taurotragus oryx)* zamieszkuje sawanny prawie całej Afryki na południe od Sachary.

[22] *Strepsiceros strepsiceros*

rogów kudu ostudził jego zapał. Nieco dalej ujrzeli antylopy gnu[23], wyróżniające się swoistą budową ciała i specyficznymi ruchami, co wzbudziło szczególne zaciekawienie Tomka. Gnu jest bowiem czymś pośrednim pomiędzy koniem, wołem i antylopą. Ciemnogniady kadłub i siwy ogon przypominają zupełnie konia, głowa zaś wydaje się być zapożyczona od bawołu, nozdrza zakryte są płatami skóry, a pysk otoczony długimi włosami; łeb obu płci zdobią rogi, które u młodzików są krótkie, sterczące do góry, potem jednak rozrastają się na boki, spłaszczają i zaginają się zrazu na dół, następnie do góry. Oczy o ponurym wejrzeniu osłonięte są gęstym wieńcem włosów i już na grzbiecie nosa wyrasta gęsta grzywa, pokrywająca cały kark.

Hunter często polował na antylopy gnu. Opierając się na własnym doświadczeniu twierdził, że są one, podobnie jak bawół i byk, bardzo wrażliwe na kolor czerwony. Zatem nie tylko powierzchowność, ale i upodobania tych zwierząt są dziwne. W razie niebezpieczeństwa rzucają się ze spuszczonym łbem na przeciwnika, lecz bardzo często w stanowczej chwili nagle zatrzymują się, zawracają i uciekają w największym pędzie.

Tomek uważnie przysłuchiwał się wyjaśnieniom Huntera, gdyż zdążył już poznać wartość podobnych informacji dla myśliwego. Podczas polowania celność strzału nie zawsze chroni łowcę przed niebezpieczeństwem. Konieczna jest również dokładna znajomość zwyczajów różnych zwierząt, która umożliwia właściwą ocenę sytuacji. Doświadczeni myśliwi są zdania, że nieraz lepiej jest usunąć się zwierzęciu z drogi, niż atakować je niepotrzebnie.

Tuż przed zatrzymaniem się na następny nocleg wśród drzew akacjowych na krótką chwilę ujrzeli trzy głowy o wielkich, ruchliwych uszach i dziwacznych rożkach. Głowy te, osadzone na bardzo długich szyjach, sterczały pięć lub sześć metrów nad ziemią. Były to żyrafy. Tomek natychmiast ruszył galopem chcąc im się przyjrzeć, trud był jednak daremny, gdyż głowy na długich szyjach zakołysały się nagle w tył i w przód jak wahadła zegarowe, a następnie szybko zniknęły wśród bujnej zieleni.

— Szkoda, że żyrafy nie wybiegły z gęstwiny, na stepie z łatwością bym je dogonił — tłumaczył się Tomek, zawróciwszy jak niepyszny do swych towarzyszy.

— Nie byłbym tego tak pewny — rzekł Smuga uśmiechając się pobłażająco. — Żyrafy potrafią biec bardzo szybko i nawet rącze konie często za nimi nie nadążają. Nie martw się. Zdążysz jeszcze przyjrzeć im się dokładnie podczas łowów.

Tym razem podróżnicy zatrzymali się na nocleg przy dużej kępie rozłożystych akacji. Zaledwie rozbito namioty i rozpalono ognisko, bosman Nowicki zajął się przyrządzeniem wieczerzy, a Hunter przystąpił do ściągania skóry z zabitej gazeli. Z zainteresowaniem przyglądano się jego pracy. Zdejmowanie skóry w taki sposób, aby sporządzić z niej wór na wodę, nie jest rzeczą łatwą, gdyż wymaga wielkiej zręczności i

---

[23] *Connochaetes taurinus*

wprawy. Jedno niewłaściwe cięcie nożem może uszkodzić skórę i uczynić ją nieprzydatną do tego celu.

Hunter zabrał się do dzieła ze znawstwem. Zadnie nogi gazeli obwiązał oddzielnie sznurem, po czym zawiesił, zwierzę na gałęzi drzewa. Z kolei ostrym nożem myśliwskim przeciął skórę na wewnętrznej powierzchni ud aż do ogona, wywrócił ją na nice i z dość znacznym wysiłkiem ściągnął, podobnie jak się zdejmuje z nogi pończochę. Tak zdjęta skóra wyglądała jak worek bez szwu o dwóch otworach.

— W jaki sposób ją pan wygarbuje? — zapytał Wilmowski.

— Najpierw skórę należy odpowiednio oczyścić — wyjaśnił Hunter. — W tym celu zakopuje się ją na dwadzieścia cztery godziny do ziemi, potem trzeba ją wymyć i usunąć sierść. Tak oczyszczoną garbuje się mocząc przez cztery dni w wodzie, do której się dodaje naciętej kory mimozy. Codziennie wyjmuje się skórę z tej kąpieli, rozpina na koziołkach, zeskrobuje chropawym kamieniem i naciera świeżą, drobno utłuczoną, wilgotną korą mimozy. Następnie tylny otwór zaszywa się, przedni zaś, od szyi, zawiązuje w razie potrzeby. Dobry wór powinien być porowaty, aby woda parując mogła zwilżać zewnętrzną jego stronę. Wtedy działanie powietrza, chciwie pochłaniającego parującą wodę, chłodzi zawartość wora.

— Panie szanowny, to dla tego woreczka będziemy sterczeli na tych wertepach aż cztery dni? — oburzył się bosman Nowicki.

— Niech się pan nie obawia. Jutro koło południa będziemy w obozie Masajów. Ich żony wykonają za nas całą pracę — uspokoił go Hunter. — Przekona się pan o trwałości takiego wora.

— Może i tak jest naprawdę, ale na rum najlepsza jest manierka albo butelka — mruknął bosman.

Na kolację łowcy raczyli się pieczenia z gazeli, która im smakowała mimo lekkiego zapachu piżma. Podobnie jak poprzedniej nocy, Tomek pierwszy objął straż. Z mocno bijącym sercem wsłuchiwał się w odgłosy dochodzące z ciemnego stepu. O dwunastej zastąpił go Hunter. Tomek wsunął się natychmiast do namiotu na posłanie i nakrył kocem, lecz nie zaznał spokojnego snu. Okolica bowiem obfitowała w zwierzynę i co chwila rozbrzmiewał tętent przebiegających stad. Nad samym ranem Tomkowi zdawało się, że w pobliżu rozległ się basowy ryk lwa.

Następnego dnia, zaledwie łowcy ruszyli w drogę, na niebie ukazały się czarne chmury. Wkrótce w oddali przetoczył się grzmot. Zaczął padać deszcz, lecz Hunter nie zarządził postoju. Podróżnicy przejechali kilka mniejszych przełęczy i znaleźli się na ścieżce wiodącej przez gęstwę wikliny. Droga miejscami stawała się bagnista. Kilka szakali przebiegło przed jeźdźcami, a spod końskich kopyt często się podrywały stada czajek.

Niebawem deszcz ustał. Palące słońce znów pojawiło się na niebie. Teraz łowcy wjechali na porosłą bujną trawą równinę. Na linii horyzontu ciemniało pasmo lasu. Konie pod razami arkanów ruszyły cwałem. Podczas trzygodzinnej jazdy Smuga wypatrzył na stepie smukłe żyrafy, ale zaintrygowany czymś Hunter przynaglał do pośpiechu nie zwracając na nie uwagi.

— Jesteśmy już na paśnikach Masajów. Dziwi mnie, że do tej pory nie spotkaliśmy nawet najmniejszego stada bydła — głośno wyraził swój niepokój.

— Może zaprzyjaźnione panem plemię przeniosło się w inną okolicę? — zagadnął Wilmowski. — Mówił pan przecież, że pędzą koczownicze życie.

— Według informacji, jakie otrzymałem przed dwoma miesiącami, Masajowie tutaj właśnie obozowali — wyjaśnił Hunter. — po cóż mieliby się stąd oddalać, skoro step nadal pokrywa wspaniała trawa? To mi się właśnie wydaje najbardziej podejrzane.

W tej chwili bosman, jadący obok Tomka, zawołał:

— Widzę dym nad zaroślami! Nie martw się pan, panie Hunter, tylko patrzeć, jak pana czarni koleżkowie przywitają nas uderzeniem warząchwi w kocioł.

— Niech pan uważa, panie bosmanie, żeby przez pomyłkę nie włożyli pana do tego kotła — odciął się tropiciel. — Widać zaraz, że ma pan rzeczywiście dobry wzrok!

Bosman nachmurzył się.

— Nie trzymałbym na pokładzie nawet ciury okrętowego, który by od razu nie wypatrzył dymu na horyzoncie — powiedział gniewnie.

Hunter nie obraził się i odparł z humorem:

— Cóż robić, widocznie się starzeję!

Konie zwietrzyły wodę i samowolnie przyspieszyły biegu. Po półgodzinnej jeździe łowcy ujrzeli obóz krajowców. Składał się z kilkunastu okrągłych szałasów, wyglądających z daleka niczym duże ule. Jak później Tomek stwierdził, zbudowano je z chrustu powiązanego trawą, a fundamenty stanowił suszony nawóz bydlęcy. Tętent galopujących koni wywołał w osiedlu ożywienie. Na placu otoczonym szałasami pojawili się mężczyźni, kobiety i gromada dzieci. Mężczyźni o rysach niezbyt murzyńskich odziani byli jedynie w obszerne płachty bawełniane malowniczo przerzucone przez jedno ramię. Misternie splecione i obficie polanę tłuszczem włosy harmonizowały z kolorem twarzy oraz ciał z lekka pomalowanych czerwoną gliną. Niektórzy Masajowie nosili na szyi zawieszone na sznurkach małe puzderka. W dłoniach trzymali długie dzidy lub laski. Większość kobiet nie miała na sobie odzienia; na widok białych gości znikały w szałasach, by narzucić okrycia osłaniające dolną część ciała i ramię. Tak mężczyźni, jak i kobiety mieli uszy zniekształcone przez noszenie najrozmaitszych i różnych rozmiarów ozdób. Głowy niewiast były zgolone do gołej skóry. Szyje ich zakrywały sznury korali i metalowe obręcze. Niektórych ozdób nie zdejmowały nawet do snu. Brzydkie na ogół kobiety wydały się Tomkowi chodzącymi składami drutu i żelastwa, większość z nich

bowiem miała łydki zakute w metalowe rury; również i ręce od ramienia do dłoni, z przerwą na łokieć, schowane były w bransolety lub rury zrobione z miedzianej bądź żelaznej blachy. Zupełnie nagie dzieci tłoczyły się między dorosłymi. Hałaśliwe maleństwa rękami pokazywały sobie przybyszów.

Na czoło gromady wysunął się wysoki, dobrze zbudowany Masaj uzbrojony w długą, ostrą dzidę.

— Jambo kirangozi![24] Dawno u nas nie byłeś! — zawołał gardłowym głosem.

— Witaj, Mescherje, cieszę się, że cię zastałem w obozie. Czy będziemy mogli zobaczyć i pozdrowić waszego wodza Kisumo? — zapytał Hunter, wyciągając dłoń na powitanie.

— Będziesz mógł się zobaczyć z Kisumem, jak tylko czarownik skończy z nim naradę — odparł Mescherje łamaną angielszczyzną przeplataną murzyńskimi słowami.

— Zaniepokoił mnie brak bydła na pastwiskach. Obawiałem się, że przenieśliście się z tej okolicy. Pomyślałem, że może rozpoczęliście wojnę z jakimś wrogim plemieniem — powiedział Hunter.

— Nieszczęście zawitało do naszych chat, biały kirangozi — wyjaśnił Masaj smutnym głosem. — Wyzdychały nam niemal wszystkie stada. Bydło nawiedziły jakieś złe duchy. To, co pozostało jeszcze przy życiu, pasie się teraz bliżej gór. Tak radził uczynić nasz czarownik.

Łowcy zsiedli z wierzchowców i uwiązali je do drzew. Tomek zbliżył się do Huntera. Na jego widok wśród Murzynów powstało dziwne zamieszanie. Masajowie wskazywali rękami na chłopca i jego psa, wykrzykując coś w podnieceniu. Hunter szybko spojrzał na Tomka. Ledwo się powstrzymał, aby nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

— Co im się stało? Może oni się boją Dinga? — cicho zapytał Tomek przewodnika.

— Skądże znów mieliby się bać psa, skoro potrafią dzidami zakłuwać lwy — uspokoił go szeptem Hunter. — Po prostu zdziwiłeś ich swoim oryginalnym ubiorem. Wiesz, co oni mówią? Prawda, przecież nie znasz ich języka! Otóż posłuchaj, co teraz wołają: "Patrzcie, patrzcie tylko! Oto biały czarownik ze złym duchem zaklętym w psa!"

— Co też pan opowiada Tomkowi! — zaoponował Wilmowski.

— Pan Hunter dokładnie tłumaczy to, co mówią Masajowie — potwierdził Smuga, który, znał dość dobrze to narzecze murzyńskie. — Przecież oni nie wiedzą, że Tomek ustroił siebie i Dinga ogonkami zwierząt dla ochrony przed ukąszeniem tse-tse.

— Do licha, zupełnie o tym zapomniałem! — zafrasował się Wilmowski. — Że też ty zawsze musisz nam spłatać jakiegoś psikusa. Tomku! Zdejm natychmiast te futerka, gdyż zabobonni Murzyni gotowi się do nas zrazić!

---

[24] **Witaj, przewodniku**

— Niech pan teraz nie doradza Tomkowi zdejmowania tych... ozdób — zaprotestował Hunter. — Murzyni lubią wszystko co niezwykłe. Oni wyrażają swój podziw, a nie niechęć.

— He, he, he — zarechotał bosman. — Słuchaj, brachu! Oni gotowi cię zrobić swoim czarownikiem. Pokaż im tylko tę magiczną sztuczkę z wcieraniem monety w szyję. Pamiętasz?

— Łatwo panu się śmiać, a ja pewno znów palnąłem głupstwo — odburknął Tomek nachmurzony. — Nie rozumiem, co im się nie podoba w moim ubiorze? Czy mnie przeszkadza, że oni się poowijali w kołdry?

Łowcy przerwali rozmowę, gdyż w tej chwili przybiegł Murzyn z wiadomością, że wódz Kisumo i wielki czarownik pragną powitać przybyszów. Ubawiony nieporozumieniem Smuga ujął Tomka pod ramię mówiąc:

— Chodźmy i pokażmy wodzowi naszego czarownika. Tylko, drogi bosmanie, przestań rechotać jak żaba w błocie.

Wódz Kisumo stał przed obszerną chatą udrapowany w barwne okrycie przerzucone przez lewe ramię. Prawą dłoń opierał na oszczepie zakończonym długim, żelaznym grotem. Na szyi miał zawieszone spore puzderko. Właśnie wyjmował z niego jakiś przysmak wyglądający jak lukrecja, który zaraz włożył do ust. Na palcach jego nóg błyszczały pierścienie. Włosy Kisuma były misternie utrefione, a czoło przepasane kolorową opaską. Obok wodza stał przygarbiony starzec z kitą zwierzęcych ogonów przymocowanych na głowie i opadających mu na twarz i ramiona. Puszyste futerka powiewały przy lada podmuchu wiatru. Starzec co chwila potrząsał trzymanymi w rękach drewnianymi grzechotkami.

— Popatrz no, brachu, na twego starszego koleżkę — szepnął bosman. — Uważaj tylko, żeby cię nie połknął razem z Dingiem, bo spogląda na was jak kot na szperkę.

Hunter skarcił bosmana surowym wzrokiem i powiedział głośno:

— Witaj, Kisumo, wodzu i mój przyjacielu. Witaj i ty, wielki czarowniku. Słyszałem już od Mescherje, że nawiedziło was nieszczęście.

— Witaj, biały kirangozi i przyjacielu — odparł Kisumo łamaną angielszczyzną. — Widzę, że przyprowadziłeś do nas swych wielkich przyjaciół. Witajcie więc wszyscy. Proszę do mej chaty na zimne zsiadłe mleko i piwo.

Większa od innych chata wodza stała w samym środku obozu. Kisumo i czarownik weszli pierwsi zapraszając gości. Po prawej stronie Kisuma usiadł napuszony czarownik nadal potrząsając grzechotkami, po lewej wódz wskazał miejsca łowcom. Naprzeciwko wodza rozsiadła się starszyzna plemienia z napuszonym czarownikiem i Mescherje na czele.

Zaledwie mężczyźni znaleźli się w chacie, kilka kobiet wniosło naczynia napełnione zsiadłym mlekiem i piwem.

— W złej chwili przybyłeś do nas, biały kirangozi — rozpoczął rozmowę Kisumo. — Zawiść i złośliwość zazdrosnych Nandi pozbawiły nas licznych stad. Jesteśmy biedni i głodni, a serca nasze łakną srogiej zemsty.

— Wspomniał mi już Mescherje, szlachetny wodzu, że tajemnicza choroba nawiedziła wasze bydło — zagaił Hunter. — Ty jednak mówisz, że sprawcami tego nieszczęścia są Nandi.

— Posłuchajcie, jak to było, a sami zrozumiecie, że powiedziałem prawdę. O takich sprawach mówi się tylko na radzie starszych, dlatego też Mescherje nie mógł się rozwodzić przy wszystkich. Otóż zjawiło się u nas kilku Nandi z największym ich czarownikiem. Namawiali nas do wspólnego napadu na pociąg jeżdżący po żelaznej drodze. Nasza starszyzna nie chciała się przyłączyć do Nandi. Teraz nie prowadzimy wojny z Anglikami posiadającymi karabiny i rury wyrzucające duże kule. Rozumiesz przecież, Kirangozi, że po zniszczeniu pociągu musielibyśmy uciekać stąd i porzucić nasze stada. To właśnie powiedzieliśmy Nandi, a wtedy ich czarownik zagroził, że bydło i tak stracimy, gdyż biali zabiorą je, a nas samych wygnają precz albo wymordują. Odrzekliśmy, że teraz mamy pokój z białymi ludźmi. Czarownik śmiał się z nas i zapewniał, że wkrótce przekonamy się o swej głupocie. Kiedy odjeżdżali od nas, musiał rzucić zły czar na nasze bydło, ponieważ wkrótce padły nam niemal wszystkie stada.

— Biali ludzie w Mombasie i Nairobi mówią, że mór na bydło panuje wzdłuż całej południowej granicy Kenii — wtrącił Hunter. — Może więc mylisz się, obwiniając Nandi o czary?

— Nie broń ich, kirangozi. Musieli poczuwać się do winy, bo kiedy urządziliśmy wyprawę w celu pomszczenia krzywdy, nie zastaliśmy ich w obozie.

— Kto wam powiedział, że to Nandi rzucili urok na bydło? — zapytał Smuga.

— Nasz wielki czarownik rozmawiał ze złymi duchami. One zdradziły mu tę tajemnicę. Oświadczył też, iż tylko krwawa zemsta może powstrzymać mór bydła.

Smuga spojrzał ostro na czarownika wyraźnie okazującego niepokój. Przez chwilę mierzył go surowym wzrokiem, po czym powiedział z naciskiem:

— Łatwiej doradzić krwawą zemstę i walkę, w której giną dzielni wojownicy, niż zapobiec rzekomym czarom.

Grzechotki gwałtownie potrząśnięte odezwały się natarczywie. Hunter rzucił Smudze ostrzegawcze spojrzenie i zwrócił się do Masajów:

— Życzymy tobie, Kisumo i twoim ludziom jak najlepiej. Wiemy też, że jesteście bardzo odważni. Dlatego właśnie przybyliśmy prosić o kilku wojowników na wyprawę do Bugandy. Ten biały bana makuba[25] będzie tam łowił żywe dzikie zwierzęta, aby je zabrać potem do swego kraju.

---

[25] **Naczelny dowódca**

Mówiąc to wskazał ręką na Wilmowskiego. Murzyni z zaciekawieniem spojrzeli na dowódcę wyprawy łowieckiej.

— Po co macic iść tak daleko? — zaoponował Kisumo. — W Kenii również jest pełno dzikich zwierząt. W Bugandzie niedobrze. Tam była wojna z Anglikami i innymi białymi.

— W Kenii nie znajdziemy małp soko[26] — wyjaśnił Hunter. — Bana makuba chce chwytać żywe goryle.

— Chce chwytać żywe soko? To trudna i niebezpieczna wyprawa.

— Bana makuba łowił już dzikie zwierzęta i ma na to swoje sposoby.

W tej chwili czarownik pochylił się do wodza. Szeptał coś długo, wskazując jednocześnie na Tomka. Kisumo kiwnął głową i zaraz zapytał:

— Czy wasz czarownik bierze udział w tych łowach?

— Czy masz na myśli tego chłopca? To jest syn naszego bana makuby — odpowiedział Hunter. — Brał już udział w wyprawie do innego dalekiego kraju.

Wilmowski poruszył się niecierpliwie, lecz Hunter nie dopuścił go do słowa mówiąc:

— Bana makuba i jego odważny syn znają różne sposoby na chwytanie dzikich zwierząt. Wyprawa ta nie jest więc tak niebezpieczna, jak by się mogło wydawać. Czy dasz nam kilku wojowników, Kisumo? Dobrze zapłacimy i uzbroimy odpowiednio ludzi, którzy z nami pójdą.

— Wojownicy są potrzebni tutaj. Nandi mogą na nas napaść — zaskrzeczał czarownik.

— Chcielibyśmy zabrać tylko pięciu wojowników, a ci chyba nie ocalą was przed Nandi — wtrącił Smuga,

— Nie boimy się Nandi, gdyż daliśmy im dobrą nauczkę — szybko odparł Kisumo — musimy wszakże zapytać naszego czarownika, co mówią o tej wyprawie dobre i złe duchy.

— Więc poradź się wodzu swego czarownika, lecz pamiętaj, że przywieźliśmy dla twoich żon piękne same-same — oświadczył Hunter.

Kisumo spojrzał pytająco na czarownika, ten zaś potrząsając grzechotkami zawołał:

— Czuję krew, dużo krwi! To zła wyprawa!

— Mylisz się, nikomu nie stanie się krzywda, ponieważ bana makuba i jego syn nie obawiają się waszych złych duchów — zaprzeczył Smuga.

Kisumo nie wiedział, co ma uczynić. Z jednej strony obawiał się sprzeciwiać wielkiemu czarownikowi, z drugiej nęciły go upominki przyobiecane za wyrażenie zgody na udział wojowników w wyprawie. Spojrzał więc niepewnie na czarownika, a potem skierował swój wzrok na Tomka. Po twarzy Kisuma przewinął się przebiegły uśmiech.

---

[26] Goryle

— Biali mają różne sposoby na złe duchy — powiedział. — Co mówi wasz czarownik o tej wyprawie? Chyba nie poszlibyście na nią, gdyby wróżył wam śmierć?

Hunter zmieszał się, na szczęście jednak czujny i opanowany Smuga wybawił go z kłopotu.

— Nie wierzymy w czary, lecz jeżeli koniecznie chcecie wiedzieć, co syn bana makuby sądzi o wyniku wyprawy, to zaraz się o tym przekonamy.

— O co chodzi wodzowi. Janie? — zapytał po polsku Wilmowski.

— Moim zdaniem Kisumo ma ochotę dać nam wojowników na wyprawę, lecz czarownik, ten stary oszust, straszy Masajów śmiercią. Murzyni uważają przyozdobionego Tomka za istotę obdarzoną nadprzyrodzoną mocą, toteż wódz chciałby wiedzieć, jaki wynik łowów przewiduje Tomek.

— Najlepiej powiedz im, dlaczego Tomek i Dingo noszą futrzane przybrania. Nie ma sensu nabierać Murzynów na głupie kawały — nachmurzył się Wilmowski.

— Niech pan nie udziela złych rad — ostrzegł Hunter. — Pan Smuga zupełnie niepotrzebnie podrażnił ambicję czarownika podając w wątpliwość jego wróżby. Wódz lubi otrzymywać podarki, ale nie, może zezwolić wojownikom na udział w wyprawie wbrew ostrzeżeniom czarownika. Nie chcąc brać odpowiedzialności na siebie, szuka sposobu na osłabienie złego wrażenia, spowodowanego niepomyślną wróżbą. Powinniśmy mu pomóc w dobrze rozumianym własnym interesie. Niech Tomek powie po prostu, że będzie czuwał nad bezpieczeństwem powierzonych nam wojowników.

— Ależ to nieprawdopodobne, aby ci odważni ludzie wierzyli w takie bzdury! — zawołał Tomek.

— Murzyni od wielu wieków podporządkowują swe życie najrozmaitszym przesądom i zabobonom. Oni wierzą w moc czarowników i ich wróżb. Jeżeli chcemy zjednać sobie Masajów, niech Tomek odegra małą komedię. Nikomu to przecież nie zaszkodzi — doradził Hunter.

— Dobra rada złota warta — wtrącił bosman Nowicki. — Potrząśnij łepetyną i kiwnij tego czarownika sztuczką z monetą.

Tomek spojrzał na ojca, a ponieważ nie dostrzegł już wyraźnego sprzeciwu, uśmiechnął się na myśl o możliwości spłatania figla złośliwemu czarownikowi.

Zaraz też przybrał poważną minę, pochylił się ku Masajom i wolno powiedział po angielsku:

— Wielki wodzu, będę czuwał nad wszystkimi uczestnikami wyprawy i dlatego nikomu nic złego się nie stanie. Aby cię przekonać, że mówię prawdę, pokażę ci, co potrafię.

Wyjął z kieszeni szklaną kulę, w której wnętrzu tkwił mały trójmasztowy żaglowiec. Położył ją na ziemi przed sobą, rozkoszując się podziwem Murzynów. Następnie obnażył szyję, wydobył z portmonetki miedzianą monetę, pokazał ją wszystkim na lewej

dłoni, po czym ulokował pieniążek na obnażonym karku. Z kolei nakrył monetę lewą dłonią i zaczął udawać, że wciera ją w skórę. Wkrótce lewą dłoń zastąpiła prawa, potem znów zmieniał ręce, a Murzyni widząc podczas tych zmian pieniążek spoczywający na zaczerwienionym od tarcia karku, aż brali się za boki ze śmiechu. Ruchy dłoni chłopca stawały się coraz szybsze. Pot wystąpił mu na czoło. W końcu tarł już kark tylko lewą dłonią. Spod oka spojrzał na Masajów. Przerwał naraz wcieranie i pokazał widzom pustą lewą dłoń. Kilku Murzynów zbliżyło się do chłopca i uważnie obejrzało zaczerwieniony kark oraz pustą rękę. Moneta zniknęła w zadziwiający dla nich sposób. Nie było jej ani na szyi, ani na dłoni.

— Patrzcie! Patrzcie! Nie ma nic! — wykrzykiwali Masajowie.

— Czary, czary! — powtarzali inni.

— Powiedz nam, synu bana makuby, co się stało z tą monetą? — zaciekawił się Kisumo.

Tomek uśmiechnął się triumfująco. Więc jednak Masajowie nie spostrzegli, że cała sztuka polegała jedynie na zręcznej manipulacji obydwiema rękami. Zmieniając szybko ręce, Tomek zręcznie ukrył monetę między palcami prawej dłoni, którą zaraz oparł na prawym kolanie, kończąc lewą rzekome wcieranie. Teraz z poważną miną podjął z ziemi szklaną kulę. Wpatrzony w nią podniósł się i zbliżył do czarownika. Prawą dłoń zanurzył w jego włosy. Ku zdumieniu i radości Murzynów wyjął z nich miedziany pieniążek.

— Widzisz, wodzu, kto ukrył monetę — powiedział do Kisuma. — Wierzysz chyba teraz, że pod naszą opieką twoim wojownikom nie stanie się nic złego.

— Dobra sztuka, więc i słowa muszą mówić prawdę — przyznał Kisumo. — Co na to powiesz, czarowniku?

Wszyscy spojrzeli na zmieszanego starca, który potrząsnął grzechotkami i odparł po namyśle:

— Muszę się jeszcze raz poradzić duchów. Pójdę teraz do mej chaty i przywołam je głosem czarodziejskiego bębna. Niech syn bana makuby uda się ze mną. Może duchy będą łaskawsze w jego obecności.

— Tomku, czarownik proponuje, żebyś poszedł z nim do jego chaty na naradę z duchami — wyjaśnił Hunter chłopcu. — Będziesz zupełnie bezpieczny, jeżeli nie przyjmiesz żadnego poczęstunku. Mściwy starzec mógłby podstępnie podać ci truciznę. Lepiej zachować ostrożność obcując z afrykańskimi szarlatanami, którzy drżą z obawy, aby władza nie wymknęła im się z rąk.

— Proszę się o mnie nie obawiać. Mam przecież przy sobie broń — uspokoił go Tomek. — Coś mi się wydaje, że wiem już, czego czarownik może ode mnie chcieć.

Wilmowski i Smuga jednocześnie spojrzeli na Kisuma. Widząc jego domyślny uśmiech uspokoili się natychmiast. Tymczasem czarownik i Tomek wyszli z chaty. Wkrótce z głębi obozu rozległ się głuchy głos tam-tamu.

Cierpliwość podróżników została wystawiona na długą próbę. Głos bębna odzywał się od czasu do czasu, lecz czarownik i Tomek nie wracali. Pierwszy zaczął zdradzać niepokój bosman Nowicki.

— Co ta zasuszona mumia wyprawia tam z naszym mikrusem? — mruknął. — Swędzi mnie ręka, żeby się dobrać do skóry tego oszusta.

— Siedź cicho, bosmanie. Przecież czarownik wie, że mamy wodza i starszych rodu w swoim ręku — skarcił go Smuga.

— Trzeba teraz ufać w rozsądek i spryt Tomka — dodał Wilmowski spoglądając niespokojnie na drzwi.

— Na gorsze rzeczy będziemy narażeni podczas wyprawy. Lepiej więc nie ujawniać obaw. Murzyni nas bez przerwy obserwują — zauważył Hunter.

Dopiero po godzinie Tomek wkroczył do chaty wodza. Za nim, z zagadkowym uśmiechem na ustach, wszedł stary czarownik. W sztucznie przedłużonej i przedziurawionej dolnej części jego ucha tkwiła szklana kula z trójmasztowym żaglowcem zamiast mieszczącej się tam przedtem blaszanej puszki.

— Niech się zamienię w rekina, jeżeli mikrus nie przekupił starego drania — wysapał bosman Nowicki, przyglądając się obciągającej ucho szklanej kuli.

Czarownik napuszył się słysząc głosy podziwu swych rodaków. Usiadł obok wodza i zaczął potrząsać grzechotkami. Po długiej chwili umilkły grzechotki i rozległ się głos:

— Syn bana makuby przysłuchiwał się mojej rozmowie z duchami. Złe moce przeraziły się magicznej kuli i umilkły. Wojownicy mogą się udać na wyprawę łowiecką, która zakończy się pomyślnie, jeżeli będą wierni bana makubie i jego synowi.

POLOWANIE NA LWY

- Czarownik wyraził zgodę, powiedz wobec tego, biały kirangozi, ilu wojowników chciałbyś zabrać na wyprawę — zapytał Kisumo.

— Zadowolimy się pięcioma. Mogą to być: Mescherje, Mumo, Inuszi, Sekeletu i Mambo — zaproponował Hunter.

— Ho, ho! Wybraliście samych najlepszych! Cóż pocznę bez nich, jeśli Nandi na nas napadną? — zaoponował Kisumo. — Taka wyprawa potrwa zapewne długo.

— Wyjawiliśmy ci już nasze życzenie, powiedz więc teraz, wodzu, czego żądasz od nas. Przywieźliśmy dla ciebie piękne podarunki — kusił Hunter.

Rozpoczęły się długie targi. Ustalono, że Kisumo otrzyma dziesięć metrów materiału bawełnianego i dziesięć metrów perkalu, dwadzieścia sznurów szklanych korali oraz dziesięć metrów drutu miedzianego. Czarownik zażądał dla siebie nowej kołdry, dziesięciu metrów perkalu, szklanych korali i noża myśliwskiego.

Po ożywionej naradzie również wojownicy biorący udział w ekspedycji przedstawili swe warunki. Każdy z nich miał otrzymać wynagrodzenie miesięczne, które wynosiło: dziesięć metrów perkalu, pięć metrów materiału bawełnianego, osiem sznurów szklanych korali, metr drutu mosiężnego i metr miedzianego, a ponadto broń przydzielona im na wyprawę oraz kołdry miały stać się ich własnością.

W końcu Kisumo poprosił łowców, aby przed odejściem z obozu urządzili wspólnie z wojownikami polowanie na lwy stale napastujące bydło. Wilmowski przyjął ten warunek. Zakupił także od wodza trzy woły i kilka kur na pożegnalną ucztę.

Zaraz też w obozie rozpoczęły się gorączkowe przygotowania. Łowcy rozdzielili towary stanowiące zaliczkę na umówione wynagrodzenie wojowników i wręczyli Masajkom w podarunku kolorowe same-same. Kobiety ochoczo zabrały się do przyrządzania pożywienia na ucztę. Wkrótce potężne połcie wołowiny gotowały się w dużych kotłach zawieszonych nad ogniskami. Tymczasem mężczyźni sposobili broń, ostrząc długie noże i żelazne groty dzid.

Kisumo wyznaczył na kwaterę dla białych gości oddzielną chatę, lecz Wilmowski w obawie przed kleszczami, będącymi plagą mieszkań murzyńskich, wolał pozostać z towarzyszami w namiotach.

Zaledwie nastał wieczór, w obozie odezwały się bębny. Ogniska podsycane chrustem przez dzieci zapłonęły jaskrawym światłem. Całe plemię zgromadziło się na obszernym placu narad pośrodku obozu. Wystawiono kotły z gorącym mięsem i rybami oraz tykwy napełnione zimnym mlekiem i piwem. Zapanowała ogólna radość. Nawet żony wojowników biorących udział w wyprawie były w doskonałych humorach i klaskały w dłonie w takt bębnów.

Niebawem na placu pojawił się wódz Kisumo otoczony starszyzną rodową. Odziany był w obszerną, nową, czerwoną szatę, na której, jak krwawe płomienie, mieniły się odblaski płonących ognisk. Błyszczące od tłuszczu włosy, gładko ułożone na głowie, posplatane były w cienkie warkoczyki. Twarz wodza pomalowana była czerwoną gliną. Wspaniałe miękkie futro okrywało jego plecy, a w ręku dzierżył ciężką dzidę o lśniącym grocie. Kisumo rozsiadł się na lwiej skórze, obok niego przystanął nie mniej strojny czarownik. Na głowie starzec miał barwny, wysoki wieniec sporządzony z ptasich piór. Z ramion czarownika spadały na plecy i piersi pęki puszystych ogonów zwierzęcych. Twarz miał jaskrawiej pomalowaną niż wódz. W jego lewym uchu tkwiła podarowana przez Tomka szklana kula. Wszyscy Murzyni natarli swe ciała tłuszczem i byli w pełnym uzbrojeniu.

Na prośbę wodza nasi podróżnicy usiedli obok niego na rozpostartych na ziemi skórach. Rój kobiet, pobrzękując bransoletami i naszyjnikami, ustawiał między biesiadnikami tykwy napełnione płynami oraz mięsiwo. W miarę jak opróżniano dzbany i mocne piwo szło do głów, wzrastała wrzawa i radość. Bębny huczały bez przerwy. Nagle wojownicy otoczyli kołem największe ognisko. Najpierw poruszali się wolno, potrząsając dzidami w takt monotonnej pieśni, do której wkrótce przyłączyły się kobiety klaszcząc rytmicznie w dłonie. Śpiew brzmiał coraz szybciej, stopy tancerzy coraz mocniej uderzały o ziemię, wzniecając tumany kurzu. Oświetlone blaskiem płonących ognisk postacie rzucały fantastyczne cienie. Szał tańca ogarniał wszystkich Murzynów. Nawet poważny Kisumo pochylał się do taktu w przód i w tył, uderzając dłońmi o uda. W pewnej chwili czarownik podniósł się z ziemi. Wężowym ruchem wśliznął się między roztańczonych wojowników. Natychmiast zrobili mu miejsce w środku koła. Czarownik rozpoczął taniec wojenny. Teraz mężczyźni razem z kobietami wybijali rękoma takt i śpiewali krzykliwymi, wysokimi głosami. Bębny huczały coraz prędzej i głośniej, a staruszek, powiewając barwnymi piórami, wirował wokół ogniska jak opętany.

Nasi podróżnicy z zainteresowaniem przyglądali się tańcowi. Nawet Dingo był zaciekawiony.

— No, no, brachu, kto by się spodziewał, że ten twój starszy koleżka po fachu tak potrafi wywijać — odezwał się po polsku bosman Nowicki. — Niczego sobie uczta, tylko dlaczego te baby są takie brzydkie? A głowy to golą do gołej skóry pewno dlatego, żeby mieć mniej kłopotu z myciem i czesaniem.

— Taka już u nich panuje moda, panie bosmanie — odparł ze śmiechem Smuga.

— Czort je bierz z taką modą i urodą — pogardliwie odparł bosman.

Tymczasem uniesienie taneczne Murzynów osiągnęło szczyt. Teraz wszyscy tancerze tworzyli szeroki krąg, którego ośrodkiem był czarownik. Bębny huczały jak opętane, wysoki śpiew przeszedł niemal w krzyk. W końcu czarownik obiegł kilka razy ognisko, rozerwał krąg taneczny i zatrzymał się przed Tomkiem. Zamilkły bębny. Zamarł krzykliwy śpiew. Murzyni potrząsając dzidami stanęli ciasnym półkolem za swym wielkim czarownikiem. Kisumo zmarszczył brwi...

Smuga przymrużył oczy, żeby blask ognia nie raził wzroku; prawa dłoń położył nieznacznie na rękojeści rewolweru. Ręka bosmana jak wąż wśliznęła się do kieszeni. Hunter powstał z ziemi i prostując swą wysoką postać oparł się plecami o drzewo. Tylko jeden Wilmowski nie poruszył się z miejsca; patrzył czarownikowi prosto w oczy, w których czaił się jeszcze dziki szał wojennego tańca.

Naraz czarownik rzucił na ziemię drewniane berło zakończone pękiem, ogonów antylop gnu. Za berłem poleciały pióropusz i peleryna z futrzanych ogonów. Obnażony do pasa, wydobył z ust miedziany pieniążek i na oczach całego plemienia i zdumionych podróżników powtórzył bezbłędnie i szybko sztukę Tomka polegającą na rzekomym wcieraniu pieniążka w kark. Kiedy wyjął monetę z ucha bosmana Nowickiego, czarni widzowie wydali głośny okrzyk podziwu. Ogromne zadowolenie odbiło się na twarzy czarownika. W tej chwili odzyskał przecież swą czarodziejską sławę. Nie spiesząc się, włożył na głowę pióropusz, zarzucił na plecy pelerynę z puszystych ogonów i podniósł berło. Pochylił się teraz ku Wilmowskiemu. Z trudem dobierając angielskie słowa wolno powiedział:

— Bana makuba, masz mądrego syna. To wielki czarownik. Masajowie będą słuchać ciebie i jego tak jak mnie!

Potrząsnął berłem i wręczył je Tomkowi. Bębny zadudniły, zaczął się nowy taniec.

— Niech go licho weźmie, byłem przekonany, że zacznie się awantura — odsapnął Hunter.

— Mogło być z nami źle — przyznał Wilmowski. — Nie dalibyśmy rady takiej gromadzie wojowników, i to otoczeni przez nich na otwartym miejscu.

— Kiedy Smuga położył dłoń na spluwie, to i moja wskoczyła do kieszonki jak na komendę. Ręczę wam, że ta mumia by nie zdążyła dotknąć naszego Tomka — dodał bosman i nikt nie miał wątpliwości, że nie były to czcze przechwałki.

— A ja przez cały czas tylko czekałem, u kogo czarownik znajdzie monetę — wtrącił beztrosko Tomek. — Zaraz też pomyślałem, że gdybym był na jego miejscu, wybrałbym jedynie pana bosmana, który siedział napuszony jak chmura gradowa. No i wybór czarownika padł na niego.

Zdumieni łowcy spojrzeli po sobie. Dobry humor chłopca był przecież dowodem, że w pełnej napięcia chwili zupełnie nie myślał o niebezpieczeństwie lub nie zdawał sobie zeń sprawy.

— Ejże, brachu! Chyba nie chcesz powiedzieć, że nie miałeś ani cienia cykorii! — zawołał bosman.

— Czego znów miałbym się obawiać? Przecież sam nauczyłem czarownika sztuki z pieniążkiem. Powiedział mi też w tajemnicy, u siebie w chacie, że podczas tańca wojennego powtórzy ją w obecności wszystkich Murzynów. To miała być niespodzianka.

— Do licha z tym twoim koleżką i jego niespodziankami — rozgniewał się bosman. — Powinieneś nam był o tym powiedzieć!

— Może to i słuszne, co pan mówi, ale wtedy nie miałbym żadnej uciechy...

Tomek nie skończył zdania, gdyż bosman zgrzytnął zębami mrucząc:

— Szczęście, że nie jestem twoim ojcem i nie muszę się zastanawiać, czy ci sprawić lanie!

— Nie ma się o co gniewać, panie bosmanie — pojednawczo zaczął Smuga ubawiony rozmową.

— Musieliśmy mieć bardzo ponure miny i nie dziwię się Tomkowi, że patrząc na nas doskonale się bawił.

— Niepotrzebnie nauczyłeś czarownika tej dziecinnej sztuczki z monetą. Będzie ją wykorzystywał do oszukiwania zabobonnych i łatwowiernych Murzynów — zwrócił się Wilmowski do syna.

— Nie martw się, tatusiu! Aby temu zapobiec, obiecałem Kisumowi, że mu zdradzę tajemnicę wcierania monety — roześmiał się Tomek.

— A to cwaniak! No, pal cię sześć, nie gniewam się już na ciebie — rozchmurzył się bosman. — Wiesz co, brachu? Mam byczy pomysł! Podczas wyprawy nauczymy tej sztuki wszystkich Masajów.

— To naprawdę doskonały projekt — pochwalił Tomek i zaraz przysunął się do bosmana, aby omówić dokładnie całą sprawę.

Po chwili obydwaj przyjaciele pogrążeni już byli w zgodnej rozmowie.

Zabawa przeplatana tańcami i śpiewem trwała w dalszym ciągu. Dopiero późnym wieczorem podróżnicy udali się do namiotów na spoczynek.

Był wczesny ranek, gdy Tomek się przebudził. Ze zdziwieniem wsłuchiwał się w głuche dudnienie tam-tamów.

"Czyżby jeszcze nie zakończyli uczty?" — pomyślał.

Spojrzał na stojące obok łóżko ojca. Było już zasłane. Wysunął się więc spod moskitiery, ubrał i wybiegł z namiotu. Smuga i Hunter siodłali konie, natomiast bosman Nowicki przygotowywał śniadanie na rozkładanym stoliku.

— Dlaczego tam-tamy dudnią, panie bosmanie? Gdzie jest tatuś? — zagadnął Tomek podbiegając do pogwizdującego marynarza.

— To koleżka nie wie, co w trawie piszczy? Myślałem, że tacy cwani czarownicy wszystko sami odgadną. Ano, brachu, zaraz gazujemy deptać lwom po piętach. Bractwo masajskie zwołuje się na polowanie. Umarłego podnieśliby z grobu tym swoim dudnieniem. A twój szanowny tatuś poszedł uzgodnić z Kisumem wspólną akcję. Kapujesz teraz?

— Rozumiem, ale dlaczego nie zbudziliście mnie wcześniej?

— A po jakie licho takiego szkraba jak ty zrywać o świcie? Portczyny masz krótkie, mało guzików do zapinania, to i w ostatniej chwili zdążysz się ubrać.

— Ha, znów pan zaczyna z tym moim młodym wiekiem — rozindyczył się Tomek.

Bosman roześmiał się; klepnąwszy chłopca dłonią w ramię, dodał pojednawczym głosem:

— Przyznasz, brachu, że należało ci się to ode mnie za wczorajszego psikusa z czarownikiem i monetą znalezioną w moim uchu.

— To już jesteśmy skwitowani — orzekł Tomek.

— Niech tak będzie — zgodził się bosman.

— Czy przygotowaliście śniadanie? — zawołał Wilmowski zbliżając się do namiotów.

— Od kwadransa kocioł z kawą dymi jak komin parowca — oznajmił bosman. — Możemy siadać do stołu. Umyj się, Tomku, piorunem, bo z zaspanymi ślepiami nie trafisz do kubka z kawą!

Tomek pobiegł do strumienia. Wkrótce znalazł się przy stoliku razem z towarzyszami. Po śniadaniu podróżnicy przeczyścili broń i natychmiast wsiedli na wierzchowce. W obozie masajskim oczekiwało na nich kilku wojowników pod dowództwem samego Kisuma.

— Czy oni naprawdę mają zamiar zabijać lwy tymi dzidami? — zwrócił się Tomek do Huntera, spoglądając z niedowierzaniem na skromne uzbrojenie Masajów.

— Bądź o nich spokojny. Te na pozór niewinnie wyglądające dzidy stają się w ich rękach niezawodną bronią — odrzekł Hunter.

— Ja bym się nie odważył iść na polowanie tak uzbrojony.

— Ja też bym tego nie uczynił. Do miotania dzidą trzeba mieć szaloną wprawę i olbrzymią siłę.

W tej chwili dano hasło do wymarszu. Masajowie i biali łowcy ruszyli wzdłuż strumienia przecinającego sawannę. Po godzinie marszu przybliżyli się do rozległych wzgórz. Wkrótce u ich podnóża ujrzeli stado bydła o grubych, szeroko rozstawionych

rogach. Kilku półnagich pasterzy wybiegło im na spotkanie. Kiedy usłyszeli o zamierzonym polowaniu, wydali głośny okrzyk radości. Jak wynikało z ich relacji, rozzuchwalone bezkarnością lwy niemal co noc porywały ze stada jedną lub kilka sztuk bydła, a przed dwoma dniami rozszarpały i pożarły pasterza.

Łowcy zsiedli z koni przy szałasach pastuchów. Nie tracąc czasu rozpoczęli naradę z Kisumem i jego wojownikami. Masajowie zapewniali, że dokładnie znają położenie lwiej kryjówki. Wobec tego Smuga zaproponował, aby nie czekać, aż lwy wyjdą w nocy na żer, lecz natychmiast urządzić na nie obławę. Twierdził, że po sutym nocnym posiłku lwy mają zwyczaj wypoczywać w ciągu dnia i wtedy łatwiej jest podejść je niepostrzeżenie. Uczestnicy polowania wyrazili zgodę na propozycję doświadczonego myśliwego. Jednocześnie powierzyli mu dowództwo.

Smuga natychmiast rozpoczął przygotowania. Długo badał przez lunetę spory obszar krzaczastego stepu, ciągnący się w pobliżu na pól wyschłej rzeczułki. Tam, według zapewnień pasterzy, znajdowała się kryjówka lwiej rodziny napastującej bydło. Smuga podzielił Masajów na dwie grupy. Liczniejsza, razem z Wilmowskim i Hunterem uzbrojonymi w doskonałe karabiny, miała się rozciągnąć w długi szereg i wkroczyć w gąszcz od strony rzeczułki. Na czele drugiej grupy stanął Smuga. Postanowił okrążyć busz, by urządzić zasadzkę na lwy wycofujące się przed nagonką. Tomek poprosił ojca, aby pozwolił mu się udać razem ze Smugą i bosmanem Nowickim. Wilmowski zgodził się na to. Wiedział przecież, że pod opieką wytrawnego myśliwego chłopcu nic złego nie może się stać.

Grupa Smugi pierwsza wyruszyła na stanowisko, ponieważ potrzebowała więcej czasu na urządzenie zasadzki. Smuga krocząc na przedzie poprowadził swych ludzi skrajem rozległego pasa krzewów.

Tomek szedł obok Smugi. W skupieniu przysłuchiwał się jego wskazówkom, jak należy się zachować podczas polowania na lwy.

— W Afryce wyróżniono kilka podgatunków lwów[27] w zależności od rozmiaru ich grzywy, a więc: berberyjskiego, najpotężniejszego ze wszystkich, który obecnie występuje jedynie w krajach Atlasu, masajskiego żyjącego we wschodniej Afryce Środkowej, senegalskiego, kapskiego i somalijskiego. Niektóre z tych podgatunków już wymarły — wyjaśniał łowca. — Poza Afryką żyją dwa gatunki: perski i indyjski. Można domyślić się z samej nazwy, że w tych okolicach przebywają lwy zwane masajskimi. Odmiana ta, w przeciwieństwie do innych, napada i pożera ludzi. Lwy unikają puszcz podzwrotnikowych, a chętnie gnieżdżą się w okolicach otwartych, zwłaszcza w buszu i na pustynnych równinach lub płaskowzgórzach. Na ogół nie trzymają się ściśle określonych kryjówek. Wędrują z miejsca na miejsce spędzając dzień tam, gdzie zastaje je wschód słońca. Gorzej się jednak dzieje, gdy bestie zasmakują w łatwym polowaniu na

[27] ***Felis leo***

bydło domowe lub na przeważnie źle tutaj uzbrojonych i tym samym niemal bezbronnych ludzi. Wtedy włóczą się dłużej po okolicy i dokonują straszliwego spustoszenia.

— Wydawało mi się, że każdy lew rzuca się na człowieka — wtrącił Tomek.

— Większość mieszczuchów tak sądzi, lew jednak raczej rzadko napada na ludzi. Nawet szczuty psami więcej uwagi zwraca na ogary niż na człowieka. Oczywiście inaczej to wygląda, gdy się ma do czynienia ze zwierzęciem draśniętym kulą albo pozbawionym możliwości ucieczki. Wtedy staje się ono zajadłym i groźnym przeciwnikiem.

— Słyszysz, braciszku? Musisz dobrze pilnować Dinga, bo co by powiedziała ładna Sally, gdyby lwy pożarły jej pupila? — roześmiał się bosman.

— Niech pan tylko spojrzy, jak spokojnie zachowuje się Dingo — powiedział Tomek. — Na pewno nie zwęszył jeszcze lwów albo też wcale ich nie ma w tym buszu.

— Teraz idziemy z wiatrem. Zobaczymy, jak Dingo się zachowa, gdy będziemy po drugiej stronie buszu — rzekł Smuga.

Naraz podróżnik przystanął i pochylił się nad zdeptaną wokół brzegu strumienia ziemią. W tym miejscu strumień rozlewał się trochę szerzej, tworząc przy jednym z brzegów nieckowatą wyrwę. Woda stała tutaj spokojnie, ledwie poruszana prądem strumyka. Tomek trącił bosmana w bok:

— Pewnie pan Smuga odkrył ślady lwów.

Mescherje, który zatrzymał się obok chłopca, wyjaśnił:

— Tu lwy piją wodę w nocy. W dzień siedzą w zaroślach i śpią. Lwy są bardzo mądre, nie męczą się bieganiem w dzień, kiedy gorąco.

Tomek popatrzył na mętną wodę wypełniającą nieckę.

— Nie wydaje mi się, żeby lwy były tak bardzo mądre. Po co piją brudną wodę, skoro czysty strumień płynie tuż obok?

— Brudna woda lepsza. Wszystkie zwierzęta lubią stojącą wodę — stwierdził Mescherje.

Po chwili Smuga ruszył dalej. Około godziny trwała wędrówka ścieżką zwierzęcą, która nagle zniknęła w dość gęstym buszu z rzadka porosłym drzewami.

— Idźmy dalej ścieżką — doradził Mescherje — busz zaraz się skończy.

— Dobrze, prowadź nas teraz — polecił Smuga.

Mescherje zagłębił się w zarośla. Smuga, bosman, Tomek i Masajowie postępowali za nim, oddaleni zaledwie o kilka kroków. Tomek trzymał krótko na smyczy strzygącego uszami Dinga. Pies niepokoił się coraz bardziej, toteż chłopiec zwrócił na niego całą uwagę. Nagle rozległ się krzyk Mescherje. Wydarzenia potoczyły się tak szybko, że Tomek działał już tylko odruchowo. Spojrzał w kierunku, z którego doszedł głos Mescherje, i ujrzał potężny grzbiet zwierzęcia cwałującego z pochylonym łbem uzbrojonym w wielkie zakrzywione i ostre rogi. Mescherje w ostatniej chwili podskoczył

wysoko. Jak piłka przetoczył się po szerokim grzbiecie gwałtownie szarżującego bawołu. Na szczęście Smuga nie stracił zimnej krwi; widząc, że nie zdąży złożyć się do strzału, krzyknął donośnie:

— Kryjcie się za drzewami!

Jednocześnie uskoczył za pień dużej akacji, ratując się w ten sposób przed stratowaniem.

Bosman znajdował się najbliżej Tomka. Wyrwał mu z rąk smycz, popychając go jednocześnie w kierunku rozłożystego figowca. Przerażony nagłym pojawieniem się bawołu afrykańskiego[28], chłopiec jednym susem wskoczył na niższą gałąź; błyskawicznie wdrapał się na drzewo. Bosman szarpnął Dinga i schował się za tym samym figowcem. Masajowie, bezszelestnie jak duchy, zniknęli ze ścieżki.

Nim Tomek zdał sobie sprawę z tego, co się stało, tętent rozgniewanego zwierzęcia ucichł w dali.

Smuga z karabinem gotowym do strzału ukazał się na ścieżce.

— Nie wychodźcie jeszcze z kryjówek! — zawołał ostrzegawczo. — Bawół może wrócić!

Tomek siedział na gałęzi przylepiony prawie do pnia figowca. Tymczasem Smuga odnalazł ukrytego w krzewach Mescherje. Murzyn oszołomiony był jeszcze upadkiem na ziemię, lecz zapewniał, że nic mu się nie stało. Zaraz też ruszył śladem bawołu, by sprawdzić, czy już im nie zagraża. Wrócił po dłuższej chwili wołając:

— Nie ma go, nie ma! Uciekł naprawdę!

Masajowie natychmiast ukazali się na ścieżce. Bosman Nowicki wyszedł z psem zza drzewa. Zadarłszy głowę powiedział ze śmiechem:

— He, he, he! Aleś, brachu, skoczył na drzewo zwinniej od małpiaka! Szkoda, że nie miałem aparatu fotograficznego. Boki by Sally rozbolały z uciechy, gdyby zobaczyła, jak się wspinasz na drzewo uciekając przed byczymi rogami! Prawda, Dingo? Ale widok!

Tomek zeskoczył z drzewa i podniósł z ziemi porzucony sztucer. Smuga i Masajowie uśmiechali się dyskretnie. Chłopiec spojrzał na nich ponurym wzrokiem. Westchnął ciężko, gdyż zdawało mu się, że jego myśliwska sława mocno została w tej chwili nadszarpnięta.

Zły i pochmurny ruszył za przyjaciółmi.

"Więc to tak, teraz się ze mnie śmiejecie — pomyślał. — Ano, dobrze! Pożałujecie..."

— Mieliśmy wiele szczęścia — mówił tymczasem Smuga. — Bawół afrykański szarżuje na wszystko, co napotyka na swej drodze! Ustępuje pola tylko słoniowi. Nie boi się nawet lwa i często zwycięża w starciu. Strzelać do niego można wtedy jedynie, gdy

---

[28] ***Bubalis caffer.*** Najbliższymi jego krewniakami, których wiele zamieszkuje dziewicze lasy Środkowej Afryki, są: nieco mniejszy bawół czerwony ***(Bubalis caffer nanus)*** z Konga i bawół krótkorogi ***(Bubalis caffer brachyceros)*** znad jeziora Czad.

jest się zupełnie pewnym strzału. Raniony bawół staje się nadzwyczaj niebezpieczny i podstępny. Potrafi urządzać prawdziwe zasadzki na prześladowców.

Rozmowa się urwała. Mescherje zboczył w rzadszy w tym miejscu busz. Niebawem łowcy znaleźli się na skraju małej polany otoczonej krzewami i drzewami.

— Tu zaczekajmy — doradził Mescherje.

Łowcy sprawdzili broń, po czym usiedli wśród krzewów. Mężczyźni podnieceni perspektywą polowania na lwy nie zwracali uwagi na milczącego chłopca, który położył sztucer na kolanach i nasłuchiwał z drżeniem serca. Niebawem w dali rozległy się krzyki i strzały.

Odgłosy nagonki przybliżały się coraz bardziej. Naraz w głębi gąszczu rozbrzmiał krótki, gniewny pomruk.

— Lwy już spłoszone — szepnął Mescherje.

Pomruk powtórzył się znacznie bliżej. Zanim rozpłynął się w buszu, zawtórowało mu kilka bestii.

— Widać, że nagonka trafiła na prawdziwą przysłowiową jaskinię lwów — półgłosem powiedział Smuga — żeby tylko wyszły prosto na nas.

— Przyjdą, musungu[29], przyjdą, gdyż za nami są jaskinie, w których one chowają się w niebezpieczeństwie — zapewnił Mescherje.

Wyraźnie już było słychać wrzask nagonki oraz uderzenia dzidami o pnie drzew, przeplatane strzałami karabinowymi. Urywane pomruki lwów odezwały się na skraju przeciwległej strony polany. Smuga spojrzał na przygotowującego się do strzału chłopca. Uśmiechnął się do niego i polecił:

— Nie spuszczaj Dinga ze smyczy i nie oddalaj się ode mnie. Mierz spokojnie prosto w komorę.

— Dobrze, proszę pana. Dingo drży z niecierpliwości. Będę na niego uważał, może pan być spokojny — zapewnił Tomek.

Nie mógł trzymać w ręku smyczy i jednocześnie strzelać ze sztucera. Po krótkim więc namyśle przywiązał koniec rzemienia do drzewa. Przyklęknął na jednym kolanie, opierając broń na drugim.

Lwy nie dały długo na siebie czekać. Olbrzymi, płowy łeb pokryty bujną grzywą wychynął z zarośli. Spoglądając podejrzliwie lew warknął głucho i przeciągle. Odpowiedziało mu kilka innych lwich głosów.

— Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć... o Boże, ile ich tu jest na raz! — szepnął Tomek licząc bestie ukazujące się niemal jednocześnie na polanie. — To już szósty, siedem, osiem...

Tomek nie mylił się. Pięć lwic i trzy samce wybiegły na polanę kocimi susami. Pierwszy umykał prawdziwy olbrzym z wielką grzywą.

---

[29] Biały człowieku

W głębi buszu znów rozległy się nawoływania i strzały. Smuga i bosman Nowicki wyszli z krzewów.

— Do licha! Zmarnowaliśmy doskonałą okazję do schwytania żywcem takiej pięknej rodzinki! — zawołał Smuga.

Lew biegnący na czele gromady przystanął zdumiony widokiem ludzi przed sobą. Stanowił doskonały cel. Smuga mimo to nie wykorzystał wspaniałej okazji do pewnego strzału. Uniósł wprawdzie broń, lecz Tomek spostrzegł natychmiast, że mierzy do dużej, biegnącej długimi susami lwicy. To jednak, co Tomek poczytał za niepotrzebną brawurę, było wynikiem głębokiego doświadczenia łowcy. Smuga wiedział bowiem dobrze, że przy spotkaniu lwa i lwicy należy najpierw strzelać do lwicy. Król zwierząt zazwyczaj nie reaguje na to, co spotyka jego małżonkę, podczas gdy ona rzuca się natychmiast na myśliwego, jeżeli lew zostaje zraniony. Smuga mierzył krótko i nacisnął spust. Lwica zwinęła się w skoku, ale biegła dalej. Smuga strzelił jeszcze dwukrotnie. Po ostatnim strzale zwierzę zaryło pyskiem w ziemię i legło bezwładnie. Tymczasem bosman i Tomek jednocześnie pociągnęli za spusty, mierząc do wspaniałego olbrzyma, który pierwszy się pokazał na polanie. Tomek, stosownie do rad Smugi, celował prosto w komorę. W chwili strzału zerknął na szamocącego się psa i kula uderzyła w ziemię tuż przed celem. Bosman nie spudłował; mierzył spokojnie w zad. Od razu też unieszkodliwił zwierzę. Trafiony w kręgosłup olbrzymi lew kręcił się teraz jak bąk.

Tomek i bosman znów strzelili jednocześnie. Lew upadł na trawę. Smuga zabił celnymi strzałami jeszcze jedną lwicę i lwa, który nawinął mu się niemal pod samą muszkę karabinu, a bosman także powalił jedną sztukę. Tomkowi również sprzyjało szczęście. Trzema strzałami zabił młodego lwa, po czym zaczął obserwować przebieg polowania na pozostałe przy życiu lwice. Zwierzęta schwytane w potrzask biegały po polanie jak oszalałe w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia. Stanowiły nadzwyczaj ruchliwy, a tym samym trudny cel. Smuga i bosman wybiegli ku nim na środek polany. W pewnej chwili lwica kilkoma skokami dopadła bosmana. Smuga natychmiast nacisnął spust, lecz strzał nie padł. Łowca zrozumiał, że wystrzelał już wszystkie naboje. Krzyknął więc do marynarza, który strzelił i chybił. Zanim bosman zdążył pociągnąć za spust po raz drugi, zwalony przez zwierzę legł jak długi na ziemi, wypuszczając z ręki broń.

Lwica zniknęła w zaroślach; Masajowie z krzykiem pobiegli za nią w pościg. Pozostała jeszcze przy życiu lwica rzuciła się nieoczekiwanie w kierunku Tomka.

Sierść zjeżyła się na grzbiecie przywiązanego do drzewa Dinga. Tomek nie stchórzył. Nie chcąc narażać na niebezpieczeństwo swego ulubieńca, postąpił kilka kroków do przodu. Uniósł spokojnie sztucer. Mierzył między ślepia, gdyż był to jedyny widoczny w tej chwili cel. Kula tylko otarła się o czaszkę. Lwica stanęła trochę ogłuszona; spojrzała na chłopca przekrwionymi, gniewnymi ślepiami.

Tomek opanował ogarniający go strach. Zmierzył po raz drugi. Rozległ się tylko suchy trzask spuszczonej iglicy. Magazynek był pusty. Smuga, chociaż znajdował się w pewnym oddaleniu, natychmiast zorientował się w sytuacji. Nie miał czasu na nabicie karabinu. Rzucił więc bezużyteczną broń i porwał z ziemi karabin bosmana. Znów rozległ się tylko suchy trzask iglicy. Lwica czołgała się na brzuchu, nie odrywając wzroku od chłopca. Znajdowała się już o dziesięć kroków od zuchwalca.

Tomek pojął, że nie ma dla niego ratunku. Bezbronni Smuga i bosman Nowicki znajdowali się zbyt daleko, aby skutecznie przyjść mu z jakąkolwiek pomocą. Każdy gwałtowniejszy krok z ich strony przyspieszyłby tylko jego śmierć. Rewolwery nie wchodziły w rachubę — kule ich nie mogły ugodzić lwa śmiertelnie.

Tomek straszliwie pobladł.

Lwica przypadła do ziemi bijąc ogonem po bokach. Wyszczerzone kły rozchyliły się; rozbrzmiał głuchy pomruk. Nie można było mieć najmniejszej wątpliwości. Zwierzę gotowało się do skoku. Groźny pomruk rozległ się ponownie. Lwica zmrużyła ślepia, rytmicznie uderzała ogonem o ziemię. Tomkowi zdawało się, że czuje już w swym ciele kły rozjuszonej bestii, gdy nagle tuż przed nim pojawił się jakiś cień. Tomek uniósł głowę. Do jego serca wróciła nadzieja. Ujrzał przed sobą czarne plecy. Był to Mescherje, który widząc, że chłopiec może znaleźć się w niebezpieczeństwie, nie pobiegł z towarzyszami za umykającym lwem. Teraz z podniesioną na wysokość ramienia dzidą odgrodził Tomka od lwicy.

Smuga i bosman nie śmieli wykonać najmniejszego ruchu, by nie przyspieszyć ataku rozwścieczonego drapieżnika. Przecież lwica mogła z łatwością rozszarpać chłopca razem z jego nieustraszonym obrońcą. Zraniona, drżała z niecierpliwości. To, że Tomek żył do tej pory, zawdzięczał Mescherje. Ten nieoczekiwanym ukazaniem się zwrócił na siebie uwagę zwierzęcia, które znało już smak czarnego mięsa... Gdy łeb lwicy zwrócił się ku Masajowi, Smuga nie wytrzymał i krzyknął:

— Na drzewo, Tomku! Na drzewo!

— Skacz na drzewo! — zawtórował bosman, ostrożnie ruszając ku chłopcu.

Rada była doskonała, lwica bowiem wlepiła swój zimny, złowrogi wzrok w Mescherje, a tuż za Tomkiem stało rozłożyste drzewo. Tomek wszakże oblizał językiem spieczone wargi i nie ruszył się z miejsca. Na drzewo? Tak, ogarniała go chęć schronić się na nie, ale miałby się po raz drugi narazić na pośmiewisko? Poza tym, jeśli Mescherje się nie boi...

Podniesione głosy przerażonych łowców, jak i wrzask nagonki wysypującej się w tej chwili na polanę, podziałały na lwicę piorunująco. Mięśnie zagrały pod jej skórą, krótki, gruby kark skurczył się, wielkie płowe cielsko śmignęło w powietrzu.

W tej samej chwili prawe ramię Mescherje wykonało krótki, lecz silny ruch — dzida jak błyskawica wybiegła na spotkanie lwicy. Mescherje uskoczył w bok, pociągając

Tomka za sobą, a zwierzę runęło na ziemię z głęboko wbitym w czoło ostrzem dzidy. Długie drzewce trzasnęło jak zapałka, lecz samo ostrze tkwiło głęboko w czaszce. W paroksyzmie bólu, oślepiona krwią lwica skoczyła jeszcze na pień drzewa i pazurami zdarła kawał kory. Była to już agonia, gdyż zaraz stoczyła się bezwładnie na ziemię.

Smuga i blady jak płótno bosman podbiegli do Tomka. Bosman chwycił go w ramiona.

Dopiero po chwili powiedział:

— Dech we mnie zaparło z przerażenia! Nie dziwię ci się, żeś nie miał siły wskoczyć na drzewo, gdyż i nas strach osadził na miejscu.

Tomek serdecznie uścisnął bosmana, a potem odezwał się niemal spokojnym głosem:

— Ja... mogłem się schronić na drzewo, ale... nie chciałem!

— Dlaczego? — rozgniewał się Smuga. — Przecież lwica przestała się tobą interesować. Widać było od razu, że nienawidzi Murzynów. Z łatwością więc mogłeś wspiąć się na drzewo. Byłbyś bezpieczny, a my byśmy nie umierali ze strachu o ciebie.

— Ja wcale nie chciałem być bezpieczny — oznajmił chłopiec.

— Dlaczego? Co się stało, Tomku?

— Potem pan bosman znów by się śmiał, że ze strachu wskoczyłem na drzewo!

Smuga spojrzał na bosmana z wyrzutem.

— Z tym upartym bachorem to nawet pożartować nie można — mruknął marynarz poczuwając się do winy.

— Muszę przyznać, Tomku, że wykazałeś dużo zimnej krwi — pochwalił Smuga. — Chcę ci jednak przypomnieć, że obiecałeś zachowywać się rozsądnie.

— Pamiętam, ale na drzewo nigdy już nie będę się chował — odparł Tomek stanowczo.

CZARNE OKO

Od kilkunastu godzin łowcy znajdowali się w pociągu jadącym z Nairobi do Kisumu, skąd mieli wyruszyć konno do Ugandy. Tomek zmęczył się już obserwowaniem okolicy z okna wagonu. Korzystając z drzemki towarzyszy podróży, postanowił napisać list do Sally. Wyjął konieczne przybory i zaczął pisać:

Nairobi-Kisumu, dnia 5 sierpnia 1903 r.

Droga Sally!

Zdziwisz się pewnie, że zaledwie w kilka dni po wysłaniu do Ciebie listu z Nairobi piszę zaraz następny. Otóż nieprędko będę miał teraz do tego okazję, zbliżamy się bowiem do Ugandy, kraju pokrytego dżunglą. Nie wiem, ile czasu zajmie nam tropienie goryli i okapi. Prawdopodobnie potrwa to kilka tygodni, lecz kto jest w stanie wszystko przewidzieć? Zdaniem pana Huntera, który przecież zna się na rzeczy, sprawa nie będzie łatwa. Napiszę więc znów do Ciebie dopiero po zakończeniu łowów na goryle i okapi.

W poprzednim liście opisałem już, w jaki sposób zwerbowaliśmy na wyprawę wspaniałych wojowników masajskich. Znasz również przebieg polowania na lwy pożerające ludzi. Przede wszystkim muszę Cię uspokoić co do kochanego Dinga. Otóż nasz wspólny ulubieniec nie jest już wcale zdenerwowany niebezpieczną przygodą z lwami i wesoło macha ogonem na widok dzikich zwierząt, które od czasu do czasu widzimy obydwaj z okna pędzącego pociągu. Właśnie zapomniałem wspomnieć, że list ten piszę w wagonie kolejowym w drodze z Nairobi do Kisumu. Skoro już jednak o tym mowa, to muszę wyjaśnić, że budowa linii kolejowej w tym wyżynnym, a nawet miejscami górzystym kraju, wcale nie była łatwym przedsięwzięciem. Odległość między Mombasą i Kisumu, a więc od Oceanu Indyjskiego aż do Jeziora Wiktorii, wynosi prawie pięćset osiemdziesiąt mil angielskich[30]. Począwszy od Mombasy przez trzysta czterdzieści sześć mil tor wspina się na wyżynę, osiągając na krańcu doliny Rift, na

[30] **Mila angielska — 1.600932 km.**

terytorium Kikuju, wysokość siedmiu tysięcy sześciuset stóp nad poziomem morza. Dalej pociąg zjeżdżał wspaniałymi wiaduktami, zawieszonymi niemal w powietrzu nad przepaściami, do doliny znajdującej się na wysokości sześciu tysięcy stóp. Wkrótce jednak znów zaczęliśmy się piąć pod górę i teraz przejeżdżamy przez góry Mau. Obecnie znajdujemy się osiem tysięcy stóp nad poziomem morza, lecz w okolicy Kisumu wysokość wyżyny wyniesie niecałe cztery tysiące.

Nie wiem, czy takie wiadomości będą Cię interesowały, kończę więc już pisanie na ten temat i przechodzę do innych spraw. W Kenii jest moc różnej zwierzyny. Może pomyślisz o mnie coś niepochlebnego, lecz mimo to muszę się przyznać, że nie odczuwam wielkiego zadowolenia strzelając do dzikich zwierząt. Pan Smuga i Tatuś chwalą mnie za to, lecz bosman Nowicki śmieje się i twierdzi, że jestem "ciapą". Kiedy pierwszy raz zwierzyłem mu się, że żal mi zastrzelonych lwów, wzruszył ramionami mówiąc: "Umrzesz, brachu, z głodu, patrząc na żywą tłustą kurę!" Mescherje, którego znasz z poprzedniego listu, jest tego samego zdania co bosman. Uważa mianowicie, że jeżeli sam nie zabije i nie zje dzikiego zwierzęcia, to ono pożre go bez chwili wahania. Sam już nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć. W każdym razie wolę chwytać żywe zwierzęta, niż pozbawiać je życia.

Muszę Ci jeszcze powiedzieć, że wszyscy bardzo polubiliśmy Mescherje. Oczywiście jest dowódcą naszej masajskiej eskorty. Mescherje niczym się nie przejmuje. Nie odkłada z rąk broni i mówi: "Mam karabin, nie boję się nawet Niam-Niam." Niam-Niam to plemię ludożerców mieszkających w Afryce Środkowej. Troszkę mi się robi gorąco, gdy pomyślę o kanibalach, ale ojciec nie posądza ich o okrucieństwo. Wierzą oni jakoby, iż przez zjedzenie zabitego wroga nie tylko niszczą go doszczętnie, lecz przejmują również w ten sposób jego odwagę. Pocieszam się, że nie idziemy w tamte strony w nieprzyjaznych celach...

W tej chwili bosman Nowicki usiadł na ławce obok Tomka. Przyjrzał się gorliwie piszącemu chłopcu i zapytał:

— Co tak skrobiesz piórzyskiem, brachu? Pewno piszesz pamiętnik?

Tomek uniósł głowę znad listu.

— Kto by tam chciał czytać mój pamiętnik! Po prostu piszę list, panie bosmanie — mruknął.

— Pewno do wujostwa Karskich!

— Nie do wujostwa! Do nich wysłałem list z Nairobi.

— To chyba znów skrobiesz do tej miłej turkaweczki z Australii — roześmiał się bosman.

— Dlaczego pan nazywa Sally turkaweczką?

— Nie zagaduj mnie, brachu! Przecież do niej także pisałeś list z Nairobi!

— No tak, pisałem, ale Sally na pewno kłopocze się o Dinga, więc muszę ją uspokoić.

— A pisz sobie, ładna turkaweczką. Coś tam już nasmarował?

— Przeczytać panu?

— Czytaj, brachu, tylko wolno, żebym dobrze zrozumiał — zgodził się bosman siadając wygodniej. Nabił fajkę tytoniem i puszczając kłęby błękitnego dymu słuchał uważnie.

— No, no, niczego nawet! Mógłbyś smarować do gazet — pochwalił, gdy Tomek skończył czytanie.

— Czy naprawdę uważa pan, że dobrze napisałem?

— Byczo! List jak cacko.

— To dobrze, bo Sally czyta moje listy koleżankom.

— Obiecaj jej teraz jakiś prezent. Wiesz co? Mam myśl. Podaruj jej skórę tego lwa, któregośmy wspólnie zarąbali.

— Czy to będzie odpowiedni upominek dla niej?

— Jasne jak słońce, że tak! Powiesi ją sobie nad łóżkiem, a co na nią puści oczko, to zaraz pomyśli o tobie. Przecież nie możesz jej obiecać takiej bransoletki na rękę, jak to noszą Masajki. Jak by ona wyglądała w ciężkiej rurze?

Tomek wybuchnął śmiechem i zawołał:

— Jest pan dzisiaj prawdziwą skarbnicą wspaniałych pomysłów.

— Ha, kochany brachu! Niejeden już list smarowało się w życiu do swej lubej. Wprawa też coś znaczy! — chełpliwie stwierdził bosman.

— Sally wcale nie jest moją lubą — zaprotestował Tomek.

— Tak to mówisz, obłudniku? A kogo to, za przeproszeniem, nazywasz "drogą Sally"?

— To tylko taki zwrot stosowany w korespondencji — bronił się chłopiec.

— Ano, człowiek tak się zwraca i zwraca, aż się przewróci — śmiał się bosman. — Dalej, kończ skrobaninę!

Tomek pochylił się nad listem. Bosman przysunął się bliżej i czytał po cichu:

Przygotowałem dla Ciebie pamiątkę z Afryki. Za radą mego przyjaciela i opiekuna, bosmana Nowickiego, ofiaruję Ci skórę lwa, którego wspólnie upolowaliśmy. Będziesz mogła ją powiesić nad łóżkiem. Obecnie skórę tę wyprawiają Masajowie. Po powrocie do Nairobi wyślę upominek pocztą. Teraz kończę pisanie, gdyż niezadługo wysiadamy w Kisumu. Przesyłam Ci moc pozdrowień od siebie i Dinga.

Tomek Wilmowski

— Napisz Sally, że ją pozdrawiam — dodał bosman.

— Zaraz to zrobię. Na pewno bardzo się ucieszy — zapewnił Tomek.

Po chwili włożył list do koperty, którą schował do kieszeni.

— Za dwie godziny będziemy w Kisumu — oznajmił Wilmowski wchodząc do przedziału. — Czy czujecie podmuch wilgotnego powietrza?

— Co byłby wart nos marynarza, który by nie zwęszył wody — odparł bosman.

— Tatusiu, czy z Kisumu zaraz wyruszymy w dalszą drogę? — zapytał chłopiec.

— Tak, Tomku. Powinniśmy się znaleźć w Bugandzie jak najszybciej. W październiku rozpoczyna się pora deszczowa, a wtedy nie za dobrze się poluje.

Tomek wyjrzał oknem. Wokół ciągnęły się "dość łagodne pagórki porosłe wysokimi, rozłożystymi drzewami. Chłopiec pomyślał, że wkrótce ruszą konno w kierunku granicy Ugandy, lecz po raz pierwszy od chwili wylądowania w Afryce nie odczuł radości. Ogarnął go jakiś niepokój. Zaczął się zastanawiać, co też oczekuje ich w głębi tajemniczego kontynentu podczas polowania na goryle i okapi. Hunter obawiał się tych łowów. Tak wytrawnego tropiciela nie można było posądzać o tchórzostwo. Jeżeli uprzednio odmówił uczestniczenia w wyprawie na okapi, to nie ulegało wątpliwości, że przedstawiała ona poważne ryzyko. Tomek przypomniał sobie teraz Pigmejczyków Bambutte i ich zatrute strzały, ludożerców oraz straszliwe dzikie goryle, lecz zaraz odegnał od siebie przykre myśli; niefrasobliwe usposobienie zawsze brało w nim górę.

"Mimo wszystko pan Hunter idzie z nami — pomyślał. — Co mi tam wszyscy Pigmejczycy, ludożercy i małpy, skoro tatuś i inni przyjaciele wcale się ich nie boją! Nie mam się czego lękać."

Natychmiast też poprawił mu się humor. Pogłaskał Dinga po kosmatym łbie szepcząc:

— Pamiętam o tobie, kochany piesku. Gdy wysiądziemy z pociągu, nałożymy stroje ochronne przeciw tse-tse i nic nam się nie stanie.

Tymczasem pociąg wtoczył się na stację w Kisumu. Była to wówczas mała osada, zamieszkiwana zaledwie przez trzech Europejczyków oraz kilkunastu Indusów i Murzynów. Poza paroma niskimi, białymi domkami były w niej tylko murzyńskie chaty, pobudowane wokół zatoki Kawirondo na łagodnych, zielonych pagórkach.

Tomek nie miał czasu przyglądać się barwnym roślinom tropikalnym, ponieważ zaczęto wyładowywać z magazynu bagaże, które przybyły do Kisumu przed nimi. Hunter okazał się bardzo praktyczny. Odnalazł znajomego Indusa trudniącego się przewożeniem towarów wozami i wynajął go na dwa dni. Po kilkugodzinnej pracy wszystkie paki były załadowane na furgony. Tomek zaledwie zdążył spojrzeć na największe jezioro Afryki[31], a już dano hasło do odjazdu. Masajowie pod dowództwem Mescherje tworzyli czoło karawany. Świsnęły długie baty woźniców. Wypoczęte, silne woły raźno ruszyły naprzód. Łowcy jechali stępa za wozami.

---

[31] **Jezioro Wiktorii *(Victoria Nyanza).* odkryte w 1858 r. przez Speke'a, leży na wysokości 1134 m n.p.m. Jego długość wynosi około 400 km, szerokość około 250 km, głębokość do 80 m, a długość linii brzegowej ponad 7000 km. Uchodzą do niego: Kagera (rzeka źródłowa Nilu), Mara, Nzoia; wypływa zeń Nil Wiktorii.**

Niecałe sto kilometrów dzieliło podróżników od granicy Ugandy. Indusi wraz z furgonami zgodzili się towarzyszyć łowcom do rzeki Nzoia. Tam, według zapewnień woźniców, można było wynająć Murzynów do niesienia bagaży.

Dość szeroka ścieżka wiła się między porośniętymi zielenią pagórkami. W powietrzu czuło się wilgoć, chociaż wyniosłości terenu zasłaniały jezioro. Łowcy omijali jego brzegi, ponieważ droga wiodąca jakby po przekątnej półwyspu Kawirondo umożliwiała dotarcie o dzień wcześniej do ujścia rzeki Nzoia. Wieczorem zatrzymali się na krótki odpoczynek. Następnego dnia o świcie ruszyli dalej. Indusi ostro popędzali woły, aby przed zachodem słońca przybyć do celu. Szlak stale się pogarszał, a zmęczone zwierzęta szły coraz wolniej. Toteż dopiero nazajutrz około południa wyprawa znalazła się nad rzeką, w pobliżu jej ujścia do Jeziora Wiktorii.

Obydwa brzegi rzeki Nzoia porastały papirusy. Tworzyły one miejscami gąszcz nie do przebycia i osłaniały ukryte wśród trzęsawisk spokojne stawy — schronienie mnóstwa dzikich kaczek, gęsi, ibisów, żurawi, pelikanów, łabędzi i bekasów. Wstęga rzeki przecinała rozległy płaskowyż urozmaicony kilkoma wyspami bujnej roślinności. Nie opodal znajdował się spadzisty brzeg jeziora. W załamaniach lądu rosły kępy wielkich drzew; wokół było pełno pięknych kwiatów o łagodnym, przyjemnym zapachu. Przepyszna roślinność przeglądała się w przejrzystej wodzie zachęcającej do kąpieli.

Zaledwie wozy przystanęły w ocienionym drzewami miejscu, Masajowie przystąpili do budowy bomy[32] z grubych, głęboko w ziemię wbitych kołków, między które ułożyli gęstą osłonę z gałęzi cierni, pozostawiając kilka otworów do obserwacji bądź ewentualnego strzału. Wewnątrz tego wysokiego, kolczastego ogrodzenia rozbito namioty i wyładowano bagaże.

Tomek razem z ojcem zajął się urządzaniem ich wspólnego namiotu. Po zakończeniu pracy zmęczony i spocony wybiegł z Dingiem przed bomę.

— Nie masz ochoty rzucić okiem na jeziorko? — zagadnął bosman Nowicki ocierając kraciastą chustką pot z czoła.

— Ładne mi jeziorko! Czy pan wie, że jego powierzchnia wynosi sześćdziesiąt dziewięć tysięcy kilometrów kwadratowych? Oczywiście, że chcę na nie spojrzeć, bo przecież w Kisumu nie było na to czasu.

— No to chodźmy! — zaproponował marynarz.

Pobiegli w kierunku jeziora. Wkrótce zsunęli się po urwisku i zatrzymali na brzegu.

— Ależ to prawdziwe morze! — zawołał Tomek ogarniając wzrokiem bezmiar wód.

— Morze, nie morze, grunt, że woda, w której można wykąpać się dla ochłody — wysapał bosman ściągając z grzbietu koszulę.

— Wspaniała myśl! — pochwalił Tomek.

---

[32] Boma, kambi lub zeriba — okrągłe, kilkumetrowej średnicy ogrodzenie.

Szybko zrzucił odzienie i zadowolony, że zdołał wyprzedzić bosmana, stanął na brzegu. Zakątek wybrany do kąpieli ocieniały mimozy o rozłożystych konarach; gęsta trawa sięgała aż do przejrzystej toni. Tomek bez namysłu wszedł do wody. Wyciągnął ręce, by rzucić się naprzód, gdy nagle Dingo, który stał jeszcze na brzegu, warknął nieoczekiwanie. Tomek wstrzymał skok. Jakieś ogromne cielska, rozcinając nurt jak strzała, zatrzymało się właśnie w miejscu, gdzie chciał się pogrążyć w chłodnej wodzie. Tomek błyskawicznie wyskoczył na brzeg i tylko dzięki temu uratował życie. Był to bowiem olbrzymi krokodyl[33]. Przez chwilę spoglądał peryskopowymi oczyma na przerażonego chłopca, po czym oddalił się z ociąganiem.

— Niech pan patrzy! Tylko prędko! — krzyknął Tomek ochłonąwszy ze strachu.

— Krzyczysz, brachu, jakbyś zobaczył ducha — zaczął bosman, lecz umilkł natychmiast, gdy ujrzał grzbiet odpływającego krokodyla.

Bez zbędnych słów zaczął ubierać się z powrotem. Tomek rozbawiony jego ponurą miną zapytał:

— Dlaczego pan tak nagle zmarkotniał, bosmanie?

— A niech wieloryb połknie te wasze wyprawy myśliwskie! — rozgniewał się marynarz. — W Australii człowiek rozsychał się z braku wody jak stara beczka, tutaj znów co krok mógłbyś moczyć grzeszne cielsko, lecz krokodylszczaki szczerzą zęby jak druhny na weselu! Niech to licho weźmie. Biednemu zawsze wiatr w oczy wieje...

Tomkowi żal się zrobiło poczciwego bosmana, więc powiedział pocieszająco:

— Zapytamy pana Huntera, może będzie znał miejsce nadające się do kąpieli.

— Odczep się ode mnie z tym panem Hunterem! Chudy jak szczapa, to i nie poci się i gwiżdże na kąpiel.

Jak niepyszni wrócili do obozu.

Kiedy Tomek opowiedział wydarzenie z krokodylem, przerażony Hunter zawołał:

— Nie ważcie się szukać ochłody w afrykańskich rzekach i jeziorach, jeżeli nie chcecie postradać życia! Nie dajcie się zwieść ich pozornie spokojnie wyglądającej toni. Tutaj wszędzie pełno krokodyli.

— Dingo ostrzegł nas w porę o niebezpieczeństwie — uspokoił go Tomek.

— Masajowie nanosili wody z rzeki. Możecie umyć się w obozie — wtrącił Smuga.

Dopiero po kolacji Wilmowski rozpoczął rozmowę na temat wynajęcia tragarzy. Rankiem Indusi mieli wyruszyć wozami w drogę powrotną do Kisumu, należało więc teraz wystarać się o ludzi do niesienia bagaży. Woźnice radzili podróżnikom zwrócić się o pomoc do kupca Castanedo, mieszańca portugalsko-murzyńskiego, który w odległości około pół kilometra od obozu posiadał małą faktorię.

---

[33] Krokodyl afrykański *(Crocodilus cataphractus)* występuje w rzekach Senegalu aż do Konga, w Afryce Wschodniej i Zachodniej, w rzece Kamerun, w wodach półsłonych bagien nadbrzeżnych zarośniętych mangrowcami, a w rzece Wazi, dopływie Kamerunu, występuje masowo. Krokodyl nilowy (*Crocodilus niloticus)* spotykany jest w całej Afryce.

— Castanedo żyje w dobrych stosunkach z krajowcami Kawirondo, zamieszkującymi północno-wschodnie brzegi Jeziora Wiktorii — wyjaśniali Indusi. — On na pewno ułatwi pertraktacje.

— Jutro rano odszukamy pana Castanedo i poprosimy go o pomoc — postanowił Wilmowski. — A teraz kładźmy się spać i wypocznijmy!

Tomek spał smacznie całą noc. Po zwiększeniu się liczby uczestników wyprawy o pięciu Masajów czuwać mieli już tylko dorośli mężczyźni. Rano zbudził go skrzyp furgonów i nawoływania woźniców odjeżdżających do Kisumu. Tomek szybko narzucił ubranie i wybiegł pożegnać się z Indusami. Niebawem wozy zniknęły za zakrętem drogi.

— Którzy z panów pójdą ze mną porozmawiać z Castanedem? — zapytał Hunter zaraz po śniadaniu.

— Najlepiej będzie, jeżeli pan Smuga załatwi to z panem — zaproponował Wilmowski. — Zna on narzecze krajowców, więc najwięcej panu pomoże. Czy masz coś przeciwko temu, Janie?

— Możemy iść zaraz — zgodził się Smuga. — Trzeba wziąć trochę podarków dla Murzynów.

— Jeżeli chcecie, szanowni panowie, to i ja pójdę z wami. Pomożemy z Tomkiem nieść podarunki — wtrącił bosman Nowicki, który chociaż zżymał się stale na niegościnność obcych krajów, zawsze ciekaw był pierwszy wszystko zobaczyć.

— Idźcie, idźcie, będzie trochę spokoju w obozie, tylko nie próbujcie znów kąpieli w jeziorze — rzekł Wilmowski, gdyż dobrze znał wścibstwo bosmana i syna.

Tomek gwizdnął na Dinga. Umocował na jego grzbiecie uprząż z futerkami, a sam założył swój oryginalnie ozdobiony korkowy hełm. Łowcy uśmiechali się dyskretnie, lecz nie przeszkadzali chłopcu w postępowaniu według własnego widzimisię, nie chcąc mu psuć dobrego nastroju. Gdy byli już przygotowani do drogi, Smuga zaproponował, aby przyłączył się do nich Mescherje.

— Weźcie i Mescherje — poparł go Wilmowski. — Pomoże wam nieść podarunki.

Hunter poprowadził całą grupę w kierunku jeziora, po czym udali się na wschód wzdłuż wybrzeża.

— Patrzcie na to dziwne drzewo, wygląda, jakby pozawieszano na nim parówki! — zawołał Tomek wskazując wysokie drzewo o szerokiej koronie, z którego górnych gałęzi zwisały na długich łodygach owoce przypominające kształtem kiełbaski.

— Zakąska wisi nad nami, panowie! — zawtórował bosman.

— Jest to tak zwane przez Anglików drzewo kiełbasiane[34] — wyjaśnił Hunter. — Jego owoce kształtem i kolorem przypominają kiełbaski, wystarczy jednak zerwać owoc i przekroić grubą skórę, aby stracić ochotę na podobną zakąskę.

— Co jest wewnątrz owocu? — zaciekawił się Tomek.

---

[34] ***Kigelia africana***

— Nieapetycznie wyglądająca miękka papka — roześmiał się Hunter.

— Pan Bóg wie, co robi! Gdyby w Afryce kiełbasy dyndały w powietrzu, to byłby tu taki tłok, że przyzwoity człowiek nie mógłby się nawet docisnąć do tej darmowej choinki — westchnął bosman, budząc powszechną wesołość.

Podróżnicy ruszyli dalej. Uszedłszy około pół kilometra, ujrzeli nie opodal wybrzeża drewnianą chatę z werandą. Nad wykonanymi z drucianej siatki drzwiami wisiał szyld z angielskim napisem:

FAKTORIA PANA CASTANEDO

Łowcy weszli na brudną werandę. Hunter klasnął głośno w dłonie. Zza przewiewnych drzwi wysunęła się Murzynka. Wokół jej bioder zwisały, przypasane na sznurku, perkalowe fartuszki. Pobrzękując metalowymi bransoletami nałożonymi na nogi i ręce zbliżyła się do podróżników.

— Czego chcą buana[35]? — zapytała.

— Gdzie jest pan Castanedo? — zagadnął Hunter.

— Jest za wcześnie. Buana Castanedo śpi jeszcze — padła odpowiedź.

— To zbudź go i powiedz, że chcemy z nim rozmawiać — rozkazał Hunter.

— Ja zbudzę, ale będzie wtedy bardzo zły — oznajmiła Murzynka, ciekawie przyglądając się przybyszom.

— Z kim tam gadasz, do diabła? — rozległ się w izbie głos.

— Biali ludzie przyszli tutaj — wyjaśniła Murzynka, trwożliwie spoglądając za siebie.

— To wpuść ich do mnie i przynieś mi coś do picia — po raz drugi odezwał się nieprzyjemny głos.

Smuga spojrzał przeciągle na Huntera. Energicznie pchnął drzwi i wszedł do izby. Reszta towarzystwa udała się za nim. Na posłaniu, bardziej podobnym do barłogu niż łóżka, leżał wysoki mężczyzna o szerokich barach, z jednym okiem zakrytym czarną przepaską. Ciemne, skręcone w małe pierścienie włosy i cera koloru mętnej białej kawy od razu pozwalały rozpoznać w nim półkrwi Murzyna. Podejrzliwie spojrzał zdrowym okiem na przybyłych i warknął:

— Czego tu szukacie? Nie mam żadnego towaru do sprzedania!

— Chcemy rozmawiać z panem Castanedo — spokojnie powiedział Hunter.

— To mówcie, ja jestem pan Castanedo — butnie odparł mężczyzna.

— Potrzebujemy trzydziestu tragarzy i, jeżeli to możliwe, chcielibyśmy nabyć pięć osłów. Woźnice powiedzieli nam, że za pana pośrednictwem będziemy mogli wynająć Murzynów.

---

[35] **Buana (w narzeczu suahili) — pan.**

— Rano nie załatwiam interesów. Przyjdźcie po południu — burknął Castanedo układając się do snu.

Smuga zmarszczył brwi, lecz zupełnie obojętnym tonem powiedział:

— Jeżeli pan jest tak pijany, że nie potrafi przyzwoicie rozmawiać, sami poszukamy krajowców.

Odwrócił się i ruszył ku wyjściu, lecz Castanedo rozgniewany jego słowami krzyknął:

— Nikt z okolicznych Kawirondo nie pójdzie z wami bez mego zezwolenia.

Smuga zbliżył się do posłania, oparł prawą dłoń na rękojeści rewolweru i rozkazał stanowczo:

— To wstawaj natychmiast i chodź z nami!

Olbrzymi bosman Nowicki przysunął się kocim ruchem do Smugi, lecz było to już niepotrzebne. Castanedo usiadł na barłogu odzywając się zupełnie innym tonem:

— Jeżeli panom tak się spieszy, możemy iść zaraz do czarnych małp.

W tej chwili poza domem rozległ się rozpaczliwy krzyk. Castanedo gniewnie zmarszczył brwi i rzekł:

— Poczekajcie, panowie, chwilę. Zaraz wrócę!

Podniósł się i chwiejnym krokiem wyszedł na werandę. Łowcy usłyszeli, jak chrapliwym głosem wołał na Murzynkę.

— A to ci ananas! — odezwał się bosman, gdy Castanedo wyszedł z chaty. — Po jakie licho gadamy z takim pijanym drabem?

— Dziwi mnie jego zachowanie, gdyż na ogół mieszańcy odnoszą się pogardliwie jedynie do Murzynów — odparł Hunter. — Nie podoba mi się ten jegomość.

— Prawdopodobnie pod wpływem alkoholu nie wie, co mówi — dodał Smuga. — Po wytrzeźwieniu będzie się giął w ukłonach.

— Z mieszańcami zawsze trzeba ostro, inaczej zaraz im się wydaje, że są nie wiadomo kim — zakończył bosman.

Nieobecność Castaneda trwała dość długo. Podróżnicy już się niecierpliwili, gdy nagle w podwórzu po raz drugi rozbrzmiał przeraźliwy ludzki krzyk i suche trzaski bata.

— Co się tam dzieje, u licha? — zdziwił się Smuga.

Zaintrygowani wyszli z chaty, a kiedy znaleźli się na podwórzu, ujrzeli przerażający widok. Przykuty za nogę łańcuchem do grubego słupa siedział na ziemi skulony młody Murzyn. Castanedo, stojąc obok, okładał go długim, ciężkim pejczem. Gdy spostrzegł podróżników, kopnął Murzyna i pogroziwszy mu batem, zbliżył się do nieproszonych gości.

— To Murzyn z plemienia Niam-Niam, mój służący. Trzy dni temu porwał z wioski Kawirondo małą dziewczynkę i pożarł ją — wyjaśnił. — Oddam go patrolowi angielskiemu, gdy tu wkrótce przyjdzie.

— Czy to możliwe, aby był ludożercą?! — z niedowierzaniem zawołał Tomek.

Castanedo niedbale spojrzał na chłopca i dodał:

— Ta dziewczynka była tylko, trochę starsza od ciebie. Niam-Niam zjadają niewolników, wrogów, sieroty i każdego, kto im się da zjeść.

— Jeżeli istotnie jest przestępcą, to niech go pan przekaże Anglikom. Po co się znęcać nad człowiekiem? — surowo odezwał się Smuga.

Tomek ze zgrozą spoglądał na poranione biczem plecy Murzyna, którego oczy wyrażały błagalną prośbę.

— Proszę panów do mieszkania. Możemy teraz omówić sprawę tragarzy — zaproponował Castanedo ruszając w kierunku domu.

Smuga, Hunter i Mescherje poszli za nim. Bosman Nowicki spojrzał wymownie na Tomka, jednocześnie wskazał głową na skutego łańcuchem Niam-Niam. Tomek mrugnął porozumiewawczo i został na werandzie, gdy inni udali się do izby.

Minęło dobre pół godziny, zanim łowcy w towarzystwie już całkowicie ubranego Castaneda ukazali się przed domem. Tutaj czekał na nich Tomek siedząc na stopniu werandy. Bosman zerknął na młodego przyjaciela. Od razu poznał, że dzieje się z nim coś niezwykłego. Smuga, Hunter i Castanedo ruszyli przodem, a Mescherje niósł za nimi skrzynię z podarunkami. Bosman przyłączył się do Tomka — obydwaj znaleźli się kilkanaście kroków za wszystkimi.

— Wywąchałeś coś, brachu? — cicho zapytał bosman, widząc, że inni nie zwracają na nich uwagi.

— Straszne rzeczy, aż mi trudno w nie uwierzyć — odszepnął Tomek wzburzonym głosem. — Ten Murzyn umie trochę mówić po angielsku. Nie jest Niam-Niam, pochodzi z plemienia Galia. Nie zabił też ani nie zjadł dziewczynki. Żeby pan mógł słyszeć, jak mnie prosił: "Kup mnie, biały buana, od handlarza niewolników! On mnie zabije!" Castanedo bił go po to, żeby się nie odważył więcej wzywać pomocy.

— A kto ma być tym handlarzem niewolników? — zdziwił się bosman.

— Czarne Oko — odparł Tomek pospiesznie, gdyż chciał się jak najprędzej pozbyć ciężaru tajemnicy.

— Jakie znów Czarne Oko? Co ty wygadujesz, brachu!?

— Och, prawda! Zapomniałem, że pan jeszcze tego nie wie. Murzyni tak nazywają Castaneda. To pewno z powodu noszonej przez niego opaski. Podobno znany jest w całym okręgu jako handlarz ludźmi.

— Fiu, fiu! — gwizdnął bosman. — Więc to tak sprawy wyglądają? Gdzież on łapie tych niewolników?

— Sambo, to jest ten biedak przywiązany na łańcuchu, został wzięty razem z rodzeństwem do niewoli przez Murzynów Luo zamieszkujących dalej na zachodzie. Castanedo kupił go od nich, a następnie sprzedał razem z kilkunastoma niewolnikami Arabom. Odpłynęli stąd na długich łodziach w kierunku południowym. Sambo

wyskoczył z łodzi i skrył się w krzewach rosnących na brzegu. Murzyni Kawirondo znaleźli go wczoraj i oddali Castanedowi, który zbił nieszczęśliwca. Obiecał obedrzeć go ze skóry, gdyby jeszcze raz próbował ucieczki.

— No, no, ten drab gotów to naprawdę zrobić — zafrasował się bosman. — Nie chciałbym być w skórze Samba.

— Musimy mu pomóc, panie bosmanie — stanowczo oświadczył Tomek.

BOSMAN POKAZUJE PAZURY

Bosman i Tomek musieli przerwać rozmowę, gdyż z przybrzeżnych zarośli wyłoniła się wioska murzyńska. Stożkowate, słomą kryte chatki tworzyły dość szeroki łuk, którego cięciwę stanowił brzeg jeziora. Nad wodą, wyciągnięte na piaszczyste wybrzeże, leżały długie łodzie sporządzone z wypalanych pni drzew, a obok nich suszyły się rozpięte na drągach sieci.

Rój zupełnie nagich mężczyzn, kobiet i dzieci wyległ na powitanie przybyszów. Ich czekoladowe ciała błyszczały tłuszczem. Mężczyźni na powitanie potrząsali przyjaźnie dzidami. Kobiety natomiast podnosiły ramiona do góry, potem robiły skłon w przód dotykając palcami ziemi, a następnie prostowały się i z wyciągniętymi w górę rękami klaskały w dłonie.

— No, no, nawet niczego nas witają — pochwalił bosman. Tomek uśmiechnął się dyskretnie. Tymczasem Murzyni wykrzykiwali:

— Jambo masungu![36]

Castanedo poprowadził podróżników do chaty naczelnika plemienia. Bosman, Tomek z Dingiem i Mescherje postanowili zaczekać na placu na wynik pertraktacji. Murzyni z podziwem przyglądali się Tomkowi i jego psu; półgłosem dyskutowali gestykulując rękoma. Rozmowy w chacie trwały już około dwóch godzin, gdy Hunter wyszedł przed dom.

— Dobiliśmy targu — powiadomił towarzyszy. — Pomóżcie mi wnieść skrzynię do chaty naczelnika.

— A cóż tam mówi ten pan Castanedo? — zagadnął bosman.

— Dla nas miękki jak wosk. Trzeba przyznać, że ma mir wśród tutejszych Murzynów. Właściwie to on dyktuje im warunki.

— I za to weźmie zapewne część zapłaty — dodał bosman.

— Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że tak będzie. My również musimy dać mu pewien haracz.

---

[36] **Witaj, biały człowieku**

— Po jakie licho cackamy się z tym drabem? — oburzył się marynarz.

— Odniosłem wrażenie, że żaden Kawirondo nie poszedłby z nami bez jego zezwolenia. Naczelnik stale spoglądał na niego i dopiero gdy Castanedo skinął głową, wyrażał swą zgodę.

— Chytra sztuka musi być z tego mieszańca.

Mescherje i bosman ponieśli skrzynię. Tomek razem z nimi wszedł do chaty naczelnika. Stary, lecz dziarski Murzyn obejrzał podarunki, potem przeliczył przedmioty i materiały otrzymane jako należność za pięć osłów. Z kolei Smuga wypłacił sporą zaliczkę tragarzom. Zgodnie z umową mieli się stawić w obozie podróżników nad rzeką następnego dnia o świcie. Po zakończeniu długich targów łowcy wyszli przed chatę, aby obejrzeć osły kupione od murzyńskiego kacyka. Tomek zaledwie spojrzał na silne, roślejsze od europejskich kłapouchy. Zamyślony stanął pod drzewem. Nie spuszczał wzroku z Castaneda. Zastanawiał się, w jaki sposób mógłby pomóc biednemu Sambowi.

Tymczasem bosman, jakby całkowicie zapomniał o nieszczęsnym niewolniku, najspokojniej w świecie z zainteresowaniem oglądał osły. Uprzejmie też wymieniał różne spostrzeżenia z Castanedem, który, o ile z początku zachował się gburowato, o tyle teraz stał się przyjacielski i wylewny.

"Nie wiedziałem, że bosman jest taki zmienny — rozmyślał Tomek z goryczą. — Najpierw nazywa Castaneda drabem, a teraz traktuje go jak przyzwoitego człowieka."

Wątpliwości chłopca rozwiały się wtedy dopiero, gdy pożegnali mieszańca przed faktorią. Zaledwie dom zniknął z pola widzenia, bosman zbliżył się do Tomka i szepnął:

— Niech się zamienię w sardynkę zamkniętą w blaszance, jeżeli nie uśpiłem czujności tego handlarza żywym towarem.

— Nie rozumiem pana, przed chwilą rozmawiał pan z nim przyjacielsko, a teraz znów mówi pan zupełnie co innego — oburzył się Tomek.

— Potrząśnij tylko olejem w łepetynie, a wszystko ci się zaraz wyjaśni — odpowiedział bosman z chytrym uśmiechem. — Gdybym opuścił nos na kwintę tak jak ty, to Castanedo raz dwa by wyniuchał, że wiemy już o nim całą prawdę. Wtedy by na pewno pchnął Murzyna nożem pod siódme żebro, żeby się nie narażać na kłopoty z Anglikami. Tymczasem teraz bez cykorii pociągnie z butelki i położy się spać.

— To prawda, że Castanedo nie ma powodu do niepokoju, ale biedny Sambo nadal jest w jego rękach i chyba jeden Bóg wie, co go czeka — westchnął ciężko Tomek.

— Ha, więc przypuszczałeś, że chcę zostawić tego biedaka jego losowi? O, brachu, brachu! Mam już gotowy plan działania.

— Naprawdę? Co ma pan zamiar zrobić?!

— Dowiesz się wszystkiego jutro rano po przybyciu tragarzy do obozu.

— Dlaczego dopiero wtedy?

— Bo wtenczas Castanedo już nie będzie mógł nam popsuć szyków. Słyszałeś, co mówił pan Hunter? Murzyni słuchają go jak rodzonego ojca, a obawiam się, że ten drab nie będzie miał zachwyconej miny, gdy usłyszy naszą propozycję. Pamiętaj, trzymaj buzię zamkniętą na kłódkę!

— To nawet ojcu nic nie powiemy? — zdziwił się Tomek.

— Właśnie jemu przede wszystkim nic nie trzeba mówić. Twój szanowny ojciec to chodząca dobroć. Nie potrafi nikomu zrobić krzywdy, a z Castanedem trzeba gadać po marynarsku.

— Już nic nie rozumiem. Co pan właściwie chce zrobić?

— To się okaże jutro — krótko zakończył bosman — a teraz cicho, sza!

Zbliżyli się do obozowiska. Wilmowski wysłuchał relacji Smugi. Pochwalił za pomyślne załatwienie sprawy, obejrzał osły, które uwiązano w pobliżu koni.

— Tym przynajmniej nic nie grozi od tse-tse — powiedział z zadowoleniem, głaszcząc kłapouchy.

— Czy mucha tse-tse nie szkodzi osłom? — zainteresował się Tomek.

— Właśnie dlatego kupiliśmy je. Mając juczne zwierzęta będziemy mogli się zapuszczać w okolice, w których wynajęcie ludzi napotyka trudności. Tropienie okapi w dżungli zajmie sporo czasu. Nawet kto wie, czy nie będziemy musieli się podzielić na kilka grup, aby szybciej przetrząsnąć większy obszar lasu. Wtedy osły bardzo nam się przydadzą do noszenia sprzętu.

— Coś mi to przypomina nasze łowy w Australii — ucieszył się chłopiec.

Wieczorem Tomek kręcił się niespokojnie. Co chwila spoglądał na bosmana. Ten jednak zdawał się zupełnie nie myśleć o tym, co miało nastąpić następnego ranka. Przekomarzał się z Hunterem, nie zwracając uwagi na chłopca, a w końcu ziewnął od ucha do ucha i oświadczył, że pójdzie na spoczynek. Zanim znikł w namiocie, zbliżył się do Tomka i korzystając z tego, że nikt nie zwraca na nich uwagi, szepnął:

— Kładź się spać, koleżko! Jutro będziemy mieli pełne ręce roboty. Czy masz trochę forsy?

— Niecałe sto dolarów.

— Dobra nasza! Miej je przy sobie, a teraz chodźmy pokimać. Dobranoc!

— Dobranoc!

Niebawem Tomek już był w łóżku. Dingo wsunął łeb pod moskitierę, dotknął twarzy chłopca mokrym nosem, a następnie ulokował się przy jego nogach. Tomek zamknął oczy, lecz nie mógł zasnąć. Dręczyła go niepewność, czy nie powinien zwierzyć się ojcu, nawet wbrew bosmanowi. Nie mógł zrozumieć, dlaczego poczciwy marynarz uparł się zachować całą sprawę w tajemnicy. Przecież ojciec, jak i Smuga na pewno staraliby się pomóc biednemu Sambowi.

"Co tu robić? — zastanawiał się. — Jeżeli nic nie powiem ojcu, to gotów później pomyśleć, że nie miałem do niego zaufania. Jeżeli znów zwierzę się, bosman posądzi mnie o to samo. I tak źle, i tak niedobrze."

Nagle przyszła mu do głowy zbawcza myśl:

"Niech los zadecyduje, jak mam postąpić. O ile ojciec przyjdzie do namiotu, zanim usnę, wyznam mu wszystko. Gdyby nie przyszedł, to będzie widomy znak, że los tak chciał!"

Zadowolony z postanowienia, uspokoił się natychmiast. Zamknął oczy. W obozie rozbrzmiewała monotonna pieśń Masajów. Tomek westchnął głęboko. Wkrótce sen go zmorzył i zasnął smacznie.

Zaledwie duża, pomarańczowa kula słoneczna ukazała się na horyzoncie, Hunter zbudził swych towarzyszy. Z wilczym apetytem zabrali się do sutego śniadania. Tomek z niecierpliwością oczekiwał na wydarzenia. Rzucał ukradkowe spojrzenia na bosmana, który z niewzruszonym spokojem pochłaniał góry jedzenia. Wkrótce bosman odsunął kubek, nabił fajkę tytoniem, wypuścił z niej kilka kłębów dymu. Mrugnął nieznacznie do chłopca i odezwał się:

— Wygląda na to, że Kawirondziaki nawalają! Idą chyba jak żółwie. Może by tak wyskoczyć im na spotkanie z jakimś marynarskim słowem?

— Oni zawsze mają czas — utyskiwał Hunter.

— Wezmę Tomka i wyjrzymy na drogę — zaproponował bosman.

— Dobrze, idźcie, a my tymczasem zwiniemy obóz — powiedział Wilmowski. — Tomku, zabierz ze sobą Dinga.

Chłopiec zaraz przypasał kolta, założył psu smycz i ruszył z bosmanem ku jezioru. Marynarz w milczeniu szedł wielkimi krokami, ale gdy tylko obóz znikł za krzewami, zboczył między drzewa.

— Źle idziemy, bosmanie — zaoponował chłopiec.

— Nic nie gadaj, koleżko, tylko smaruj za mną — uciął bosman lakonicznie.

— Murzyni nadejdą drogą. Tutaj ich nie spotkamy — upierał się Tomek.

— O to mi właśnie chodzi — wyjaśnił bosman. — Niech oni smarują do obozu, a my pójdziemy dalej.

— Przecież mieliśmy iść na spotkanie Kawirondo...

— Iii, to był tylko pretekst — odpowiedział marynarz. — Dopiero gdy nas miną, szurniemy do pana Castanedo. Potem powiemy, żeśmy ich nie spotkali, kapujesz?

— Nic nie rozumiem.

— Czekaj, zaraz ci to wyklaruję. Otóż, gdy upewnimy się, że tragarze poszli do obozu, odwiedzimy tego draba i cokolwiek wtedy się stanie, on nie będzie mógł nam już bruździć.

— Widzę, że pan dokładnie obmyślił cały plan — pochwalił Tomek.

Nie spiesząc się szli gąszczem, w końcu ujrzeli faktorię Castaneda, a Murzynów w dalszym ciągu nie było ani śladu. Bosman zatrzymał się; po krótkim namyśle zadecydował:

— Tutaj przycupniemy w krzakach, dopóki nie nadejdą nasi tragarze. Obejrzyj swoją pukawkę i nic teraz nie gadaj!

Tomek poczuł, że robi mu się gorąco. Bosman wyjął z kieszeni rewolwer, uważnie skontrolował broń, wydobył duży nóż sprężynowy, sprawdził działanie mechanizmu, po czym wyciągnął się na ziemi.

— Czy pan chce zabić Castaneda? — zapytał Tomek niepewnym głosem.

Bosman wzruszył pogardliwie ramionami i rzekł niedbale:

— Nie gorączkuj się, brachu. Kto by tam zabijał takiego szczura! Musimy być na wszystko przygotowani. Wiesz, co zrobimy? Otóż poprosimy grzecznie pana Castanedo, żeby nam sprzedał Samba. Czy zabrałeś forsę?

— Zrobiłem tak, jak pan polecił. Mam dziewięćdziesiąt sześć dolarów.

— Byczo, ja też mam około setki. Powinno wystarczyć.

Tomek umilkł; uważnie przyglądał się leżącemu na brzuchu bosmanowi. Po chwili upewnił się, że marynarz nie jest podniecony. Uśmiechał się nawet, spoglądając na widoczną poprzez zarośla drogę. Tomek usiadł obok przyjaciela, sadowiąc przy sobie Dinga. Minęło dobre pół godziny, zanim usłyszeli śpiew Murzynów.

— Idą już — szepnął Tomek.

— Nie gadaj i pilnuj Dinga, żeby był cicho — polecił bosman.

Murzyni szli gęsiego. Tomek liczył ich, gdy mijali kryjówkę. Trzydziestu nagich Kawirondo zniknęło za zakrętem ścieżki, lecz bosman nadal leżał na ziemi nic nie mówiąc. Chłopiec drżał z niecierpliwości.

W końcu bosman jednym susem powstał, otrzepał starannie spodnie i odezwał się:

— Do dzieła, kochany koleżko! Możemy gazować do pana Castanedo. Słuchaj teraz uważnie, co ci powiem. Cokolwiek by się działo, staraj się trzymać z daleka od niego. Gdyby się trochę zdenerwował, sam go uspokoję. Kapujesz?

— Dobrze, proszę pana!

Bez zwłoki ruszyli ku faktorii. Po chwili znaleźli się na werandzie. Marynarz zbliżył się do drzwi i zapukał. Wokół panowała cisza.

— Upił się pewno i śpi — mruknął bosman wchodząc do izby.

Nie było tu jednak nikogo. Na koślawym stole leżały resztki jedzenia. Posłanie było w nieładzie.

— Słuchaj, Tomku! Zostaw tu Dinga, a sam skocz na podwórko i zobacz, co się dzieje z Sambem — zwrócił się bosman do chłopca, biorąc jednocześnie smycz.

Tomek wybiegł z izby; po chwili był już na podwórzu. Zatrzymał się niezdecydowanie. Castanedo uzbrojony w długi bicz odpinał od słupa łańcuch, na

którym przywiązany był niewolnik. Zanim Tomek zdążył się zorientować w sytuacji. Murzyn zauważył go i krzyknął rozpaczliwie:

— Buana, ratuj, buana!

Castanedo obejrzał się natychmiast. Uspokoił się, widząc tylko chłopca.

Bat z trzaskiem smagnął grzbiet niewolnika.

— Niech go pan nie bije! — zaprotestował Tomek postępując naprzód kilka kroków.

— Wynoś się stąd albo i ty dostaniesz! — warknął mieszaniec. — Czego tu szukasz?

— Przyszliśmy porozmawiać z panem w pewnej sprawie — wyjaśnił Tomek.

— Nie mam teraz czasu. Już wam dałem Murzynów! Idźcie do diabła, zanim się rozmyślę — pogroził Castanedo.

W tej chwili pojawił się bosman Nowicki z Dingiem na smyczy. Castanedo zmierzył go gniewnym wzrokiem. Marynarz oddał smycz Tomkowi. Podszedł do mieszańca, który niemal dorównywał mu wzrostem. Castanedo był trochę szczuplejszy od marynarza, lecz pod jego ciemną skórą prężyły się węzły mięśni. Przez kilka sekund patrzyli sobie prosto w oczy, jakby mierzyli swe siły.

— Ile chcesz za tego Murzyna? — przerwał bosman milczenie.

Castanedo cofnął się dwa kroki. Jego prawa dłoń zacisnęła się na rękojeści tkwiącego za pasem noża.

— Ile chcesz za tego Murzyna? — ponowił bosman pytanie nie spuszczając wzroku z Castaneda.

— To ludożerca, zabierze go patrol. Ja nie sprzedaję ludzi. Idźcie do diabła! — odparł mieszaniec.

— Kup mnie, buana, kup mnie! On kłamie, ja jestem Galia i nie jem ludzi! On jest handlarz... — zawołał Sambo wyciągając dłonie, lecz potężne uderzenie bicza powaliło go na ziemię.

Castanedo z pianą wściekłości na ustach okładał Murzyna biczem ze skóry hipopotama. Krwawe pręgi wystąpiły na ciele nieszczęśliwca. Tomek zapomniał o uprzednim poleceniu bosmana. Drżąc z oburzenia jednym skokiem znalazł się przy oprawcy i pchnął go z całej siły. Castanedo rozjuszony do nieprzytomności zamierzył się batem na chłopca, lecz nagle płowe cielsko śmignęło w powietrzu i wylądowało na jego piersi. Białe kły kłapnęły w niebezpiecznej bliskości gardła Castaneda, który omal nie upadł.

— Dingo, do nogi! — krzyknął bosman.

Pies ze zjeżoną na grzbiecie sierścią powrócił do Tomka, lecz nie odrywał wzroku od Castaneda.

— Dość tej zabawy! Ostatni raz pytam: ile chcesz za tego Murzyna? — groźnie rzekł marynarz.

— Nie sprzedaję ludzi!

— Kłamiesz, draniu! Wszyscy wiedzą, że jesteś handlarzem niewolników. Kogo to sprzedałeś dwa dni temu Arabom, którzy odpłynęli na łodziach na południe? — wyrzucił z siebie bosman zbliżając się do mieszańca. — Powinniśmy zaprowadzić cię na łańcuchu do garnizonu angielskiego, ale bierz cię licho! I tak nie wywiniesz się od szubienicy. Gadaj, ile chcesz za niego!

Castanedo pomyślał chwilę, odzyskał spokój. Niemal przyjaźnie spojrzał na bosmana, mówiąc:

— Chcesz go koniecznie kupić, no, niech i tak będzie. Wiesz jednak, że Anglicy karzą za sprzedawanie ludzi. Pogadajmy więc bez świadków. Chodź ze mną do domu.

— Dobrze, idź pierwszy! — zgodził się bosman. — Tomku, poczekaj tutaj na mnie.

Castanedo szedł nie oglądając się na bosmana. Szybko wkroczył na werandę. Marynarz niemal deptał mu po piętach. Przeczucie ostrzegło go, że Mulat knuje coś niedobrego. Zaledwie znaleźli się w mrocznej izbie, Castanedo odwrócił się nagle całym ciałem. W ręku jego błysnął długi nóż.

— Giń, biały psie! — syknął, zadając straszliwe pchnięcie.

Bosman uskoczył. Prawą pięścią podbił do góry rękę uzbrojoną w nóż, którego ostrze zahaczyło tylko lekko o skórę na piersi, a lewą grzmotnął napastnika w podbródek. Stół rozleciał się pod ciężarem padającego Castaneda. Potężne uderzenie nie pozbawiło go przytomności. Natychmiast porwał się na nogi gotów do walki.

Marynarz spojrzał na niego z uznaniem. Od razu też przestał lekceważyć przeciwnika, ale nie stracił ducha. Staczał już przecież podobne walki w portowych tawernach, przywykł zaglądać śmierci w oczy. Pochylił się do przodu i błyskawicznym ruchem wydobył z kieszeni nóż. Sprężyna szczęknęła metalicznie, zwalniając ostrze. Obydwaj przeciwnicy przyczaili się do skoku. Krok za krokiem bosman zaczął przysuwać się do Castaneda, ten zaś teraz przylgnął do ściany. Naraz marynarz uskoczył w bok, prawą ręką zatoczył szeroki łuk, ciężki nóż śmignął w powietrzu. Stalowe ostrze świsnęło w przerażającej bliskości głowy Castaneda, który odruchowo zasłonił twarz przedramieniem. O to właśnie chodziło bosmanowi. Jak huragan zwalił się na mieszańca. Chwycił w przegubie dłoń uzbrojoną w nóż, szarpnął przeciwnika ku sobie, wykręcił mu rękę, aż zatrzeszczały stawy. Nóż upadł na podłogę. Teraz krótkimi uderzeniami pięści odrzucił od siebie wroga nie dopuszczając do zwarcia. Przeciwnik był zbyt silny, a bosman nie chciał tracić czasu. Rozpoczęła się gwałtowna walka na pięści. Nie wiadomo, jak by się ona zakończyła, gdyby bosman był mniej wprawny w takich zapasach. Castanedo szalał, podczas gdy marynarz na zimno obliczał każde uderzenie. Po kilku minutach bezkompromisowej walki uderzył Mulata w żołądek. Castanedo odsłonił na ułamek sekundy głowę, wtedy pięść twarda jak żelazo grzmotnęła go między oczy. Zaraz też otrzymał następny cios w podbródek. Z rozkrzyżowanymi rękami runął na wznak.

Bosman odpoczywał chwilę oparty plecami o ścianę. Z zadowoleniem przyglądał się leżącemu na podłodze Castanedowi. W towarzystwie Wilmowskiego i Smugi rzadko miewał okazję do podobnej rozprawy, a przecież przepadał za takimi przygodami. W jak najlepszym humorze poszukał wiadra z wodą, po czym wylał ją na głowę zemdlonego. Teraz dopiero odnalazł swój nóż tkwiący w ścianie i schował go do kieszeni.

Castanedo powoli odzyskiwał przytomność. W końcu bosman pomógł mu podnieść się z podłogi. Podsunął mu wielki, żylasty kułak pod nos i zagroził:

— Słuchaj, draniu! Wynoś się stąd, i to migiem. Pamiętaj, że złożymy o tobie meldunek pierwszemu patrolowi angielskiemu, jaki spotkamy. Gdybyś ukrył się tutaj, to odnajdę cię wracając z Ugandy i bez wielkich ceregieli wpakuję porcję ołowiu w łepetynę. Teraz chodź i uwolnij Samba z łańcucha.

Castanedo bez protestu chwiejnym krokiem wyszedł z bosmanem. Tomek przeraził się, gdy ujrzał przyjaciela. Ciemniejąca obwódka otaczała jego lewe oko, z rozciętej dolnej wargi płynęła czerwona strużka, a rozdarta na piersiach koszula poplamiona była krwią. Castanedo wyglądał wprost okropnie. Oczy jego ginęły w olbrzymich siniakach, a rozbity nos obficie krwawił.

— Co się stało, bosmanie?! — przeraził się Tomek.

— He, he, he! — zarechotał marynarz. — Poprosiłem pana Castanedo, żeby uwolnił Samba. No i wolny jesteś, chłopie!

Castanedo w milczeniu odpiął łańcuch. Sambo przypadł do ręki wspaniałomyślnego dobroczyńcy, lecz ten szybko schował ją za siebie, mówiąc:

— Nie rób ze mnie babki nieboszczki albo biskupa!

Sambo nie zrozumiał żartu bosmana, cofnął się trochę onieśmielony i zapewnił gorąco:

— Sambo kocha dużego i małego buanę. Sambo kocha też psa, bardzo dobrego psa.

— Dobra nasza, chodź teraz do obozu, a pan, panie Castanedo, pamiętaj. Co powiedziałem! Nie mówię do widzenia, bo lepiej będzie, jeżeli się już nie spotkamy.

Bosman ze swymi towarzyszami zniknął wkrótce w przydrożnej zieleni. Castanedo bezwładnie oparł się o słup i grożąc za nimi pięścią wymamrotał rozbitymi wargami:

— Usłyszycie o mnie wkrótce!

Tymczasem w obozie zaczęto się już niepokoić o bosmana i Tomka. Kawirondo stali przy wyznaczonych im bagażach. Objuczone osły i osiodłane konie gotowe były do drogi. Wilmowski i Smuga co chwila wyglądali w kierunku jeziora.

Nagle ujrzeli Tomka biegnącego z Dingiem. Chłopiec stanął przed ojcem.

— Tatusiu, bosman prosi, żebyś koniecznie przyszedł nad jezioro — wysapał.

Wilmowski zmarszczył brwi; skinął głową na Smugę. Zaledwie oddalili się od Murzynów, Tomek oznajmił:

— Byliśmy u pana Castanedo. Bosman nakłonił go do uwolnienia Samba.

— O kim mówisz? — niespokojnie zapytał ojciec.

— Sambo to ten uwiązany na łańcuchu Murzyn, który miał być ludożercą.

W krótkich słowach wyjaśnił całą sprawę.

— Skoro uwolniliście Samba, to dlaczego bosman kryje się z nim nad jeziorem? — zapytał Wilmowski.

— Przecież Kawirondo słuchają Castaneda jak rodzonego ojca, więc bosman obawia się, że jak zobaczą Samba i...

— Spojrzyj, Andrzeju, na naszego kochanego bosmana, a wszystko zrozumiesz — roześmiał się Smuga.

W tej chwili Wilmowski ujrzał marynarza siedzącego na zwalonym pniu. Olbrzym, jak gdyby nic nie zaszło, palił fajkę. Obok niego przykucnął na ziemi Murzyn.

— A tobie co się stało? Więc to tak było! — westchnął ciężko Wilmowski, przyglądając się sińcom marynarza. — Że też was obydwóch nigdzie nie można samych puścić!

— Czy Castanedo żyje? — krótko zagadnął Smuga.

— Uchowaj mnie Boże przed śmiertelnym grzechem! — oburzył się bosman. — Żyje ten drań, ale zapowiedziałem mu, że złożymy meldunek Anglikom.

— Co powiesz o tym, Janie? — zafrasował się Wilmowski.

Smuga pomyślał chwilę, a następnie oznajmił:

— Nie wiem, czy Castanedo będzie próbował wywrzeć zemstę. Sądząc po wyglądzie takiego siłacza jak bosman, handlarz niewolników nieprędko ochłonie po otrzymanych cięgach. W każdym razie obowiązkiem naszym było przyjść temu biedakowi z pomocą. Nie martwmy się więc teraz na zapas i dokończmy pięknego dzieła zapoczątkowanego przez naszych dwóch zuchów.

— Jestem tego samego zdania — rozchmurzył się Wilmowski. — Zapytaj, Janie, tego chłopca, skąd pochodzi.

Po krótkiej rozmowie z Murzynem, Smuga poinformował przyjaciół:

— Sambo należy do plemienia Galia zamieszkującego zachodnio-północne rubieże Ugandy. Powiedziałem mu, że część naszej trasy wiedzie w kierunku jego rodzinnych stron. Wyjaśniłem również, kim jesteśmy i co tutaj robimy.

— Teraz, Tomku, pobiegnij po pana Huntera i przynieś bosmanowi świeżą koszulę. Lepiej niech Kawirondo nie domyślają się zbyt wiele — polecił Wilmowski.

Wkrótce Tomek powrócił wraz z Hunterem. Tropiciel uważnie wysłuchał relacji Wilmowskiego i osobiście porozmawiał z Sambem.

— A to kanalia z tego Castaneda! Szkoda, że pan nie wpakował mu po prostu kuli w łeb — gniewał się Hunter, głaszcząc po głowie drżącego Murzyna. — I to wszystko dzieje się w dwudziestym wieku! Czy dał mu pan chociaż za to przyzwoitą nauczkę?

— Niech się pan nie martwi, proszę pana — wtrącił Tomek. — Twarz Castaneda wyglądała jak surowy befsztyk. Ledwo trzymał się na nogach. Mówiłem przecież, że nikt nie dorówna siłą panu Nowickiemu!

— Pocieszyłeś mnie trochę, kochany chłopcze — rozchmurzył się Hunter. — Pomyślmy teraz, co mamy zrobić z Sambem. Droga do jego plemienia wiedzie przez kraj zamieszkiwany przez Murzynów Luo, którzy wzięli go do niewoli i sprzedali handlarzowi. Nie możemy więc tutaj zostawić biedaka własnemu losowi.

— Najlepiej zrobi, jeżeli pójdzie z nami przez tereny Luo, a później, gdy już nic nie będzie mu od nich groziło, zboczy na północ — doradził Wilmowski.

Hunter przetłumaczył to Sambowi. Murzyn rzucił się przed Tomkiem na kolana, wołając łamaną angielszczyzną:

— Sambo bardzo kocha dużego i małego buanę i dobrego psa! Sambo również pójdzie łowić dzikie zwierzęta! Później Sambo pojedzie z białym buaną za wielką wodę. Ojciec i matka zginęli w walce z Luo. Siostra i brat zabrani przez handlarzy. Mały buana nie wygoni od siebie biednego Samba!

— Musimy mu pomóc. Zabierzmy go, tatusiu! — zawtórował Tomek.

— Kto wie, czy nie jest to w tej chwili najlepsze wyjście? Dobrze, niech Sambo idzie z nami. Później pomyślimy o jego dalszym losie — powiedział Wilmowski ku radości syna.

— A więc sprawa załatwiona. Czas już na nas — przynaglił Hunter. — Pojawienie się Samba w naszym towarzystwie wywoła wśród Kawirondo wiele komentarzy. Najlepiej niech Murzyn powie przy okazji, że kupiliśmy go od Castaneda.

OPÓR MURZYNÓW

Hunter szybko formował karawanę do wymarszu. Czoło jej mieli tworzyć, oprócz przewodnika. Wilmowski, Tomek i dwóch Masajów. Za nimi uszeregowali się gęsiego Kawirondo z przydzielonym im do niesienia bagażem, a dalej stanęły objuczone osły. Tylną straż stanowili Smuga, bosman Nowicki i trzej Masajowie.

Niemal w ostatniej chwili przed daniem hasła wymarszu przez Huntera Tomek zwrócił się do ojca:

— Tatusiu, tak bym chciał mieć przy sobie Samba.

Wilmowski spojrzał pytająco na tropiciela.

— Tomek naprawdę miewa dobre pomysły — odparł Hunter. — Radzę przydzielić Samba do jego dyspozycji. W ten sposób utrzymamy uwolnionego niewolnika z dala od Kawirondo, którzy wilkiem na niego spoglądają.

— Ma pan słuszność. Tomku, zaopiekuj się nim — rzekł Wilmowski.

— Dziękuję, tatusiu. Obmyśliłem już dla niego wspaniałą funkcję. Poczekajcie na mnie chwilę, muszę jeszcze coś przygotować przed wyruszeniem w drogę.

Tomek pobiegł między drzewa; powrócił niebawem trzymając w ręku długi, prosty kij. Teraz z podręcznej torby wydobył biało-czerwoną flagę, którą przymocował do drzewca.

— Sambo, będziesz niósł polską flagę na czele karawany — poinformował Murzyna.

Sambo, dumny jak paw z wyróżnienia, wziął chorągiew z rąk Tomka. Kilkakrotnie powiał nią wysoko ponad głową. Polska flaga załopotała w samym sercu Afryki.

— Skąd ci przyszedł do głowy ten pomysł? — zdumiał się Wilmowski, spoglądając ze wzruszeniem na syna.

— Przeczytałem w pamiętniku Stanleya, że kazał zawsze nieść chorągiew Stanów Zjednoczonych na czele swej karawany. Uważałem za słuszne uczynić podobnie. Toteż jeszcze w Londynie przygotowałem polski sztandar, aby wszyscy tutaj wiedzieli, kim jesteśmy — wyjaśnił chłopiec. — Chyba nie masz nic przeciwko temu, tatusiu?

— Muszę nawet przyznać, że twój pomysł bardzo mi się podoba. Dumny jestem. Tomku, że pamiętasz o ojczyźnie — odparł ojciec śledząc wzrokiem łopoczący sztandar.

— A to mi setna niespodzianka! — zawołał bosman Nowicki. — Niech cię kule biją, brachu! Aż mnie w dołku ścisnęło, gdy po tylu latach tułaczki ujrzałem polską flagę.

Przyjaźnie klepnął chłopca w ramię i gwiżdżąc "Mazurka Dąbrowskiego" ochoczo powrócił na wyznaczone mu stanowisko.

— Słuchaj. Tomku! Jeżeli mamy naśladować Stanleya, to w chwili wymarszu wystrzelmy razem na wiwat — zaproponował Smuga.

— Wspaniała myśl — ucieszył się chłopiec, chwytając sztucer zawieszony na łęku siodła.

Hunter jeszcze raz sprawdził szyk ludzi gotowych do wymarszu. Na jego rozkaz rozległa się palba z dziesięciu strzelb. Murzyni krzyknęli donośnie, potrząsnęli dzidami.

Karawana ruszyła brodem przez rzekę Nzoia. Woda rozbryzgiwała się pod stopami biegnących Murzynów, którzy wrzeszczeli jak opętani, aby spłoszyć przebywające w pobliżu krokodyle. Wkrótce ekspedycja znalazła się na przeciwległym brzegu.

Tomek jechał stępa na koniu obok ojca i Huntera. Z zadowoleniem spoglądał na Samba niestrudzenie powiewającego flagą. Za nim ciągnął się długi łańcuch tragarzy, którego koniec stanowiła tylna straż karawany. Naraz Tomek zaczął pilnie nasłuchiwać, gdyż w tej chwili Sambo zanucił pieśń, którą sam ułożył:

"Mały biały buana jest odważny jak wielki lew! On nie boi się złych soko! On nie boi się nawet pana Castanedo, który bił biednego Samba. Mały biały buana to wielki wojownik. On nie pozwoli nikomu bić Samba. On kazał nieść piękną flagę. Teraz Sambo też jest wielkim człowiekiem i ma dużo jeść, a handlarza niewolników zbił wielki biały buana... Sambo kocha swego pana i jego dobrego psa, który jak lampart rzucił się do gardła złego pana Castanedo..."

Tragarze znajdujący się w pobliżu Samba natychmiast przekazali dalej mimo woli usłyszaną wiadomość. Wśród Kawirondo zapanowało duże ożywienie.

— Do licha! — zaklął Hunter. — Sambo wypaplał już o pobiciu Castaneda. Że też Murzyni nie potrafią trzymać języka za zębami!

— Ha! Nic na to nie poradzimy — zauważył Wilmowski. — Znajdujemy się przecież na najbardziej plotkarskim kontynencie świata.

— Trzeba zaraz ostrzec pana Smugę, że Kawirondo się o wszystkim dowiedzieli. Musimy zachować czujność, jeżeli nie chcemy się narazić na przykre niespodzianki — zachmurzył się Hunter.

— Tomku, poproś do nas pana Smugę — polecił Wilmowski.

Chłopiec osadził konia na miejscu, gwizdnął na Dinga. Murzyni opanowali swe podniecenie. Rozpoczęli monotonną pieśń, lecz gdy mijali chłopca, przyspieszali kroku. Po chwili Tomek uderzył konia cuglami i podjechał do tylnej straży.

— Zatęskniłeś za nami, brachu, co? — roześmiał się bosman. — Niech wieloryb połknie tę Afrykę! Przypomina mi ona warszawską łaźnię na Krakowskim Przedmieściu.

— Może po tej parówce nabierze pan ochoty do wspinaczki na lodowiec Kilimandżaro — zażartował Tomek.

— A dajże mi spokój, utrapieńcze, z tymi górami! Nie mam zamiaru wytrząsać mego bosmańskiego brzucha skacząc po lodowcach. Wolę już słuchać murzyńskich kołysanek, chociaż jeżeli wkrótce nie przestaną śpiewać, to usnę i zwalę się ze szkapy.

— Lepiej niech pan nie zasypia, bo pan Hunter mówi, że z tego śpiewania może przydarzyć się nam coś złego — poinformował Tomek.

— Co masz na myśli? — zapytał Smuga.

— Sambo ułożył i zaśpiewał bardzo ładną piosenkę, ale nie było to zbyt roztropne, gdyż w ten sposób Kawirondo dowiedzieli się, że bosman poturbował handlarza niewolników — poinformował Tomek.

— Byłem na to przygotowany znając zwyczaje Murzynów. Oni lubują się w chwaleniu wszystkiego, co dla nich niezwykłe. Już z samej wdzięczności Sambo będzie śpiewał o twoich i bosmana czynach — powiedział Smuga.

— Co on tam wyśpiewywał? — zagadnął marynarz.

— Nie mogłem wszystkiego dobrze zrozumieć, ale bardzo chwalił pana, mnie i Dinga.

— Hm, bierz licho tych Kawirondziaków, niech sobie Sambo śpiewa — mruknął zadowolony bosman.

— Właśnie tatuś przysłał mnie po pana Smugę — oświadczył Tomek. — Pan Hunter jest bardzo zaniepokojony, obawia się teraz jakichś niespodzianek ze strony tragarzy.

— Bosmanie, miej na wszystko oczy i uszy otwarte. Jadę z Tomkiem do Andrzeja — zarządził Smuga, popędzając wierzchowca arkanem.

Przynaglone konie szybko dognały czoło karawany.

— Tomek powiedział ci już zapewne, że Kawirondo dowiedzieli się o zajściu z Castanedem — zaczął Wilmowski, gdy Smuga znalazł się przy nim. — Pan Hunter przewiduje nieoczekiwane kłopoty.

— Obawa może się okazać całkowicie uzasadniona — przyznał Smuga. — Castanedo ma u Kawirondo wielki mir. Miejmy jednak nadzieję, że damy sobie z nimi radę.

— Chciałem, żebyś wiedział o tym, i dlatego prosiłem cię do nas — dodał Wilmowski.

— Byłem na to przygotowany, gdyż znam domyślność i ciekawość Murzynów. Spostrzegłem też zaraz ich podniecenie, gdy podawali sobie wiadomość zaczerpniętą z piosenki Samba — oświadczył Smuga.— Radzę przyspieszyć tempo marszu.

— Zaraz wydam Mescherje odpowiednie polecenie. To inteligentny człowiek, więc w lot pojmie, o co chodzi — powiedział Hunter. — Im szybciej oddalimy się od siedziby Castaneda, tym lepiej dla nas.

Wkrótce rozległy się gardłowe głosy Masajów, przynaglające tragarzy do szybszego kroku. Droga wiła się teraz między pagórkami. Rosnące na nich drzewa łagodziły trochę płynący z nieba potok słonecznego żaru. Co pewien czas tragarze przystawali dla nabrania tchu, lecz w najgorętszych godzinach dnia Hunter nie pozwolił na dłuższy wypoczynek, obiecując Murzynom suty posiłek na wieczornym biwaku. Kawirondo milcząco przyjmowali wszystkie polecenia i jak dotąd marsz odbywał się bez jakichkolwiek przeszkód. Słońce mocno pochyliło się ku linii horyzontu.

— Uszliśmy dzisiaj ładnych parę mil — zauważył Wilmowski. — Czy nie wydaje się panu dziwne, że nie spotykamy wiosek murzyńskich?

— Znajdujemy się pomiędzy terenami Kawirondo i Murzynów Luo — odparł Hunter. — Wkrótce powinniśmy przekroczyć granice Ugandy. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, to jutro będziemy mogli nająć nowych tragarzy.

— Nie mamy powodów do narzekania na Kawirondo, nie sprawili nam przecież dotąd najmniejszego kłopotu — zauważył Wilmowski, który nie podzielał obaw przewodnika.

— Wolę zawsze przewidywać najgorsze — odrzekł sceptycznie Hunter. — Czas już stanąć na nocleg, pojadę trochę szybciej naprzód, żeby się rozejrzeć za odpowiednim miejscem na obóz.

Wkrótce tropiciel zniknął wśród pagórków. Dzięki przynaglaniu Masajów, których ochrypłe głosy odzywały się co chwila, tragarze utrzymywali niezłe tempo marszu, lecz było widać, że gonią resztkami sił. Toteż Wilmowski odetchnął z ulgą, gdy z dala usłyszał strzał.

— Dlaczego pan Hunter strzela? — zaniepokoił się Tomek.

— Prawdopodobnie upolował coś dla nas na kolację — domyślił się Wilmowski. — Trzeba przyznać, że tragarze zasłużyli na obfity posiłek.

Murzyni widocznie podzielali zdanie Wilmowskiego, gdyż samorzutnie przyspieszyli kroku. Niebawem karawana dotarła do rozległego stepu porosłego pożółkłą trawą. Zaraz też łowcy ujrzeli przywiązanego do drzewa wierzchowca Huntera, a jego samego nieco dalej w stepie. Kawirondo złożyli skrzynie na ziemi. Kilku z nich pobiegło ku Hunterowi, podczas gdy Masajowie przystąpili natychmiast do rozbijania obozu. Nim rozpięto namioty, Hunter pojawił się na czele Kawirondo niosących dużą zebrę. Murzyni zaraz zaczęli ściągać z niej skórę.

— Przecież nie będziemy jedli konia! — oburzył się Tomek.

— Dlaczego mielibyśmy nie jeść? — wtrącił Smuga. — Mięso młodych zebr jest zupełnie smaczne. O ile się nie mylę, jest to zebra Granta[37].

— Tak, to zebra Granta — przyznał Hunter. — Pasło się ich tutaj kilkanaście sztuk z antylopami gnu i strusiami. Miałem ochotę upolować antylopę, ale przewodnik stada, stary, potężny ogier, zwietrzył mnie zbyt szybko. Zaraz też zaczął rżeć i walić w ziemię kopytami. Zwierzęta miały się już na baczności, nie chcąc więc zmarnować dobrej okazji, strzeliłem do najbliższej sztuki.

Kilku Murzynów wzięło skórzane wory i udało się na poszukiwanie wody. Łowcy zrezygnowali z budowania bomy. Liczna karawana nie musiała się obawiać napaści dzikich zwierząt, rozpalono jedynie parę ognisk, nad którymi zadymiły wkrótce kotły z gotującą się strawą.

— Tatusiu, co to za góra piętrzy się tam na północy? — zapytał Tomek, spoglądając w kierunku szczytu czerniejącego na tle jasnego nieba.

— To zapewne góra Elgon na pograniczu Kenii i Ugandy — odparł ojciec.

— Więc jesteśmy już tak blisko Ugandy? — ucieszył się Tomek. — Muszę zaraz spojrzeć na mapę.

Rozłożył na składanym stoliku dużą mapę Afryki. Szybko odszukał górę Elgon, leżącą na północny wschód od Jeziora Wiktorii. Odczytał wysokość — wynosiła cztery tysiące trzysta dwadzieścia jeden metrów — po czym ustalił miejsce, w którym karawana rozbiła obóz na nocleg. Znajdowali się zaledwie o kilka kilometrów od kropkowanej linii granicznej, biegnącej ukosem na południe od góry Elgon do Jeziora Wiktorii.

— Jutro powinniśmy wkroczyć do Ugandy — orzekł Tomek chowając mapę.

Tymczasem ciemność wieczoru zapadła nad stepem. Murzyni krzątali się przy posiłku. Niektórzy spożywali już smakowite kąski ledwo poddymionej pieczeni, inni przypiekali bądź smażyli ogromne jej kawały. Mescherje wysysał szpik z golenia zebry, podczas gdy Sambo pieczołowicie doglądał gotującej się w kotle zupy. Mieszał ją bardzo zręcznie i z uwagą zbierał szumowiny. Kawirondo znosili paliwo, poprawiali płonące ogniska, których ruchoma jasność migotała na ich nagich brązowych ciałach oraz czerwieniących się teraz namiotach i gubiąc się w głębi pobliskich drzew, rzucała pomiędzy gałęziami fantastyczne cienie.

Tomek gryzł suchary i przyglądał się malowniczej obozowej scenie, gdy nagle usłyszał głuche, odległe dudnienie bębna.

— Tam-tamy grają, bosmanie — odezwał się do siedzącego obok towarzysza.

— Czort z nimi — mruknął bosman. — Moje kiszki od dawna grają z głodu i nikt się temu nie dziwi. Pewno w jakiejś pobliskiej wiosce odbywają się tańce.

---

[37] ***Equus quagga granti*** **— zwana jest też zebrą równikową. Ten najpospolitszy podgatunek z gatunku zebry stepowej zamieszkuje sawanny Afryki Wschodniej, zwłaszcza Kenię.**

— Myli się pan. To nie jest głos bębna grającego do tańca — odparł Tomek. — Słyszałem, jak tatuś mówił, że Afryka jest najbardziej plotkarskim krajem na świecie. Interesujące wiadomości rozchodzą się tutaj wśród Murzynów szybciej niż w Europie wyposażonej w telegraf i telefony. A wie pan, jakim sposobem się to dzieje? Tam-tamy są telegrafem puszczy. Czy ten sposób dudnienia nie przypomina alfabetu Morse'a?

— Wiesz co, brachu? Może i masz rację. Mówiono mi kiedyś, że Murzyni podają sobie różne wiadomości za pomocą bębnów — przyznał bosman wsłuchując się w głuche dudnienie.

Przerwali rozmowę. Początkowo głos bębna rozbrzmiewał gdzieś na wschodzie, lecz niebawem dołączyły się do niego tam-tamy na północy i zachodzie.

— Chodźcie na kolację! — zawołał Wilmowski, zbliżając się do zasłuchanych dwóch przyjaciół.

— Tatusiu, czy nie wiesz, co za wieść niosą w tej chwili tam-tamy? — zagadnął chłopiec.

— Mowę tam-tamów rozumieją w każdej wsi jedynie nieliczni "telegrafiści". Oni to nadają i odbierają wiadomości, które rozpowszechniają wśród członków swego plemienia. Biali ludzie nie znają używanego przez nich szyfru i nie przeniknęli tajemniczej roli, jaką spełniają bębny w życiu Murzynów. Pan Hunter jest zdania, że tam-tamy przekazują teraz jakieś wiadomości o nas — wyjaśnił Wilmowski. — Nie traćcie więc czasu i chodźcie na kolację.

Uczta obozowa przeciągnęła się. Kawirondo jakby zapomnieli o całodziennym, nużącym marszu; wydobywali z kotła palcami coraz to nowe kawały smacznego gotowanego mięsiwa. Pochylając się ku sobie rozmawiali z ożywieniem.

— Ciekaw jestem, jaką wiadomość przekazały tam-tamy naszym tragarzom — zagadnął Hunter, bacznie obserwując zachowanie Murzynów.

— Więc przypuszcza pan, że oni zrozumieli mowę bębnów? — zapytał Wilmowski.

— Nie mam najmniejszej wątpliwości, że wśród nich znajduje się ktoś wtajemniczony w arkana tutejszego telegrafu — potwierdził tropiciel. — Czy nie zauważyliście, że od chwili gdy ozwały się bębny, tragarze zbierają się na uboczu i dyskutują w gromadkach?

— Będziemy czuwali na zmianę w nocy — wtrącił Smuga — coś mi się wydaje, że nadchodzą kłopoty, których tak się pan Hunter obawiał. Radzę więc teraz udać się na spoczynek, aby dobrze wypocząć przed jutrzejszym marszem.

— Ha, żeby to można było wiedzieć, co mówiły tam-tamy — westchnął Tomek.

Smuga obrzucił chłopca zamyślonym wzrokiem.

— Mam pewną myśl. Tomku — rzekł. — Zabierz na noc Samba do swego namiotu.

Zaniepokojony Wilmowski spojrzał na Smugę palącego krótką fajeczkę. Rada wytrawnego podróżnika udzielona po odezwaniu się chłopca skojarzyła się w głowie Wilmowskiego z myślą, że ten niezwykły przyjaciel mógł rozumieć mowę tam-tamów.

Przebywał przecież długo w Afryce i poznał wiele jej tajemnic. Smuga jednak nie zdradzał ochoty do dalszej rozmowy. Poprosił Huntera o ustalenie kolejności dyżurów i wkrótce udał się na spoczynek. Z wyjątkiem Wilmowskiego, który pierwszy miał pełnić straż, reszta łowców poszła w jego ślady.

Tomek nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok, słuchając dudnienia bębnów. Tuż przy jego łóżku polowym rozłożył się na kocu dumny z wyróżnienia Sambo. Regularny, głęboki oddech młodego Murzyna stanowił najlepszy dowód, że nie rozumiał mowy tam-tamów.

O wschodzie słońca Hunter zarządził pobudkę. Gdy Tomek wyszedł z namiotu. Sambo kręcił się już przy dymiących kotłach. Masajowie zwijali obóz. Milczenie Kawirondo spożywających bez pośpiechu śniadanie od razu zwróciło uwagę Tomka.

Smuga przywołał Mescherje i polecił przynaglić tragarzy. Niewiele wszakże pomogła jego interwencja. Biali łowcy przygotowani byli już do wymarszu, podczas gdy Kawirondo jeszcze się posilali.

Hunter podszedł do łowców i szepnął:

— Oni chyba umyślnie opóźniają wyruszenie w drogę. Zwróćcie uwagę na ich ponure miny.

Smuga po raz drugi przywołał dowódcę Masajów.

— Mescherje, czy powiedziałeś im, że mają się pospieszyć?

— Mówią, że wczorajsze jedzenie im zaszkodziło — oświadczył Mescherje. — Nie chcą jeść prędko.

— Jeżeli jedzenie im szkodzi, to wylej je z kotłów na ziemię. Ruszamy w drogę — rozkazał Smuga.

— Co to ma znaczyć. Janie? — zaniepokoił się Wilmowski. — Czy nie lepiej dać jeszcze trochę czasu na posiłek?

— Bądź spokojny, nikt z Kawirondo nie zachorował po wczorajszej kolacji. Po prostu usiłują opóźnić marsz — odpowiedział Smuga.

Mescherje wydał swoim wojownikom odpowiednie polecenie. Zaledwie zdążyli wylać zawartość pierwszego kotła na ziemię. Kawirondo zaczęli krzyczeć i porwawszy dzidy otoczyli Masajów. Smuga nie zawahał się ani chwili.

— Bosmanie, proszę pójść ze mną — rozkazał krótko. — Pan Hunter, ty Andrzeju, i Tomek z Sambem zostańcie tu w pogotowiu.

Szybkim krokiem zbliżył się do wrzeszczących Kawirondo. Stanowczym głosem nakazał im milczenie. Gdy się uspokoili, powiedział do Mescherje:

— Opróżniaj kotły!

Masajowie chwycili następny kocioł chcąc wylać jego zawartość, lecz nagi, rosły Kawirondo przyskoczył do Smugi wygrażając rękoma.

— Czego chcesz? — zimno spytał Smuga.

— Otruliście wczoraj Kawirondo! Dzisiaj jesteśmy chorzy, a wy nie dacie odpocząć i jeść! — odparł butnie tragarz.

Złowrogi szmer rozległ się wśród Murzynów. Kawirondo przysunął się bliżej do Smugi. Zanim zdążył dotknąć podróżnika, twarda jak żelazo pięść wylądowała na jego podbródku. Murzyn natychmiast stracił przytomność, osunął się na ziemię.

— Człowieka tego oddamy żołnierzom angielskim za szerzenie buntu — głośno powiedział Smuga. — Związ go, Mescherje, i trzymaj pod strażą.

Masajowie wprawnie skrępowali ręce zemdlonego. Dwóch stanęło przy jeńcu z bronią gotową do użycia. Kawirondo, widząc porażkę swego przywódcy, byli niezdecydowani.

— Brać pakunki i ruszamy zaraz w drogę — rozkazał Smuga.

Kawirondo zaczęli szeptać między sobą.

Smuga wydobył z pochwy rewolwer. Zbliżył się do pierwszego z brzegu Murzyna.

— Bierz natychmiast pakunek! — polecił stanowczo.

Kawirondo zawahał się, lecz gdy Smuga dotknął jego piersi końcem chłodnej lufy porwał z ziemi pakę i stanął gotowy do drogi. Pozostali Murzyni nie stawili oporu. Tymczasem główny sprawca zamieszania przyszedł do przytomności. Spode łba spoglądał na Smugę, lecz zachowywał się już zupełnie poprawnie.

Hunter, Tomek i jeden wojownik masajski ruszyli za niosącym flagę Sambem na czele karawany. Za nim poszli gęsiego tragarze i zwierzęta juczne. Tak jak poprzedniego dnia, Smuga i bosman stanowili tylną straż. Tuż przed ich wierzchowcami dwaj Masajowie prowadzili przywódcę Kawirondo. Wilmowski i Mescherje szli po obydwu stronach łańcucha tragarzy.

Po pewnym czasie Wilmowski wstrzymał konia i zrównał się z tylną strażą. Przyłączył się do Smugi, który jakby zapomniawszy już o przykrym zajściu z Kawirondo, był w doskonałym humorze.

— Słuchaj, Janie, zaniepokoiłem się dzisiejszym wydarzeniem — zaczął Wilmowski. — Czy naprawdę masz zamiar wydać garnizonowi angielskiemu tego nierozsądnego Kawirondo? Wiesz, że nie lubię używać siły w stosunku do krajowców.

— Nie martw się niepotrzebnie, Andrzeju — uspokoił go Smuga. — Musiałem postąpić ostro, aby zapobiec dalszym kłopotom. Jestem pewny, że ten młody Murzyn wkrótce poprosi nas o darowanie kary i wtedy chętnie wybaczę mu nieposłuszeństwo.

— Zupełnie nie rozumiem tego nagłego oporu tragarzy — mówił zafrasowany Wilmowski. — Oby tylko nie wynikły z tego poważniejsze niesnaski.

Smuga przez dłuższą chwilę milczał zadumany. Potem spojrzał na przyjaciela i zaczął mówić:

— Parę lat temu przebywałem przez jakiś czas w okolicy południowego wybrzeża Jeziora Wiktorii. Wówczas Watussi prowadzili wojnę z Niemcami, którzy chcieli usunąć

ich siłą ze swej kolonii, Tanganiki[38]. W miarę mych skromnych możliwości szkoliłem Watussi w europejskiej taktyce wojennej...

— Nic o tym nie wiedziałem... — wtrącił Wilmowski.

— Ot, różnie w moim życiu bywało — rzekł Smuga. — Watussi nabrali do mnie zaufania. Zaprzyjaźniłem się z nimi. Poszczególne oddziałki murzyńskie musiały przekazywać sobie rozkazy oraz wiadomości dotyczące ruchów wroga. Byłem dowódcą jednego z nich. Dlatego też specjaliści od mowy tam-tamów zadali sobie wiele trudu, by choć trochę wtajemniczyć mnie w arkana afrykańskiego telegrafu[39].

— Janie, czy to naprawdę możliwe? — zawołał Wilmowski zaskoczony nieoczekiwaną wiadomością. — Przecież nawet stare wygi afrykańskie twierdzą, że dźwięki nadawane przez tam-tamy posiadają częstotliwość nieuchwytną dla ucha Europejczyka!

— Nie dziwię się, że moje wynurzenia budzą niedowierzanie. Ale doświadczony w sprawach afrykańskich Europejczyk może odróżniać tony różnych bębenków i określić ich pochodzenie.

— Ba, lecz to nie znaczy, że potrafi odcyfrować tekst podawanej w ten sposób depeszy — zaoponował Wilmowski.

— Nie mylisz się — przyznał Smuga. — Mnie również nie zawsze udaje się rozszyfrować mowę tam-tamów, ale gdy bębny mówią znajomym mi narzeczem, coś niecoś odgadnę.

— Janie, jesteś chyba pierwszym Europejczykiem, który może się tym pochwalić! Zrozumiałeś, co bębny mówiły wczoraj?!

Smuga skinął głową.

— Cóż to była za wiadomość?

— Czarne Oko każe za wszelką cenę opóźnić marsz karawany białych łowców dzikich zwierząt — odparł Smuga.

— To wprost nie do wiary! — zawołał Wilmowski.

— Rozumiesz teraz, dlaczego musiałem złamać opór Kawirondo. Pragnę pokrzyżować nie znane nam plany Castaneda.

— Więc nasz rozrachunek z handlarzem niewolników jeszcze się nie skończył — zafrasował się Wilmowski.

— Przypuszczam, że knuje jakąś zemstę — przyznał Smuga. — Nie warto się tym zbytnio przejmować, aczkolwiek ostrożność jest jak najbardziej wskazana. Mam nadzieję, iż jego wpływy nie przekraczają granicy Ugandy stanowiącej inne państwo. Dlatego też im szybciej idziemy naprzód, tym lepiej dla nas.

---

[38] Tanganika — kraj na południe od Kenii i Ugandy, dawna kolonia niemiecka, którą Niemcy utracili po przegranej I wojnie światowej. Od tej pory Tanganika stanowiła terytorium powiernicze ONZ aż do uzyskania niepodległości w 1964 r. Obecna Zjednoczona Republika Tanzanii obejmuje dawną Tanganikę oraz wyspy Zanzibar i Pemba.

[39] Telegrafista murzyński może przekazywać dalej każdą wiadomość, nawet nadaną w niezrozumiałym dla niego narzeczu.

— Oczywiście, masz słuszność, Janie! Chyba powinniśmy poinformować naszych towarzyszy o wiadomości przekazanej przez tam-tamy?

— Och, nie! To byłby błąd taktyczny. Nie mów nikomu, że zrozumiałem sygnały tam-tamów.

TAJEMNICZY NAPAD

Wobec zdecydowanej postawy łowców Kawirondo nie próbowali już jawnego buntu. Mimo to marsz odbywał się nadzwyczaj powoli. Murzyni znajdowali ku temu dziesiątki najrozmaitszych powodów. To kolce cierni wbijały im się w stopy, to znów ktoś zachorował nagle na żołądek bądź poczuł nieznośny ból zęba; innym razem jeden z tragarzy zwichnął sobie nogę, któremuś rozbiła się niesiona paka i trzeba było ją przeładować. Nic więc dziwnego, że słońce znajdowało się wysoko na niebie, a łowcy nie zdołali jeszcze dotrzeć do granicy Ugandy. Na jednym z takich przymusowych postojów Smuga zbliżył się do Wilmowskiego pełniącego funkcję sanitariusza i rzekł:

— Szybciej wędrują tutaj mrówki niż nasza karawana. Musimy koniecznie zaradzić złu.

— Co możemy zrobić? — odparł Wilmowski, podając szklankę wody z solą tragarzowi żalącemu się na ból żołądka.

— Kawirondo symulują najrozmaitsze dolegliwości, aby opóźnić marsz. Trzeba ich więc zniechęcić do zgłaszania się po leki. Radziłbym wszystkim żądającym pomocy dawać do wąchania amoniak — zaproponował Smuga. — Może to powstrzyma tę nagłą epidemię różnych chorób.

Nie upłynął nawet kwadrans, gdy do Wilmowskiego zbliżył się wspaniale zbudowany Murzyn.

— Głowa bardzo boli — skarżył się z obłudnym wyrazem twarzy.

— Otrzymasz najskuteczniejsze lekarstwo, jakie posiadają biali ludzie — rzekł Wilmowski. — Leczy ono wszelkie choroby, będę je więc dawał wszystkim chorym Kawirondo.

Hunter natychmiast głośno powtórzył w narzeczu murzyńskim słowa Wilmowskiego. Tragarze zaintrygowani tak szumną zapowiedzią otoczyli "pacjenta" i "lekarza", aby naocznie przekonać się o cudownym działaniu wspaniałego leku białych ludzi. Na polecenie Wilmowskiego Kawirondo przyłożył szeroki nos do flakonu z amoniakiem i wykonał głęboki wdech. Natychmiastowy skutek przeszedł najśmielsze oczekiwania

łowców. Kawirondo szeroko otwartymi ustami usiłował bezskutecznie wciągnąć do płuc powietrze; w końcu zatrzepotał powiekami i nie mogąc wymówić słowa, runął na wznak na ziemię jak rażony gromem. Duże krople potu wystąpiły mu na czoło. Upłynęła dłuższa chwila, zanim zaczął z trudem oddychać.

— Straszliwy lek! O matko! Myślałem już, że złe duchy weszły we mnie! — wymamrotał poszarzałymi wargami. — O, tak, głowa przestała boleć i już zawsze będzie zdrowa.

Po tym zapewnieniu porwał się z ziemi i znikł pospiesznie wśród towarzyszy. Musiał też zaraz naopowiadać im niestworzonych rzeczy o działaniu leku, gdyż tragarze, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, przestali chorować. Przez pewien czas karawana bez przeszkód posuwała się naprzód, gdy wszakże w godzinach południowych dotarła w końcu do granicy Ugandy, Kawirondo stanowczo odmówili wkroczenia na jej teren. Nieoczekiwanie zaczęli się obawiać swych sąsiadów Luo.

— To straszni ludzie — tłumaczyli podnieceni. — Teraz idziemy z wami i wszystko jest dobrze, ale kiedy będziemy wracać do domu, oni wezmą nas do niewoli. Nie, nie! Kawirondo nie mogą pójść do kraju Luo!

Wilmowski zwołał towarzyszy na naradę. Smuga proponował zastosować ostre represje wobec opornych tragarzy. Wilmowski, który zawsze unikał brutalnej przemocy, sprzeciwił się, tłumacząc:

— Cóż przyjdzie nam z tego, że jeszcze raz zmusimy ich do marszu? Powloką się kilometr lub dwa i znów wymyślą coś nowego, aby opóźnić pochód. Najlepiej byłoby wystarać się o nowych tragarzy.

— Jestem tego samego zdania — poparł go Hunter. — Węszę w tym wszystkim jakąś brudną sprawę tego łotra Castaneda. Najlepiej zatrzymajmy się tutaj, a ja pojadę naprzód i spróbuję jakoś wystarać się o innych ludzi.

— Dobra myśl! — pochwalił Wilmowski. — Niech pan weźmie bosmana i dwóch Masajów i uda się na poszukiwanie nowych tragarzy.

— Daleko tak nie zajdziemy! Za miękką masz rękę, Andrzeju — zaprotestował Smuga.

— Musisz przyznać, że postępowanie moje nigdy nie sprawiło nam zbędnych przykrości — perswadował Wilmowski. — Wiem, że dałbyś sobie z nimi radę, lecz nie chcę stosować przymusu.

— Jeżeli nie mamy zamiaru użyć przemocy, to pozostało nam jedynie postarać się o nowych tragarzy — niechętnie stwierdził Smuga. — Źle się dzieje, gdy niemal na samym początku wyprawy pozwalamy się wodzić za nos takiemu szubrawcowi jak Castanedo.

— Więc przypuszczacie, szanowni panowie, że to on nam tak bruździ? — zagadnął bosman Nowicki.

— Pan Hunter jest tego zdania, a ja również tak sądzę — odrzekł wymijająco Smuga. — Lepiej było skończyć z nim od razu, bosmanie.

— Ha, nie ma rady! Wiesz pan co, panie Smuga? Wróćmy we dwóch do faktorii i raz dwa będzie po bólu. Powiesimy handlarza na tej choince z parówkami. He, he, he! Ależ to bycza myśl, co?

Smuga uśmiechnął się, lecz zanim którykolwiek z mężczyzn miał możność wypowiedzieć się, Tomek przystąpił do olbrzymiego marynarza i rzekł stłumionym z oburzenia głosem:

— Wstyd, panie bosmanie! Nie godzi się robić takich okrutnych propozycji, gdy na czele naszej karawany powiewa polski sztandar!

— Brawo, Tomku! — zawołał Wilmowski. — U bosmana cały rozsądek mieści się w pięści. No, ale też chociaż raz usłyszał prawdę!

— Bez obrazy, szanowni panowie. Żartowałem przecież z tą choinką — powiedział bosman, czerwieniąc się jak sztubak. — Warto by jednak wrócić i zawlec tego łotra na arkanie do angielskiego garnizonu.

— Bosman zaczyna mówić do rzeczy — wtrącił Smuga. — Castanedo nie będzie mógł prowadzić dalej barbarzyńskiego handlu ludźmi, gdy oddamy go w ręce Anglików. Tym samym skończyłyby się również nasze kłopoty.

— To prawda! Handlarz niewolników zasłużył na najsurowszą karę — przytaknął Hunter. — Ale jestem pewny, że ma się już na baczności. Nie da się zaskoczyć. Pamiętajmy o jego wpływach wśród Kawirondo. Oni mogą wystąpić w obronie Castaneda, a wtedy nie obejdzie się bez rozlewu krwi otumanionych, lecz mimo to niewinnych ludzi.

— Zadecyduj, Andrzeju, jako kierownik wyprawy, co mamy robić — zniecierpliwił się Smuga.

— Nie wolno sprowokować Kawirondo do jakiegokolwiek wrogiego wystąpienia. Rozbijemy tutaj obóz, a pan Hunter w towarzystwie bosmana i dwóch Masajów uda się na poszukiwanie innych tragarzy. Natomiast o przestępczej działalności Castaneda powiadomimy pierwszy napotkany po drodze patrol angielski. W ten sposób unikniemy ewentualnego starcia z krajowcami i uwolnimy nieszczęsnych Murzynów od prześladowań podłego człowieka — zakończył dyskusję Wilmowski.

— Dobra rada złota warta! Na koń, panie Hunter! — zawołał pospiesznie bosman, chcąc w ten sposób zatrzeć złe wrażenie spowodowane jego poprzednią propozycją.

Podczas gdy Hunter, bosman oraz dwaj Masajowie przekraczali granicę Ugandy, Wilmowski z pozostałymi towarzyszami i tragarzami zajęli się urządzeniem obozu. Kawirondo ponuro milcząc zdjęli juki z osłów, rozkulbaczyli wierzchowce, a następnie szybko rozpalili ognisko. Zaledwie pozostali w obozie łowcy usiedli w cieniu parasolowatej akacji, w dali rozległo się głuche dudnienie bębnów.

— Tam-tamy znów grają! — zawołał podniecony Tomek.

— Często będziemy je słyszeli podczas naszej wyprawy — uspokoił Wilmowski syna, spoglądając znacząco na Smugę.

Tymczasem Smuga uśmiechnął się tylko i dalej siedział oparty o drzewo pykając swoją fajeczkę. Dopiero skończywszy palić, wytrząsnął popiół uderzając fajką o dłoń, po czym podniósł się bez pośpiechu, przypasał rewolwery i wziął do rąk karabin. Tomek widząc te przygotowania ożywił się natychmiast.

— Czy ma pan zamiar udać się na polowanie? — zapytał. — Chętnie bym poszedł z panem?

— Spróbuję upolować coś na obiad, wolę jednak pójść sam, bo w pojedynkę łatwiej podejść zwierzynę — odparł głośno Smuga, a ściszając głos dodał: — Chcę się trochę rozejrzeć po okolicy. Andrzeju, zostań z Tomkiem w obozie i postarajcie się, żeby nasi tragarze nie mieli okazji do śledzenia mnie. Zwracajcie też uwagę na małego Samba.

— Bądź spokojny, Janie. Będziemy pilnie czuwali podczas twej nieobecności — przyrzekł Wilmowski i zaraz przywołał Mescherje, by wydać odpowiednie polecenia.

Smuga skierował się na północ, gdzie w dali majestatycznie wznosiła się góra Elgon. Gdy drzewa osłoniły go przed wzrokiem towarzyszy, zatoczył duże koło i udał się na południowy wschód. Niebawem znalazł się z powrotem na ścieżce, którą tego dnia karawana przywędrowała do granicy Ugandy, i podążył ku osadzie Kawirondo. Z największą uwagą badał ślady stóp wyciśnięte na leśnej ścieżce. W końcu upewnił się całkowicie, iż nikt nie tropił karawany.

Zamyślony przystanął pod drzewem. Zastanawiał się, co miały oznaczać tajemne sygnały nadawane przez Murzynów. Nie miał wątpliwości, że nawoływały one tragarzy do umyślnego opóźniania pochodu. Nie wszystko jednak, co niósł przez dżunglę murzyński telegraf dźwiękowy, było dla niego zrozumiałe.

Łowca wsłuchiwał się w głuche odległe dudnienie.

"Ludzie Kawirondo! O! Ludzie Kawirondo, słuchajcie! — wołały bębny. — Nie wolno wam wkroczyć na ziemię Luo, dopóki..."

Dalsza seria dźwięków była dla Smugi częściowo niezrozumiała. W natężeniu łowił nieznany sygnał, szukając w pamięci rozwiązania szyfru.

Wreszcie odtworzył do końca przekazywaną przez Kawirondo wiadomość: "...dopóki nie przyjdzie do was z Uniamwesi..."

— Co oznacza owo Uniamwesi? — szepnął Smuga i naraz odetchnął z ulgą. Zrozumiał zakończenie tajemniczego sygnału.

Uniamwesi, Ukerewe lub Niansa były murzyńskimi nazwami Jeziora Wiktorii.

"Do licha! — zaklął. — Jak mogłem o tym zapomnieć!"

Teraz pojął, że niepotrzebnie marnował czas badając ślady na ścieżce. Kawirondo oczekiwali kogoś, kto miał przybyć do nich od strony Jeziora Wiktorii. Nie zastanawiał

się dłużej. Ruszył na południe. Szybko maszerował w kierunku jeziora, wyszukując wprawnym okiem najdogodniejsze przejścia przez gąszcz. Po półgodzinie krzewy się przerzedziły; Smuga stanął na urwistym brzegu.

Jak okiem sięgnąć widniała falująca tafla wód jeziora. Dość wysoki, urwisty brzeg porastały kępy rozłożystych drzew i odurzające zapachem, bajecznie kolorowe kwiaty. Smuga spojrzał w kierunku pobliskiego wzgórza. Stamtąd na pewno będzie mógł ogarnąć wzrokiem większy pas wybrzeża, które w miejscu, gdzie się zatrzymał, nie mogło stanowić dogodnej przystani dla jakiejkolwiek łodzi. Bez wahania podążył ku wzgórzu. Zaledwie znalazł się na jego szczycie, ujrzał długą łódź odpływającą szybko na wschód. Znajdowała się już około kilometra od naturalnej, doskonale widocznej, zacisznej zatoki.

"Spóźniłem się — szepnął Smuga. — Gdybym przybył tu o dwie godziny wcześniej, na pewno bym schwytał wysłannika Kawirondo."

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w mknącą po jeziorze łódź. Zniechęcony niepowodzeniem usiadł na zwalonym pniu. Zastanawiał się, do czego mogli zmierzać Murzyni opóźniając marsz karawany. Intuicja podszeptywała mu, że sprawcą ich kłopotów był handlarz niewolników, Castanedo. Czyżby miał zamiar zaatakować karawanę? Kogóż to przywiozła znikająca w dali łódź?

Smuga siedział zamyślony. Naraz wydało mu się, że usłyszał szelest krzewów tuż za swymi plecami. Prawa dłoń podróżnika błyskawicznym ruchem uchwyciła rękojeść rewolweru, ale zanim zdołał powstać i odwrócić się, otrzymał potężne uderzenie w tył głowy. Ciemność przysłoniła mu na chwilę wzrok, lecz jeszcze nie stracił przytomności. Ostatnim wysiłkiem woli zerwał się z pnia, wyszarpując jednocześnie z pochwy rewolwer. W tej chwili jakaś twarda, żylasta dłoń chwyciła go z tyłu za kark. Niemal jednocześnie uderzono go powtórnie w głowę. Rewolwer wysunął mu się ze zmartwiałej dłoni. Smuga z cichym jękiem padł na ziemię. Drzewa wirowały jak opętane przed jego szeroko otwartymi oczyma. Zdawało mu się, że dostrzega wykrzywione gniewem, czarne twarze Murzynów trzymających w zębach błyszczące noże. Jakieś olbrzymie widma pochylały się nad nim. W zamroczonym umyśle rzeczywistość plątała się ze wspomnieniami z Australii. Oto buszrendżer[40] grozi Tomkowi długim, ostrym jak brzytwa nożem. Smuga zasłania sobą chłopca, chwyta kosmatą łapę bandyty, lecz w tej chwili przewodnik, Australijczyk Tony, woła wysokim głosem:

"Stój! Nie tutaj! Anglicy spalą wioskę i powieszą nas na drzewach!"

Smuga spostrzega, że Tomek krzyczy narzeczem afrykańskich Murzynów. Na ułamek sekundy na tyle odzyskuje przytomność, by uchwycić okiem błysk stali. Ponowne uderzenie w głowę i piekący ból w lewym ramieniu zamroczyły go na nowo. Zdawało mu się, że spada w otchłań. Ciało jego wyprężyło się, potem znieruchomiało.

---

[40] Nazwa australijskich rozbójników grasujących po gościńcach.

— Tatusiu, dlaczego pan Smuga tak długo nie wraca? — niecierpliwił się Tomek, spoglądając w kierunku góry Elgon. — Przecież minęło już kilka godzin, odkąd wyszedł z obozu.

— Mnie to również niepokoi. Czyżby odkrył coś podejrzanego? — szeptem odparł Wilmowski.

— Pan Hunter i bosman też przepadli jak kamień w wodę — cicho ciągnął Tomek. — Tatusiu, przyjrzyj się tylko tragarzom. Wydaje mi się, że ogarnęło ich jakieś podniecenie. Czemu nasi towarzysze tak długo nie wracają?

Wilmowski zmarszczył brwi. Nieobecność Smugi, Huntera i bosmana przedłużała się, a tymczasem Kawirondo byli coraz bardziej podnieceni. Pochylali się ku sobie, szeptali i zerkali na białych łowców.

— Gdzież to się Sambo podział? — naraz zapytał Wilmowski.

— Nie mogę go utrzymać na miejscu. Stale się kręci między Kawirondo — wyjaśnił Tomek z niezadowoleniem.

Wilmowski przywołał dowódcę masajskiej eskorty.

— Mescherje, czy twoi ludzie dobrze pilnują, aby tragarze nie oddalali się od obozu? — zapytał, gdy Masaj przykucnął przy nim.

— My dobrze pilnujemy — stanowczo odparł Mescherje.

— Czy jesteś pewny, że nikt nie wyszedł z obozu?

— Oni chodzą za własną potrzebą, ale tylko pojedynczo. My dobrze pilnujemy.

— Zwracajcie na nich baczną uwagę. Dlaczego Kawirondo są tak ożywieni? Przedtem byli ponurzy i milczący, a teraz szepczą bez przerwy.

— Murzyni zawsze lubią dużo mówić. Cichną, gdy Masaj do nich podchodzi.

Podczas gdy Wilmowski rozmawiał z Mescherje, mały Sambo przykucnął przy Tomku. Pociągnął Dinga za ogon. Cofnął się szybko, ponieważ pies warknął szczerząc kły. Tomek uspokoił Dinga. Przez chwilę obydwaj chłopcy szeptali z ożywieniem, po czym Tomek przybliżył się z Sambem do ojca i rzekł przyciszonym głosem:

— Tatusiu, posłuchaj! Sambo twierdzi, że wśród naszych tragarzy znajduje się jakiś obcy Kawirondo.

Wilmowski, aby ukryć zmieszanie, roześmiał się, jakby usłyszał jakiś dobry dowcip. Nabił fajkę tytoniem i dopiero wypuściwszy kilka kłębów dymu zapytał:

— Sambo, czy jesteś tego pewny?

— Tak, tak, wielki buana! Sambo jest pewny — potwierdził Murzyn. — Jakiś obcy Kawirondo powiedział coś tragarzom. Oni zaraz zgłoszą się do białego buany i powiedzą, że chcą iść dalej.

— Skąd ty to wiesz?

— Sambo biega wśród nich i podsłuchał wszystko. Sambo kocha bardzo wielkiego białego buanę i małego buanę.

— Co ty na to, Mescherje? — zagadnął Wilmowski.

— My dobrze pilnujemy. Tu nie mógł przyjść nikt obcy. Może Sambo się myli?

— Nie, Sambo się nie myli. Tu przyszedł obcy Kawirondo — zapewnił Murzyn.

— Zaraz sprawdzę, ilu tragarzy jest w obozie — powiedział Wilmowski.

Na rozkaz Mescherje Kawirondo ochoczo stanęli w szeregu. Wilmowski przeliczył ich dwukrotnie, przyglądając się każdemu badawczo. Liczba Kawirondo nie uległa zmianie. Wilmowski polecił Tomkowi wydać tragarzom po porcji tytoniu i żegnany pochwalnym szmerem wrócił z trójką towarzyszy przed namiot.

— Chyba się pomyliłeś, Sambo — mruknął niechętnie zapalając ponownie fajkę. — Nikt nowy nie przybył do obozu. Liczba tragarzy nie uległa zmianie.

— To znaczy, że jeden odszedł, a drugi przyszedł — odrzekł Sambo.

— O, do licha! To jest zupełnie prawdopodobne! — zawołał Wilmowski. — Przecież mówiłeś, Mescherje, że oni wychodzili pojedynczo z obozu.

— Sambo twierdzi, że Kawirondo się zamienili — zastanowił się dowódca masajskiej eskorty. — Tak, być może. Krótko są z nami, jeszcze ich nie znamy wszystkich.

— Hm, gdyby Smuga był tutaj, może by rozpoznał obcego. On zawsze doskonale pamięta każdego Murzyna — zafrasował się Wilmowski.

— Dlaczego ten biały buana tak długo poluje? — zapytał Mescherje.

— Widzisz, pan Smuga nie poszedł na polowanie. Miał zamiar rozejrzeć się po okolicy — wyjaśnił Wilmowski.

— Źle zrobił, że poszedł bez psa — szepnął Mescherje. — Trzeba szukać białego buanę, póki dzień. Potem nie widać już śladów. W nocy może być deszcz. Tu często wieczorem pada.

— Co robić? Przecież nie mogę zostawić obozu na łasce Kawirondo. Żeby choć bosman i Hunter wrócili jak najszybciej — z niepokojem powiedział Wilmowski.

Jakby w odpowiedzi rozległ się tętent koni.

— Jadą! Jadą! — ucieszył się Tomek.

Niebawem obydwaj łowcy wpadli do obozu na spienionych wierzchowcach. Bosman ociężale zeskoczył z konia i rzucił cugle jednemu z Murzynów. Hunter również oddał swego konia pod opiekę Kawirondo, po czym razem z bosmanem zbliżył się do Wilmowskiego.

— A niech wieloryb połknie tę waszą Afrykę! — wysapał bosman. — Byliśmy w pięciu okolicznych wioskach i poza babami kurzącymi długie gliniane faje oraz starcami nie zastaliśmy ani jednego chłopca zdolnego do dźwigania ładunku na plecach.

— Oni po prostu schowali się przed nami w dżunglę — dodał Hunter. — Wmawiano w nas, że wszyscy mężczyźni pojechali na jezioro łowić ryby.

— Żeby im te ryby wyzdychały! — mruknął bosman.

— Gdzie są Masajowie, którzy poszli z wami? — zaniepokoił się Wilmowski.

— Zaraz tu będą. Wyprzedziliśmy ich na koniach — odrzekł Hunter.

— Całe szczęście, że już wróciliście, bo niepokoimy się o Smugę — zaczął Wilmowski i natychmiast poinformował towarzyszy o sytuacji w obozie.

Hunter zasępił się, natomiast bosman zapomniał natychmiast o zmęczeniu.

— Coś mi brzydko cuchnie ta cała sprawa, szanowni panowie! — zawołał stanowczo. — Tu nie ma co się namyślać, tylko trzeba drałować na poszukiwanie. Dingo poprowadzi nas śladem Smugi.

— Bosman dobrze radzi. Powinniśmy odszukać pana Smugę przed zapadnięciem zmroku — niecierpliwił się Hunter. — Musimy dobrze mieć się teraz na baczności przed Kawirondo, jeżeli to prawda, co twierdzi Sambo Szkoda czasu na gadaninę, pójdę z bosmanem tropem pana Smugi.

— Przy mnie Dingo będzie najposłuszniejszy, więc pójdę i ja — wtrącił Tomek. — Zaraz się przygotuję!

Wilmowski nie oponował, gdyż istotnie pies mógł się najlepiej wywiązać z zadania w obecności chłopca, którego zawsze uznawał za swego pana.

— Dobrze, Tomku. Liczę na to, że będziesz posłuszny i rozważny — powiedział Wilmowski. — Weźcie również dwóch Masajów.

— Mam inny projekt — zaoponował Hunter. — Zabierzemy jednego Masaja i dwóch Kawirondo znających dobrze okolicę.

— Ani chybi dobra myśl — pochwalił bosman.

— Zgoda, nie traćcie czasu — zakończył Wilmowski.

Hunter wziął apteczkę i trochę prowiantu. Bosman wykrzywił się obserwując Huntera przewidującego zawsze najgorszą ewentualność, lecz nie rzekł ani słowa. Gdy byli gotowi do drogi, Tomek podsunął Dingowi koszulę Smugi i rozkazał:

— Szukaj. Dingo, szukaj pana Smugi!

Dingo spojrzał na niego mądrymi ślepiami. Szczeknął chrapliwie. Pochyliwszy łeb ku ziemi, zaczął węszyć. Ślad musiał być wyraźny, ponieważ pobiegł bez wahania na północ. Tomek puścił smycz. Rozpoczęli tropienie.

Mała grupka mężczyzn podążała za Tomkiem. Dingo biegł nie podnosząc głowy. Zdecydowanie psa zachęcało łowców do szybkiego marszu. Niebawem Dingo zatoczył koło najpierw na wschód, a potem ku południowi. Hunter zatrzymał się.

— Tomku, daj mu jeszcze raz powąchać koszulę pana Smugi!

Chłopiec wykonał polecenie.

— Szukaj, piesku, szukaj! — powiedział zachęcająco.

Dingo machnął niecierpliwie ogonem i ruszył dalej. Dopiero na ścieżce okazał niepokój. Biegł tu i tam ciągnąc chłopca za sobą. Na żądanie Huntera mężczyźni przystanęli z boku, aby nie zadeptać śladu.

— Nie utrudniajmy Dingowi zadania! — tłumaczył tropiciel. — Smuga musiał kluczyć i dlatego pies jest zdezorientowany.

Minęło sporo czasu, zanim Dingo skierował się ku wschodowi. Niemal nie odrywał nosa od ziemi, gubiąc się wśród pozostawionych na ścieżce śladów. Wkrótce zawrócił na południe.

— Co to ma znaczyć? — zdziwił się Hunter. — Po jakie licho pan Smuga poszedł w kierunku jeziora?

— Żeby tylko Dingo nie nawalił — zaniepokoił się bosman. — Daj mu, brachu, jeszcze raz powąchać koszulę!

Dingo biegł pewnie z pochylonym ku ziemi łbem. Dopiero w pobliżu jeziora znów okazał wyraźny niepokój. Przystanął nieoczekiwanie, a następnie zaczął kluczyć wśród krzewów. W pewnej chwili siadł na ziemi i uniósłszy łeb do góry zaskowyczał przeraźliwie.

— Jezus, Maria! A to co ma znaczyć? — wzdrygnął się bosman.

Flegmatyczny zazwyczaj Hunter wyrwał szybko Tomkowi z rąk koszulę Smugi i przysunąwszy ją psu do nosa rozkazał:

— Szukaj, Dingo, szukaj!

Pies okazał niezdecydowanie. Długo obwąchiwał koszulę. W końcu zaczął kluczyć po zaroślach. Raz dążył w kierunku zachodnim, potem zawrócił znów ku wschodowi węsząc bez przerwy przy ziemi, aż naraz musiał natrafić na właściwy ślad, gdyż szarpnął mocno smyczą i ruszył pewnie przed siebie. Wkrótce łowcy dotarli do brzegu jeziora. Dingo pobiegł ku pobliskiemu pagórkowi.

— Boże! Spójrzcie tylko, co się dzieje z Dingiem — zawołał Tomek.

Pies nastawił uszu, ze zjeżoną na karku sierścią gnał coraz szybciej. Hunter w biegu odbezpieczył karabin; bosman wielkimi susami gnał tuż przy nim z rewolwerem w dłoni, a Masaj, przygotowany do strzału, nie spuszczał oka z obydwóch Kawirondo.

Tomek ledwo mógł nadążyć za Dingiem, toteż zasapał się pędząc po stromym stoku. W pewnej chwili potknął się, a wtedy pies wyrwał smycz z dłoni i wkrótce znikł wśród zarośli na szczycie wzgórza. Za chwilę rozległo się żałosne wycie Dinga.

— To zły znak! Spieszmy się! — krzyknął Hunter.

Olbrzymi i ociężały zazwyczaj bosman biegł teraz jak sarna. Wyprzedził towarzyszy i pierwszy znalazł się na wzgórzu. Ujrzał Dinga skowyczącego nad leżącą w trawie postacią.

— Prędzej, do wszystkich diabłów! — wrzasnął marynarz. Tomek blady jak płótno przypadł do leżącego na ziemi. Z przerażeniem wpatrywał się w pokrytą zakrzepłą krwią głowę Smugi.

— To straszne! Zabili naszego kochanego pana Smugę! — powiedział naraz ze szlochem, kryjąc twarz w dłoniach.

Hunter rozciął nożem koszulę na piersiach Smugi. Wprawnymi palcami zaczął obmacywać ranę na lewym ramieniu.

— Krwawi mocno, ale to nic groźnego — szepnął i delikatnie ujął głowę.

Zaledwie dotknął opuchlizny w tyle czaszki, z ust łowcy wydarł się cichy jęk.

— Żyje pan Smuga! Żyje! — krzyknął Tomek rwącym się głosem.

— Żyje, na pewno jeszcze żyje — potwierdził Hunter z ulgą. — To nie pchnięcie nożem w ramię pozbawiło go przytomności. Ktoś kilkakrotnie uderzył pana Smugę w tył głowy. Skóra rozcięta, opuchlizna bardzo duża... lecz wydaje mi się, że czaszka cała...

Ostrożnie położył głowę rannego na ziemi, zdjął z ramienia torbę podróżną i wyjął z niej opatrunki. Szybko rozkładał bandaże na kawałku białego płótna.

— Mumo, podaj worek z wodą! — zwrócił się do Masaja.

Bosman podtrzymywał nieprzytomnego Smugę. Tropiciel obmył ranę na ramieniu, zdezynfekował ją i zabandażował. Z kolei przystąpił do opatrywania ran na głowie. Kiedy skończył bandażowanie, zmył krew pokrywającą twarz.

— Co pan ma w manierce, bosmanie? — zapytał.

— Rum, prawdziwa jamajka!

— To dobrze, proszę mu wlać do ust kilka kropel — polecił, podtrzymując głowę rannego.

Bosman przyłożył manierkę do ust łowcy.

— Ostrożnie! Nie za dużo! — ostrzegł Hunter.

Smuga zakrztusił się i jęknął głucho.

— Jeszcze trochę... Dosyć.

Po chwili Smuga uniósł powieki.

— Żyje, naprawdę żyje kochany pan Smuga! — zawołał wzruszony Tomek.

Smuga zamknął oczy, lecz słaby uśmiech pojawił się na jego ustach. Po chwili spojrzał już znacznie przytomniej.

— Pchnięcie nożem w lewe ramię i uderzenie w głowę — odparł Hunter. — Czy bardzo boli głowa?

— Boli, ale... mogło być... gorzej...

— Nie jest tak źle, skoro odzyskał pan przytomność — stwierdził Hunter. — Bosmanie, niech pan zajmie się sporządzeniem noszy. Im szybciej znajdziemy się w obozie, tym lepiej.

Bosman i Murzyni przygotowali z gałęzi i pnączy wygodne nosze, na których umieszczono rannego. Hunter tymczasem dokładnie badał ślady znajdujące się na wzgórzu.

Odnalazł porzucony w trawie rewolwer Smugi i karabin oparty o zwalony pień. Odwołał na bok bosmana i powiedział:

— Napastników było trzech. To Murzyni. Podeszli z tyłu niepostrzeżenie. Smuga siedział na tym pniu, gdy otrzymał uderzenie w tył głowy. Podniósł się, dobył broni, a wtedy uderzyli go czymś twardym jeszcze kilka razy. Pchnięcie nożem dostał leżąc już na ziemi. Aż dziwne, że go nie zabili.

— Skąd pan to wszystko wie? Przecież jeszcze niczego nie dowiedzieliśmy się od Smugi — zdziwił się bosman.

— Siady pozostawione na ziemi to tak jak litery w książce. Trzeba tylko umieć je czytać — wyjaśnił Hunter i dodał: — Po napadzie Murzyni pobiegli na zachód. Ich ślady musiały skrzyżować się ze śladem Smugi, dlatego Dingo co chwila gubił trop.

— Jeżeliś pan pewny tego wszystkiego, to wezmę psa i odszukam tych łobuzów. Wy tymczasem idźcie z rannym do obozu — zaproponował bosman.

— To niepotrzebne. I tak prawdopodobnie wpadną w nasze ręce. Jeżeli Sambo mówi prawdę, to jeden z napastników znajduje się wśród naszych Kawirondo. A może i wszyscy trzej? — oświadczył Hunter.

— Jak pan uważa, bardzo bym jednak chciał się z nimi spotkać.

— Myślę, że to nie będzie takie trudne. Teraz ruszajmy w drogę, wkrótce zapadnie noc — przynaglił Hunter.

U ŹRÓDEŁ NILU BIAŁEGO

Przez dwie doby Hunter i Wilmowski nie odstępowali od łoża rozgorączkowanego Smugi. Trzeciego dnia ranny poczuł się trochę lepiej. Wilmowski stwierdził z zadowoleniem, że gorączka znacznie opadła. Zaraz też polecił sporządzić dla niego pożywny bulion. Zadania tego ochoczo podjął się bosman Nowicki. Nalewając bulion do kubka mówił do rozradowanego Tomka:

— Widzisz, kochany brachu, jaka to w Smudze rogata dusza? Zaraz można poznać w nim Polaka! Murzyniaki tłukli go młotkiem po głowie jak szczupaka na Wigilię, a on nie tylko nie puścił ostatniej pary, ale już krzyczy, że jest głodny.

— Wielka szkoda, że pan Smuga nie mógł rozpoznać napastników. Nie chciałbym, żeby ten okropny czyn uszedł im na sucho — zafrasował się chłopiec.

— He, he, he! — roześmiał się marynarz. — Żeby Smuga mógł rozpoznać tych drani, to by musiał ich zobaczyć, a gdyby ich był zobaczył, to z miejsca musieliby się wynieść do Abrahama na piwo i już nie byłoby o czym gadać. Teraz zaś, kochany brachu, jeżeli tylko los mi będzie sprzyjał, to oni wpadną w moje łapy, a wtedy...

Bosman wykonał rękoma charakterystyczny ruch, jakby ukręcał ptakowi głowę.

— Więc pan ich zabije? — przeraził się Tomek.

— Jak amen w pacierzu! Ale my tu sobie gadu, gadu, a tam nasz chory czeka. No, chodźmy z tym bulionem, ale myślę, że lepiej by mu pomógł rum.

— Ranny nie powinien pić alkoholu — ostro zaoponował Tomek.

— A po czym to odzyskał przytomność jak nie po jamajce? Nie przekonasz mnie, brachu! Chodźmy!

Smuga posilił się, po czym nie zważając na protesty Huntera zapalił fajkę. Wypuścił kilka kłębów dymu i rzekł:

— Andrzeju, każ przygotować dla mnie jakąś lektykę. Jutro możemy wyruszyć w dalszą drogę. Dość tego leniuchowania.

— Wykluczone, Janie! — zaprotestował Wilmowski. — W tropikalnych krajach rany źle się goją.

— Nic mi nie będzie, Andrzeju. Gorzej oporządził mnie swego czasu tygrys w Bengalii, a przecież wszystko się dobrze skończyło. Mam organizm przyzwyczajony do gorącego klimatu. Prędzej wyzdrowieję podczas marszu.

Wilmowski w dalszym ciągu oponował, lecz wtedy odezwał się Hunter:

— Pan Smuga ma żelazną czaszkę, jeżeli nie pękła pod tak silnymi uderzeniami. Proponowałbym również rozpoczęcie marszu, lecz nie jutro, tylko pojutrze. Mam ku temu dwa powody. Po pierwsze pan Smuga nabierze więcej sił, a po drugie... — pochylił się do towarzyszy zgrupowanych przy łóżku rannego i dodał ciszej: — Po drugie chcę opóźnić marsz dlatego, że Kawirondo nagle nabrali gwałtownej chęci do wyruszenia z nami w dalszą drogę. Czy to nie wydaje się wam dziwne?

— Zanim jeszcze przynieśliście rannego do obozu, tragarze wyrazili zgodę na kontynuowanie marszu. Zapytałem wtedy, czy już się nie obawiają swych sąsiadów Luo. Wyjaśnili, że teraz nie muszą się ich bać, gdyż tam-tamy zapowiedziały im gościnne przyjęcie — odparł Wilmowski.

— Zapewne wysłannik Castaneda, o którego przybyciu powiadomił nas wierny Sambo, polecił im udać się dalej — dodał Hunter.

— Oby chęć przysłużenia się nam nie wyszła Sambowi na złe — rzekł Wilmowski. — Chłopak ustawicznie kręci się wśród Kawirondo przeszkadzając im w konszachtach. Patrzą też na niego bardzo niechętnie.

— Bosmanie, niech pan czuwa nad nim — zwrócił się Hunter do marynarza.

— Iiii, nie taki znów diabeł straszny, jak go malują. Wprowadziłem trochę rygoru. Kawirondziaki stali się łagodni jak baranki. Nic mu już nie zrobią.

Wilmowski spojrzał uważnie na bosmana. Przez dwa dni czuwał z Hunterem przy łożu rannego, pozostawiając obóz pod opieką marynarza. Teraz zaniepokoił go lekki ton, jakim bosman udzielił wyjaśnienia. Podejrzewał, że chce coś przed nim ukryć. Spojrzał więc z kolei na Tomka, który po oświadczeniu swego serdecznego druha zaczął kręcić się i chichotać.

— Czy i ty, Tomku, uważasz, że Sambo jest zupełnie bezpieczny? — zapytał.

— Od wczoraj tragarze patrzą z szacunkiem na naszego Samba. Na pewno nic mu teraz nie grozi — odparł chłopiec.

— Dlaczego tak nagle zmienili swój stosunek do niego? — pytał dalej Wilmowski.

Bosman chrząknął ostrzegawczo, lecz Tomek nie zważając na niego wyjaśnił triumfująco:

— Wczoraj jeden Kawirondo uderzył Samba, gdy ten przykucnął przy grupce dyskutujących. Wtedy pan bosman sprawił mu tęgie lanie i zapowiedział wszystkim, że jeżeli Sambowi stanie się coś złego, to wróci do ich wioski, spali domy i powiesi mieszkańców.

Wilmowski nachmurzył się, lecz nie skarcił bosmana. Niespodziewany napad na Smugę był groźnym dowodem zbytniego rozzuchwalenia się Kawirondo.

— Dobrze pan zrobił, bosmanie. Murzyni cenią silnych ludzi — wtrącił Hunter. — Trzeba ich teraz trzymać krótko. Przy najbliższej okazji postaramy się o nowych tragarzy. Wtedy też prawdopodobnie zaginie słuch o Castanedzie, którego cień podąża za nami. Jak widać, jest to bardzo mściwy łotr.

— Daj Boże, żebym mógł go spotkać jeszcze raz — mruknął bosman zawzięcie.

— Jak więc powiedziałem, proponuję odłożyć wymarsz w dalszą drogę na pojutrze. W ten sposób pokrzyżujemy choć w części plany Kawirondo.

— Rozumowanie pana Huntera wydaje się słuszne. Wobec tego odpoczniemy tutaj jeszcze jeden dzień, a pojutrze ruszamy dalej — powiedział Wilmowski.

— Gdyby zaszła potrzeba, to w forcie angielskim w Kampali na pewno zastaniemy lekarza — dodał Hunter. — Miejmy jednak nadzieję, że pan Smuga przyjdzie do zdrowia bez jego pomocy.

— Ha, niech będzie tak, jak radzicie — zgodził się Smuga.

W obozie panował całkowity spokój. Uzbrojeni po zęby Masajowie dzień i noc pełnili straż. Tymczasem bosman, Tomek i Sambo zbudowali wygodną lektykę dla Smugi; mieli ją nieść najzręczniejsi Kawirondo.

Gdy nadszedł oznaczony czas wymarszu, Sambo ze sztandarem stanął na czele karawany. Tomek na polecenie ojca zastąpił Smugę. Teraz razem z bosmanem stanowili tylną straż karawany. W takt monotonnej pieśni tragarzy ruszyli w drogę.

Podróżnicy wędrowali sawanną porosłą kępami krzewów i drzew akacjowych. Pod koniec dnia coraz częściej zaczęli napotykać dość duże bajora zarosłe karłowatymi mimozami o czerwonej korze, które utrudniały drogę. Dingo spuszczony ze smyczy buszował wśród tych chaszczów, to znów biegł ze wzniesionym do góry łbem, węsząc w powietrzu. Tomek i bosman pilnie obserwowali jego zachowanie; nie ulegało wątpliwości— okolica obfitowała w zwierzynę. W pewnej chwili Dingo dał nura w pobliskie krzewy. Zaraz też obydwaj łowcy usłyszeli niskie, głuche chrząkanie, a potem ostry pisk. Trzask łamanych gałęzi i głośne chrapliwe szczeknięcie Dinga ostrzegły podróżników przed niebezpieczeństwem. Zadudniła ziemia. Dingo, szczekając zajadle, wybiegł z krzewów. Za nim z głuchym tupotem ukazał się olbrzymi zwierz o ciężkiej i niezgrabnej budowie. Wysokość potwora dorównywała średniemu wzrostowi człowieka, podczas gdy długość szaroczarnego cielska dochodziła do około czterech metrów. Olbrzymie zwierzę o grubej, sfałdowanej na karku skórze gnało z pochylonym nisko potężnym łbem, na którego nosie widniały sterczące jeden za drugim dwa rogi.

— Kifaru[41]! — wrzasnął któryś z Murzynów.

[41] Kitaru (w narzeczu suahili) — nosorożec.

Szyk karawany załamał się w jednej chwili. Tragarze rozpierzchli się pozostawiając bagaże na ścieżce; spłoszone wierzchowce stawały dęba. Czoło karawany, oddalone nieco od szarżującego nosorożca, utrzymało się w jakim takim porządku, ponieważ kroczące na przedzie osły z filozoficznym spokojem szły dalej nie zważając na niebezpieczeństwo. Tymczasem potwornych rozmiarów nosorożec pędził za zręcznie umykającym Dingiem. Mądry pies skupił na sobie całą jego uwagę. Przebiegł ukosem ścieżkę i zaszył się w zarośla po przeciwnej stronie drogi. Tomek i bosman nie zdążyli się nawet złożyć do strzału. Nim uspokoili konie, było już po wszystkim. Wkrótce Dingo powrócił machając wesoło ogonem. Zatrzymał się przed Tomkiem, jakby oczekiwał na pochwałę; chłopiec zeskoczył z wierzchowca i mocno uściskał roztropnego psa.

Na wieczornym biwaku głównym tematem rozmów było wydarzenie z nosorożcem. Najwięcej do powiedzenia mieli Hunter i Smuga, który po całodziennym marszu czuł się zupełnie znośnie.

— Nigdy nie można przewidzieć, co uczyni nosorożec — mówił Hunter. — Niekiedy ucieka nawet przed jednym psem. Czasem na sam widok człowieka wpada w szał wściekłości i wtedy ślepo nań szarżuje. Doświadczony, wprawny myśliwy uskakuje w bok w ostatniej chwili przed stratowaniem, nosorożec zaś zwykle pędzi dalej; gdy traci z oczu prawdziwego przeciwnika, wyładowuje swój gniew na pierwszym lepszym krzaku czy drzewie. Wynika to stąd, że nosorożce są krótkowidzami. Polowanie na te zwierzęta nie należy do bezpiecznych. Mieliśmy dzisiaj szczęście, że czujny Dingo wytropił nosorożca kryjącego się w zaroślach, a my uszliśmy jego uwagi. Źle by się mogło skończyć, gdyby na nas napadł.

— Do jakiej rodziny zwierząt należą nosorożce? — zapytał Tomek.

— Są to zwierzęta nieparzystokopytne — wyjaśnił Smuga. — Pierwszą rodziną wśród nich są nosorożce mające kończyny o trzech palcach, drugą stanowią tapiry z trzema palcami u przednich, a czterema u tylnych nóg, do trzeciej rodziny zaliczamy konie z rozwiniętym tylko jednym palcem w kształcie kopyta.

— Czy nosorożce żyją tylko w Afryce? — indagował dalej Tomek, który pragnąc zostać wytrawnym łowcą dzikich zwierząt, chciał wiedzieć o nich jak najwięcej.

— Nosorożce żyją również w Azji podzwrotnikowej — odparł Smuga. — W Afryce są reprezentowane przez dwa gatunki. Pierwszy, zwany przez Burów[42] czarnym[43], a w narzeczu Murzynów kifaru jest bardziej znany od drugiego gatunku, nosorożca białego[44], będącego najpotężniejszym przedstawicielem całej rodziny.

— Po czym można odróżnić te dwa gatunki? — wypytywał Tomek.

---

[42] Burowie — potomkowie kolonistów holenderskich osiedlających się od XVII w. w Afryce Południowej. Wypierani w XIX w. na północ przez osadników brytyjskich, po zaciętych walkach z ludami Bantu utworzyli republiki: Nalał. Oranie i Transwal, o których niezależność walczyli z Brytyjczykami (tzw. wojny burskie) i ponieśli klęskę. Po zawarciu pokoju w 1902 r. republiki te włączone zostały do imperium brytyjskiego. Obecnie Burowie nazywani są Afrykanerami.

[43] *Diceros bicornis*

[44] *Ceratotherium simum*

— Czarny nosorożec lub, jak mówią Murzyni, kifaru jest barwy szaroczarnej bądź brudno-brunatnej. Dorosłe samce dochodzą prawie do czterech metrów długości, wysokość ich zaś waha się około metra sześćdziesięciu centymetrów. Spotyka się je w Afryce Środkowej i Wschodniej. Natomiast wysokość nosorożca białego dochodzi do dwóch metrów, a długość do pięciu. Na nadzwyczaj wydłużonej głowie sterczy półtorametrowej nieraz długości przedni róg, którego obwód u podstawy przekracza pół metra, czyli wynosi tyle, ile długość tylnego rogu. Obydwa gatunki nosorożców są trawożerne, lecz podczas gdy biały żyje na otwartych stepach, kifaru trzyma się raczej zarośli.

— Ho, ho! Jak z tego wynika, biały nosorożec musi być olbrzymim zwierzęciem! — zdumiał się chłopiec.

— Oczywiście, Tomku! — potwierdził Smuga. — Biały nosorożec jest po słoniu największym z ssaków lądowych. Jako łowcę zwierząt powinno cię zaciekawić, że dotąd nie udało się takiego żywego okazu sprowadzić do Europy. Czarny nosorożec jest niższy, a mimo to uchodzi za jedno z najniebezpieczniejszych afrykańskich zwierząt. Dlatego też nasze dzisiejsze spotkanie z kifaru możemy uważać za bardzo ciekawe przeżycie.

— Chciałbym się jeszcze dowiedzieć, jaki tryb życia prowadzą te niezwykłe zwierzęta — prosił Tomek.

— Mój chłopcze, nie męcz za bardzo pana Smugi — wtrącił się Wilmowski. — Wiesz przecież, że jest jeszcze bardzo osłabiony.

— Ja ci bardzo chętnie wyjaśnię, a pan Smuga tymczasem trochę odsapnie — rzekł Hunter przysuwając się do Tomka.

— Bardzo pana proszę, strasznie lubię słuchać takich opowiadań — ucieszył się Tomek.

— Nosorożce żyją najchętniej w okolicach obfitujących w wodę, lecz gatunki afrykańskie spotyka się również na suchych stepach i w górzystych, kamienistych regionach — zaczął tropiciel. — Wszystkie lubią się wylegiwać w błocie, chrząkają głośno podczas kąpieli. Prowadzą raczej nocny tryb życia. W dzień śpią przeważnie gdzieś w cienistym miejscu, po południu się kąpią, a przed wieczorem wyruszają na poszukiwanie pożywienia. Podczas żerowania opierają się przednim rogiem o ziemię i zrywają trawę grubymi wargami; gałązki krzewów kruszą ryjkowatym wyrostkiem pyska. Żywią się gałęziami krzaków, twardymi łodygami, trawą, ziołami, kłączami, korzeniami i cebulkami roślin.

— Tak olbrzymie rogi mają pewnie tylko stare osobniki? — pytająco dodał Tomek.

— Mylisz się, co kilka lat rogi te odpadają, po czym odrastają, wielkość ich więc nie świadczy o liczbie przeżytych lat. Dodam jeszcze, że młode widzą natychmiast po urodzeniu.

Tę interesującą dla Tomka rozmowę przerwał bosman Nowicki stawiając na stoliku dymiący kociołek z zupą. Zgłodniali łowcy z zapałem zabrali się do jedzenia. Wkrótce po posiłku udali się do swych namiotów. Hunter, jak zwykle, porozstawiał na noc straże, które zmieniały się co dwie godziny.

Noc upłynęła spokojnie. Nazajutrz, zaledwie słońce ukazało się na niebie, natychmiast zwinięto obóz. Tego dnia Wilmowski spodziewał się dotrzeć do źródeł Nilu Białego, wypływającego z najdalej wysuniętego na północ krańca Jeziora Wiktorii.

Na każdym postoju Tomek wydobywał z podręcznej torby mapę Ugandy. Skwapliwie mierzył odległość dzielącą karawanę od źródeł najdłuższej i największej na ziemi rzeki[45]. Wiedział już przecież, że źródła Nilu stanowiły przez przeszło tysiąc lat zagadkę, o której rozwiązanie kusiło się wielu odważnych podróżników. Toteż z niezmierną niecierpliwością oczekiwał na ujrzenie miejsca, z którego Anglik Speke w tysiąc osiemset sześćdziesiątym drugim roku rozpoczął historyczną wyprawę, aby wypełnić ostatnie stronice tajemniczej historii źródeł Nilu.

Niebawem nadeszła ta upragniona przez chłopca chwila. Już z dala usłyszał szum spadającej wody, potężniejący w miarę jak się zbliżali do niepozornego wzgórza. W końcu wspięli się na szczyt wzniesienia.

Tomek krzyknął zdumiony nieoczekiwanym widokiem. Oczom jego ukazało się, jak na dłoni, szerokie ujście Jeziora Wiktorii. Poprzez krawędź jeziora, obramowaną z obu stron wysokim brzegiem porosłym drzewami, przelewały się kaskady wody, które pieniąc się i burząc, z grzmotem spadały w przepaść.

Tomek z trudem uzmysławiał sobie, że znajduje się w miejscu, skąd Nil Biały bierze swój początek. Zamiast szemrzącego łagodnie strumyka pieniła się przed nim wielka rzeka. Pamiętał z nauki geografii w szkole, że Nil Biały wypływając z Jeziora Wiktorii przebywa setki kilometrów przez dżungle i busz Ugandy, zasila z kolei swe wody w jeziorze Kioga, za Wodospadem Murchisona przecina Jezioro Alberta, a daleko na północy, w okolicy Chartumu, łączy się z Nilem Błękitnym wypływającym z gór Abisynii i z rzeką Atbara.

— No cóż, Tomku, czy tak sobie wyobrażałeś miejsce, skąd bierze początek Nil Biały? — zagadnął Wilmowski zatrzymując się przy synu.

— Och, nie, tatusiu! — zaprotestował chłopiec, przekrzykując huk wody. — Przecież to prawdziwy wodospad!

— Tak właśnie jest, to wodospad Ripon.

Długo sycili oczy malowniczym widokiem spienionych wód Riponu, nim udali się w dół Nilu Białego, by na niskim brzegu rozłożyć obóz. Zdecydowali się tu zatrzymać,

---

[45] Nil (arab. *Nahr an-Nil)* płynie przez Burundi, Rwandę, Ugandę. Sudan i Egipt. Długość Nilu wynosi 6671 km. powierzchnia dorzecza 2870 km². Za źródłową rzekę Nilu uważa się Kagerę; od ujścia Aswa, prawego dopływu, przybiera nazwę Nilu Górskiego, który od Bahr al-Ghazal lewego dopływu, płynie dalej jako Nil Biały, w Chartumie przejmuje największy swój dopływ — Nil Błękitny i przybiera nazwę Nil. Uchodzi do Morza Śródziemnego dwoma ramionami.

gdyż Wilmowski stwierdził, że stan rannego przyjaciela uległ pogorszeniu. Zasklepiona już poprzedniego dnia rana na ramieniu znów się otworzyła i przybrała fioletowy odcień. Łowcy ułożyli Smugę w namiocie, starannie wydezynfekowali i zabandażowali ranę. Zmęczony Smuga zasnął niebawem, lecz Tomek z ojcem i przyjaciółmi długo jeszcze siedzieli przed jego namiotem.

Tomek przepadał za wieczornymi rozmowami przy ognisku. Tym razem, przy spokojnym poszumie płynącego opodal Nilu Białego, zainteresował się historią poszukiwań legendarnego niemal do niedawna źródła rzeki. Poprosił ojca, aby opowiedział o odkrywcach źródeł Nilu Białego. Wilmowski, zamiłowany geograf, ulegając nastrojowi wieczoru chętnie rozpoczął ciekawą opowieść:

— Od dawna panowało przekonanie, że rzeka Nil wypływa z wielkich jezior leżących u stóp Gór Księżycowych[46]. Mimo to do połowy dziewiętnastego stulecia nikomu nie udało się odkryć ani tych gór, ani jezior. Arabowie osiedleni w Afryce Wschodniej zapewniali Europejczyków, iż wewnątrz kontynentu, afrykańskiego istnieją olbrzymie jeziora. Z tego też powodu zaczęto przypuszczać, że znajduje się tam wielkie morze, zwane przez krajowców Ukerewe, Uniamwesi lub Niansa, z którego Nil bierze swój początek. Do jego źródeł usiłowano dotrzeć dążąc z północy od Morza Śródziemnego wzdłuż rzeki i drogą lądową od wybrzeży Oceanu Indyjskiego.

Wyprawy przedsiębrane w górę Nilu nie zostały uwieńczone powodzeniem. Ledyard zmarł na skraju Pustyni Libijskiej, Brown dotarł tylko do Dar-Furu, a inni zawracali z drogi zrażeni licznymi kataraktami uniemożliwiającymi podróż.

Ostatecznie górny bieg Nilu zbadał Wenecjanin Giovanni Miani, lecz tajemnicę źródła rzeki rozwiązali dopiero uczeni i podróżnicy wysłani przez angielskie Towarzystwo Geograficzne. Odkrywcą źródeł Nilu Białego jest Anglik John Speke, który, z Richardem Burtonem wyruszył z Bagamojo w Afryce Wschodniej, aby dotrzeć do jeziora Ukerewe. Burton ciężko się w drodze rozchorował, lecz Speke zdołał przybyć do południowych krańców wielkiego jeziora, które krajowcy, zgodnie z opowiadaniami Arabów, nazywali Ukerewe. Speke był przekonany, że z jeziora tego wypływa Nil Biały. Na cześć królowej Anglii nazwał je Wiktoria Niansa.

W Europie mimo to nie uwierzono w sprawozdanie Speke'a. Wyruszył więc w tysiąc osiemset sześćdziesiątym roku na nową wyprawę, tym razem w towarzystwie Granta. Dotarłszy do potężnego państwa w Ugandzie, podróżnicy się rozdzielili. Grant podążył na północ, idąc jakby po cięciwie łuku tworzonego przez Nil, Speke natomiast wędrował wzdłuż koryta rzeki. Po połączeniu przebytych tras Speke mógł z pewnością stwierdzić, że źródła Nilu zostały odkryte. W Gondokoro podróżnicy spotkali się z Samuelem Bakerem.

---

[46] **Ruwenzori w narzeczu Murzynów Bantu oznacza Góry Księżycowe; trzeci pod względem wysokości łańcuch gór w Afryce.**

Ten zaś, usłyszawszy o ich odkryciu, podążył na południe, gdzie po drodze natrafił na ominięte przez Speke'a jezioro Mwutan Nzige, obecnie zwane Jeziorem Alberta, przez które przepływa Nil Biały.

Wybitny podróżnik i dziennikarz, Stanley, potwierdził później zgodność relacji i obliczeń dokonanych przez Speke'a, a ponadto odkrył Jezioro Edwarda, łączące się z wodami Jeziora Alberta i tym samym wchodzące do systemu wód Nilu.

— A kto jeszcze badał Afrykę Równikową? — znów zapytał niestrudzony Tomek.

— Do bliższego poznania krajów leżących nad górnym Nilem Białym przyczynili się również Baker, Gordon i Gessie, mianowani wielkorządcami przez egipskiego kedywa[47]. Wiele cennych informacji o florze, faunie i mieszkańcach zebrał Edward Schnitzler[48] ze Śląska, zwany także Eminem-paszą, który od roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego ósmego był gubernatorem Ekwatorii[49]. Zdołał on zgromadzić bardzo liczne i cenne dla nauki zbiory.

Miejsce urodzenia Emina-paszy przypomniało Tomkowi odległą ojczyznę. Zaraz też ten obcy człowiek wydał mu się bliższy i wzbudził większe zainteresowanie.

— Tatusiu, opowiedz coś więcej o losach Emina-paszy ze Śląska — poprosił.

— Wojna rozpętana przez powstanie Mahdiego przeciw Egipcjanom i Anglikom uniemożliwiła wówczas dalsze badania w okolicach górnego Nilu. W roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym Gordon poległ broniąc Chartumu przed mahdystami, a Emin-pasza, przebywając wtedy w okolicy Jeziora Wiktorii, znalazł się w ciężkiej sytuacji. Nieustraszony Stanley wyruszył na swą ostatnią wyprawę afrykańską, aby udzielić mu pomocy. Tym razem Stanley przedzierał się przez Kongo, gdzie przez cały czas musiał staczać niebezpieczne walki z krajowcami. Dopiero po blisko rocznym marszu, wśród ciągłych starć i dokuczliwych trudności aprowizacyjnych, dotarł do Jeziora Wiktorii. Tam właśnie spotkał się z Eminem-paszą i Casatim. Długo wahał się Emin-pasza, czy powinien opuścić kraj, którego był wielkorządcą z ramienia egipskiego kedywa, lecz po chwilowym pobycie w niewoli u nieprzyjaciół ruszył ze Stanleyem w kierunku Bagamojo[50]. Tam wstąpił do służby niemieckiej i wkrótce przedsięwziął nową wyprawę. Tym razem dotarł do zachodnich wybrzeży Jeziora Wiktorii, założył stację Bukoba, gdy jednak posunął się za daleko na zachód, został zabity przez Arabów.

— Pan Smuga opowiadał mi już kiedyś, że mieszkańcy Afryki nie są tak łagodni jak Australijczycy, którzy nie stawiali Europejczykom żadnego oporu — wtrącił Tomek. — Ciekaw jestem, czy Polacy również brali udział w odkryciach w Afryce?

Wilmowski zastanowił się chwilę.

---

[47] Kedyw — do 1922 r. oficjalny tytuł dziedziczny wicekróla Egiptu, nadany w 1867 r. przez sułtana tureckiego, od którego wówczas Egipt zależał nominalnie.

[48] E. Schnitzer (lub Schnitzler). wybitny badacz Sudanu i Afryki Wschodniej, pochodził z rodziny żydowskiej osiadłej na Śląsku. Przeszedł na mahometanizm i został urzędnikiem egipskim.

[49] Ekwatorią zwano prowincje egipskie leżące nad górnym Nilem.

[50] Bagamojo znajduje się w Tanzanii na wybrzeżu Oceanu Indyjskiego.

— Wśród podróżników i odkrywców afrykańskich spotyka się przeważnie Anglików, Francuzów i Niemców, oni to bowiem najbardziej się tym kontynentem interesowali. Większość ekspedycji badawczych miała przeważnie na celu utorowanie drogi do przeistoczenia odkrytych ziem w kolonie państw europejskich. Polacy nigdy nie prowadzili polityki zaborczej, a teraz przecież sami od ponad stu lat znajdują się w niewoli. Niemniej w różnych okresach czasu przybywali na Czarny Ląd z pobudek naukowo-badawczych bądź po prostu w pogoni za niezwykłymi przygodami.

— Tatusiu, proszę cię, opowiedz nam jeszcze o polskich podróżnikach i odkrywcach w Afryce. Na pewno pan bosman także posłucha z przyjemnością o czynach Polaków.

— Lubię opowieści o naszych zuchach — przytaknął marynarz nabijając fajkę tytoniem.

Wilmowski również zapalił i po krótkiej przerwie ciągnął znowu:

— Z Polaków najwcześniej zjawił się w Afryce Maurycy August Beniowski. Był to niezwykle przedsiębiorczy i odważny człowiek. Jako pułkownik konfederacji barskiej walczył przeciw carskiej Rosji...

— I na pewno tak jak ty i pan bosman musiał uciekać z kraju — wtrącił Tomek.

Wilmowski uśmiechnął się do syna i mówił dalej:

— Beniowski został wzięty przez Rosjan do niewoli i zesłany na Kamczatkę. Udało mu się wzniecić tam bunt więźniów. Na ich czele zdobył rosyjski statek, na którym wraz z towarzyszami uciekł na pełne morze. Po wielu przygodach w roku tysiąc siedemset siedemdziesiątym trzecim przybył z ramienia rządu francuskiego na wyspę Madagaskar leżącą u południowo-wschodnich wybrzeży Czarnego Lądu. Wśród ustawicznych walk z krajowcami, przedzierając się przez rozległe błota, niedostępne góry i skały, opanował Beniowski najżyźniejszą część wyspy. W rok później został obwołany przez krajowców ampansakabą, czyli królem Madagaskaru. Miał własną stolicę, dwór i ciemnoskórą armię ubraną w rogatywki. Panował niespełna dwa lata, lecz przez ten czas spowodował zaprzestanie walk wewnętrznych nękających mieszkańców wyspy, wytępił barbarzyński zwyczaj mordowania ułomnych dzieci, zakładał w zdrowych okolicach osady, budował szpitale i przytułki, zyskując coraz większe uznanie krajowców. Kiedy chciał uwolnić ostatecznie Madagaskar od uciążliwej opieki Francji, zginął w bitwie z Francuzami.

— A to ci był nie lada zuch! — zawołał bosman Nowicki. — Ho, ho! Może i ciebie, brachu, Murzyniaki ogłoszą królem, na przykład w Bugandzie. Pamiętaj wtedy o swoim druhu i zrób mnie chociaż generałem.

— Niech pan nie kpi ze mnie — oburzył się Tomek.

— Wcale nie kpię! Jeżeli Masajowie na samym początku wyprawy zrobili z ciebie wielkiego czarownika, to teraz Bugandczyki mogą ich przecież prześcignąć i obwołają mojego kumpla swoim królem. Licz na mnie, pomogę ci rządzić!

— Że też pan zawsze musi żartować! Mów dalej; tatusiu!

Wilmowski rozweselony ciągnął opowieść:

— Na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku bardzo zasłużył się swymi badaniami Jan Potocki. Zwiedził Egipt, Tunis i Maroko, a potem opisał te kraje. Dalekie podróże po Egipcie, Sudanie, Abisynii i Krainie Wielkich Jezior, a więc i tu, gdzie my obecnie podróżujemy, odbywał polski lekarz, Ignacy Żagiel, emigrant polityczny. Po powstaniu tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego roku opuścił Polskę i przez dwa lata sprawował urząd nadwornego lekarza egipskiego kedywa.

W tym samym czasie inny Polak, przyrodnik Antoni Waga, zgromadził w Egipcie i Nubii bogate zbiory ptaków, gadów i owadów, odkrywając wiele nowych gatunków. Parę lat później Władysław Taczanowski badał ptactwo Algierii, a w Południowej Afryce szerokie badania geograficzne i botaniczne prowadził w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym czwartym i piątym botanik i geograf, profesor Uniwersytetu Lwowskiego, Antoni Rehman. Z dwóch podróży przywiózł do kraju cenny zbiór, obejmujący blisko trzy tysiące okazów różnych roślin, w tym wiele dotychczas nie znanych. Obok poszukiwań botanicznych i geograficznych prowadził również badania etnograficzne. Rehman napisał później dwie nadzwyczaj ciekawe książki o zwiedzonych krajach. Będziesz mógł je przeczytać, gdyż obydwie mam w Hamburgu.

— Nasz Tomek również pięknie opisuje różne afrykańskie widoki w listach do tej miłej australijskiej turkaweczki — wtrącił bosman. — Gdyby tak zebrać jego wszystkie listy i wydrukować, byłaby z nich bardzo zajmująca książka.

— Znów pan zaczyna! — rozgniewał się chłopiec. — Prosiłem, żeby pan nie nazywał Sally turkaweczką.

— Już dobrze, dobrze. Opowiadaj dalej, Andrzeju — rzekł bosman pojednawczo.

— Około roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego drugiego Stefan Szolc-Rogoziński, Leopold Janikowski i Klemens Tomczek odbyli na statku "Łucja-Małgorzata" głośną wówczas wyprawę do Kamerunu. Owocem tej jedynej w dziewiętnastym wieku polskiej naukowej wyprawy do Afryki były obfite zbiory i materiały ludoznawcze, językoznawcze oraz mapy zbadanych okolic. Leopold Janikowski przebywał nawet trzy lata wśród ludożerczych plemion Fan i zgromadził niezwykle cenne zbiory etnograficzne.

W służbie francuskiej badali Afrykę Północną i Środkową Motyliński i Jan Dybowski. Jak więc widzicie, Polacy również brali udział w odkryciach naukowych na tym kontynencie i choć w skromnym zakresie, niemniej przyczynili się do jego lepszego poznania.

— Spędziłem trochę czasu z Dybowskim podczas jego wyprawy do Konga — westchnął Hunter. — Zaprzyjaźniliśmy się nawet. Tak, tak, śmiały to był człowiek. Niejedno też przeżyliśmy razem... Późno już dzisiaj, opowiem o tym kiedy indziej, chodźmy teraz spać. Najgorzej, gdy na noc nachodzą człowieka wspomnienia. Dobranoc!

ZASADZKA

Był wczesny ranek. Na wschodzie zza pagórków wyjrzało słońce, lecz na południu, nad Jeziorem Wiktorii, gromadziły się ołowiano-granatowe chmury.

— Dlaczego nie zwijamy obozu? Przecież dzisiaj mieliśmy wyruszyć w dalszą drogę? — zawołał Tomek, podbiegając do grupki mężczyzn rozmawiających przed namiotem Smugi.

— Zastanawiamy się właśnie, co zrobić — odpowiedział zafrasowany Wilmowski. — Pan Smuga czuje się gorzej, a lada chwila może nadejść burza.

— Przecież wczoraj pan Smuga nie miał już gorączki, skąd się więc wzięło to nagłe pogorszenie?

— Widzisz, to nie ten sam chłop co przed trzema dniami. Podsunąłem mu manierczynę z jamajką, a on nawet nie powąchał. To zły znak... — rzekł bosman Nowicki.

— Jest ociężały i apatyczny — dodał Hunter. — Mimo to radzę na nic nie zważać i ruszyć w drogę. Niech lekarz garnizonowy w forcie w Kampali zbada go jak najprędzej.

— Jestem tego samego zdania. Nie wahałbym się, gdyby nie chmury zapowiadające możliwość nadejścia burzy — powiedział Wilmowski.

— Czy tutaj często są burze? — zwrócił się Tomek do Huntera.

— W pasie od trzydziestu do pięćdziesięciu mil wokół Jeziora Wiktorii nie ma ściśle określonych pór deszczowych. Deszcze padają tu najczęściej w styczniu, lutym, czerwcu i lipcu. W tym właśnie czasie na zachodnich i północno-zachodnich wybrzeżach często zdarzają się bardzo silne ranne deszcze i burze z grzmotami — wyjaśnił tropiciel.

— Wobec tego tatuś słusznie obawia się wyruszenia w drogę, gdyż znajdujemy się właśnie na północno-zachodnim wybrzeżu jeziora — stwierdził Tomek.

— Radzę natychmiast ruszać — upierał się Hunter. — Niepokoi mnie nienaturalny kolor rany na ramieniu pana Smugi. Powinniśmy jak najszybciej znaleźć się w Kampali. Jeżeli wybuchnie burza, to lektykę chorego okryjemy brezentem.

— Czy podejrzewa pan możliwość zakażenia? — zapytał Wilmowski.

Hunter zamyślony spoglądał na gromadzące się na niebie czarne chmury. Dopiero po dłuższej chwili cicho wyraził swą obawę:

— Przez cały czas intryguje mnie myśl, dlaczego napastnicy nie zabili Smugi. Przecież taki rodzaj zemsty najbardziej odpowiadałby tchórzliwemu Castanedowi. Z łatwością mogli zatrzeć ślady zbrodni.

— Nie brak mu sprytu. Nasze podejrzenia w każdym razie skierowałyby się ku niemu i Kawirondo — odezwał się Wilmowski. — Castanedo wiedział o tym dobrze, nie chciał więc komplikować sobie wygodnego życia.

— Słusznie, słusznie pan rozumuje — przytaknął Hunter. — Gdyby zdołał usunąć nas po cichu ze swej drogi, nie budząc wobec siebie i Kawirondo podejrzeń, na pewno by się ani chwili nie wahał. Przecież jeżeli złożymy Anglikom oficjalny meldunek, poparty zeznaniami Samba, Castanedo powędruje za kratki.

— Tak też będzie, jak amen w pacierzu! Nieźle pan to wykombinował — powiedział z uznaniem bosman. — Od razu powinniśmy byli wziąć go na postronek i oddać w ręce Anglików.

— Jaki wniosek wyciąga pan ze swych domysłów? — krótko zapytał Wilmowski.

— Zakładam, że Castanedo pragnąłby się nas pozbyć nie budząc podejrzeń — ciągnął Hunter. — Dlaczego więc jedynie ogłuszono Smugę? Niegroźna rana na ramieniu nie powinna budzić obaw, a tymczasem właśnie ona nie goi się i jątrzy. Czy nie przyszło wam na myśl, że ostrze noża mogło być nasycone powolnie działającą trucizną? Gdyby Smuga zmarł na terenach Luo, nikt by o to nie podejrzewał Castaneda czy Kawirondo.

— To by było straszne... — szepnął zatrwożony Tomek.

— Do stu zdechłych wielorybów! — wykrzyknął bosman. — Słyszałem i ja włócząc się po świecie, że Murzyni znają różne sztuczki z truciznami.

— O nieszczęście nietrudno. Bosmanie, załóż brezent na lektykę, a pan Hunter niech da hasło do wymarszu — zarządził Wilmowski, wysłuchawszy tropiciela. — Tomku, pomóż panu Hunterowi, ja się zajmę naszym rannym przyjacielem.

— Jestem gotów, tatusiu — zawołał chłopiec.

Wilmowski postanowił nie odstępować Smugi, tym samym dowodzenie ludźmi spadło całkowicie na Huntera. Tropiciel energicznie zabrał się do przygotowań do wymarszu. Osobiście dopilnował, aby sprawnie zwinięto obóz, rozdzielił bagaże pomiędzy tragarzy i wydał specjalne rozkazy dobrze uzbrojonym Masajom, którzy, mieli ubezpieczać boki karawany. Wkrótce wszyscy stanęli w szyku.

Tuż za chorążym Sambem mieli iść czterej Kawirondo niosąc lektykę z rannym; za nimi szły zwierzęta juczne i tragarze. Tylną straż stanowili bosman i Tomek.

— Ho, ho! Nie spodziewałem się po tym flegmatyku tyle energii. Zdaje się, że w opresji można na nim polegać — chwalił Huntera bosman Nowicki.

— Tak, tak, ale Mescherje i jego ludzie również spisują się doskonale — dodał Tomek. — Niech pan się przyjrzy, z jaką gorliwością przebiegają wzdłuż karawany popędzając tragarzy.

— Owszem, niczego sobie draby. Wydają się być zdatni do wypitki i do bitki. Gonią z wywieszonymi ozorami i błyskają ślepiami jak prawdziwe ogary.

Niebo coraz bardziej zaciągało się czarnymi chmurami. Niebawem, mimo dnia, zapanował półmrok. Od południa uderzył pierwszy podmuch gorącego wiatru. Zaraz też rozległy się chrapliwe głosy Masajów nawołujących tragarzy do pośpiechu. Bokiem ścieżki przemknęły jak widma dwa szakale i znikły w gąszczu. Zamilkł krzyk ptactwa. Deszcz zaczął padać dużymi kroplami, wkrótce przemienił się w ulewę. Całe strumienie wody spływały z czarnych chmur. Grzmoty co chwila przetaczały się po górach. Karawana zwolniła tempo marszu. Ludzie i zwierzęta ślizgali się po nagle rozmiękłej ziemi. W czasie największego nasilenia nawałnicy łowcy musieli się zatrzymać u stóp niemal prostopadłej ściany wzgórza, które osłoniło ich trochę przed wichrem i ulewą. Masajowie pospiesznie rozkładali namioty, gdy nagle rozległ się krzyk Tomka.

— Kawirondo uciekają!

Była to prawda. Korzystając z chwilowego zamieszania spowodowanego burzą, tragarze gromadnie czmychali w pobliski gąszcz. Zanim łowcy mogli przeciwdziałać nieoczekiwanej ucieczce, ostatni Kawirondo znikł w krzakach.

— A to dranie, wystawili nas do wiatru! — zawołał bosman, spoglądając ze zdumieniem na porzucone w wysokiej trawie pakunki.

— Co zrobimy bez tragarzy? — zmartwił się Tomek.

Hunter nie tracił głowy. Natychmiast wydał Masajom polecenie, aby znieśli pod stok góry wszystkie bagaże i rozłożyli obóz otoczony kolczastym ogrodzeniem. Na szczęście burza przesunęła się dalej na północ. Palące słońce znów ukazało się na wypogodzonym niebie, toteż jeszcze przed południem borna była wybudowana, a Smuga odpoczywał w namiocie na łóżku polowym. Chociaż był osłabiony, uważnie przysłuchiwał się naradzie towarzyszy. Hunter radził pozostawić większość bagaży i wyruszyć dalej z objuczonymi osłami i końmi, aby szybciej dotrzeć z rannym do fortu w Kampali.

— Dlaczego pan tak nagli do pośpiechu? Czy obawia się pan, że zraniono mnie zatrutym nożem? — odezwał się Smuga.

Tomek z podziwem spojrzał na domyślnego przyjaciela, a potem na Huntera, który odparł po prostu:

— A czy panu, znającemu tak doskonale zwyczaje afrykańskich Murzynów, nie przyszła podobna myśl do głowy?

Smuga uniósł się z wysiłkiem. Wydobył z kieszeni fajkę, nabił ją tytoniem, zapalił, po czym odpowiedział:

— Prawdopodobnie ostrze noża było nasycone trucizną. Od wczoraj jestem tego nawet pewny.

— I ty to mówisz z takim spokojem? — oburzył się Wilmowski. — Nie spodziewałem się po tobie podobnej lekkomyślności.

— Nie gniewaj się, Andrzeju, i nie posądzaj mnie o lekkomyślność — odpowiedział Smuga. — Zachowuję spokój, ponieważ rozważyłem wszelkie możliwości i doszedłem do wniosku, że nie ma obecnie powodu do nadmiernych obaw. Przecież gdyby trucizna działała gwałtownie, nie uratowałby mnie nawet najszybszy marsz. Wprawdzie rana na ramieniu jątrzy się i odczuwam w nim dziwny bezwład, lecz jestem pewny, że podczas obfitego krwawienia niewiele trucizny dostało się do krwi. Tak przeważnie bywa przy ranach zadanych nożem. Znam się na tym co nieco. Gorzej jest, gdy grot zatrutej strzały utkwi głęboko w ciele człowieka lub zwierzęcia.

— Czy pan naprawdę sądzi, że nie grozi panu niebezpieczeństwo? — zawołał Tomek chwytając dłoń Smugi.

— Możesz być pewny, że nie spieszno mi do krainy wiecznych łowów. Muszę przecież schwytać okapi, aby przekonać pana Huntera o ich istnieniu. Poza tym lekarz europejski nie na wiele by mi się przydał. Natomiast miejscowy czarownik mógłby prawdopodobnie dać mi skuteczne lekarstwo. Oni znają tajemnice afrykańskich trucizn.

— Wobec tego powinniśmy jak najszybciej dotrzeć do kabaki Bugandy. Kto jak kto, ale taki król musi mieć najlepszych czarowników — entuzjazmował się Tomek.

— Kabaka Bugandy na pewno jest człowiekiem cywilizowanym i nie wierzy już w moc czarowników — zauważył Wilmowski.

— Nie ulega wątpliwości, że Kabaka nie jest nago biegającym dzikusem, lecz tak czy inaczej nie brakuje na jego dworze czarowników — wyjaśnił Hunter. — Niełatwo przecież wykorzenić przesądy wśród krajowców. Dobrze byłoby wiedzieć, jakiej trucizny używają Kawirondo. Szkoda, że napastnik nie zgubił noża podczas walki.

— Czy to zmieniłoby stan chorego? — powątpiewająco zapytał Tomek.

— Znalezienie noża wiele by nam pomogło — odparł Hunter. — Przeważnie na końcu ostrza jest wyżłobienie, w które wsącza się trucizna wlewana na dno szczelnie dopasowanej pochwy. Znawca tutejszych trucizn mógłby zbadać zawartość wyżłobienia i stwierdzić rodzaj trucizny. Szkoda jednak czasu na próżną gadaninę. Lepiej się zastanówmy, co poczniemy teraz porzuceni przez tragarzy?

— Ależ to beznadziejna sytuacja — powiedział Tomek z tak zaniepokojonym wyrazem twarzy, że towarzysze natychmiast zaczęli go pocieszać.

— Nie jest znów tak źle. Gorsze historie przydarzały się niektórym podróżnikom — powiedział Wilmowski.

— Czy chcesz powiedzieć, tatusiu, że nie tylko nas porzucili tragarze?

— Właśnie to mam na myśli. Wspomniałem wam już o polskim podróżniku Rehmanie. Otóż w czasie jednej z wędrówek po Afryce Południowej powziął zamiar zbadania rzeki Limpopo. Odradzano mu urządzanie wyprawy w porze letniej ze względu na niezdrowy klimat okolicy, lecz Rehman, niepomny przestróg, najął przewodnika oraz kilkunastu tragarzy i wyruszył w drogę. Wkrótce tragarze zaczęli mu płatać różne psikusy. Opóźniali pochód udając zmęczenie, rozkładali obóz, gdzie im się podobało, naciągali podróżnika na dodatkowe wynagrodzenie, a w końcu nie chcieli iść podczas deszczu. Pewnego dnia po dużej burzy przewodnik i dwaj tragarze zniknęli jak kamfora, zabierając część rzeczy Rehmana. Następnego dnia na każdym postoju tragarze po kilku uciekali wraz z ładunkiem.

Jeszcze dziesięć dni drogi dzieliło Rehmana od Limpopo, a było przy nim zaledwie trzech Murzynów. Niebawem ci również uciekli. Rehman pozostał sam w bezludnej, o niezdrowym klimacie pustyni, zamieszkanej jedynie przez dzikie zwierzęta.

— I co zrobił w tak okropnym położeniu? — niecierpliwił się Tomek, ciekaw zakończenia przygody przypominającej ich własną.

— Usiadł na kamieniu i zaczął się zastanawiać, co ma począć dalej. Znał podobne przypadki porzucenia podróżników. Taki właśnie los spotkał niemieckiego badacza Karola Maucha, który w Transwalu został okradziony i opuszczony przez swych ludzi. Mauch znajdował się wtedy w dość gęsto zaludnionej okolicy, znalazł więc niebawem innych tragarzy i szczęśliwie zakończył wyprawę. Inny niemiecki podróżnik, Edward Mohr, podczas wędrówki do rzeki Zambezi, w odległości trzech dni drogi od Wodospadów Królowej Wiktorii został również opuszczony przez tragarzy. Znakomity myśliwy ukrył wszystkie swe rzeczy w dżungli, wziął tylko strzelbę oraz kilkadziesiąt naboi i poszedł dalej utartą od czasów Livingstona drogą.

Rehman nie był myśliwym i nie mógł liczyć na niczyją pomoc w bezludnej pustyni. Deszcz jakby się nad nim zlitował i przestał padać, postanowił więc przez kilka dni zbierać w okolicy różne okazy roślin. Wkrótce deszcz znów się rozpadał. Wtedy Rehman uległ atakowi malarii. Mimo wielkiego osłabienia zabrał nazajutrz trochę żywności, koc oraz puszkę z okazami botanicznymi i ruszył w drogę powrotną. Po dwóch dniach udało mu się dowlec w zamieszkałe strony.

— To była naprawdę niebezpieczna przygoda — przyznał Tomek. — Teraz widzę, że nasza sytuacja jest o wiele lepsza. Jest nas kilku, a wystarczy przecież wdrapać się na tę górę, u której stóp rozbiliśmy nasz obóz, aby rozejrzeć się po okolicy za najbliższą wioską murzyńską!

— Przednia myśl! — zawołał bosman.

— Przecież pan nie lubi się wspinać na góry!

— Konieczność zmusza człowieka do różnych rzeczy. Łyknę tylko trochę jamajki na wzmocnienie i zaraz ruszamy.

— Dobrze, idźcie na zwiady — zgodził się Wilmowski. — Zabierzcie broń i lunetę. Zachowajcie ostrożność.

— Nie obawiaj się o nas, tatusiu. Szybko wejdziemy na szczyt góry i wkrótce wrócimy, na pewno z dobrymi wieściami. Dingo, chodź ze mną!

Bosman i Tomek poprzedzani przez psa zniknęli wśród zarośli okalających górę. Przez jakiś czas obchodzili wokół jej podnóże, aby znaleźć łagodniejsze zbocze. W miejscu, gdzie rozłożyli obóz, wzniesienie opadało niemal prostopadłą ścianą, uwieńczoną na szczycie rumowiskiem wielkich głazów. Przewidywania dwóch przyjaciół sprawdziły się: wschodni stok sięgał tarasami do samego szczytu. W milczeniu wspinali się z jednego wzniesienia na drugie, aż w końcu natrafili wśród drzew na wydeptaną przez jakieś dzikie zwierzęta ścieżkę. Dingo natychmiast zaczął węszyć i pobiegł pierwszy z pochylonym ku ziemi łbem.

— Oho, Dingo poczuł jakąś zwierzynę — zauważył Tomek.

— Weź go lepiej krótko na smycz, bo gotów nam jeszcze wypłoszyć z tych krzaków jakieś afrykańskie dziwadło — doradził bosman. — Niechby tak tu wypadła na wąską ścieżkę jakaś większa sztuka, to nie będziemy nawet mieli dokąd uciekać. Dingo, do nogi!

Pies powrócił niechętnie. Tomek uwiązał go na smyczy; znów ruszyli pod górę. Kilkadziesiąt metrów przed skalistym, płasko ściętym szczytem kończył się las. Dalej ścieżyna wiodła przez karłowate kłujące krzewy i ginęła pomiędzy głazami zalegającymi szczyt.

Gdy bosman i Tomek mijali już krzewy, Dingo nagle przystanął strzygąc uszami. Sierść zjeżyła mu się na karku. Szczerząc kły warknął głucho. Tomek i bosman zatrzymali się zdziwieni.

— Co to ma znaczyć? — mruknął bosman, wsuwając rękę do kieszeni, w której nosił rewolwer.

— Dingo musiał zwęszyć coś podejrzanego — szeptem odparł Tomek. — Pewno jakiś zwierz ukrył się tutaj.

— Nie pleć głupstw, brachu! — zaoponował bosman. — Jakie głupie bydlę kryłoby się wśród nagich skał?

— Może to górskie kozy? Niech pan spojrzy! Dingo nie zachowuje się tak przy spotkaniu ze zwierzyną!

Pies patrzył mądrymi ślepiami na łowców i odwracając co chwila głowę, obnażał duże kły.

— On nas wyraźnie ostrzega przed niebezpieczeństwem — szepnął Tomek.

Naraz na samym szczycie rozległ się przyciszony ludzki krzyk. Zaraz też łowcy usłyszeli jakby odgłos toczonego po skale kamienia. Bosman wydobył z kieszeni rewolwer i dał znak chłopcu, aby podążył za nim. Pod osłoną krzewów czołgali się aż do

pierwszych skał; dalej sunęli od kamienia do kamienia. Teraz nie mieli już jakichkolwiek wątpliwości. Jacyś ludzie przetaczali głazy na szczycie góry. Wyraźnie było słychać ich świszczące z wysiłku oddechy oraz chrapliwe nawoływania. Bosman przycupnął za występem skalnym. Ostrożnie wychylił głowę. Po chwili szepnął:

— Zerknij, brachu, co oni tam majstrują!

Chłopiec wysunął głowę i zdumiał się. Oto dwóch nagich Murzynów z wysiłkiem toczyło olbrzymi głaz po niewielkiej pochyłości ku krawędzi szczytu, gdzie ułożono już sporą piramidę większych i mniejszych kamieni. Trzeci człowiek musiał znajdować się za głazem. Grubym drągiem podważał i popychał ciężki kamień, który zasłaniał go teraz przed łowcami. Tomek przyglądał się Murzynom. Mięśnie naprężały się pod ich brunatną, pokrytą potem, błyszczącą skórą. Dobywając resztek sił, pchali wielki ciężar. Jeszcze dwa lub trzy metry i głaz sam potoczy się po pochyłości, uderzy w piramidę, a wtedy lawina kamieni runie w dół ze szczytu góry. Tomek struchlał. Przecież głazy ułożone były na krawędzi prostopadłej ściany, u której stóp znajdował się obóz wyprawy. Zaledwie myśl ta przyszła mu do głowy, cofnął się i chwyciwszy bosmana za rękę szepnął:

— Zasadzka! Oni zamierzają strącić lawinę głazów na obóz!

— Kubek w kubek to samo pomyślałem — cicho odparł bosman. — Musimy temu zapobiec. Ilu ich tam jest?

— Aż trzech!

— Damy chyba radę. Spróbuję unieszkodliwić drani, a ty stój tutaj z pukawką w pogotowiu. Gdyby było ze mną krucho, pociągnij za cyngiel. Tylko mierz dobrze, bo to walka o życie — cicho dodał marynarz niespokojnie spoglądając na chłopca.

Tomek pobladł straszliwie — miał strzelać do ludzi. Otarł dłonią zroszone potem czoło i niepewnie ujął sztucer.

— To mordercy! Jeżeli się poszkapimy, zabiją nas wszystkich — syknął bosman.

Odetchnął lżej, widząc, że ręce chłopca przestały drżeć. Tomek uniósł się z ziemi ze sztucerem gotowym do strzału.

— Uważaj teraz! — polecił bosman wysuwając się ostrożnie zza skalnego załomu.

W tej właśnie chwili silnie podważony przez Murzynów głaz potoczył się o cały obrót, odsłaniając ukrytego dotąd przed wzrokiem łowców trzeciego mężczyznę. — Zaledwie Tomek spojrzał na niego,zapomniał o ostrożności i krzyknął:

— Castanedo!

Bosman zaklął po marynarsku. Skoczył ku Murzynom, którzy stanęli jak wryci ujrzawszy nieoczekiwanego wroga. Tymczasem Dingo, podrażniony krzykiem Tomka, wyrwał smycz z jego dłoni. Kilkoma susami doskoczył do Castaneda. Płowe cielsko śmignęło w powietrzu, lecz handlarz niewolników błyskawicznie przykucnął i pies przeleciał nad nim. Dingo natychmiast rzucił się ponownie do ataku. Castanedo

wyszarpnął zza pasa długi nóż. Pies przyczaił się szczerząc kły. Bosman runął jak burza na dwóch Kawirondo: jednego uderzył w kark rękojeścią rewolweru, drugiego grzmotnął pięścią między oczy i zaraz odwrócił się do Castaneda, który z nożem w dłoni cofał się przed psem ku prostopadle ściętej krawędzi góry.

— Dingo, do nogi! — krzyknął bosman.

Pies przystanął warcząc głucho. Bosman krok za krokiem zbliżał się do Mulata. Castanedo pochylił się i skurczył. Widać było, że zaraz zaatakuje.

— Rzuć nóż, draniu! — rozkazał bosman.

Castanedo nic nie odrzekł. Wolno unosił ostrze w górę, błyskając groźnie pełnym nienawiści okiem. Dingo warknął ostrzegawczo.

— Rzuć nóż na ziemię! — powtórzył bosman.

Castanedo cofnął się trochę, by nabrać rozpędu.

Bosman oparł na biodrze prawą dłoń uzbrojoną w rewolwer i nacisnął spust. Huknął strzał! Po twarzy Castaneda przebiegł skurcz. Bosman naciskał spust raz po razie. Mieszaniec zwinął się jak pod smagnięciem bicza i runął w przepaść.

Marynarz z rewolwerem gotowym do strzału odwrócił się ku powalonym uprzednio wrogom, ale uspokoił się zaraz, gdy spostrzegł, że Tomkowi nic od nich nie grozi. Chłopiec stał z opuszczoną w dół lufą sztucera i przerażonym wzrokiem spoglądał na bosmana.

— Nic ci się nie stało? — szybko zapytał marynarz, zaniepokojony wyglądem przyjaciela.

— Nic... — wykrztusił Tomek.

— A gdzież to podziali się Kawirondo?

Tomek bez słowa wskazał ręką na pobliskie krzewy.

— Uciekli? A, to czort z nimi tańcował! Niech sobie uciekają, nie są już dla nas groźni. Patrz, pogubili nawet swoje patyki — roześmiał się bosman rubasznie, potrącając nogą leżące na ziemi dzidy.— Coś tak nagle zaniemówił, brachu?

— Pan... zabił... Castaneda!

— Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka — rzekł sentencjonalnie marynarz. — Teraz przynajmniej już nie będzie nam bruździł. No, no, ale Dingo to druh na schwał! Widziałeś, jak odważnie rzucił się na tego drania? Mądry piesek, mądry! Nie skoczył na ślepo, wiedział, że z nożem nie ma żartów!

Dingo otrząsnął się, jakby wyszedł z wody. Sierść opadła mu na karku. Otarł łeb o nogi bosmana, po czym podbiegł do chłopca. Tomek pogłaskał go w milczeniu, starając się zapanować nad drżeniem ręki.

NA DWORZE KABAKI BUGANDY

— Zerknij no, brachu, a zaraz nabierzesz lepszego ducha — zawołał bosman podając chłopcu lunetę, przez którą rozglądał się po okolicy.

Tomek spojrzał we wskazanym przez towarzysza kierunku. W dali srebrzyły się wody jeziora. Ponad zielenią bujnie porastającą jego brzeg unosiły się smużki dymu. Nie ulegało wątpliwości, że znajdowała się tam wioska murzyńska. Wąwozem, który wiódł wprost do stóp góry służącej za punkt obserwacyjny, kroczyło sześciu ludzi z karabinami przerzuconymi przez plecy. Ubiór ich świadczył o przynależności do formacji wojskowej. Tomek domyślił się z łatwością, że był to patrol angielski. Ucieszony zawołał:

— Żołnierze zbliżają się do naszego obozu!

— Anglik i krajowcy w służbie angielskiej — przytaknął bosman. — Strzelmy w górę, żeby zwrócić ich uwagę!

Oddali salwę. Żołnierze usłyszeli strzały. Biały dowódca oddziałku machnął ręką i przyspieszył kroku. Bosman przeszukał pobliskie krzewy, lecz po dwóch zbiegłych Murzynach nie było ni śladu. Łowcy bez zwłoki postanowili wracać do obozu. Przebyli już połowę drogi, gdy nie opodal rozległy się strzały karabinowe. Bosman i Tomek znów wystrzelili w górę.

Wkrótce spotkali zdążających im na pomoc Huntera i trzech Masajów. Tropiciel odetchnął z ulgą stwierdziwszy, że Tomek i bosman wyszli cało ze spotkania z mściwym Castanedem. Okazało się bowiem, że huk strzałów, a następnie stoczenie się z góry człowieka nie uszło uwagi łowców pozostałych w obozie. Sambo i Mescherje odnaleźli martwe ciało — rozpoznali Castaneda. Ujrzawszy go, myśleli, że musiał stoczyć zaciekłą walkę przed upadkiem w przepaść. Wilmowski wraz z resztą łowców nie mieli żadnych wątpliwości, że to właśnie Tomek i bosman natknęli się na handlarza niewolników. Ilu jednak było nieprzyjaciół i jak skończyło się starcie, nikt z nich nie mógł odgadnąć, toteż Hunter z Masajami natychmiast ruszyli na pomoc.

Wilmowski i Smuga z niepokojem oczekiwali na powrót towarzyszy. Ucieszyli się widząc ich całych i zdrowych. Bosman jeszcze raz musiał opowiedzieć przebieg wydarzeń, a gdy skończył, Smuga odezwał się:

— Pechowiec z tego Castaneda. Nie miał do was szczęścia. Zasłużył sobie na to, co go spotkało. A teraz obejrzyjcie nóż znaleziony przy nim.

Bosman wziął do ręki niezbyt duży nóż i wydobył go z pochwy. W rowku wypiłowanym na końcu ostrza znajdowała się lepka ciecz.

— Ostrożnie, bosmanie, nóż jest nasycony trucizną — uprzedził Hunter.

— Zauważyłem. Czy tym nożem zadano panu Smudze cios? — zapytał bosman.

— Jestem pewny że to Castanedo dokonał napadu — odparł tropiciel.

— Jeżeli tak jest naprawdę, to teraz będzie można ustalić rodzaj trucizny i pan Smuga szybko wyzdrowieje — uradował się Tomek.

— Daj Boże, by tak było! — westchnął Wilmowski.

— Powiadacie, że patrol angielski podąża w naszą stronę? — zapytał Smuga.

— Tak, tak, widzieliśmy żołnierzy jak na dłoni — zapewnił chłopiec. — Bosman twierdzi, że to Anglik na czele krajowców. Przy ich pomocy na pewno znajdziemy nowych tragarzy.

Patrol nadszedł niebawem. Dowodził nim młody Anglik, sierżant Blake, który się żywo zainteresował kłopotami podróżników. Wilmowski opowiedział mu o niecnej działalności Castaneda. Blake przesłuchał Samba jako świadka i spisał protokół. Następnie bez jakichkolwiek ceregieli polecił swym żołnierzom pochować handlarza niewolników u stóp góry. Zapewnił też podróżników, że współdziałanie Kawirondo z Castanedem nie ujdzie im bezkarnie.

Od Blake'a podróżnicy dowiedzieli się, że w forcie w Kampali nie ma obecnie lekarza, ponieważ towarzyszy on specjalnej komisji[51], która przybyła do Ugandy w celu znalezienia środków zaradczych przeciw śpiączce.

— Jeżeli tak sprawy wyglądają, to musimy się jak najszybciej znaleźć u kabaki Bugandy. Może jego znachorzy będą w stanie pomóc panu Smudze — orzekł Hunter.

— Jest to jedyne, co możecie, panowie, w tej chwili uczynić — przyznał Blake. — Kabaka ma niezłych czarowników-znachorów, którzy, jak można przypuszczać, niejedną już truciznę sporządzili. Przypuszczalnie znajdą skuteczny lek dla rannego. Radziłbym łodzią przewieźć chorego do Bugandy.

— Co pan na to, panie Hunter? — zapytał Wilmowski. — Chyba skorzystamy z tej rady?

---

[51] W 1903 r. specjalna ekspedycja angielska badała w Ugandzie przyczyny rozpowszechniania się śpiączki. Ustalono wtedy, że gorączka jest pierwszym stadium choroby.

— Jazda łodzią mniej zmęczy pana Smugę — odparł tropiciel. — Ja zabiorę juczne zwierzęta i konno z dwoma Masajami podążę brzegiem wokół jeziora, natomiast pan z resztą towarzyszy i bagażami możecie popłynąć łodziami. Spotkamy się w Bugandzie.

— Przyłączę się do pana. Jadąc na szkapie lepiej przyjrzę się okolicy — wtrącił bosman Nowicki.

Wilmowski poprosił Blake'a o pomoc w wynajęciu łodzi. Sierżant okazał się bardzo uczynnym człowiekiem. Natychmiast sprowadził kilkudziesięciu Murzynów Luo. Przy ich pomocy karawana szybko znalazła się w wiosce leżącej nad brzegiem Jeziora Wiktorii. Wilmowski nie targował się z naczelnikiem murzyńskim o wysokość wynagrodzenia, toteż niebawem przygotowano cztery długie i mocne łodzie sporządzone z wypalonych, dużych pni drzewnych. W czasie przeładunku juków na nie Tomek z bosmanem rozglądali się po małym osiedlu. Zamieszkali w nim Murzyni Luo trudnili się połowem ryb tilapia, które nazywali ngege. Młode i stare półnagie kobiety bądź siedziały bezczynnie przed chatami paląc długie gliniane fajki, bądź też gotowały pożywienie. Bosman ofiarował im dodatkowo dwie garstki tytoniu; przyjaźnie więc spoglądały na białych łowców i przynaglały swych mężów do pośpiechu. Na jednej łodzi sporządzono dla Smugi wygodne posłanie, nad którym umieszczono palankin pokryty brezentem. Pozostali na lądzie Hunter i bosman strzałami rewolwerowymi pożegnali odpływających towarzyszy.

Tomek zajął miejsce w łodzi obok Smugi. Co chwila wypytywał go o nazwy różnorakich ptaków przelatujących nad wodami jeziora; jak statki powietrzne spokojnie żeglowały w górze wielkie pelikany, stada płochliwych flamingów, ibisów, kormoranów, a także regularne klucze żurawi.

— Prawdziwy ptasi raj — powiedział Tomek, obserwując skrzydlate mrowie. — Ciekaw jestem, czy można tu spotkać bociany odlatujące z Polski na zimę do Afryki?

— Jestem tego pewny. Z samej Anglii przylatuje w te okolice około sześćdziesięciu gatunków ptaków — wyjaśnił Smuga.

— Szczęśliwe ptaki, kiedy tylko chcą, wracają do swych dalekich gniazd i wszyscy ludzie cieszą się z ich powrotu. Tymczasem tatuś i pan bosman nie mogą nawet odwiedzić rodzinnego kraju. Ile to niesprawiedliwości na świecie — filozofował chłopiec.

— Nie zazdrość wędrownym ptakom — odpowiedział Smuga. — Nie mają one tak beztroskiego życia, jakby się mogło wydawać. Nie zdajesz sobie chyba sprawy, ile ich ginie w czasie przelotów. Poza tym nie wszystkie ptaki swym przylotem sprawiają ludziom radość.

— A to dlaczego? — zdziwił się Tomek. — W Polsce każdy się cieszy na widok powracających bocków. Nikt też nie niszczy ich gniazd budowanych na wiejskich strzechach.

— To prawda, mamy wiele sentymentu dla naszych bocianów, lecz pewne ptaki wyrządzają ludziom wielkie szkody. Gdybyś się trudnił rybołówstwem, przylot niektórych skrzydlatych żarłoków nie sprawiłby ci zbytniej radości. Przyjrzyj się tym dużym ptaszyskom tak zaciekle łowiącym ryby w jeziorze.

Tomek spojrzał we wskazanym kierunku i ujrzał ptaki o połyskliwych, brązowych grzbietach i skrzydłach. Co chwila rzucały się w wodę zanurzając swe zielono-czarne głowy i szyje z białymi gardłami.

— Przecież to są kormorany[52]! — zawołał.

— Właśnie na nie chciałem zwrócić twoją uwagę — z uśmiechem potwierdził Smuga.

— Nie rozumiem, dlaczego przylot kormoranów może być niemile widziany przez ludzi, skoro słyszałem, że Chińczycy specjalnie je hodują i umyślnie przyuczają do rybołówstwa. Już choćby z tego wynika, że są bardzo pożytecznymi ptakami.

— Jedynie cierpliwi Chińczycy potrafili w ten sposób wykorzystać kormorany, które gdzie indziej stają się często prawdziwą plagą dla rybaków z powodu swej olbrzymiej żarłoczności.

— Nic o tym nie słyszałem, może by mi pan coś o nich opowiedział? Zawsze je uważałem za bardzo pożyteczne dla człowieka.

— Wiesz pewnie, że ojczyzną kormoranów jest środkowa i północna Europa, Azja i Ameryka Północna. Na zimę wędrują one w strony południowe. Kormorany wybornie pływają i nurkują, lecz na lądzie nie umieją prawie wcale chodzić. Gniazda swe budują często na drzewach. Na północy, w okolicach bezdrzewnych, gnieżdżą się w rozpadlinach skalnych. Nieraz wciskają się do czaplich gniazd i wypierają je z ich siedzib. Żyją gromadnie i mają liczne, równie żarłoczne potomstwo, toteż pobliskie wody bywają przez nie doszczętnie ogałacane z ryb. Przy tym pomiot ich zakaża dokoła powietrze na znaczną odległość. Również z tego względu kormorany nie są miłym sąsiadem dla człowieka.

Na podobnych rozmowach żegluga po Jeziorze Wiktorii szybko im schodziła. Tomek w chwilach odpoczynku Smugi gawędził z Sambem. Oczywiście dyskusje te odbywały się w dużej mierze na migi, ponieważ Sambo niewiele znał słów angielskich, za to Tomek uczył się szybko narzecza krajowców, co mu się mogło bardzo przydać podczas wyprawy.

Wiadomość o zbliżaniu się łowców dzikich zwierząt do Bugandy musiała ubiec naszych podróżników, trzeciego dnia żeglugi ujrzeli bowiem płynącą z zachodu łódź, w której, jak się później okazało, przybył na ich powitanie wysłannik kabaki. Był to wysoki młodzieniec ubrany w płaszcz z koziej skóry, strojny w sznury paciorków i ptasie pióra.

W imieniu króla Daudi Chwa zaprosił białych łowców na "dwór królewski".

---

[52] *Phalacrocorax carbo*

Podróżnicy ucieszyli się tak wielkim dowodem gościnności. Podejrzewali, że to sierżant Blake specjalnie uprzedził murzyńskiego władcę, aby wynagrodzić im dotychczasowe przykrości. Oczywiście Wilmowski wręczył wysłannikowi cenne upominki i zapewnił go o swej wdzięczności dla młodego króla.

Zaledwie łodzie przybiły do brzegu, oddział zbrojnych wojowników otoczył białych łowców. Pod opieką eskorty wkroczyli do stolicy prowincji, witani biciem w kotły i bębny.

Sambo maszerował dumnie na czele i powiewał polską flagą, podczas gdy łowcy i Masajowie obwieścili swe przybycie palbą z karabinów.

Rój mężczyzn, kobiet i dzieci zgromadzonych na obszernym placu wydawał przyjazne okrzyki, powiewał wielkimi flagami. Premier, jako przedstawiciel rady narodowej[53] Bugandy, oraz wodzowie poszczególnych plemion powitali przybyszów w imieniu króla.

Podróżnicy zdziwili się tak uroczystym przyjęciem. Starali się też odpłacić Bugandczykom jak największą serdecznością. Katikiro wprowadził gości do chat dla nich przeznaczonych oraz zaofiarował im trzy tuczne byki, cztery kozy, cztery barany, sto kiści bananów, dwa tuziny drobiu, dzbany mleka i kosze jaj. Jednocześnie zapowiedział, że Kabaka Daudi Chwa przyjmie ich nazajutrz na specjalnym posłuchaniu.

Zachęcony wielką gościnnością Bugandczyków Wilmowski powiedział o zranieniu Smugi zatrutym nożem i poprosił o pomoc dla niego. Katikiro oznajmił, że przyśle zaraz kilku miejscowych lekarzy, którzy zrobią wszystko, co będzie w ich mocy, aby białemu łowcy przywrócić zdrowie.

Zaledwie podróżnicy pozostali w chacie sami, Tomek klasnął w dłonie i zawołał:

— Jaka szkoda, że nie ma tu z nami bosmana! On sobie nigdy nie daruje, że minęło go tak wspaniałe powitanie. Pan Hunter także się zdziwi, gdy mu o tym opowiemy.

— Sam jestem nie mniej zaskoczony tak uroczystym przyjęciem — przyznał Wilmowski.

— Może się jeszcze dowiemy, czemu zawdzięczamy tyle zaszczytów — dodał Smuga. — Jak na afrykańskich krajowców, przyjmują nas naprawdę po królewsku.

Dociekania na temat szumnego przyjęcia w Bugandzie zostały przerwane wejściem białego mężczyzny z kilkoma starymi Murzynami, ustrojonymi w szklane korale oraz pazury i kły lamparcie.

— Witajcie, panowie, w samym sercu Afryki! Mili goście, naprawdę mili i niespodziewani goście. Jestem Mac Coy. Przebywam przy tutejszym kabace jako... sekretarz — powiedział biały mężczyzna. — Powiadomiono mnie o wypadku jednego z członków ekspedycji i chociaż sam znam się coś niecoś na tutejszych truciznach, to

[53] Kabaka, czyli król Bugandy, rządził przy pomocy rady narodowej lukiko; w jej skład wchodzili trzej ministrowie: katikiro — premier, omulamuzi — minister sprawiedliwości, omuwanika — minister skarbu, i wodzowie poszczególnych plemion.

jednak przyprowadziłem najlepszych lekarzy kabaki. To pan zapewne potrzebuje pomocy?

Mac Coy podszedł do posłania, na którym spoczywał Smuga.

— Zraniono mnie, jak przypuszczam, zatrutym nożem — odparł podróżnik.

— Rana jątrzy się, a chory traci siły i staje się coraz bardziej apatyczny — dodał Wilmowski. — Niech pan spojrzy!

Wilmowski obnażył ramię Smugi. Mac Coy pochylił się nad, chorym, przyjrzał się uważnie ranie, po czym zaczął macać opuchlinę.

— Ile dni minęło od zadania rany? — zapytał, a gdy otrzymał odpowiedź, mruknął: — Źle, źle, trucizna już jest we krwi.

Skinął na "lekarzy", którzy z powagą przyglądali się ranie, wąchali ją i dotykali palcami szepcąc coś do siebie. Oryginalne konsylium trwało dłuższą chwilę. Naraz Tomek zawołał:

— Tatusiu, dlaczego nie pokażesz panom noża, którym zraniono pana Smugę?

— Czy naprawdę macie panowie ten nóż? — zapytał Mac Coy.

— Syn mój niezupełnie ściśle się wyraził — odparł Wilmowski. — W rzeczywistości podejrzewamy jedynie, że przyjaciel nasz został zraniony nożem zabranym pewnemu murzyńskiemu mieszańcowi.

— Proszę pokazać ten nóż — powiedział Mac Coy.

Obejrzał uważnie ostrze, a potem podał je staremu znachorowi. Murzyn paznokciem wyskrobał z rowka ostrza odrobinę ciemnej mazi i roztarł ją na własnym języku. Długo mlaskał przymknąwszy powieki, po czym splunął zamaszyście na podłogę i mruknął:

— Kawirondo robią tę truciznę. Ona działa wolno, ale dobrze.

— Tak właśnie przypuszczałem — zafrasował się Mac Coy. — Czy panowie wycisnęli ranę?

— Pan Hunter przemył ją i zaraz zabandażował — wyjaśnił Tomek.

— Syn mój był przy nakładaniu pierwszego opatrunku — uzupełnił Wilmowski.

— Trzeba było mocno wyssać ranę — powiedział Mac Coy zaniepokojony. — Czy duży był upływ krwi?

— Wydaje mi się, że duży — odpowiedział Smuga.

— Ha, nic już tu nie poradzę. Musimy się zdać na... krajowych lekarzy — smutno powiedział Mac Coy.

— Zgoda, niech czarownicy robią swoje — uśmiechnął się Smuga.

— Z rozkazu kabaki polecam wam zająć się rannym — zwrócił się Mac Coy do Murzynów. — Postarajcie się przywrócić siły białemu człowiekowi, którego naród nigdy nie walczył z czarnymi ludźmi zamieszkującymi Afrykę.

— Skąd pan wie, że nasz naród nie walczył z afrykańskimi Murzynami? — zawołał zdumiony Tomek.

— Funkcję sekretarza młodego kabaki objąłem za zgodą władz angielskich. Jestem jednak Szkotem i cenię wszystkich ludzi walczących o swą wolność — odparł Mac Coy. — Sierżant Blake przysłał mi specjalną wiadomość. Wiedziałem więc, że mamy się spodziewać przybycia wyprawy Polaków, a ja przecież znam trochę waszą historię. Po moim wyjaśnieniu kabaka polecił przyjąć was z honorami należnymi przedstawicielom walecznego i przyjaznego Murzynom narodu.

— A więc po części panu zawdzięczamy tak gościnne przyjęcie — serdecznie powiedział Wilmowski.

Tomek nie miał czasu przysłuchiwać się dalszej rozmowie, uwagę jego pochłonęli czarownicy-znachorzy, zwani tak szumnie przez Szkota "krajowymi lekarzami". Nucąc monotonną pieśń, sypali zioła i kawałki korzeni do garnka z wrzącą wodą, po czym wywar dali rannemu do wypicia. Z kolei zanurzyli w garnku jakieś gąbczaste rośliny, obłożyli nimi ranę na ramieniu, a następnie nakryli Smugę grubym kocem.

Z mocno bijącym sercem spoglądał Tomek na rannego. Grube krople potu wystąpiły mu na czoło. Wkrótce po wypiciu wywaru z ziół zapadł w mocny sen. Teraz czarownicy odkryli ranę, która pod wpływem okładu napęczniała i nabrała czerwono-żółtego koloru. Najstarszy z czarowników rozorał ją ostrzem noża opalonym w ogniu. Zaczął wysysać ustami krew i materię, wypluwając je na rozżarzone węgle. Ranny stękał przez sen. Murzyn ugniatał rękoma i ssał ranę przy akompaniamencie monotonnego śpiewu pozostałych czarowników.

Minęła długa chwila, zanim ukończyli dziwaczny zabieg. Z kolei obłożyli ranę liśćmi moczonymi w innym wywarze ziół i polecili pozostawić Smugę w spokoju aż do dnia następnego.

— Czy pan naprawdę sądzi, że ten rodzaj... kuracji może być skuteczny? — zapytał Wilmowski Szkota po wyjściu znachorów z chaty.

— Wszystko jest możliwe. W rzeczywistości biali ludzie nie zdołali poznać dotąd wielu tajemnic tego dziwnego lądu — odparł Mac Coy. — Kabaka przyjął wiarę anglikańską. Dlatego też jego czarownicy teraz nazywają się lekarzami. Niemal każdy z nich sporządził już niejedną truciznę, aby pomóc komuś przenieść się na inny, lepszy świat. Oni się doskonale znają na truciznach i potrafią sporządzać środki przeciwdziałające.

— Och, żeby im się tylko udało wyleczyć kochanego pana Smugę — westchnął Tomek.

— Nie trać wiary, młody kawalerze, ona najlepiej uzdrawia — odparł Mac Coy, po czym wdał się w rozmowę o Polsce oraz o zamierzeniach łowców.

Dopiero późnym wieczorem udali się podróżnicy na spoczynek, postanawiając czuwać na zmianę przy rannym przyjacielu. Po dziwacznym zabiegu znachorów sen Smugi stawał się coraz spokojniejszy. Nad ranem Wilmowski z zadowoleniem stwierdził, że

temperatura niemal całkowicie opadła. Wkrótce Smuga otworzył oczy i powiedział do dyżurującego przy nim Tomka:

— Uf, nareszcie się wyspałem! Miałem sen, że tygrys bengalski z powrotem rozdrapał moją ranę.

— Tygrys zapewne przyśnił się panu, gdy czarownicy naprawdę ją rozdrapali i jeden z nich wyssał pełno krwi i materii — żywo odparł Tomek, ucieszony widoczną poprawą zdrowia rannego.

— Oni się na tym znają — przyznał Smuga. — Czy przybyli już Hunter i bosman?

— Tatuś twierdzi, że możemy się ich spodziewać lada chwila. Chciałbym, żeby byli z nami na audiencji u kabaki. Bosman wiele się spodziewał po wizycie u tutejszego króla.

— Prawda, chciałbym i ja pójść z wami.

— Nie wiadomo, czy to by panu nie zaszkodziło.

Wkrótce w chacie łowców znów się zjawił Mac Coy z "lekarzami". Tym razem czarownicy zażądali, aby nikt postronny nie przyglądał się ich zabiegom. Mac Coy zaprowadził więc Wilmowskiego i Tomka do sąsiedniej izby, a następnie matą zasłonił otwór pomiędzy dwoma pomieszczeniami.

— Dlaczego się nie zgodzili, żebyśmy byli przy chorym? — zapytał Wilmowski.

— Wszyscy Murzyni Bantu wierzą, że każda choroba spowodowana jest rzuconym przez kogoś urokiem — wyjaśnił Szkot. — Są również przekonani o wielkiej władzy umarłych, od których woli zależy wyzdrowienie, deszcz lub urodzaj. Wydaje się im także, że niektórzy ludzie mogą czynić nadzwyczajne rzeczy, jak na przykład przyjmować postać jakiegoś zwierzęcia, niszczyć zasiewy, bydło sąsiadów bądź rzucać urok sprowadzający chorobę. Z tych zapewne powodów mają zamiar odczynić urok uniemożliwiający rannemu odzyskanie zdrowia. Oni nie lubią ujawniać przed obcymi swych obrzędów, czarodziejskich.

— Znam przesądy murzyńskie, ale przecież twierdził pan, że kabaka przyjął anglikanizm — zdumiał się Wilmowski.

Szkot uśmiechnął się i odrzekł:

— Niełatwa jest tutaj moja rola. Aby zdobyć zaufanie Murzynów, trzeba okazać wiele wyrozumiałości. To jest pionierska praca w dzikim kraju. Czym ja tu już nie byłem! Budowniczym, cieślą, stolarzem, lekarzem, rolnikiem, hodowcą bydła i plantatorem, krawcem, kucharzem, a nawet myśliwym. Przede wszystkim jednak trzeba umieć pozyskiwać sobie serca ludzi... Wyrozumiałość i tolerancja są najlepszą ku temu drogą. Czarownicy znają się na truciznach i potrafią leczyć ludzi porażonych jadem. Nikt przecież nie poniesie szkody, gdy znachor po zastosowaniu odpowiednich leków odczyni urok według dawnych wierzeń.

Podczas tej dziwnej rozmowy Tomek zaniepokojony o rannego przyjaciela wydłubał palcem dziurkę w macie i zerkał od czasu do czasu do sąsiedniej izby. Wypełniały ją

dymy spalanych w ogniu ziół. Jadowity wąż wypuszczony z koszyka pełzał po glinianej podłodze w takt wybijany na bębenku przez jednego znachora, podczas gdy pozostali śpiewali, tańczyli i wykonywali rękoma ruchy, jakby coś za siebie rzucali. Potem znachorzy pochylali się nad ponownie uśpionym Smugą, przemywali ranę wywarem ziołowym, poili go jakimś płynem, nakrywali kocem i odkrywali, aż Tomkowi zaczęło się kręcić w głowie. Po dwóch godzinach "naczelny lekarz", stary zasuszony Murzyn o pomarszczonej twarzy, poprosił ich do łoża rannego.

— Uciszyliśmy chorobę, ona usnęła pod wpływem naszych leków. Trzeba jednak czuwać, aby się nigdy nie obudziła — oświadczył czarownik.

— Czy to ma znaczyć, że nie udało wam się całkowicie wygnać choroby z ciała rannego? — zapytał z niepokojem Mac Coy.

— Nikt tego nie może zrobić, trucizna za długo była w człowieku, ale osłabiliśmy jej działanie. On silny i mocny jak baobab.

— A co będzie, jeżeli choroba się zbudzi? — spytał Mac Coy.

— Różnie może być. Noc zasłoni oczy, zwiąże ręce lub nogi, a może zamknie usta lub myśli... Różnie może być. Teraz niech pije przez siedem dni lek, a potem zobaczymy. Różnie może być.

Wilmowski obdarował czarowników upominkami, a gdy wyszli, zwrócił się do Szkota:

— Cóż to za diagnozę postawił ten dziwny lekarz? Nie mogłem zrozumieć jego słów.

Mac Coy wyjaśnił poważnie:

— Trucizna, którą nasycony był nóż, działa paraliżująco na nerwy. Może ona spowodować utratę wzroku, mowy, paraliż członków, a nawet głównych ośrodków mózgowych. Chory żyje, mimo że wiele jej się dostało do krwi. Nasuwa mi się też myśl, czy on nie był kiedyś uodporniony na działanie niektórych trucizn.

— Przyjaciel mój nie lubi opowiadać o swej przeszłości, lecz wspominał nam, że przebywał dłuższy czas wśród Murzynów w Afryce Równikowej. Możliwe, iż wtedy przyjaźnił się z czarownikiem. Smuga należy raczej do trochę niespokojnych duchów.

— A więc łowca dzikich zwierząt i... niezwykłych przygód? To istotnie wiele tłumaczy. Wierzmy, że wszystko się dobrze skończy.

W tej właśnie chwili rozległo się bicie w bębny i kotły, a wkrótce huknęły strzały karabinowe.

— Wasi przyjaciele przybyli do miasta — oznajmił Mac Coy.

— Hura! — krzyknął Tomek, któremu bardzo brakowało obecności wesołego bosmana. — Chodźmy ich jak najprędzej powitać.

CIEŃ TSE-TSE

Bosman Nowicki przy pomocy Tomka rozpakowywał skrzynię, w której przechowywali swe ubrania, i mówił:

— Kiedy statek zawija do portu, załoga ubiera się odświętnie przed wyjściem na miasto, bo prawdziwego pana poznasz po cholewach. Zaraz widać, że Bugandczyki to prawdziwie kulturalny naród, chociaż większość obywateli paraduje tylko w chałatach lub kozich skórach. Byle dzikusy nie zgotowałyby nam tak szykownego powitania. Jeżeli oni przyjmują nas w ten sposób jako Polaków, to powinniśmy wyglądać jak się patrzy. Sambo, przygotuj migiem wodę do wyszorowania grzesznego cielska!

— Musimy się pospieszyć, bo zaraz po południu mamy iść na audiencję do młodego kabaki — wtrącił Tomek.

— Co nagle, to po diable, ale nie bój się, brachu, będę wkrótce gotowy. Zerknij, co porabia pan Smuga.

Tomek wsunął się do sąsiedniej izby. Powrócił po chwili uradowany.

— Pan Smuga śpi, ale czoło ma zupełnie chłodne. Może ci znachorzy naprawdę mu pomogli? — oznajmił.

— Dziwna figura ten sekretarz kabaki — zauważył marynarz.

— Tatuś jest zdania, że to bardzo rozsądny człowiek. Najlepszy dowód, iż posiada tyle wiadomości o Polakach.

— Widocznie tak musi być, skoro stwierdza to twój szanowny tatuś, który rozprawia o wszystkim, jakby czytał z książki.

— Prędzej, prędzej! Katikiro przyszedł już po białego buanę — zawołał Sambo, wpadając zadyszany do izby. — Biały buana pójdzie do kabaki i będzie z nim długo rozmawiał. Oni już czekają.

— Popatrz, brachu! Bugandczyki zegarków nie mają, lecz punktualności przestrzegają jak strażak na wieży Kościoła Mariackiego w Krakowie, który tak sprawnie wytrąbi każdą godzinę, że według niego możesz regulować nawet najlepszy zegarek.

— To pan mówi, że oni naprawdę nie mają zegarków? — zdziwił się Tomek.

— To się wie, przecież takimi grubymi paluchami nie można złożyć drobnych części zegarka.

— Znów pan żartuje, a tam na nas czekają. Chodźmy prędzej!

Wyszli przed chatę, gdzie oczekiwali już na nich Wilmowski, Hunter i Masajowie z podarunkami przeznaczonymi dla kabaki i jego ministrów. Na czele pochodu ruszył Sambo z polską flagą, za nim udali się łowcy z katikiro i Mac Coyem.

Posiadłość kabaki otaczało wysokie ogrodzenie splecione z trawy słoniowej. Tuż przed bramą stał duży piec wybudowany z kamieni i gliny, a murzyńska służba podsycała płonący w nim ogień.

— A to pewno królewska piekarnia? — zagadnął bosman przyglądając się oryginalnemu piecowi.

— Pssst! — ostrzegawczo syknął Mac Coy. — W piecu tym dzień i noc pali się święty ogień kabaki, który gaśnie dopiero w chwili śmierci króla.

— Przecież Tomek mówił, że wasz młody kabaka jest wyznania anglikańskiego — cicho usprawiedliwiał się marynarz.

— Tomek dobrze pana poinformował, lecz należy pamiętać, że w Bugandzie tam-tamy zwołują wiernych na nabożeństwo...

— Czort się chyba w tym rozezna — mruknął bosman i zamilkł skonfundowany.

Pałac królewski stanowił obszerny, prymitywnie zbudowany drewniany dom. Uroczyste posłuchanie odbyło się w dużej sali. Kabaka Daudi Chwa miał około dziewięciu lat. Siedział na podwyższeniu pokrytym lamparcimi skórami, przyozdobiony sznurami szklanych pereł i ptasimi piórami. Z ramion jego spływał biały płaszcz. Prawa dłoń opierała się na misternie wykonanej włóczni.

Łowcy zbliżyli się do oryginalnego tronu. Młody kabaka podniósł się i wyciągnął do nich dłoń na powitanie. Tomek, gdy przyszła na niego kolej, uścisnął rękę króla, zerkając jednocześnie na szczerozłoty pas okalający biodra kabaki. Po tym uprzejmym powitaniu katikiro poprosił białych łowców, aby usiedli na żelaznych krzesłach ustawionych obok tronu. Rozpoczęły się oficjalne mowy, które im są dłuższe i bardziej kwieciście wygłaszane, tym bardziej zachwycają Murzynów.

Po wzajemnej wymianie uprzejmości Wilmowski wręczył kabace, ministrom i wodzom obecnym na posłuchaniu podarki. Złożyły się na nie dwa rewolwery, kilka stalowych noży, barwne materiały, szklane perły, drut miedziany, grzebienie oraz puszki konserw. Murzyni głośnymi pochwałami wyrażali swe zadowolenie. Tomek naraz podniósł się z krzesła. Najbliżej niego siedział bosman Nowicki, który spostrzegłszy ostrzegawcze spojrzenie Wilmowskiego, usiłował przytrzymać go za spodnie, ale już było za późno. Tomek bowiem, powziąwszy jakąś genialną — jego zdaniem — myśl, szybko zbliżył się do tronu kabaki i rzekł:

— Pan Mac Coy powiedział nam, że żywisz, królu, wiele sympatii dla Polaków, chciałbym więc ofiarować ci jakąś pamiątkę z Polski. W dniu wyjazdu z Warszawy na wyprawę do dalekiej Australii wuj podarował mi srebrny zegarek. Na jego kopercie wyryty jest obraz Starego Miasta, przyjmij ten upominek ode mnie.

Mówiąc to, wydobył z kieszeni swój ulubiony zegarek i podał kabace. Daudi Chwa niezupełnie dokładnie zrozumiał szybko wypowiedzianą mowę, lecz Hunter trącony w bok przez Wilmowskiego przyszedł Tomkowi z pomocą. Powtórzył jeszcze raz w narzeczu krajowców słowa chłopca.

Król wyciągnął rękę po dar.

— Niech pan wyjaśni, że po nakręceniu drugim kluczykiem zegarek wydzwania godziny — zawołał Tomek.

Hunter chrząknął zmieszany, lecz powtórzył wyjaśnienie. Łowcy odetchnęli z ulgą. Młody król z wielkim zainteresowaniem oglądał zegarek. Ministrowi oddał do potrzymania włócznię, potem wskazał na przymocowane do zegarka na łańcuszku dwa kluczyki i odezwał się po angielsku:

— Pokaż mi, jak to się robi!

Tomek zbliżył się do kabaki, nakręcił zegarek, a kiedy ten wydzwonił cichutko godzinę, Daudi Chwa klasnął z uciechy w dłonie i powiedział:

— Dziękuję ci! Bardzo ładny, zabiorę go do Anglii, gdy pojadę tam w przyszłym roku do szkoły.

— A to zabawne, ja też się uczę w Anglii. Może się tam spotkamy? — odparł Tomek.

Bosman Nowicki bawił się doskonale obserwując obydwóch chłopców, lecz Wilmowski i Hunter siedzieli jak na rozżarzonych węglach. Lada chwila mógł prysnąć uroczysty nastrój posłuchania. Widocznie katikiro żywił te same obawy, gdyż chrząknął znacząco. Król zerknął na niego i natychmiast spoważniał, jakby przypomniał sobie dobrze wyuczoną rolę.

— Musisz przyjść do mnie sam, chcę porozmawiać z tobą o szkole — powiedział, nieznacznie mrugając do Tomka.

— Dobrze, przyjdę na pewno — obiecał Tomek i powrócił do swych towarzyszy.

Kabaka skinął głową na katikiro. Premier natychmiast zbliżył się do niego. Przez chwilę szeptali coś obydwaj, po czym katikiro oznajmił Tomkowi, że kabaka ma specjalnego myśliwego, który potrafi oswajać dzikie zwierzęta. Ponieważ łowcy przybyli tu łowić różne okazy, kabaka ofiaruje Tomkowi dwa młode oswojone hipopotamy[54] i poleci swemu nadwornemu myśliwemu wziąć udział w polowaniu białych podróżników.

Audiencja była skończona. W drodze powrotnej do kwatery łowcy wymieniali spostrzeżenia poczynione podczas wizyty u kabaki.

---

[54] Rodzina hipopotamów obejmuje obecnie tylko dwa gatunki żyjące wyłącznie w Afryce. Są to: hipopotam *(Hipopotamus amphibuis),* który zamieszkuje gromadnie bagna, rzeki i jeziora Afryki Środkowej i hipopotam karłowaty *(Choeropsis liberiensis).* zamieszkujący Liberie. Gwinee. Nigerie i Sierra Leone. Hipopotam karłowaty żyje wyłącznie na lądzie w puszczy tropikalnej.

— Pomyślcie, jak ten mały szkrab rządzi sobie Murzynami — mówił bosman. — Kiwnie tylko, a ministrowie biją przed nim głowami o podłogę. Gdyby wszyscy królowie napotykanych po drodze plemion byli tak hojni, wywieźlibyśmy pół Afryki nie ruszywszy nawet małym palcem. Za stary zegarek Tomek raz dwa wycyganił dwa hipopotamy.

— Przede wszystkim wcale nie wycyganiłem ich od kabaki, a po drugie to był mój pamiątkowy zegarek — odciął się chłopiec. — Czy pan już zapomniał, ile trudu kosztowało nas odnalezienie go w kryjówce altanników w Australii?

— Prawda — przyznał marynarz.

Wilmowski zburczał bosmana dowiedziawszy się, że to właśnie on naopowiadał chłopcu, iż Bugandczycy nie mają zegarków i tym samym podsunął mu myśl ofiarowania podobnego upominku. Ostrzegł syna, aby w przyszłości nie mieszał się do oficjalnych rozmów z Murzynami. Okazało się jednak, że Tomek czynem swym zjednał dla członków wyprawy przychylność tak młodego kabaki, jak i jego ministrów. Następnego dnia kabaka ze swoją świtą złożył łowcom wizytę i zaprosił Tomka do siebie. Od tej pory Tomek bywał codziennym gościem młodego króla. Obydwaj bardzo się zaprzyjaźnili i odbyli wspólną wycieczkę w celu obejrzenia ofiarowanych przez kabakę hipopotamów.

Tomek cieszył się tym darem. Z zapałem opowiadał ojcu i przyjaciołom, jak to "grubasy" cały dzień przebywają w wodzie, a wieczorem wychodzą na ląd, gdzie myśliwy przygotowuje dla nich pożywienie w dużym drewnianym korycie. Uzgodniono, że łowcy zabiorą hipopotamy w drodze powrotnej.

Po tygodniu Smuga czuł się znacznie silniejszy i mógł odbywać samodzielnie dłuższe spacery. Teraz łowcy postanowili ruszyć w drogę. Wilmowski, Hunter i Smuga opracowali starannie dalszą marszrutę wyprawy. Wiodła ona wzdłuż rzeki Kotonga do Jeziora Jerzego, a dalej do Katwe nad Jeziorem Edwarda. Pomiędzy południowym krańcem Gór Księżycowych i północnym wybrzeżem Jeziora Edwarda znajdował się wąski pas równiny. Tędy właśnie postanowili wkroczyć do Konga[55], gdzie w dżungli Ituri mieli tropić goryle i okapi.

W przeddzień wymarszu podróżnicy udali się do kabaki, aby podziękować za miłą gościnę. W imieniu władcy Bugandy katikiro wyznaczył dwudziestu silnych Murzynów. Mieli oni towarzyszyć karawanie jako tragarze. W obecności podróżników zapowiedział im, że w razie nieposłuszeństwa po powrocie do domu zawisną na gałęziach. Razem z tragarzami stawił się również myśliwy królewski, Santuru, by towarzyszyć im na łowach w charakterze doradcy.

---

[55] Kongo — dawne niepodległe państwo afrykańskie, utworzone w XIV w. w dolnym biegu rzeki Kongo, podporządkowało sobie większość sąsiednich państewek, m.in. Loangę. Upadło ostatecznie na przełomie XVIII i XIX w. Na obszarze państewka plemiennego Loanga powstała w 1960 r. Ludowa Republika Konga. Demokratyczna Republika Konga, do 1970 r. Zair (dawne Kongo Belgijskie), proklamowała swoją niepodległość w 1960 r. Większość ludności państwa stanowią Murzyni Bantu. Około 50 tyś. Pigmejów koczuje w lasach. Północ i środek kraju pokrywają dżungle, południe zaś sawanny.

Tomek oburzał się na surowość kabaki grożącego tragarzom śmiercią w razie nieposłuszeństwa, lecz Mac Coy zapewnił chłopca, że obecny kabaka jest bardzo łagodny i wyrozumiały w porównaniu ze swymi poprzednikami. Przecież królowie afrykańscy posiadali niemal nieograniczoną władzą nad wszystkimi poddanymi. Niedawne były to czasy, gdy przed i po pogrzebie wodza lub króla składano w ofierze ludzi, żeby umarły miał świtę, która by go wprowadziła na tamten świat. Na pogrzebach królów Ugandy i Lundy zabijano niejednokrotnie setki Murzynów.

W huku salw broni palnej karawana opuszczała stolicę Bugandy. Murzyni bili w kotły i bębny, powiewali dużymi flagami, chyląc je przed niesionym przez Samba polskim sztandarem. Karawana raźno rozpoczęła marsz. Sambo uszczęśliwiony honorami, jakimi darzono białych łowców w Bugandzie, ułożył nowy hymn pochwalny na cześć Tomka. Powiewając sztandarem śpiewał:

"Mały biały buana jest potężny jak wielka góra!
On zabił strasznego Czarne Oko,
nie boi się lwów i łapie żywe soko,
które służą mu jak wielki pies!
Biały buana nie boi się nawet słonia!
Każdy kabaka jest wielkim przyjacielem białego buany!
Biały buana sam jest wielkim kabaka białych i czarnych ludzi..."

Tomek puszył się jak paw słuchając pieśni. Spod oka spoglądał na bosmana, który od pobytu w Bugandzie nabrał wielkiego animuszu i surowym głosem popędzał tragarzy.

— Jakoś nagle stał się pan bardzo bezwzględny i stanowczy dla naszych Murzynów — zauważył Tomek.

— Podróże po obcych krajach kształcą człowieka — odparł chełpliwie bosman. — Widziałeś, jak ten nieletni kabaka krótko ich trzyma?

— Wstyd tak postępować, panie bosmanie! Tatuś mówi, że człowiek nie powinien nigdy znęcać się nad człowiekiem.

— Wierzę we wszystko, co mówi twój szanowny rodziciel — odparł bosman zmieszany słuszną uwagą druha i zaraz zmienił temat rozmowy: — Popatrz, ile tu pól uprawnych! Kukurydza, bataty, orzechy ziemne i trzcina cukrowa. Bydła zaś nie widać.

— Rozmawiałem z katikiro. Uganda przeżywa najazd skrzydlatych wrogów wyniszczających bydło i... ludzi — wtrącił Smuga. — Tse-tse nawiedziły kraj wolny dotąd od tych morderczych szkodników. Bydło pada, a ludzie umierają na śpiączkę. Wobec poważnej liczby przypadków do Ugandy przybyła specjalna komisja. Jej to właśnie asystuje lekarz z fortu w Kampali.

— A niech to zdechły wieloryb! Tego nam jeszcze brakowało! — zaniepokoił się bosman.

— Na tych terenach jesteśmy bezpieczni, lecz dalej na zachodzie zobaczymy niejedno — dodał Smuga.

— Nie jestem znów tak bardzo ciekaw tych much ani śpiączki. Tfu, na psa urok! — mruknął bosman i pospiesznie sięgnął po manierkę z rumem, który jego zdaniem, najlepiej uodporniał przeciwko wszelkim chorobom.

Tomek niespokojnie poruszył się w siodle; spod oka spojrzał na Smugę. Poważna twarz podróżnika upewniła go, że najwyższy czas założyć na siebie i Dinga ochronne ubranie z futerek.

Po jednodniowym marszu karawana przybliżała się do doliny Kotonga. — Droga stawała się coraz gorsza. Okolicę zalegały teraz trawiaste bagna rojące się wprost od płazów i gadów. Brzęczenie rozmaitych owadów rozlegało się wokoło, zwierzęta i ludzie nieraz zapadali po kolana w błoto, lecz jeszcze tego dnia karawana dobrnęła do brzegów rzeki, gdzie rozłożono obóz.

O świcie łowcy znów ruszyli na zachód wzdłuż koryta rzeki. Tomek jechał obok Smugi na czele karawany. Rozglądał się po piaszczystych, rozpalonych słońcem łachach i rozmyślał o orzeźwiającej kąpieli. Naraz Dingo warknął ostrzegawczo. Wierzchowce rzuciły się w bok parskając z przerażenia.

Smuga ściągnął konia cuglami. Karawana stanęła. Piaszczyste wybrzeże porastały rzadkie kolczaste krzewy. Podróżnik przez chwilę spoglądał na piaszczystą ławicę.

— Krokodyle! — zawołał.

— Gdzie? Gdzie? — niecierpliwie pytał Tomek.

Wilmowski, bosman i Hunter przybliżyli się do czoła karawany.

— Czy widzisz te bruzdy wyżłobione w piasku? To właśnie dzieło wleczonych po ziemi krokodylich ogonów. Krokodyle lubią drzemać na nagrzanym słońcem wybrzeżu — mówił Smuga.

Tomek śledził wzrokiem bieg wyoranych w piachu bruzd. Niektóre z nich ginęły w kolczastych krzewach, lecz jedna prowadziła do sporej wydmy. Chłopiec drgnął, dojrzawszy ledwo dostrzegalne, na pół zagrzebane w piachu popielato-zielonkawe cielsko. — Jest tam, na wierzchu wydmy! — zawołał.

— Ślady wskazują, że dość dużo ich tu jest — odparł Smuga. — Spojrzyj tam, na samym brzegu jest drugi krokodyl. Oho, spostrzegł nas i wędruje do rzeki!

Krokodyl uniósł się wolno na szeroko rozstawionych nogach. Ostrożnie zsuwając się z brzegu, powłóczył brzuchem oraz ogonem po ziemi i zabawnie kręcił środkiem tułowia.

— Ależ to prawdziwie leniwe zwierzę! — odezwał się Tomek, obserwując komiczną powagę, z jaką krokodyl dążył do wody.

— Tak sądzisz? — wtrącił Hunter. — Poczekaj, zaraz ci udowodnię, że krokodyle potrafią poruszać się szybciej, niż mógłbyś sobie wyobrazić.

Wziął do ręki karabin, wymierzył do krokodyla śpiącego na wydmie i strzelił. Fontanna piasku wytrysnęła tuż przed nosem potwora. W mgnieniu oka krokodyl stanął na wyprężonych nogach i błyskawicznie ruszył ku rzece. Całe ciało trzymał wysoko wzniesione, a tylko ogon wlókł się za nim bezwładnie po ziemi. Wkrótce skoczył do wody i natychmiast zniknął z pola widzenia. Huk strzału wyrwał ze snu kilkanaście innych krokodyli, które na wyścigi biegły teraz skryć się w rzece. Smuga zsunął się z konia z karabinem w ręku. Przyłożył broń do ramienia. Huknął strzał. Krokodyl biegnący najbliżej łowców kłapnął szczękami, po czym zarył się paszczą w piach. Lekko poruszał jeszcze ogonem, potem znieruchomiał. Inne bestie błyskawicznie zniknęły w rzece. Po chwili widać było z wody jedynie ich nozdrza i oczy, lustrujące tępym wzrokiem wybrzeże. Okazało się wkrótce, że mają znakomity wzrok i słuch, bo kiedy Murzyni z okrzykiem rzucili się w kierunku martwego zwierzęcia, krokodyle cicho jak duchy natychmiast całkowicie pogrążyły się pod wodą. Tylko słabiutkie koła fal świadczyły o obecności potwornych mieszkańców rzeki.

Łowcy pospieszyli za Murzynami, aby przyjrzeć się z bliska zdobyczy.

— Piękny strzał — pochwalił Hunter. — Kula przeszła przez dołek skroniowy i trafiła w mózg.

— Krokodyl dobrze się ustawił profilem, mogłem więc dokładnie wymierzyć w miejsce, gdzie skóra osłaniająca mózg jest najcieńsza — rzekł Smuga. — W innym wypadku tylko niepotrzebnie zmarnowałbym kulę.

— Nie wyobrażam sobie, żeby pan mógł chybić — wtrącił Tomek.

— Nie o to chodzi, mój drogi. Jeżeli pocisk trafia dokładnie w dołek skroniowy i niszczy mózg, śmierć zwierzęcia jest natychmiastowa. W przeciwnym razie kula ześlizguje się po twardym pancerzu głowy albo przebija ciało nie naruszając mózgu i tym samym nie paraliżuje ruchów zwierzęcia. Raniony krokodyl w większości przypadków potrafi się skryć w wodzie.

Murzyni podważyli krokodyla dzidami, przewrócili na szeroki grzbiet, po czym ostrymi nożami rozcięli skórę i zaczęli wykrawać całe połcie jasnoróżowego mięsa.

— Czy oni będą jedli krokodyla? — zdziwił się Tomek.

Hunter, który stał obok chłopca, wyjaśnił:

— Jedynie muzułmanie nie jedzą mięsa krokodyli, hipopotamów ani świń. Mięso krokodyli jest bardzo delikatne, a ogon stanowi przysmak kuchni tropikalnej. Osobiście chętnie zjem kawałek smakowitej pieczeni.

Murzyni owinęli mięso w korę i duże liście bananowców, aby upiec je w czasie południowego postoju. Karawana ruszyła wzdłuż rzeki rojącej się od krokodyli. Tomek, ciekaw wszystkiego, zasypywał towarzyszy pytaniami. Wkrótce wiedział już, że głównym pożywieniem żarłocznych bestii są ryby, lecz mimo to żadne stworzenie nie jest przed nimi bezpieczne, jeśli tylko się znajdzie w zasięgu ich morderczych potężnych paszcz.

Krokodyl przyczajony na dnie rzeki lub jeziora śledzi czujnym okiem wybrzeże. Biada człowiekowi lub zwierzęciu, które nieopatrznie pochyli się nad wodą, by ugasić pragnienie. Ukryty na dnie potwór chwyta ofiarę błyskawicznym ruchem za nogę bądź głowę, ściąga w głąb i przytrzymuje tak długo, dopóki jej nie utopi. Wtedy dopiero rozpoczyna ucztę. Zęby w paszczy krokodyla służą jedynie do odrywania wielkich kęsów, które w całości przedostają się do żołądka, gdzie u dorosłych okazów znajduje się kilka kilogramów granitowych okruchów; one to dopiero rozcierają pokarm przez skurcz silnych mięśni w ścianie żołądkowej.

Tomek nasłuchał się straszliwych opowiadań o napaściach krokodyli na ludzi, kiedy więc wypatrzył stosowną chwilę, strzelił w wynurzający się z wody łeb. Woda zakotłowała się natychmiast wokół celnie trafionego zwierzęcia: inne krokodyle rzuciły się na martwego towarzysza, rozrywając go na ćwierci.

W godzinach południowych karawana zatrzymała się w pobliżu ławicy piaskowej na odpoczynek. Tomek i bosman włóczyli się po wybrzeżu, skracając sobie oczekiwanie na przygotowywany posiłek. Z zainteresowaniem przyglądali się leżącym w piasku całym masom muszelek ślimaków i małżów, a także wygrzewającym się w słońcu na kamieniach zwinnym i pięknym jaszczurkom o pomarańczowym karku, żółtym podgardlu i fioletowej główce. Ślady pozostawione przez nie na piasku prowadziły do gniazda gadów. Był to widocznie okres wylęgu, gdyż pod cienką warstwą ziemi bosman i Tomek znaleźli około trzydziestu jaj. Były one wielkości gęsich, lecz różniły się od nich jednakowym kształtem na obu końcach. Uważnie oglądając jaja, łowcy stwierdzili, że dość elastyczna skorupa ma silną błonę o małej zawartości wapna, a tym samym trudną do rozerwania. Z tego też powodu przy wykluwaniu się małych konieczna jest pomoc matki. Ciekawy jak zwykle bosman rozłupał jedno jajo, a wtedy obydwaj przyjaciele ujrzeli precelkowato zwiniętą drobną istotkę z niewielkim już, zanikającym workiem żółtkowym. Nie mieli czasu na dalsze obserwacje, ponieważ Sambo zawołał ich na posiłek, po którym karawana natychmiast ruszyła w dalszą drogę.

Po dwóch dniach marszu wkroczyli do zachodniej prowincji Ugandy. W pobliżu Jeziora Jerzego coraz częściej napotykali większe stada zwierząt. Różne rodzaje antylop pierzchały w step na widok ludzi, a w niewielkim trzęsawisku nie opodal rzeki podróżnicy spostrzegli stado słoni. Olbrzymy zatrzymały się, by popatrzeć na karawanę, później zaś ruszyły w las z największą obojętnością, lekceważąc ludzkie istoty. Tomek szybko wspiął się na wysoki kopiec termitów[56], aby dłużej móc obserwować znikające w gąszczu słonie. Wkrótce znów dosiadł konia i rzekł:

— A to zabawne, byłem na kopcu termitów, a nie spostrzegłem na nim ani jednego owada!

---

[56] *Isoptera* — rząd tropikalnych owadów obejmujący ponad 1000 gatunków. Żyją w wielkich zorganizowanych społeczeństwach. Niektóre gatunki budują olbrzymie i bardzo twarde budowle, zwane kopcem termitów. Żywią się przeważnie drzewem (celulozą) i dlatego są bardzo szkodliwe.

— Termity, zwane również białymi mrówkami, budują długie tunele łączące ich mieszkanie z miejscami, w których znajduje się poszukiwana przez nie żywność. Dlatego też na zewnątrz kopca nie dostrzeżesz owadów — wyjaśnił ojciec.

— Jestem ciekaw, jak wygląda w środku ta dziwna budowla?

— Kopiec składa się z czterech części: komnaty królewskiej, izb czeladnych, dziecięcych oraz z pomieszczeń, w których termity hodują specjalne grzybki będące ich przysmakiem. Termity, tak jak mrówki, tworzą doskonale zorganizowane wspólnoty.

— Ruszamy w drogę! — zawołał Hunter.

Karawana kontynuowała marsz.

Zaledwie kilka kilometrów dzieliło łowców od Jeziora Jerzego, gdy Smuga zwrócił uwagę na przydrożne drzewa. Między rzadko rosnącymi mimozami i jasnokarmazynowymi akacjami unosiła się ogromna liczba najrozmaitszych owadów.

— O, do licha! Spójrzcie szybko na zwierzęta juczne — zawołał Smuga.

Tomek ujrzał krążącą nad osłami muchę trochę większą od zwyczajnej domowej, lecz o wielkich skrzydłach. — Czufna! Czufna! — krzyknęli Murzyni.

— Cóż to za mucha? — zapytał zaniepokojony chłopiec.

— Oto nasze pierwsze spotkanie z tse-tse — odparł Smuga.

Czufna opadła na kark osła. Kłapouch ukąszony do krwi zakwiczał i stanął dęba. W tej chwili Hunter zeskoczył z konia. Uderzeniem dłoni zabił żarłocznego owada. Podróżnicy w milczeniu przyglądali się tse-tse przypominającej wyglądem pszczołę. Jej brązowy tułów w tylnej części przecinały trzy żółte pasy.

W MROKU DŻUNGLI

Od pamiętnego spotkania z tse-tse Tomek znów przyozdobił hełm w ogonki zwierzęce, a także zmusił Dinga do noszenia uprzęży ochronnej. Pozostali podróżnicy nałożyli na hełmy muślinowe nakrycia, które opadając na ramiona, chroniły kark przed nieoczekiwanym ukąszeniem zdradliwego owada. Coraz częściej spotykali widome skutki grasowania tse-tse. Wioski murzyńskie wybudowane w dolinach były zupełnie opustoszałe. Mieszkańcy przenieśli się na wyżej położone tereny, dokąd nie docierała śmiercionośna mucha. W wielu wioskach łowcy widzieli ludzi chorujących na śpiączkę. Nieszczęśliwcy, wychudzeni do ostatnich granic, pogrążeni byli w głębokim śnie, z którego budzili się jedynie po to, by umrzeć.

Podróżnicy zaniepokoili się epidemią śpiączki nie na żarty. Teraz karawana wędrowała przeważnie nocą, wypoczywając w dzień na wyższych wzniesieniach. Według zapewnień Huntera i Smugi, tse-tse nie kąsała po zachodzie słońca, lecz w zamian w pobliżu mokradeł dokuczały im niezliczone chmary komarów.

Tomek codziennie badawczo przyglądał się kłapouchowi ukąszonemu przez muchę, czy, wbrew zapewnieniom towarzyszy, nie ujrzy oznak wróżących śmierć zwierzęcia. Osioł wszakże ani myślał zdychać. Z filozoficznym spokojem skubał trawę i jak gdyby nigdy nic, niósł dzielnie przypadający nań bagaż. Tomek nabierał już otuchy, gdy pewnego dnia bosman spostrzegł dziwne objawy u swego wierzchowca. Z oczu i nosa konia płynęła lepka ciecz. Hunter natychmiast orzekł, że jest to skutek ukąszenia przez tse-tse. Koń stracił ochotę do jedzenia i zaczął chudnąć. Bosman, nie chcąc się przyglądać mękom pożytecznego i cierpiącego w milczeniu zwierzęcia, skrócił jego żywot strzałem z karabinu. Żartobliwy zazwyczaj marynarz posmutniał nieco, gdyż odtąd skazany był na pieszą wędrówkę, wkrótce jednak pocieszył się mówiąc, że teraz może skuteczniej wystrzegać się ukąszenia muchy, ponieważ nie musi się już więcej troszczyć o biedną "szkapinę".

Szybkimi pochodami, aby jak najprędzej przebyć teren zagrożony przez tse-tse, łowcy minęli Jezioro Jerzego. Zbliżali się już niemal do głównego celu wyprawy. W dali,

pomiędzy jeziorami Alberta i Edwarda, rysowało się na horyzoncie pasmo gór, za którymi płynęła rzeka Semliki. Łączyła ona obydwa jeziora i tym samym należała do dorzecza Nilu Białego. Na zachodnim brzegu Semliki rozpoczynała się dziewicza dżungla Ituri. Tam właśnie łowcy mieli rozpocząć polowanie na goryle i okapi.

O zachodzie słońca zbliżali się do pasma Ruwenzori, zwanego w narzeczu Murzynów Bantu Górami Księżycowymi. Łowcy orzekli — jednogłośnie, że nikt nie mógł trafniej nazwać tych gór. Zębate zarysy Ruwenzori widoczne były ponad horyzontem, jakby pływały w stalowoszarych chmurach nad wierzchołkami wiecznie zielonych drzew. W ciemnoniebieskim świetle zalewającym stoki gór ich grzbiety odcinały się wyraźnie na tle nieba, a spoza wąskich srebrnych chmur zachodzące słońce wystrzelało ku nim swe ogniste promienie. Wkrótce mrok nocy otulił ziemię. Księżyc w pełni wyłonił się na ugwieżdżone niebo i z wolna przepływał ponad szczytami gór nazwanych jego imieniem, jakby chciał ujrzeć swe odbicie w leżących na nich lodowcach.

W pobliskim buszu coraz to rozlegał się głuchy tętent uciekających antylop i postękiwanie lwów sycących się swoim łupem. Tomek do świtu nawet nie zmrużył oczu; wsłuchiwał się w odgłosy dżungli Czarnego Lądu, które napełniały jego serce nie znanym dotąd lękiem.

W małej osadzie murzyńskiej Katwe nad Jeziorem Edwarda łowcy zastrzelili dwa następne konie. Nie było sensu męczyć zwierząt, u których wystąpiły objawy po ukąszeniu przez tse-tse. W Katwe kilkunastu Murzynów dogorywało na śpiączkę, toteż Hunter dał rychło hasło do wymarszu.

Karawana ruszyła brzegiem jeziora na północ. Koniec pasma Gór Księżycowych pozostawał za łowcami na wschodzie, a przed nimi rozpościerała się olbrzymia równina.

Dopiero pod koniec dnia Hunter zatrzymał karawanę na niewysokim brzegu jeziora. Lękliwe flamingi natychmiast zdradziły obecność ludzi. Nim łowcy się spostrzegli, wielkie stado antylop umknęło w step. Buszowali więc po wybrzeżu wypłaszając chmary ptactwa z gąszczu papirusów, aż naraz Hunter przystanął i wskazał ręką w kierunku gładkiej toni jeziora.

— Stójcie cicho i patrzcie! — szepnął.

Najpierw usłyszeli parskanie i głosy będące czymś pośrednim pomiędzy chrząkaniem świń a rykiem krów, potem ujrzeli mięsiste, spiczaste uszy, wypukłe oczy i szerokie nozdrza. Hipopotamy ostrożnie wynurzały olbrzymie łby. Gniewnie parskając zbliżały się do brzegu. Łowcy byli przekonani, że przezorne, bystrookie zwierzęta spostrzegły ich obecność, nagle bowiem zaczęły się coraz głębiej zanurzać, a w końcu widać było jedynie ich oczy. Po chwili znów pojawiły się na powierzchni jeziora. Wynurzały się powoli i zbliżały do brzegu.

Łowcy przyczaili się za kępą papirusów czekając, co nastąpi dalej. Była to pora, w której hipopotamy zwykły opuszczać wodę w poszukiwaniu żeru. Hunter miał nadzieję,

że będą wychodziły na ląd w pobliżu ich kryjówki. Wkrótce rozległo się głośne parskanie i prychanie. Tomek wychylił głowę.

— Niech pan spojrzy — szepnął, szturchając bosmana w bok.

Zwierzęta co chwila zanurzały niekształtne łby w przybrzeżnej wodzie w poszukiwaniu wodorostów, wśród których grzebały tak energicznie, iż woda dokoła zmącona była szlamem. Potem łby pojawiały się na powierzchni z pyskami pełnymi narwanych roślin.

Hunter trącił porozumiewawczo Smugę. Obydwaj cicho wysunęli się zza krzewu. Bezszelestnie przybliżyli się do samego brzegu jeziora. W tej chwili nie dalej jak o piętnaście metrów od nich wynurzył się hipopotam. Wyłupiaste ślepia natychmiast spostrzegły ludzi. Hipopotam prychnął głośno, po czym zaczął opadać w wodę, lecz łowcy błyskawicznie unieśli broń. Pierwszy wystrzelił Hunter, a w sekundę później pociągnął za spust Smuga. Potężne cielsko pogrążyło się w toni. Pozostałe hipopotamy skryły się natychmiast pod wodą.

Wilmowski, Tomek i bosman podbiegli do strzelców.

— Pudło, szanowni panowie! — zawołał bosman, śmiejąc się z niepowodzenia towarzyszy. — Oblizywaliście się już na tłustą pieczeń, a tymczasem trzeba się obejść smakiem.

— A to dlaczego, panie bosmanie? — zapytał Hunter.

— Dlatego, że obydwaj spudłowaliście!

— Założę się o butelkę prawdziwej jamajki, że obydwa strzały trafiły niezawodnie między oczy — odparł Hunter naśladując sposób mowy bosmana.

— Phi! Łatwo się zakładać, gdy grubas przepadł w wodzie jak kamień.

— Myli się pan, jutro wypłynie na powierzchnię, a wtedy stwierdzimy, który z nas dwóch ma postawić butelczynę jamajki — odparował pewnym głosem tropiciel.

— To chyba niemożliwe, żeby taki ciężar sam wypłynął — zaoponował Tomek.

— Niemożliwe? Jest prawie zupełnie pewne, że wypłynie. Wszystko zależy od tego, czy hipopotam był najedzony. Nagromadzony w jego olbrzymim żołądku pokarm sfermentuje, po czym gazy wyrzucą zwierzę na powierzchnię— wyjaśnił Hunter.

— Powiedz tylko naszym tragarzom, co leży przy brzegu na dnie jeziora, a przekonasz się, czy któryś będzie chciał stąd odejść przed wypłynięciem hipopotama — dodał Smuga.

Tomek zaraz oznajmił Murzynom o zastrzeleniu hipopotama. Ci zaczęli tańczyć wokół ogniska. Sambo natychmiast uczcił ten fakt nową piosenką:

"Mądry biały buana ma piękny karabin,
którym zabił wielkiego i głupiego hipopotama.
Sambo będzie jadł i wszyscy będą jedli mnóstwo bardzo wiele,
aż brzuchy spuchną jak góra Ruwenzori."

Wilmowski nie oponował, gdy Murzyni oświadczyli, że chcą poczekać na wypłynięcie zdobyczy na powierzchnię wód. Wkrótce karawana miała się zaszyć w bezmierną dżunglę, gdzie zdobycie mięsa nastręczało wiele trudności. Przecież fauna gęstych lasów tropikalnych była bardzo uboga. W dżungli żyły jedynie niektóre gatunki małp. Poza tym można tam było napotkać dziką świnię leśną i okapi, co do którego istnienia krążyły dotąd jedynie nie sprawdzone pogłoski.

Nazajutrz, jak tylko słońce ukazało się na horyzoncie, wszyscy gromadnie pobiegli sprawdzić, co się dzieje z zastrzelonym hipopotamem. W pobliżu jeziora widniały na miękkiej ziemi głębokie ślady, wyglądające jak doły porobione grubym słupem. Hunter, zaledwie rzucił na nie okiem, zaraz poinformował łowców, że tędy przechodziły hipopotamy na nocny żer.

— Stawiaj pan butelczynę — zarechotał bosman, gdy się znaleźli nad brzegiem jeziora.

W pierwszej chwili Tomek również był przekonany, że marynarz wygrał zakład. Na spokojnej tafli jeziora nie było ani śladu rzekomo zabitego hipopotama. Młody Sambo niepomny przestróg rzucił się do wody. Odważnie wypłynął poza przybrzeżne szuwary. Wkrótce rozległ się jego krzyk:

— Buana, buana! Jest, jest tutaj...!

Z wielkiej radości musiał się zakrztusić wodą, gdyż rozległo się jego głośne prychanie, po czym znów zawołał:

— O, matko, ile tu mięsa!

W głosie Samba brzmiało tyle zachwytu, że Murzyni pędem rzucili się z powrotem do obozu, skąd powrócili z długimi linami. Wrzeszcząc, wskoczyli do jeziora i popłynęli do Samba.

— Ależ to głupcy, przecież tu mogą czatować krokodyle — oburzył się Tomek na widok tak wielkiej lekkomyślności.

— Dlatego właśnie nasi tragarze czynią tyle hałasu — powiedział Wilmowski ze śmiechem. — Mój drogi, nieczęsto trafia im się taka gratka. Dla dwóch ton świeżego mięsa Murzyni bez wahania ryzykują życie.

Tomek chwilę wiercił się niecierpliwie na brzegu, lecz ciekawość przemogła obawę. Zrzucił ubranie i wskoczył do wody.

— Kłaniaj się krokodylszczakom! — krzyknął za nim bosman.

Dingo bez namysłu śmignął do jeziora za swoim panem. Obydwaj zniknęli niebawem za pasem szuwarów. Dopiero po jakimś czasie ukazali się rozkrzyczani Murzyni. Zachłystywali się wodą, lecz dzielnie ciągnęli liny uwiązane do słupowatych nóg zwierzęcia, które wyłoniło się za nimi. Na wywróconym do góry brzuchem hipopotamie siedzieli Tomek, Sambo i Dingo.

— Ho, ho! Zamiast królem nasz Tomek został kapitanem! — krzyknął bosman. — Ahoy! Ahoy! Ster na prawo i całą parą naprzód!

Pierwsi Murzyni dopłynęli do brzegu, holowanie ciężkiego łupu poszło teraz znacznie raźniej. Hipopotam był olbrzymi. Długość jego tułowia bez ogona wynosiła ponad cztery metry, a wysokość nie przekraczała metra. Ciężar zwierzęcia według obliczeń Huntera dochodził do dwóch i pół tony, toteż Murzyni nie mogąc całkowicie wydobyć go na brzeg, pozostawili hipopotama zanurzonego do połowy w płytkiej wodzie. Za pomocą noży powyjmowali z mięsistych warg zwierzęcia wielkie kły, które doskonale imitowały kość słoniową, po czym przystąpili do wykrawania kawałków mięsa i tłuszczu.

W czasie południowego posiłku Murzyni pochłaniali olbrzymie ilości mięsiwa, odpoczywali leżąc, by po chwili znów rozpocząć jedzenie. Obżarstwo przeplatane snem i tańcami trwało przez cały dzień. Wilmowski miał zamiar wyruszyć w drogę na noc, lecz tragarze nie chcieli nawet o tym słyszeć. Żal im było odchodzić od ledwo napoczętego hipopotama.

— Soko są bardzo mądre i nie uciekną nam z lasu — tłumaczyli z zapałem. — Hipopotam natomiast nie ma rozumu i zaraz się popsuje, wtedy jego mięso będzie do niczego. Trzeba teraz jeść mnóstwo dużo.

Brzuch małego Samba nabrzmiał jak wielki bęben. Tomek spoglądając na niego twierdził, że teraz mógłby zastąpić tam-tam, gdyby zaszła potrzeba nadania jakichś sygnałów. Młody Murzyn nie przejmował się tymi kpinami. Napychał się mięsiwem, a w przerwach między jedzeniem układał pieśni na cześć sytości i lenistwa.

Wszystko wszakże na tym świecie musi mieć swój początek i koniec. Toteż następnego dnia około południa Wilmowski kategorycznie rozkazał Murzynom przygotować się do wymarszu. Z wielkim żalem przystąpili do zwijania obozu. Nim podjęli z ziemi pakunki, natarli swe ciała tłuszczem. Karawana ruszyła w drogę, lecz tragarze smętnym wzrokiem spoglądali za siebie na jezioro, gdzie został hipopotam. Niebawem zanucili pieśń o głupocie białych ludzi marnotrawiących tyle dobrego mięsiwa.

Sprytny Sambo nie martwił się zbyt długo. Na stepie często się pojawiały antylopy i bawoły. W pewnej chwili łowcy ujrzeli w dali zabawnie kołyszące się ponad wysoką trawą głowy żyraf; Sambo logicznie więc rozumował, że na razie nie grozi im głód, łowcy mają doskonałą broń palną i żyłka myśliwska powinna nakłonić ich niebawem do nowego polowania.

Cierpliwość Samba została wystawiona na ciężką próbę. Hunter bez przerwy popędzał tragarzy. Z uporem dążył na północ ku maleńkiej osadzie Beni, dokąd karawana dotarła jeszcze przed zachodem słońca. Murzyni zmęczeni szybkim marszem niedbale rozłożyli obóz na skraju wioski, po czym pokotem legli na gorącej ziemi.

Po dłuższej chwili wytchnienia zabrali się do przyrządzania wieczerzy. Tymczasem Wilmowski, Smuga i Hunter udali się do osiedla zamieszkałego przez dwóch Greków, kilku Indusów i kilkudziesięciu Murzynów. Wilmowski pragnął wynająć dwóch lub trzech przewodników znających dżunglę Ituri. Ponadto miał zamiar kupić trochę konserw. O ile uzupełnienie zapasów nie przedstawiało większych trudności, o tyle wynajęcie przewodników okazało się niełatwe. Murzyni, zaledwie się dowiedzieli, że łowcy mają zamiar chwytać żywe goryle, jednogłośnie odmówili udziału w wyprawie. Goryle i zdradliwi Pigmejczycy Bambutte napawali ich wielką obawą. Twierdzili, że w dżungli Ituri nigdy nie zaznają spokoju. Po długich namowach, jak i obiecaniu sutego wynagrodzenia, udało się w końcu łowcom zwerbować jednego przewodnika. Aby w końcu i on w ostatniej chwili nie zmienił decyzji. Hunter natychmiast zabrał go do obozu i oznajmił, że karawana wyrusza w drogę o świcie. Okazało się niebawem, że przezorność ta nie wyszła łowcom na dobre.

Nowy przewodnik mianowicie, Matomba, gadatliwością swoją posiał obawę w sercach dotąd mężnych tragarzy. Siedząc przy ognisku szeroko rozprawiał o czyhających w dżungli niebezpieczeństwach. Według jego relacji Pigmejczycy byli okropnymi ludożercami. Podobno nieraz w ich szałasach znajdowano pozostałości uczt kanibalskich. Przewodnik twierdził, że sam widział, jak Pigmejczycy używali ludzkich czerepów jako naczyń do picia wody. Opowiadał również o napadach karłów na wsie murzyńskie. Podczas gdy mężczyźni walczyli, rażąc napadniętych zatrutymi strzałami, kobiety-karlice doszczętnie rabowały zasiane pola i unosiły w dżunglę plony. Niesamowite opowieści o napadach, zasadzkach, zatrutych strzałach, okrucieństwie i ludożerstwie wywołały zamierzony efekt.

— O, ooo! Bambutte niechybnie zabiją białych łowców, a potem pomordują i zjedzą nas wszystkich — biadolili Murzyni. — Kabaka skazał nas na okropną śmierć!

— Wracajcie do domów — podszepnął nowy przewodnik. — Po co mielibyście służyć Bambutte za tłuste krowy na ich ucztach?

— Nie możemy teraz wracać — jęczeli Bugandczycy. — Katikiro każe nas powiesić, jeżeli opuścimy białych łowców. O, matko! Sam to nam powiedział!

— Źle z wami, źle z nami wszystkimi — powtórzył przewodnik.

Sambo słuchał z zapartym tchem i skóra cierpła mu na plecach. Wierny białym łowcom, postanowił natychmiast przestrzec ich przed grożącym niebezpieczeństwem. Pobiegł więc do Tomka. Szczękając z przerażenia zębami powtórzył wszystko, co usłyszał od nowego przewodnika. Mocno opalona twarz Tomka poszarzała pod wpływem słów młodego Samba, lecz mimo to odparł mężnie:

— Wiesz co, Sambo? To tylko strach ma wielkie oczy. Przewodnik niepotrzebnie straszy naszych ludzi tymi niesamowitymi opowieściami.

— O, biały buana, ty naprawdę jesteś mężny jak lew i silny jak słoń — szepnął Sambo, z uwielbieniem patrząc na chłopca. — Oni również mówią, że w dżungli nawet ptak-miodownik zamiast do miodu wiedzie ludzi w zasadzkę.

— Nie słyszałem o takich ptakach, najlepiej uczynimy, gdy powtórzymy wszystko memu ojcu.

— Tak, tak, powiedzmy wszystko zaraz.

Obydwaj udali się natychmiast do namiotu, gdzie pochyleni nad mapą naradzali się czterej łowcy. Tomek jednym tchem powtórzył relacje zasłyszane przez Samba.

— To prawda, tak mówi Matomba — przytakiwał młody Murzyn.

Smuga, jakby nie zważając na ich podniecenie, uśmiechnął się i rzekł:

— Wygląda mi na to, że najbardziej się boi nasz nowy przewodnik. Murzyni są bardzo skłonni do przesady. Pigmejczycy niechętnie obcują nie tylko z białymi, lecz nawet z innymi plemionami murzyńskimi. Dlatego też opowiada się o nich tyle nieprawdopodobnych historii. Nasłuchałem się wiele od Stanleya, który wśród ustawicznych walk z różnymi plemionami przewędrował Kongo wszerz, spiesząc na pomoc Eminowi-paszy. Wprawdzie Pigmejczycy są zdradliwi, nieufni i bardzo wojowniczy, lecz nie słyszałem, aby uprawiali ludożerstwo. Czerepy, rzekomo ludzkich głów, używane przez karłów do picia wody pochodzą z zabitych małp. Plemiona zamieszkujące dżungle żywią się małpami, ponieważ polowanie na inne zwierzęta nie jest dla nich łatwe.

— Jeden kumpel mówił mi, że małpie mięso smakuje tak jak ludzkie — zauważył bosman Nowicki.

— Wszystko jedno, jak ono smakuje — przerwał Hunter. — Najlepiej będzie, jeśli Matomba położy się już spać i przestanie straszyć ludzi.

— Co mówili na to wszystko Masajowie? — zaciekawił się Wilmowski.

— Mescherje zaraz rozstawił swoich ludzi na czatach naokoło obozu — odparł Tomek.

— Ha, więc i on się obawiał, żeby tragarze nas nie opuścili w nocy — wtrącił Hunter. — No, jeśli Mescherje czuwa, to my możemy spać spokojnie, co teraz przyda się nam wszystkim, gdyż jeszcze przedświtem ruszamy w drogę.

— Czy pan jest zdania, że możemy całkowicie zaufać Mescherje? — zapytał Wilmowski.

— Masajowie uważają siebie za wyższą kastę ludzi, przez samą więc dumę nie będą prowadzili konszachtów z innymi Murzynami. Poza tym wojownik masajski nigdy nie okazuje strachu — zapewnił Hunter. — Znam Mescherje nie od dzisiaj.

— Kładźmy się więc na spoczynek, mamy przecież wyruszyć jeszcze przed świtem — zakończył Smuga.

— Przejdę się po obozie i pogadam z Murzynami — powiedział Hunter przypasując rewolwer.

— Czekaj pan, nie jestem śpiący, możemy więc pójść razem — odezwał się bosman. — Prawdę rzekłszy, lubię posłuchać takiej strachliwej gadaniny.

Tomek zachichotał i wysunął się z namiotu za Sambem. On również przepadał za wszelkimi opowieściami. Hunter obszedł cały obóz, porozmawiał z Masajami, a potem udał się do swego namiotu. Natomiast bosman, Tomek i Sambo zbliżyli się do tragarzy, którzy szerokim kołem obsiedli ognisko. Bugandczycy skwapliwie zrobili im wygodne miejsca, ponieważ widok olbrzymiego, zawsze wesołego marynarza napawał ich dziwną ufnością i poczuciem bezpieczeństwa. Trójka przyjaciół przyjęła zaproszenie, a humorystyczne opowieści bosmana wkrótce wprawiły Murzynów w dobry nastrój. Późno już było, lecz rozochoceni tragarze nie spieszyli się na spoczynek.

Jeden z nich zwrócił się do bosmana:

— Silny i mądry jesteś, biały buana, powiedz więc, co to jest: mała, stroma góra, na którą żaden człowiek nie może się wspiąć?

Bosman nie znał murzyńskich dowcipów. Po kilku nieudanych odpowiedziach przyznał się, że nie wie. Wtedy Murzyn zawołał:

— Jajo!

Wszyscy inni śmiali się i z radości uderzali rękoma o uda. Potem zapytał ktoś inny:

— Biały buana, może to uda ci się odgadnąć: co to jest, co można dzielić, a przecież nikt nie pozna, gdzie to było dzielone?

Bosman roześmiał się i odparł:

— Woda!

Pochwalne okrzyki nagrodziły trafną odpowiedź; zabawa byłaby się przeciągnęła, gdyby nie marynarz, który spojrzał na niebo i zauważył:

— Nie wypoczniemy przed drogą, gwiazdy bledną, wkrótce nastąpi dzień.

— Tak, tak, one gasną, bo w dzień są niepotrzebne. Mała dziewczynka modliła się, aby świeciły tylko w nocy — wtrącił Sambo.

— Co ty opowiadasz? O jakiej dziewczynce mówisz? — zapytał Tomek.

— Biały buana nie wie, skąd się gwiazdy wzięły tam w górze? — odparł Sambo pytaniem.

— Ty też nie wiesz!

— Sambo mądry, Sambo wie!

— To opowiedz nam jeszcze o tym i pójdziemy spać — zaproponował Tomek.

Sambo usadowił się wygodnie i rozpoczął murzyńską legendę o pochodzeniu gwiazd:

— W pewnej wiosce nie było nic do jedzenia. Mała dziewczynka była bardzo głodna, więc jej ojciec udał się na dalekie łowy. Nie wrócił przez cały dzień. W końcu nastała

czarna noc. Mała dziewczynka, która oczekiwała w wiosce na powrót ojca, zaczęła się obawiać, że wśród ciemnej nocy nie znajdzie on drogi do domu.

Modliła się więc bardzo do dobrych duchów, a potem wzięła z ogniska garść rozżarzonego popiołu i rzuciła go w górę, aby przyświecał ojcu podczas wędrówki. Mała dziewczynka modliła się tak gorąco, że dobre duchy wysłuchały jej próśb i przemieniły żarzący się popiół w błyszczące gwiazdy. Od tej pory tkwią one w górze nad nami. Niektóre przybierają przeróżne kształty, na przykład kwiatów lub zwierząt, i co noc wskazują drogę zbłąkanym w ciemnościach wędrowcom.

LEŚNI LUDZIE

Na północ i zachód od Beni rozciągała się sawanna porosła wysoką trawą. Za nią, na przestrzeni setek tysięcy kilometrów kwadratowych, rozpościerały się dziewicze lasy. Spiekana słońcem sawanna stanowiła olbrzymi, naturalny zwierzyniec Afryki. Jak wiatr przebiegały tam niezliczone stada antylop, to znów szarżowały na oślep groźne bawoły afrykańskie bądź nosorożce, a za trawożerną zwierzyną chyłkiem pomykały lwy i inne drapieżniki.

Zanim słońce wzeszło nad pasmem stromych, iskrzących się skał Ruwenzori, łowcy zdążyli minąć wąski pas sawanny. Wilgotny oddech dżungli musnął spotniałe w marszu twarze.

Po raz pierwszy wkraczał Tomek na dłuższy czas w dziewiczą dżunglę afrykańską, tak nieprzystępną dla białego człowieka. Nowy przewodnik, Matomba, poprowadził karawanę wąską ścieżką wijącą się poprzez naturalny tunel wśród drzew-olbrzymów, powikłanych pnączy, krzewów i wysokiej trawy. Chociaż był już dzień, łowcom wydało się, że słońce nagle zaszło; wierzchołki potężnych drzew łączyły pasożytnicze liany, tworząc ledwie przepuszczający dzienne światło dach. Od czasu do czasu w leśnym mroku prześwitywał nieśmiało błysk niebieskiego nieba i kładł się na ciemnej plątaninie bujnej roślinności tropikalnej. Z gałęzi drzew, jak ręce potwornych straszydeł, zwisały długie pasma suchego mchu i trawy.

Obydwa konie ocalałe od ukąszeń tse-tse pozostawił Wilmowski w Beni, gdyż w dżungli nie na wiele by się łowcom przydały. Tak więc, ze względu na osłabionego jeszcze Smugę, karawana szła powoli, ku zadowoleniu tragarzy nieufnie rozglądających się po mrocznej gęstwinie. W pierwszej chwili po wkroczeniu do dżungli mimo woli ściszali głos, jakby w obawie, że wywabią z gąszczu czyhające na nich leśne demony.

Tomek szybko ochłonął z pierwszego wrażenia. Pokpiwał nawet w duchu ze swych uprzednich obaw, obserwując niczym nie zmącony spokój objuczonych osłów.

"Nie jestem pewny, czy kłapouchy słusznie uchodzą za najmniej mądre stworzenia na świecie — rozumował. — Dlaczego więc miałbym być głupszy od osłów, które w obliczu

każdego niebezpieczeństwa zdobywają się zawsze na tyle spokoju? A poza tym, czego tu się bać?"

Jakby na złość przypomniały mu się teraz wszystkie straszliwe opowieści zasłyszane od Murzynów. Ciche warknięcie Dinga przywróciło go rzeczywistości. Nagle gruby kawał suchej gałęzi spadł na ścieżkę. Byłby uderzył psa w łeb, gdyby nie uskoczył w bok. Tomek zadarł głowę do góry. Wysoko nad ziemią ujrzał brunatne, niewielkie zwierzątka przeskakujące z gałęzi na gałąź. Małpy, one to bowiem były, wrzasnęły z uciechy widząc psa gniewnie szczerzącego kły. Tomek pogroził im pięścią, a wtedy z drzewa znów się posypały pociski.

— Popatrz, brachu, jak to nas kuzyni witają! — śmiał się bosman.

— Ja tam się do takich kuzynów nie przyznaję — odburknął Tomek, lecz zaraz roześmiał się szeroko, widząc, że bosman zaledwie zdołał uskoczyć przed grubym kawałem gałęzi spuszczonym przez małpy wprost na jego głowę.

— Masz rację, czort z takimi kuzynami — żachnął się marynarz. — Chodźmy lepiej prędzej, bo towarzysze gotowi nas tutaj pogubić.

Pognali za karawaną śmiejąc się z zabawnej przygody. Tymczasem wędrówka stawała się coraz bardziej uciążliwa. Dosyć wyraźna dotąd ścieżka rozpłynęła się w leśnym gąszczu jak woda. Matomba przystanął bezradnie.

— Ścieżka się skończyła — poinformował łowców, jakby sami nie widzieli, że dalej będą musieli się przedzierać przez dżunglę nie tkniętą stopą ludzką.

Zgodnie z radą Matomby, należało się posuwać na północny zachód. Tam, według jego zapewnień, najłatwiej można było napotkać leśnych ludzi, jak nazywał goryle. Dwaj Masajowie wydobyli więc długie, ostre jak brzytwy noże i zaczęli wycinać w gąszczu drogę. Podczas wędrówki przed karawaną otwierały się czasem błotniste polany, czasem znów natrafiano na dość wygodne, naturalne galerie ciągnące się w głąb dżungli. Minęło już południe, a Hunter ustawicznie przynaglał do szybkiego marszu. Obecnie karawana posuwała się przez stosunkowo młody las.

Naraz Masajowie torujący nożem drogę zatrzymali się niezdecydowani.

— Ruszajcie naprzód! — przynaglił Hunter.

— Dobrze, ale powiedz, buana, w którą stronę mamy iść? — odparł Masaj.

Hunter wysunął się na czoło karawany, a za nim podążyli nasi łowcy z Tomkiem na przedzie.

— Oho, zaraz napotkamy jakąś wioskę murzyńską — powiedział chłopiec. — Widać, że jej mieszkańcy utorowali drogę przez las.

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

— W ten sposób jedynie królowie dżungli mogą sobie wydeptywać drogę przez las. Tędy po prostu przeszło stado słoni — wyjaśnił Hunter.

Tomek zdumiony spoglądał na dość szeroki korytarz.

— Więc to naprawdę słonie utorowały tę drogę? — jeszcze raz zapytał.

— Tak, Tomku, tylko stado słoni potrafi spowodować tak wielkie spustoszenie w młodym lesie — zapewnił Smuga. — Na podmokłym gruncie drzewa płytko zapuszczają w ziemię korzenie. Dlatego właśnie nie są w stanie oprzeć się niszczycielskiej sile słoni.

— Którędy mamy pójść, buana? — zagadnął Masaj.

Hunter zbadał wielkie ślady zwierząt, po czym zadecydował:

— Słonie powędrowały na zachód jakieś dwie, trzy godziny temu, możemy więc skorzystać z tej drogi bez narażania się na spotkanie z nimi.

Karawana ruszyła drogą utorowaną przez olbrzymy, nazwaną przez Tomka Aleją Słoni. Hunter nie musiał teraz przynaglać tragarzy do pośpiechu. Biegli niemal bez wytchnienia, trwożliwie rozglądając się wokoło, czy przypadkiem nie ujrzą słoni wynurzających się z gęstwiny. Po dwóch godzinach szybkiego marszu łowcy dotarli do przecinającego las strumyka.

Na przeciwnym brzegu, na znacznej przestrzeni, leżały na ziemi drzewa mimozowe i palmy oliwne wyrwane z korzeniami. Łatwo było się domyślić, że tam właśnie gospodarowało duże stado słoni; świadczyły o tym mimozy objedzone z liści oraz porozrywane potężnymi kłami pnie palm oliwnych, z których miąższ był wyjedzony.

Karawana przystanęła nad strumykiem. Hunter uznał, że niebezpiecznie byłoby wędrować dalej śladem słoni. Olbrzymie zwierzęta nasyciwszy głód odpoczywały zapewne gdzieś w pobliżu; nie warto było ryzykować spotkania z nimi. Jednocześnie tropiciel polecił Tomkowi trzymać Dinga na smyczy, ponieważ słonie na widok psa zawsze wpadają w bojowy szał.

Po krótkim postoju łowcy powędrowali wzdłuż strumyka. Dopiero tuż przed zapadnięciem ciemności zatrzymali się w gąszczu na nocleg. Trudno tu było marzyć o wygodnym wypoczynku. Nie rozbijano nawet namiotów. Murzyni sklecili naprędce szałasy z gałęzi, po czym wszyscy posilili się sucharami i konserwami. Jedynie dla Smugi przygotowano wygodne posłanie. Reszta łowców rozsiadła się przy ogniskach. Chmary komarów dawały się im we znaki, podsycali więc ogień wilgotnymi gałązkami, które paliły się wolno i gryzącym dymem odstraszały owady.

— Cały dzionek wędrujemy po dżungli, a goryli ani widu, ani słychu — rozpoczął bosman utyskiwanie. — Tyle różnych zwierzaków kiwało na nas ogonami w sawannie, cóż jednak z tego, kiedy wyście się koniecznie uparli na te małpoludy!

— Już pan narzeka, bosmanie? — zdziwił się Hunter. — O ile dobrze sobie przypominam, to wyśmiewał pan kiedyś moje zastrzeżenia co do łowów na goryle i... okapi.

— Pan bosman zawsze musi zrzędzić, to tak z przyzwyczajenia, założyłbym się jednak... — Tomek przerwał swe wywody zastanawiając się, o co mógłby się założyć z marynarzem, lecz zaraz uśmiechnął się i skończył: — Założyłbym się jednak o butelkę

jamajki, że teraz po prostu usycha z ciekawości, aby jak najprędzej ujrzeć goryla. Czy nie tak jest, proszę pana?

— Pocałuj goryla w nos! — odciął się bosman. — Gdybym nie był ciekaw małpoludów, to bym się nie włóczył całymi tygodniami po tych wertepach.

— Nie pomyliłem się więc, ale ja również chciałbym je zobaczyć. Okropnie jestem ciekaw, w jaki sposób będziemy chwytali goryle.

— W korcu maku szukaliście się obydwaj z bosmanem — wesoło wtrącił Wilmowski. — Dla zaspokojenia ciekawości wśliznęlibyście się nawet do żołądka hipopotama.

— Może to i prawda, ale to my właśnie wyśledziliśmy handlarza niewolników. A kto potem odkrył przygotowaną przez niego zasadzkę? — puszył się chłopiec. — Dlatego powiedzcie nam lepiej, w jaki sposób łowi się goryle.

Rozweselony Hunter zawołał Santuru, ofiarował mu sporą porcję tytoniu, po czym zagadnął:

— Powiedz, Santuru, czy chwytałeś może już kiedyś małpy?

— Santuru łapał szympansy dla kabaki — odparł Murzyn pykając fajeczkę.

— Mały biały buana chciałby wiedzieć, w jaki sposób najłatwiej będzie można schwytać soko — powiedział Hunter.

— Małpy, tak jak ludzie, lubią bardzo piwo. Musimy tylko znaleźć mieszkanie soko, a potem zrobimy mocne piwo i postawimy je jak najbliżej. Potem zarzekamy, aż soko je wypiją i będą udawać pijanego człowieka — wyjaśnił Santuru.

— Patrzcie, jaki cwaniak! — zawołał bosman i zaciekawiony przysunął się do Murzyna. — Powiedz jeszcze, brachu, w jaki sposób znajdziemy te afrykańskie małpoludy?

— One lubią jeść słodkie owoce i pić wodę. Tam trzeba szukać.

— Toś odkrył niemal Amerykę. Każde zwierzę musi jeść i pić — oburzył się bosman.

— No tak, toteż przebywa tam, gdzie znajduje pokarm — wyjaśnił Hunter. — Goryle są zwierzętami roślinożernymi. Żywią się jagodami, brzoskwiniami, bananami, ananasami i korzeniami roślin, które pochłaniają w dużej ilości. Gdy już wyżrą wszystko w jednym miejscu, przyparte głodem przenoszą się gdzie indziej.

— Żeby więc trafić na ślad goryli, musimy poszukać okolic obfitujących w ulubiony przez nie pokarm — zawołał Tomek.

— Trafiłeś w sedno — powiedział Hunter.

— Czy małpoludy budują mieszkania na drzewach? — zapytał bosman.

— Z tego, co sam zaobserwowałem, z małp afrykańskich jedynie szympansy budują swego rodzaju daszki. Być może czynią to również goryle — odparł Hunter.

— Czy goryle żyją rodzinami? — dopytywał się Tomek.

— Przeważnie koczują rodzinami, lecz czasem łączą się również w stada. Mało jeszcze wiemy o ich sposobie życia. Niełatwo obserwować w dżungli żywe goryle.

— W którym kierunku poprowadzi nas pan teraz? — zagadnął Wilmowski.

— Wydaje mi się, że najlepiej zrobimy idąc wolno wzdłuż strumienia. Po drodze będziemy się rozglądali po lesie, dopóki nie znajdziemy dogodnego miejsca na rozłożenie obozu. Dopiero wtedy podzielimy się na mniejsze grupy i rozpoczniemy właściwe poszukiwania.

— Tak samo urządziliśmy się podczas wyprawy w Australii — z entuzjazmem powiedział Tomek. — Ależ to były wspaniałe czasy!

— Prawda, brachu, komarzysków też tam było mniej, tyle że z braku wody rozsychaliśmy się często jak stare beczki — westchnął bosman.

Noc była parna. Wokół obozowiska rechotały żaby i ćwierkały świerszcze. Po ciemnej dżungli pełzały białe opary. Od czasu do czasu rozlegał się trzask łamanej gałęzi, to znów krzyk przebudzonej małpy bądź rozgniewanej papugi. Spowita ciemnością dżungla bez przerwy dawała znać o swym istnieniu. Z głębi dziewiczego lasu płynął nieokreślony głos, który brzmiał jak przejmujące westchnienie.

Tomek z radością powitał wschodzące słońce. Jak za pociągnięciem czarodziejskiej różdżki pierzchły wszelkie nocne przywidzenia. Mroczna dżungla znów stała się plątaniną niebotycznych drzew i pnączy. Ucho z łatwością odróżniało krzyk papug od małpich pisków, a trzask łamanej gałęzi nie podsuwał myśli o skradających się leśnych potworach.

Łowcy wykąpali się w płytkim strumieniu. Tomek i Dingo najdłużej się pluskali w ciepłej wodzie. Dopiero gdy Wilmowski zawołał, że śniadanie gotowe, chłopiec wyskoczył z wody i gwizdnął na psa. Dingo jednym susem znalazł się na brzegu. Tomek usiadł na zwalonej kłodzie. Właśnie wkładał wysokie trzewiki ze sznurowanymi cholewkami, gdy naraz Dingo warknął ostrzegawczo. Chłopiec spojrzał na niego zdziwiony, lecz w tej chwili pies zjeżył sierść i nieoczekiwanie skoczył na Tomka. Ten runął plecami na ziemię i wtedy ujrzał Dinga chwytającego kłami węża, który zwisał z gałęzi drzewa. Natychmiast zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Łeb węża musiał się przed chwilą znajdować na wysokości jego głowy. Jedynie błyskawiczny atak psa ocalił go przed ukąszeniem. Teraz Dingo zdołał wpić się kłami w błyszczące ciało węża tuż przy płaskim łbie. Pies i wąż upadli na ziemię, rozgorzała błyskawiczna, zaciekła walka.

— Ratunku! — krzyknął Tomek nie wiedząc, w jaki sposób mógłby przyjść psu z pomocą.

Z kłębowiska toczącego się po murawie najpierw stał się widoczny Dingo. Wyśliznął się zręcznie z objęć węża, który natychmiast zsunął się z brzegu do wody.

— Co się stało? Tomku, co tobie? — wołali przerażeni łowcy biegnąc ku niemu na wyścigi.

— Wąż! Wąż wisiał nade mną! Dingo się na niego rzucił!

Tomek z przejęciem opowiadał o niebezpiecznym wydarzeniu. Smuga i Wilmowski uważnie obejrzeli psa, który podniecony gwałtowną walką jeszcze gniewnie szczerzył kły.

— Wierny, poczciwy Dingo — odezwał się Smuga. — Dowiodłeś teraz, piesku, że potrafisz narazić własne życie w obronie swego pana.

— Dlaczego pan tak mówi? — zaniepokoił się chłopiec. — Czyżby wąż...?

— Nie chciałbym cię martwić, lecz mężczyzna musi umieć spojrzeć prawdzie w oczy — smutno odparł Smuga. — Wąż ukąsił Dinga tuż nad lewym okiem. Górna powieka już puchnie...

— Dingo, mój kochany Dingo... — szepnął Tomek nachylając się nad swym czworonożnym przyjacielem.

Drżącymi palcami dotknął psa, przyjrzał się szybko puchnącej powiece, po czym przytulił jego łeb do swej piersi. Z oczu Tomka popłynęły łzy.

— Czy naprawdę nie ma już dla niego żadnego ratunku? — zapytał łkając.

Mężczyźni stali głęboko wzruszeni. Obawiali się budzić w sercu chłopca złudne nadzieje. Sambo przyklęknął przy Tomku.

— Szkoda, że Samba tu nie było. Może wąż jego by ukąsił zamiast dobrego psa, który bronił Samba przed handlarzem niewolników — mówiąc to Sambo wycierał czarnym kułakiem łzy.

— Pies nie zawsze umiera, gdy ugryzie go wąż — wtrącił Mescherje. — Miałem takiego psa, co pogryzł się z wężem i nic mu nie było.

— Nie becz, brachu, nad żywym jeszcze przyjacielem, chociaż i mnie jakoś miękko się w dołku robi — dorzucił bosman, przygarniając do siebie chłopca i psa.

— Słuchaj, Tomku, nie chciałbym cię łudzić, ale przecież w Dingu płynie krew australijskich dzikich psów, dla których wszelkie płazy i gady nie są żadną nowością. Może ukąszenie węża mu nie zaszkodzi, nawet jeżeli był to wąż jadowity — zauważył Smuga.

— Czy pamiętacie, co gadał pan Bentley? Że w Australii nawet małe dzieci węży się nie boją — porywczo powiedział bosman.

— Nie martwmy się, dopóki Dingo ma tak wesołą minę — dodał Wilmowski, spoglądając przez cały czas uważnie na psa.

Teraz dopiero Tomek zwrócił uwagę na zachowanie Ulubieńca. Otóż Dingo z wielkim zadowoleniem poddawał się pieszczotom. Wprawdzie mocno napuchnięta lewa powieka zakryła mu całe oko, lecz pies przekrzywił głowę i drugim okiem wesoło spoglądał na otaczających go ludzi. Tomek przestał płakać. Wtedy Dingo machnął kilka razy ogonem; różowym jęzorem polizał chłopca po zapłakanej twarzy, potem obwąchał chlipiącego Samba, dotknął wilgotnym nosem kułaków wciśniętych w oczy, szczeknął chrapliwie i pobiegł węszyć na brzegu, gdzie wąż zsunął się do wody.

— Widzisz, Dingo wcale się nie przejął ukąszeniem. Miejmy nadzieję, że wszystko się dobrze skończy — odezwał się Wilmowski.

— Najlepszym lekarstwem na wszelkie zmartwienia jest praca i ruch. Przygotujmy się szybko do drogi.

Obawa Tomka o życie ulubieńca była tak wielka, że tego dnia prawie wcale nie zwracał uwagi na dżunglę. Inni łowcy również co chwila uważnie spoglądali na Dinga, lecz nie spostrzegając, poza opuchlizną na lewym oku, dalszych skutków ukąszenia, powoli nabierali nadziei, że psu nic złego się nie stanie.

Tego samego dnia po południu łowcy natrafili na rozwidlenie strumienia. Stąd część wód płynęła wprost na zachód. Wartki nurt ginął w głębi zielonego naturalnego tunelu, utworzonego przez połączone lianami korony drzew rosnących na obu brzegach.

Hunter długo spoglądał w mroczny wyłom w zieleni dżungli. W końcu zaproponował, aby karawana zatrzymała się na odpoczynek przy rozwidleniu strumienia, podczas gdy on i Santuru rozejrzą się po okolicy. Nikt oczywiście nie oponował. Tropiciel ruszył w towarzystwie Murzyna na przeciwległy brzeg. Po chwili obydwaj zniknęli w gęstwinie dziewiczego lasu. Wrócili dopiero po dwóch godzinach.

— Wydaje mi się, że natrafiliśmy wreszcie na okolicę, w której mogą się gnieździć goryle — oświadczył Hunter po powrocie z wypadu. — O godzinę drogi stąd znajduje się w pobliżu strumienia wiele dzikich drzew owocowych. Woda i obfitość pożywienia, a nade wszystko brak jakichkolwiek mieszkańców stwarzają ulubione przez małpy warunki bytowania.

— Czy znalazł pan miejsce nadające się do rozłożenia obozu? — zatroszczył się Wilmowski.

— Owszem, napotkaliśmy sporą, zaciszną polanę na niewielkim wzniesieniu.

Nie tracąc czasu przeprawili się przez strumień i podążyli wzdłuż płynącej na zachód odnogi. Z wielkim trudem przedzierali się przez gąszcz, Hunter bowiem nie pozwolił wyrąbywać drogi.

— Im mniej wrzawy narobimy, tym prędzej osiągniemy cel wyprawy — tłumaczył. — Musimy pamiętać, że goryle unikają spotkań z ludźmi, a niepokojone, natychmiast się przenoszą w inną okolicę.

W plątaninie lian i drzew musieli wyszukiwać łatwiejsze przejścia dla tragarzy i zwierząt jucznych. Chwilami schodzili w łożysko strumienia, by posuwać się jego łagodnym nurtem. Tomek, uczulony na węże, z niepokojem wyśledził kilka wodnych żmij, które szybko umykały spod nóg.

Uciążliwa wędrówka zajęła sporo czasu. Dopiero po trzech godzinach dotarli do przerzedzonego lasu o niezwykłym kolorycie. Między długimi szpalerami jasnokarmazynowych akacji rozrzucone były drzewa brzoskwiniowe i złoto kwitnące dzikie mimozy. Nie opodal była polana wybrana uprzednio przez tropiciela.

Mieli się tu zatrzymać na dłuższy czas, więc rozbili namioty, a cały obóz otoczyli ogrodzeniem zbudowanym z gałęzi i mocnych lian. Tomek ściął w lesie wysmukłe drzewo, które po usunięciu gałęzi miało służyć za maszt flagowy. Razem z Sambem wkopali go pośrodku obozu i na umocowanych do drzewca blokach bardzo uroczyście wciągnęli polską flagę. Dopiero tuż przed zachodem słońca uporali się z najpilniejszymi pracami obozowymi.

Wieczorem, zmęczeni nużącym przedzieraniem się przez dżunglę, podróżnicy paląc fajki niewiele rozmawiali. Sen sklejał im powieki i już mieli się rozejść do namiotów, gdy naraz z głębi dżungli doszedł dźwięk, jakby uderzano w wielki metalowy kocioł.

— Tam-tamy! — zawołał Tomek, lecz zamilkł natychmiast.

W mrocznym lesie rozległ się ryk przypominający z początku jakby szczekanie wielkiego brytana, a potem głuche warczenie podobne do huku dalekiego grzmotu. Przerażający ryk oraz dudnienie powtarzane przez echo zdawały się rozbrzmiewać we wszystkich zakątkach dżungli. Biali podróżnicy i Murzyni z zapartym tchem wsłuchiwali się w te niesamowite głosy.

— Leśni ludzie! — szepnął Matomba poszarzałymi ze strachu wargami.

— Soko! — cicho przywtórzył Santuru.

— Czy jesteś pewny, że to głosy goryli? — zapytał Hunter.

— Tak, tak. Santuru słyszał już nad jeziorem Kiwu gniewające się soko — zapewnił nadworny łowczy.

— Wygaście zaraz ognisko, bo inaczej leśni ludzie przyjdą tu w nocy i zjedzą wszystkich — pospiesznie zawołał Matomba.

— Uspokój się, Matomba, takim gadaniem straszysz niepotrzebnie siebie i innych — skarcił Hunter — Twoi leśni ludzie są zwykłymi zwierzętami, które nie odważą się napaść na nasze obozowisko. Ogień musimy wygasić, aby nie spłoszyć goryli.

Murzyni pospiesznie zadeptali ognisko, natychmiast też przestali narzekać na zmęczenie. Niektórzy przykucnęli na ziemi trzymając ostre dzidy w pogotowiu, jakby oczekiwali napaści.

— Dlaczego Murzyni nazywają goryle leśnymi ludźmi? — zapytał podniecony Tomek.

Wilmowski spokojnie wyjaśnił:

— Wiele szczepów murzyńskich mniema, że goryle są naprawdę dzikimi ludźmi. Mają oni rzekomo przebywać w głębi dżungli z obawy, aby nie zaprzęgnięto ich do pracy. Umyślnie jakoby udają również nieznajomość ludzkiej mowy. Należy wziąć pod uwagę, że do tej pory bardzo mało wiemy o życiu małp człekokształtnych. Z tego też powodu niejedna już powstała o nich legenda.

— Ciekawe, kto pierwszy odkrył w dżungli goryle? — zapytał Tomek.

— O ile sobie dobrze przypominam, to w połowie dziewiętnastego wieku jako pierwszy z białych ludzi odkrył goryla nad brzegami rzeki Gabun misjonarz Savage.

Początkowo uważano goryla za szympansa, dawno już znanego afrykańskiego leśnego człowieka. Później jednak podróżnik Du Chaillu bliżej mu się przypatrzył, a wtedy uznano w gorylu oddzielny i najbliższy człowiekowi gatunek małpy.

— Czy to prawda, że goryle napadają na ludzi i są tak potwornie silne?

— Trudno mi o tym dyskutować, gdyż widziałem zaledwie jednego zdychającego już goryla, i to... w niewoli.

— A może pan Hunter wie coś ciekawego o gorylach? — zagadnął Tomek.

— Nie widziałem jeszcze tych bestii ani żywych, ani martwych. Mogę mimo to dla uspokojenia nas wszystkich dodać, że pojedynczy goryl podobno ustępuje człowiekowi z drogi, lecz gdy jest razem z rodziną, wtedy śmiało atakuje. Najlepiej w takim wypadku zachować strzał na ostatnią chwilę — wyjaśnił Hunter.

— Grunt to dobra pukawka i... celne oko, brachu kochany — mruknął bosman.

— Trafnie to powiedziałeś, bosmanie — odezwał się Smuga. — Cokolwiek czarni lub biali ludzie naopowiadali o gorylu, jest on w rzeczywistości tylko złośliwym, fałszywym, upartym i niebezpiecznym zwierzęciem. Jeżeli staniesz z nim twarzą w twarz, pal między ślepia bez najmniejszych skrupułów i mierz celnie! Inaczej rozerwie cię na sztuki potężnymi kłami, tak jak każde inne dzikie zwierzę.

Mescherje błysnął w uśmiechu białymi zębami i rzekł:

— My zaraz zrobimy mocne piwo, jak mówił Santuru, a biały człowiek zamknie do klatki wielką małpę.

ŁOWY NA GORYLE

Nazajutrz rano Tomek stwierdził niemal uszczęśliwiony, że opuchlizna nad okiem Dinga znacznie zmalała, a pies nie utracił dobrego samopoczucia. Uczestnicy wyprawy zgodnie orzekli, że niebezpieczeństwo już minęło. Teraz można było nie obawiać się więcej o wiernego psa. Zaraz też wszystkim poprawiły się humory.

— Ho, ho! Nasz Dingo to zuch psisko! — chwalił bosman Nowicki — Trafił frant na franta. Głupia afrykańska gadzina nie wiedziała, że spotkała lepszego od siebie.

— Nie ma pan pojęcia, jaki wielki ciężar spadł mi z piersi — zwierzył się Tomek. — Co by Sally powiedziała, gdyby Dingo zginął od ukąszenia węża?

— Jakoś nie możesz zapomnieć tej turkaweczki — roześmiał się bosman. — Przecież po to ofiarowała ci Dinga, aby służył wiernie i bronił cię w niebezpieczeństwie.

— To prawda, ale cieszę się, że nic mu już nie grozi.

— Kto by się nie przywiązał do takiego zucha!

W obozie rozpoczęto przygotowania. Murzyni pod kierownictwem Wilmowskiego składali przyniesione w częściach duże, żelazne klatki. W nich to właśnie miały być zamknięte goryle, gdyby łowy zakończyły się pomyślnie. Santuru osobiście pilnował wyciskania soku z ziaren kukurydzy, z którego sporządzono piwo mające ułatwić chwytanie wielkich małp człekokształtnych. Smuga z Hunterem wydobyli z pak wielkie sieci oraz całe pęki grubych rzemieni. Rozwiesili je na wbitych w ziemię drągach i uważnie sprawdzili ich stan. Smuga przygotował również długie, mocne lassa.

Do chwili dokładnego przeszukania okolicy Wilmowski zabronił komukolwiek oddalać się z obozu bez pozwolenia. Nie tyle obawiał się ewentualnej napaści goryli, ile nie chciał przedwcześnie płoszyć zwierząt. Tomek miał więc sporo wolnego czasu, toteż postanowił sprawdzić, czy nie zapomniał posługiwać się arkanem. Dingo służył mu za ruchomy cel. Z właściwym sobie uporem rozpoczął Tomek żmudne ćwiczenia, korzystając z rad doświadczonego Smugi.

Przez następne dni uczestnicy wyprawy odpoczywali w obozie. W tym czasie Hunter, Santuru i Smuga urządzali wypady w okoliczną dżunglę w poszukiwaniu goryli.

Początkowo żadnemu z nich nie udało się spostrzec obecności małp. Aby przeszukać okolicę w jak największym promieniu, podzielili się na dwie grupy: Hunter z Santuru udali się na zachód. Smuga wyruszył na południe.

Był to już trzeci dzień od chwili rozbicia obozu na polanie. Murzyni rozkoszowali się bezczynnością. Narzekali jedynie na skąpe racje żywnościowe. Z żalem wspominali pozostawionego w Jeziorze Edwarda hipopotama. Tomek pokpiwał z obżartuchów, gdyż podniecony oczekiwaniem na niebezpieczne łowy zapomniał o jedzeniu. Tego dnia Hunter z Santuru wcześnie wyruszyli w dżunglę. Smuga natomiast poprosił Tomka o wypożyczenie Dinga. Oczywiście chłopiec napraszał się żeby towarzyszyć podróżnikowi na tę wyprawę, lecz Smuga odmówił, pragnąc mieć większą swobodę w poszukiwaniach.

Santuru i Hunter wrócili po południu. Wycieczka ich i tym razem nie przyniosła pozytywnych wyników. Hunter podejrzewał nawet, że goryle mogły spostrzec obecność ludzi i wyniosły się w dalsze okolice. Słońce chyliło się już ku zachodowi, a Smuga nie wracał. Dopiero tuż przed zapadnięciem nocy płowe cielsko psa przemknęło przez polanę. Dingo wielkim susem przesadził ogrodzenie okalające obozowisko, po czym podbiegł do Tomka łasząc się radośnie. Niebawem na skraju polany ukazał się Smuga. Wilmowski odetchnął z ulgą widząc przyjaciela całego i zdrowego. Od chwili niebezpiecznego zranienia zatrutym nożem stale się o niego niepokoił.

Tymczasem Smuga, jak zwykle bardzo opanowany, spokojnie wkroczył do obozu. Zaraz ochłodził się kąpielą w pobliskim strumyku, a następnie z humorem naśladując sposób mowy bosmana zagadnął:

— Coście tak, szanowni panowie, pospuszczali nosy na kwintę? Dajcie mi piorunem jeść, bo jestem nie mniej głodny od żarłocznych małpoludów, którym przyglądałem się niemal pół dnia.

— Janie, czy naprawdę wytropiłeś goryle? — zawołał podniecony Wilmowski.

— Obserwowałem je przez kilka godzin z odległości kilkudziesięciu metrów.

Wiadomość o wytropieniu goryli lotem błyskawicy obiegła obozowisko. Tak biali łowcy, jak i wszyscy bez wyjątku Murzyni otoczyli Smugę, prosząc o szczegółową relację.

Toteż szybko się posilił i zapaliwszy fajkę zaraz rozpoczął sprawozdanie:

— Jestem pewny, że goryle przebywają w tej okolicy w większej liczbie, lecz nic dziwnego, iż nie mogliśmy ich wytropić. Nie macie pojęcia, jakie to czujne i zmyślne bestie. Gdyby nie Dingo, przeszedłbym prawdopodobnie obok goryla siedzącego na drzewie nie podejrzewając nawet jego obecności. Dingo doskonale tropi zwierzynę. Trzeba go tylko bacznie obserwować. Nie dalej jak o godzinę drogi stąd zaczął zdradzać niepokój. Zjeżywszy sierść na grzbiecie, co chwila spoglądał na mnie. Przycupnęliśmy więc w krzewach i czekaliśmy. Minęło sporo czasu, zanim spostrzegłem wielkiego goryla zrywającego z drzewa dzikie brzoskwinie. Wkrótce samiec objadł jedno drzewo, a potem z lekkością, o którą nie można by podejrzewać tak wielkiego i ciężkiego zwierzęcia,

zwinnie przeskoczył na sąsiednie. Nałamał całe naręcze gałęzi razem z owocami, zeskoczył i powędrował w kierunku legowiska. Z daleka sunęliśmy za nim kryjąc się za drzewami. W ten sposób doprowadził nas do małego, cienistego, wilgotnego parowu. Na platformie uwitej wśród gałęzi rozłożystego drzewa znajdowała się samica z małym gorylem. Im to właśnie samiec zaniósł urwane razem z gałęziami brzoskwinie.

— Czy obserwowałeś również zachowanie goryli w stadle rodzinnym? — zapytał Wilmowski.

— Oczywiście, nie mógłbym przecież nie skorzystać z tak wspaniałej okazji. Napotkany samiec przekraczał wzrostem naszego bosmana.

— Za przeproszeniem, nie porównuj mnie z małpami! — zaoponował urażony marynarz.

— Przepraszam, bosmanie — uśmiechnął się Smuga. — Użyłem tego porównania, aby nasi towarzysze mieli należyte wyobrażenie o potężnej budowie zwierzęcia, na które będziemy polowali.

— Ha, jeżeli tak, to zgoda — odparł bosman. — Mów dalej, z łaski swojej.

— Proszę sobie wyobrazić olbrzyma o nadzwyczaj szerokich barach, silnie rozwiniętej, wypukłej klatce piersiowej, długich rękach sięgających kolan, stąpającego bezszelestnie na stosunkowo krótkich nogach. Przyjrzałem mu się dokładnie przez lunetę. Jedynie twarz i dłonie o popielatej barwie pozbawione są owłosienia, które, gęsto pokrywa jego ciało. Łeb nosi lekko pochylony ku przodowi. Przez gęstwinę pełznie na czworakach, natomiast gdy idzie na samych nogach, chód jego jest chwiejny, za przeproszeniem bosmana, jak chód marynarza. Największe jednak wrażenie sprawia twarz pełna piekielnego wyrazu i dzikie, błyszczące oczy.

— Janie, bardzo cię proszę, abyś dokładnie spisał wszystkie swe spostrzeżenia. Są to naprawdę nadzwyczaj cenne, nie tylko dla nas, wiadomości — odezwał się Wilmowski.

— Jutro o świcie wyprawimy się obydwaj w celu uzupełnienia moich obserwacji. Niewątpliwie spostrzeżenia nasze zaciekawią w Europie wielu ludzi.

— Czy potrafi pan odnaleźć legowisko goryli? — niepokoił się Tomek.

— Nie obawiaj się, przyjacielu. Pozostawiłem znaki, po których z łatwością odszukamy właściwe miejsce.

— Kiedy wobec tego rozpoczniemy obławę na goryle? — zapytał Hunter, któremu udzieliło się ogólne podniecenie.

— Otóż przechodzimy teraz do sedna rzeczy — odparł Smuga. — Z rana wyprawię się z Wilmowskim, by poczynić dalsze obserwacje, a dopiero później wyruszymy większą grupą. Podsuniemy gorylom naczynia napełnione piwem i poczekamy na miejscu na wynik. Jeżeli małpy są tak łase na piwo, jak zapewnia Santuru, powinniśmy bez większego ryzyka zamknąć całą rodzinę w klatkach.

— Słyszycie, co mówi pan Smuga o waszych leśnych ludziach? — triumfująco odezwał się bosman do tragarzy i Matomby. — I było to przed czym mieć tyle cykorii? Wstyd wam chyba teraz, co?

— Wielki biały buana jest odważny jak bawół lub słoń — przyznał Matomba. — Ale soko jeszcze dotąd nie siedzą w waszych mieszkaniach z żelaznych prętów.

— Popatrz, człowieku! Tymi dwoma łapami sam wpakuję je do klatek — chełpił się bosman mile połechtany porównaniem ze słoniem i bawołem, uchodzącymi za najgroźniejsze zwierzęta kontynentu.

— Buana, czy naprawdę sam włożysz soko do klatki? — z podziwem zapytał Matomba.

— Mógłbyś to zobaczyć, gdyby tylko starczyło ci odwagi pójść tam z nami — zapewnił bosman.

Matomba długo się zastanawiał, lecz tak charakterystyczna dla Murzyna ciekawość wzięła widocznie w nim górę, gdyż oznajmił:

— Dobrze, buana. Matomba boi się soko, ale pójdzie z tobą, żeby zobaczyć, czy wsadzisz sam leśnego człowieka do klatki.

— Niech cię kule biją! Podobasz mi się, Matomba, czy jak cię tam twój szanowny tatuś nazwał.

— No, więc jutro przystępujemy do dzieła. Słuchajcie, jeżeli schwytamy goryle, wyprawimy sowitą ucztę dla wszystkich — obiecał rozochocony Wilmowski.

Murzyni podnieceni zapowiedzianym polowaniem oraz obietnicą uczty rozchodzili się do namiotów żywo dyskutując, a tymczasem Tomek, jakoś dziwnie markotny, zbliżył się do ojca.

— Czy nie cieszysz się na samą myśl o rozpoczęciu łowów? — zapytał Wilmowski, uważnie przyglądając się chłopcu.

— Cieszyłbym się, nawet bardzo bym się cieszył, ale... — Tomek urwał zdanie w połowie i zamilkł, opuszczając głowę na piersi.

— Cóż tam cię znów gnębi? Dlaczego nie mówisz po prostu, co masz na sercu?

Tomek szybko spojrzał ojcu prosto w oczy.

— Zabierz mnie jutro rano, gdy będziesz szedł z panem Smugą śledzić goryle! — wyrzucił z siebie jednym tchem.

— Hm, właściwie miałem ci to zaproponować, chciałem jednak przedtem zasięgnąć zdania pana Smugi — odparł Wilmowski tłumiąc śmiech, gdyż domyślił się od razu, o co synowi chodziło. — Co o tym sądzisz, Janie?

— Skoro postanowiliśmy uczynić Tomka doskonałym łowcą zwierząt, to uważam za bardzo wskazane zabrać go na tę wyprawę. Nieprędko może nam się znów nadarzyć tak wspaniała okazja. Tym samym będziemy mieli o jednego świadka więcej, że nie wyssaliśmy z palca naszych spostrzeżeń o życiu goryli — odparł Smuga.

Uszczęśliwiony Tomek zabrał się natychmiast do przeglądu broni.

Następnego dnia o świcie we trzech wyruszyli w kierunku małego leśnego parowu. Pierwszy szedł Smuga. Z wprawą wytrawnego tropiciela odszukiwał pozostawione dnia poprzedniego znaki na drzewach bądź ułożone odpowiednio na ziemi kawałki gałęzi. Za nim, czujnie rozglądając się na wszystkie strony, maszerował Tomek ze sztucerem pod pachą, a na samym końcu kroczył Wilmowski. Przedzierając się wolno przez krzewy, dotarli na sam skraj gęsto porosłego drzewami stoku zamykającego parów. Zaszyli się w mały wykrot. Smuga z największą ostrożnością rozgarnął krzewy. Wydobył lunetę. Przez dłuższą chwilę rozglądał się po parowie.

— Są, są w legowisku! — szepnął podniecony.

Podał lunetę Tomkowi, który zaraz spojrzał we wskazanym kierunku. W rozwidleniu potężnego drzewa, nie wyżej niż pięć metrów nad ziemią, znajdowała się upleciona z gałęzi i lian mała platforma. Na niej to ujrzał samicę. Cienką, dobrze ulistnioną gałązką oganiała owady bzykające nad uśpionym jeszcze gorylątkiem. Na ziemi, oparty plecami o pień drzewa, siedział olbrzymi samiec. Obok niego leżała kupka jakichś roślin wyrwanych razem z korzeniami, które obgryzał i żuł potężnymi szczękami. Wkrótce ukończył poranny posiłek, zgarnął garść roślin i dźwignął się na krótkich nogach. Z wprawą doskonałego akrobaty wspiął się na drzewo. Wszedł na platformę nie wypuszczając z dłoni roślin, podał je samicy, lecz ta gniewnie go wypchnęła. Bez ociągania się zeskoczył na ziemię i powędrował w las.

Smuga orzekł, że samica nie była widocznie zadowolona z przyniesionego przez męża pokarmu i wyprawiła go po owoce leśne, za którymi małpy potrafią przewędrować wielkie przestrzenie lasu.

Przez kilka godzin łowcy obserwowali zachowanie goryli. Samica zniosła swe maleństwo na ziemię. Pilnowała, by zbytnio się od niej nie oddalało, karmiła je brzoskwiniami i jakimiś liśćmi przyniesionymi przez ojca. W najgorętszych godzinach wzięła dziecko na rękę, wspięła się z nim z powrotem na drzewo i ułożyła do snu. Gdy nieposłuszne gorylątko wychylało się z legowiska, dała mu lekkiego klapsa i znów ułożyła je na spoczynek, kładąc się obok.

W końcu łowcy wycofali się z parowu. Zaraz po przybyciu do obozu Tomek, zachęcony przez ojca, zabrał się do spisania poczynionych obserwacji, oznaczając nawet przy pomocy Smugi miejsce na mapie, w którym wytropiono goryle.

Podróżnicy nadzwyczaj starannie przygotowywali się do pierwszych w Afryce łowów. Jeszcze raz sprawdzili stan sieci, zbadali wytrzymałość rzemieni, a także dokonali uważnego przeglądu żelaznych klatek. Z kolei Wilmowski oznajmił Murzynom, że mogą zgłaszać się na ochotnika do wzięcia udziału w niebezpiecznych łowach, za co otrzymają specjalne wynagrodzenie. Ku jego zdziwieniu pierwszy zgłosił się Matomba, który od chwili, gdy bosman oświadczył butnie, iż własnymi rękami umieści w klatce goryla,

niemal nie spuszczał z niego wzroku. Za przykładem Matomby wszyscy Murzyni postanowili pójść na polowanie. Wilmowski nie mógł pozostawić obozu bez opieki, wybrał więc dwunastu najsilniejszych i najsprawniejszych, raz jeszcze obiecując wyprawić sutą ucztę dla wszystkich, jeżeli łowy pomyślnie się zakończą. W obozie pozostało dwóch uzbrojonych Masajów oraz ośmiu tragarzy, podczas gdy reszta ruszyła w oznaczonym kierunku.

Tym razem Smuga poprowadził towarzyszy najkrótszą drogą. Zatrzymali się dopiero w pobliżu leśnego parowu i tam przycupnęli w gąszczu. Smuga i Hunter wybrali pięciu ludzi do niesienia naczyń z piwem, po czym razem z nimi zaczęli się skradać w kierunku legowiska goryli. Murzyni, osłaniani przez dwóch znamienitych strzelców, bezszelestnie niemal wśliznęli się do parowu. Santuru na migi dał strzelcom do zrozumienia, aby byli gotowi każdej chwili do strzału, a w końcu rozstawił pięć tykw napełnionych mocnym napojem. Teraz Murzyni powoli wycofali się z parowu, w którym został Santuru i obydwaj biali strzelcy. Zaledwie tragarze odeszli, Santuru ułamał z drzewa gałąź. Rozległ się głośny trzask; Łowczy królewski pospiesznie przebiegł kilka kroków, umyślnie przedzierając się przez najgęściejsze krzewy. Strzelcy również rozpoczęli odwrót. Zatrzymali się dopiero około stu metrów od tykw z piwem. Smuga obserwował przez lunetę zachowanie goryli. Olbrzymi samiec bez wahania ruszył do wylotu parowu, by sprawdzić, czy rodzinie jego nie zagraża niebezpieczeństwo. Szybko biegł na czworakach w kierunku, skąd przed chwilą doszedł go trzask gałęzi. Naraz przystanął niezdecydowanie, ujrzawszy dziwne przedmioty. Podchodził ostrożnie krok za krokiem, aż w nozdrza uderzył go nieznany zapach. Długo i nieufnie obwąchiwał tykwy napełnione piwem. Słodko-kwaśna woń nęciła go coraz bardziej. Po chwili ostrożnie spróbował napoju.

Podstęp udał się. Łowcy widzieli z daleka, jak goryl, naśladując najwytrawniejszych piwoszów, opróżnił szybko dwie tykwy. Wilmowski chcąc, aby zwierzęta jak najszybciej uległy oszołomieniu, dodał do piwa trochę spirytusu, toteż na skutki małpiego pijaństwa nie trzeba było zbyt długo czekać. Chwiejny normalnie chód goryla stał się obecnie jeszcze bardziej groteskowy. Olbrzym zataczał się, przewracał, wydawał głośne pomruki, czym zwrócił uwagę swej czujnej małżonki. Zjawiła się niebawem obok pijanego męża i wkrótce obydwie małpy z głośnym mlaskaniem opróżniły pozostałe naczynia. Gdy stwierdziły, że już nic więcej nie da się z nich wysączyć, porozbijały je o drzewa i rozdeptały, po czym poczołgały się ku piszczącemu maleństwu.

Dla naszych strzelców było to hasłem do odwrotu. Bez dalszej zwłoki pobiegli do oczekujących na nich towarzyszy i zdali krótką relację. Zaraz też cała grupa podążyła do parowu, niosąc klatki i rzemienie. Jedynie Tomek i Hunter trzymali karabiny w pogotowiu, aby celnymi strzałami zabić bestie, gdyby próbowały rzucić się na ludzi.

Łowcy wkroczyli do parowu, a wtedy oczom ich ukazał się widok godny pożałowania. Goryle w niedbałych pozach leżały u stóp drzewa, na którym była zbudowana platforma. Małe gorylątko przykucnęło przy piersi samicy i skomlało bezradnie. Ujrzało łowców. Teraz zaczęło szarpać sierść matki, lecz obydwa goryle chrapały głośno, pogrążone w pijackim, głębokim śnie.

— Tfu, tylko bydlę może się tak spić — mruknął bosman, obrzucając małpy pogardliwym wzrokiem.

— Widziałem już i ludzi zamroczonych wódką — szepnął Tomek.

— Nie gadaj, tacy ludzie są też prawdziwymi bydlętami — oburzył się bosman. — Porządny człowiek pije zawsze w miarę i... najlepiej rum.

— Cicho! — syknął Hunter.

Murzyni jak duchy zbliżyli się do leżących bezwładnie goryli. W nabożnym niemal skupieniu postawili klatki na ziemi. Matomba niedwuznacznie zajrzał bosmanowi w oczy.

Trzeba przyznać, że żartobliwemu marynarzowi nigdy nie brakło śmiałości, gdy chodziło o popisanie się nadzwyczajną siłą i odwagą. Zaledwie poczuł na sobie podniecony wzrok Matomby, odrzucił w trawę karabin.

— Przysuńcie bliżej otwartą klatkę — rzekł do Huntera, po czym ruszył ku małpom.

— Bosmanie, podchodź do nich z tyłu i trzymaj ręce z dala od pysków goryli — ostrzegł Smuga.

Marynarz kocim krokiem zbliżył się do samca, chwycił go za potężne bary i odwrócił na brzuch. Żylaste ręce silnym chwytem objęły goryla w pasie. Waga olbrzymiej małpy musiała być znaczna, gdyż żyły wystąpiły na skroniach bosmana, kiedy unosił z ziemi bezwładne cielsko. Po chwili goryl leżał w obszernej, żelaznej klatce.

Pochwalne szepty Murzynów były dla bosmana największą nagrodą. Zadowolony z siebie spojrzał chełpliwie na Matombę. Murzyn stał z szeroko otwartymi ustami, a jego pełen uwielbienia wzrok wyrażał więcej, niż jakiekolwiek słowa mogłyby wypowiedzieć.

Z kolei marynarz przystąpił do samicy. Ta jednak mniej pochłonęła piwa niż jej małżonek, a poza tym do półzamroczonej świadomości zwierzęcia musiał docierać rozpaczliwy pisk maleństwa, toteż szczerzyła kły nie otwierając sennych ślepi. Widząc to, Wilmowski i Hunter pospieszyli bosmanowi z pomocą. Zaledwie Hunter odrzucił karabin, czujny jak zwykle Smuga natychmiast podjął z ziemi swą broń i zbliżył się do Tomka, który również z zainteresowaniem obserwował wyczyny bosmana.

Naraz, tuż za łowcami unoszącymi z ziemi opierającą się samicę, dał się słyszeć jakiś szelest w zaroślach. Z gęstwiny wypełznął na czworakach potwornych rozmiarów goryl. Ujrzawszy ludzi stanął na tylnych łapach. Wysokość bestii musiała przekraczać dwa metry, gdyż chcąc patrzeć na dziwne, nie znane sobie istoty, pochylił potężny kark i spoglądał w dół. Ciemnoszare, błyszczące dziko oczy bez strachu patrzyły na ludzką

gromadę. Nagle goryl zacisnął dłonie. Pięściami wielkimi jak bochny chleba zaczął się mocno walić w piersi. Rozległo się głuche dudnienie. Małpolud jakby szczeknął głośno, a potem z paszczy wydarł mu się ryk tak okropny, że ludzie zamarli z przerażenia. Oczy goryla pałały wściekłością. Krótka, włochata grzywka na niskim czole jeżyła się i opadała. Bił pięściami w piersi, ryczał bez przerwy, jakby wzywał na pomoc złe moce drzemiące w głębi dżungli. Postąpił dwa kroki ku łowcom, zatrzymał się na chwilę, po czym pochylił tułów i chwiejnym krokiem ruszył ku grupce ludzi.

Zwierz pojawił się tak nieoczekiwanie, że poza Smugą i Tomkiem nikt więcej nie zdołał chwycić za broń. Nawet Masajowie porzucili karabiny, przyglądając się, jak bosman pakował samca do klatki. Wilmowski, Hunter i marynarz znajdowali się w tej chwili zaledwie o jakieś pięć metrów od atakującego goryla. Natychmiast zdali sobie sprawę z okropnej sytuacji. Wilmowski i Hunter przerazili się w pierwszej chwili, lecz nieustraszony bosman nie stracił zimnej krwi. Nie podnosząc się z kolan, wyszarpnął zza pasa ostry nóż; Postanowił chociaż na krótką chwilę zatrzymać rozdrażnione zwierzę i tym samym dać towarzyszom możność przygotowania się do obrony.

Małe gorylątko nieoczekiwanie przeraziło się straszliwego ryku obcego goryla. Niezgrabnym susem przeskoczyło przez ciało matki i rzuciło się w kierunku Tomka i Smugi. Goryl rycząc bez przerwy ruszył za maleństwem. Smuga uniósł karabin do ramienia, lecz nie odważył się pociągnąć za spust. Lewa ręka nieustraszonego podróżnika drżała, uniemożliwiając celny strzał. Twarz Smugi pokryła się bladością, a czoło zwilgotniało. Mimo to nie stracił zimnej krwi.

— Strzelaj, Tomku! Między ślepia! — krzyknął wysuwając się cokolwiek przed chłopca.

Była to już ostatnia chwila. Goryl sunął coraz bliżej. Krzyk Smugi ocalił życie trzem łowcom znajdującym się przy bezwładnej samicy. Podrażnione głosem ludzkim zwierzę jednym machnięciem długich, sękatych ramion odrzuciło na boki Wilmowskiego i Huntera, przetoczyło się po olbrzymim bosmanie, który klęcząc pchnął je nożem, i zaczęło biec ku chłopcu i Smudze. Tomek nie rozumiał, dlaczego Smuga opuścił broń nie nacisnąwszy spustu, lecz skoro polecono mu strzelać, błyskawicznie podniósł sztucer do ramienia. Jeszcze szybciej pomyślał, że wszyscy w tej chwili spoglądają na niego; mierząc krótko i pewnie między pałające ślepia bestii, nacisnął spust.

Rozległ się suchy strzał. Goryl stęknął przerażająco ludzko. Upadł twarzą naprzód. Olbrzymie cielsko przez kilka minut drgało konwulsyjnie.

Triumfalny krzyk Murzynów rozległ się w parowie i odbił o ścianę lasu donośnym echem. Wilmowski i Hunter, którzy nie ponieśli najmniejszego uszczerbku, poniewczasie chwycili za karabiny. Bosman dźwignął się ciężko; klnąc pod nosem zaczął rozcierać potłuczone ciało. Smuga blady jeszcze, lecz zupełnie spokojny, zbliżył się do

goryla. Końcem lufy uniósł jego łeb. Dokładnie między ślepiami widniał mały otwór po kuli sztucera.

Bosman przykuśtykał do zabitego zwierzęcia. Spokojnym głosem, jakby nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło, powiedział:

— Niech go kule biją, a to pioruński siłacz! Czy widzieliście, jak bez najmniejszego wysiłku przetoczył się przeze mnie? Mescherje i wy tam, reszta! Przewalcie go na grzbiet. Wyjmijcie mój nóż z jego piersi!

Wilmowski podszedł do syna i poklepał go po ramieniu bez słowa.

— Tomek i bosman uczynili wszystko, co było w ich mocy, aby nas ocalić. To bohaterowie dzisiejszego dnia — odezwał się Smuga. — Dziwisz się, Andrzeju, dlaczego sam nie strzeliłem do goryla?

— Od razu spostrzegłem, że dzieje się z tobą coś niezwykłego — cicho przyznał Wilmowski. — Gdy opuściłeś broń nie oddawszy strzału, bardziej się tym przeraziłem niż nieoczekiwanym atakiem bestii. Co ci się stało, Janie?

— Prześladuje mnie cień mściwego Castaneda — smutno uśmiechnął się Smuga. — Teraz nie mogę już taić przed wami, że co pewien czas odczuwam dziwny bezwład w lewej ręce. Drży ona wtedy, jakby mnie trzęsła febra. Ot, wszystko! Nie byłem pewny strzału, a chybienie niosło śmierć dla wielu z nas. Winszuję ci, Tomku.

— Masz szczęście, brachu! Mnie taka piękna sztuka nie nawinie się pod muszkę. No, ale że powodzenie sprzyjało kumplowi, to cieszę się, jakbym ja sam wyprawił gorylusa do Abrahama na piwo — wtrącił bosman.

— Nie narzekaj, bosmanie — poważnie powiedział Smuga. — Pierwszy i chyba ostatni raz w życiu miałem możność ujrzeć człowieka rzucającego się z nożem na goryla. Cenię ludzi, którzy nie znają uczucia strachu.

Bosman chrząknął zażenowany tak wielką pochwałą.

— Panowie, wpakujmy samicę do klatki, bo gotowa wytrzeźwieć, a wtedy trzeba będzie i ją zastrzelić — ponaglił Wilmowski.

Podczas gdy łowcy zamykali w klatce samicę, Tomek z Sambem odszukali gorylątko. Nie zważając na opór, wyciągnęli maleństwo z pobliskich krzewów.

— Wsadźcie je do klatki samicy — poradził Hunter. — Wkrótce uspokoi się i pocieszy. Prawdopodobnie wrzask tego pędraka ściągnął nam na kark trzeciego goryla. Zbierajmy się do powrotu, nic tu już po nas.

— Co zrobimy z zabitym gorylusem?

— Zabierzemy go również do obozu. To wspaniały okaz. Za skórę i kościec dobrze nam zapłacą — odparł Smuga.

O ile przedtem Murzyni drżeli na samą myśl o spotkaniu z leśnymi ludźmi, o tyle teraz krzyczeli głośno, tańcząc z radości. Natychmiast ucięli grubą gałąź, po czym bez obawy

związali zabitemu zwierzęciu ręce i nogi. Z kolei przesunęli drąg między skrępowanymi kończynami, aby w ten sposób mogli łatwiej dźwigać olbrzymi ciężar.

Powrotna droga do obozu trwała dość długo. Murzyni uginali się pod ciężarem niesionych zwierząt. Odpoczywali też co chwila, lecz byli rozradowani i nadzwyczaj gadatliwi. Bez przerwy chwalili siłę oraz odwagę bosmana, podziwiali zimną krew i celność strzału małego buany, a także cieszyli się na przyobiecaną przez Wilmowskiego ucztę.

Wieczorem dotarli do obozu. Wilmowski polecił ustawić klatki na łące nie opodal obozowiska. Otoczono je obszernym ogrodzeniem zbudowanym z gałęzi. Wewnątrz ogrodzenia Murzyni musieli wkopać małe drzewka, które doskonale ocieniały obydwie klatki. Trochę sarkali na tyle zbędnej, ich zdaniem, pracy, lecz Wilmowski był niewzruszony. Wiedział przecież, jak trudno jest przewieźć przez morze wrażliwe na niewolę goryle. Dlatego też cena za żywe okazy małp człekokształtnych była w Europie bardzo wysoka.

NAJNIŻSI LUDZIE ŚWIATA

Dopiero po czterech dniach rozdrażnione niewolą goryle uspokoiły się nieco. Z wyjątkiem Wilmowskiego i Santuru nikomu nie wolno było wchodzić w obręb ogrodzenia otaczającego klatki ze zwierzętami, które stopniowo należało przyzwyczajać do nowych warunków bytowania. Schwytanie całej rodziny małp człekokształtnych było nie lada sukcesem. Łowione dotąd przez niektórych podróżników pojedyncze okazy ginęły przeważnie w czasie podróży morskiej. Przyczyny szybkiego zdychania goryli w niewoli, zdaniem fachowców zatrudnionych u Hagenbecka, były raczej natury psychicznej niż fizycznej. Z tego też względu Wilmowski postanowił otoczyć specjalną opieką rodzinę goryli oraz stworzyć im w niewoli warunki jak najbardziej zbliżone do naturalnych.

Wilmowski nie miał słów uznania dla Santuru. Nikt tak jak łowczy królewski nie potrafił zdobywać zaufania zwierząt. Przede wszystkim zaczął przyzwyczajać małpy do swej obecności w pobliżu klatek. Przez pierwsze dwa dni dorosłe zwierzęta odmawiały przyjmowania pokarmu i napoju. Mniej wytrzymały okazał się mały gorylek. Rozstawienie grubych, żelaznych prętów w klatkach umożliwiało mu przebywanie z matką bądź ojcem, dopiero gdy ci nie byli go w stanie nakarmić, gorylątko zbliżyło się do cichego, łagodnego człowieka. Na to tylko czekał Santuru. Spokojnie podsunął gałąź oblepioną dzikimi brzoskwiniami. Maleństwo porwało jeden soczysty owoc, potem drugi, trzeci, a kiedy najadło się do syta, Santuru położył na ziemi naręcze gałęzi z owocami. Sprytne małpiątko ciągnęło po ziemi smakowite kąski i przenosiło je do klatki samicy, która z uporem odsuwała pokarm. Gdy jednak Santuru następnego dnia odwiedził małpy, nie zastał ani odrobiny pożywienia. Teraz codziennie znosił całe naręcza różnych gorylich smakołyków i kładł je tuż przy klatkach. Małpy zakończyły głodówkę.

Cierpliwość obydwóch łowców dawała dobre wyniki, lecz nie ulegało wątpliwości, że oswajanie zwierząt zajmie wiele czasu. Tymczasem podróżnicy pragnęli zakończyć

polowanie przed bliską już porą deszczową. Toteż Wilmowski wcale się nie zdziwił, gdy pewnego dnia Smuga powiedział mu:

— Twoja obecność w obozie jest niezbędna ze względu na goryle. Wobec tego mógłbym tymczasem wyruszyć na poszukiwanie okapi. Nasze zapasy żywności kurczą się gwałtownie. Wkrótce nie będziemy w stanie wyżywić w dżungli takiej gromady ludzi. Dla mniejszych grup łatwiej się znajdzie coś do jedzenia.

— Ile czasu chciałbyś poświęcić na poszukiwanie okapi? — zapytał Wilmowski.

— Przypuszczam, że oswojenie goryli zajmie ci około trzech, a może nawet czterech tygodni. Teraz za wszelką cenę musimy się starać dowieźć je żywe do Europy. Mógłbyś jednocześnie zapolować na szympansy, które spostrzegłem w rozpadlinach skalnych na południu. Tym samym zyskałbym od czterech do sześciu tygodni na wyprawę.

— Na wytropienie okapi warto poświęcić i więcej czasu. Uchodzi ono jeszcze za legendarne zwierzę. Wzbogacilibyśmy wiedzę o faunie afrykańskiej, a ponadto Anglicy ofiarowują poważną sumę za żywe bądź martwe zwierzę. Nie do pogardzenia jest taka gratka.

— Liczę się z tym. Obecna wyprawa pochłonęła wszystkie nasze oszczędności. Nie możemy dopuścić do tego, aby Tomek stracił swe pieniądze.

— Bądź spokojny, na pewno nie będzie miał do nas żalu. Kogo masz zamiar zabrać na poszukiwanie okapi?

Smuga przemyślał widocznie cały plan samodzielnej wyprawy, gdyż odparł bez wahania:

— Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to zabiorę ośmiu tragarzy, dwóch Masajów: Inusziego i Sekeletu oraz... Tomka i Dinga.

— Chcesz zabrać Tomka? — zdziwił się Wilmowski.

— Każdy człowiek ulega jakimś słabościom. Lubię twego syna, a ponadto wydaje mi się, że wszystko, czego on bardzo pragnie musi się spełnić. Powiesz na pewno, że jestem przesądny, ale... przeczucie mówi mi, iż z nim właśnie schwytam okapi.

Wilmowski ufał Smudze jak sobie samemu, lecz długo się wahał. Nikt nie mógł przewidzieć, na jakie trudności i niebezpieczeństwa będzie narażona w dziewiczej dżungli mała ekspedycja. Przecież lasy te zamieszkiwali dzicy Pigmejczycy, przed którymi Hunter dawno już ostrzegał. Smuga zauważył wahanie przyjaciela. Po chwili milczenia dodał cicho:

— Widzisz, Andrzeju, nie jestem teraz pewny strzału. Kto wie, czy nie zadrży mi ręka w decydującej chwili. Gdyby chodziło jedynie o starcie z krajowcami, nie brałbym tego pod uwagę. Wystarczyłaby mi prawa dłoń i rewolwer, gdyby jednak trzeba było strzelać do znikającego w gąszczu okapi, chciałbym, żeby strzał oddał Tomek. Twój chłopak strzela tak, jak ja strzelałem przed wypadkiem z Castanedem.

— Dziękuję ci serdecznie w imieniu Tomka i swoim własnym — odparł wzruszony Wilmowski. — Najlepsi strzelcy uznają w tobie mistrza!

— Tomek będzie mistrzem nad mistrzami, możesz mi wierzyć, jestem tego pewny.

— Prawdę mówiąc obawiam się trochę o Tomka. Moim zdaniem, jest za prędki do wszystkiego, lecz skoro ma iść z tobą, to niech idzie! Zabierz również bosmana Nowickiego. Ten poczciwy siłacz nie ulęknie się niczego ani nikogo. Kto wie, co może was spotkać w dżungli, a Murzyni zbyt są przesądni, aby można na nich całkowicie polegać.

— Nie chciałem cię pozbawiać pomocy bosmana, skoro jednak sądzisz, iż dasz tu sobie radę z Hunterem i dzielnym Mescherje, chętnie zabiorę go z sobą.

Radość Tomka nie miała granic, gdy się dowiedział, iż Smuga osobiście prosił o jego udział w niebezpiecznej ekspedycji. Bosman również był zadowolony, ponieważ nie lubił długo siedzieć na jednym miejscu i tęsknił już za nowymi przygodami. Teraz obydwaj przyjaciele ochoczo pomagali Smudze w przygotowaniach do wyprawy. Przede wszystkim wybrali trzy składane klatki, dwie duże sieci, lassa i rzemienie, które miał dźwigać jeden kłapouch. Drugi osioł został objuczony sprzętem obozowym. Na bagaż przeznaczony do niesienia przez tragarzy złożyły się zapasy żywności, sztuki perkalu, miedziany drut, szklane korale, sól, tytoń i wiele innych przedmiotów.

Wierny Sambo zmartwił się perspektywą rozstania z Tomkiem, pobiegł więc natychmiast do Wilmowskiego, by prosić o pozwolenie na wzięcie udziału w wyprawie. Łowcy lubili roztropnego Murzyna, toteż bez trudności uzyskał zgodę.

W przeciągu jednego dnia mała ekspedycja była gotowa do drogi. Energiczny Smuga już następnego ranka dał hasło do wymarszu. Karawana żegnana życzliwymi okrzykami opuściła obóz i wkrótce zniknęła w gąszczu dżungli.

Z wolna posuwano się przez spowitą wiecznym mrokiem plątaninę drzew i krzewów. Nieraz jakiś zwalony, butwiejący olbrzymi pień zagradzał drogę, czasem trzeba było omijać całe połacie leżącego pokotem lasu. Tomek słusznie odgadł, że tylko sama natura mogła dokonywać podobnych spustoszeń. Wierzchołki drzew były tak mocno splątane lianami, że jeden zwalony huraganem olbrzym pociągał za sobą kilka innych. Las padał, a na nim wyrastały nowe gąszcze, jeszcze bardziej powikłane i mroczne. Dżungla zazdrośnie strzegła swych naturalnych bogactw przed zachłannością człowieka. Nie tknięte przez nikogo rosły tu wspaniałe drzewa mahoniowe, różane i koralowe, nie brakło tam również palm kokosowych, drzew kauczukowych i bambusów.

Smuga nie zrażał się przeszkodami, wymijał zwalone pnie, przez mur pnączy polecił torować ścieżkę i parł naprzód. Moczary lustrował uważnym wzrokiem, a tam, gdzie wieczny mrok zawężał zbytnio pole widzenia, czujnie nasłuchiwał. Bezmierna dżungla pulsowała życiem. Miliardy owadów ściągały na żer różnorodne ptaki. W pobliżu dziko

rosnących brzoskwiń rozlegał się krzyk małp i papug, a nad polami pokrytymi bujnym, barwnym kwieciem unosiły się roje pszczół.

Pewnego dnia karawana zatrzymała się na krótki wypoczynek na małej polanie. Murzyni szybko rozpalili ognisko, aby ugotować kompot z dzikich brzoskwiń. W pewnej chwili Tomek spostrzegł zabawnego, małego ptaka. Otóż przypominający swym wyglądem wróbla ptaszek przelatywał z gałęzi na gałąź, odzywając się donośnym, dźwięcznym głosem. Chłopcu wydało się, że pragnie za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę. Ptak odlatywał stale w jednym kierunku, lecz powracał i nawoływaniem zdawał się wpraszać na przewodnika. Ubawiony Tomek obserwował jego dziwne zachowanie, przy czym przyjrzał mu się dokładnie. Ptak miał mocny dziób, krótkie nogi i ogon oraz długie skrzydła. Murzyni również zainteresowali się pierzastym natrętem. Tragarze ożywieni pokazywali sobie ptaka, nad czymś się naradzali, a Smuga odezwał się do chłopca:

— Widzę, że idzie ci ślina na plaster świeżego miodu.

— Wcale nie myślę o miodzie — zaoponował chłopiec. — Po prostu przyglądałem się temu zabawnemu ptakowi, który zachowuje się tak, jakby nas zachęcał, żeby za nim iść.

— Naprawdę nie znasz tego ptaka? — zdziwił się Smuga.

— Pierwszy raz zwróciłem na niego uwagę przed chwilą — powiedział Tomek.

— Wobec tego tym bardziej muszę pochwalić twą spostrzegawczość, gdyż ptak ów naprawdę zachęca nas do podebrania pszczołom miodu. To jest miodowód[57], odznaczający się szczególnym upodobaniem w doprowadzaniu ludzi do pszczelich uli.

— Jeżeli tak jest w rzeczywistości, to nad czym się zastanawiają nasi towarzysze? — zawołał Tomek. — Mam ogromną ochotę na plaster świeżego miodu!

— Murzyni naradzają się, gdyż nie są pewni, czy można tym razem zawierzyć miodowodowi. Widzisz, niektórzy krajowcy twierdzą, że ptak często zwodzi i zamiast do miodu, naprowadza ludzi na dzikie zwierzęta.

— Czy miodowody naprawdę wciągają ludzi w zasadzki?

— Należą one do najbardziej znanych ptaków Afryki. Poza tym dwa ich gatunki żyją w północno-wschodnich Indiach, mniej więcej na terytorium Sikkim, i na Borneo. Ptaki te przeważnie wiodą ludzi lub zwierzęta-miodojady do ula pszczół, lecz czasem prowadzą również do miejsc, w których znajduje się coś dla nich specjalnie interesującego.

— Zaryzykujmy tym razem — zaproponował chłopiec. — Nie mamy się przecież czego obawiać, a miód jest bardzo pożywny. Już mi obrzydły konserwy!

— Prawda, brachu, prawda! — przywtórzył bosman. — Murzyniaki we wszystkim upatrują niezwykłości, ale nie bój się, tylko idź naprzód, a ich straszydło okaże się po prostu omszałym pniakiem. Ciekaw jestem, co ptaszyskom przychodzi z tego, że

---

[57] ***Cuculus indicator.***

doprowadzają ludzi do ula pełnego miodu? Może należą one do jakiejś dobroczynności afrykańskiej?

Bosman zarechotał ze swego dowcipu, lecz Smuga odparł:

— Miodowody wiedzą, że po zniszczeniu gniazda przy podbieraniu miodu zawsze pozostanie tam dla nich jakiś smaczny plaster oraz larwy pszczół, którymi się chętnie żywią.

— Jeżeli tak, to idziemy za naszym miodowodem! — orzekł bosman. — Tomek, Sambo i kto tam potrafi podkurzać pszczoły, dalej, za mną!

Dwóch tragarzy natychmiast zgłosiło się na ochotnika. Od czasu obławy na goryle Murzyni bez namysłu gotowi zawsze byli towarzyszyć marynarzowi. Sambo zabrał duże naczynie na miód, a miodowód krzyczał radośnie, widząc, iż ludzie przyjęli wezwanie.

Ptak zachowywał się przyjacielsko i roztropnie. Odfruwał jedynie na taką odległość, by ludzie mogli za nim nadążyć, przysiadał na gałęziach krzycząc głośno, czasem pomknął jak strzała udowadniając, że doskonale zna drogę, lecz zaraz wracał i zachęcał do szybszego marszu. Wkrótce doprowadził podróżników do starego drzewa. Sambo wypatrzył dużą dziuplę, wokół której krążyły pszczoły.

Murzyni głośno chwalili zmyślnego ptaka i bez zwłoki nazbierali wilgotnych gałęzi. Płonący wiecheć wydzielał chmurę gryzącego dymu. Okazało się, że Sambo był zręcznym pszczelarzem. Z wielką wprawą odegnał pszczoły krążące wokół dziupli, po czym wydusił broniące się zaciekle w naturalnym ulu owady. Po półgodzinie napełnił duże naczynie plastrami wybornego, czerwonego miodu. Murzyni łakomie rzucili się na ociekające słodyczą plastry. Nie zwracali nawet uwagi, iż zawierały one sporo nieżywych pszczół, które zjadali razem z częścią wosku. Dziupla była tak obficie zaopatrzona, że nasi "pszczelarze" zabrali zaledwie część miodu. Ptak obserwował ich z gałęzi sąsiedniego drzewa. Gdy odchodzili, rozpoczął triumfalne trele. Potem pofrunął do dziupli, by wyprawić sobie wspaniałą, dobrze zasłużoną ucztę.

Wieczorem przy ognisku głównym tematem rozmów były najrozmaitsze przeżycia ludzi, którzy ulegli zwodniczym nawoływaniom miodowodów. Naraz w czarnej czeluści dżungli dało się słyszeć odległe dudnienie. Łowcy natychmiast zamilkli. Głos tam-tamów zwiastował obecność ludzi. Kim oni byli? Niespodziewane spotkania w dżungli zawsze napawały obydwie strony obawą. Może byli to zdradliwi Pigmejczycy Bambutte, a może ludożercy zwołujący się na wyprawę? Tak biali łowcy, jak i Murzyni stracili naraz ochotę do dalszej pogawędki. Była to noc pełna napięcia i oczekiwania. Szelest krzewów, trzask łamanej gałęzi bądź jakiś nieznany głos dochodzący z dżungli natychmiast podrywały łowców na nogi. W takich chwilach z dużą ulgą obserwowali Dinga, który leniwie unosił powieki i sennie spoglądał na czuwających ludzi. Po nie przespanej nocy ruszyli o świcie w drogę. Zwartym szykiem kroczyli przez gąszcz. Smuga z Dingiem znajdowali się na samym czele, podczas gdy Tomek i bosman ubezpieczali tyły. Bez

przeszkód przebyli około trzech kilometrów. Teraz weszli w naturalny szpaler utworzony przez leśne olbrzymy. Nagle Dingo okazał niepokój. W tej samej niemal chwili rozbrzmiał przeraźliwy krzyk. Gęste krzewy między drzewami rozchyliły się bezszelestnie. W półmroku zieleni ukazały się prawie nagie, brązowoczarne ciała afrykańskich karłów. Ich twarze o długich górnych wargach, spłaszczonych, wklęsłych, szerokich nosach pomalowane były białą i czerwoną farbą. Pigmejczycy trzymali w rękach napięte łuki. Groty strzał kierowali prosto w piersi podróżników.

Smuga powiedział kilka słów powitalnych. Postąpił krok ku karłom, lecz ostry krzyk Pigmejczyka o mocno pomarszczonej twarzy osadził go na miejscu. Ciasne koło półnagich ciał okrążyło karawanę. Groty strzał groziły ze wszystkich stron.

Tomek i bosman stali ramię przy ramieniu z karabinami gotowymi do strzału, lecz wszyscy zdawali sobie sprawę, że nawet broń palna nie uratuje ich przed zatrutymi strzałami. Coraz więcej Pigmejczyków wychylało się z zarośli. Dingo zjeżył sierść, wyszczerzył kły, ale Smuga trzymał go krótko na smyczy.

— Rozpędziłbym tych pędraków, ale te ich patyki mogą być zatrute — gniewnie syknął bosman.

Jakby w odpowiedzi Pigmejczycy znów mocniej napięli cięciwy łuków. Drugi szereg małych wojowników dżungli pochylił dzidy. Sytuacja stawała się coraz groźniejsza. Obydwie strony mierzyły się nieufnym wzrokiem.

— Siadajcie wszyscy na ziemi — głośno rozkazał Smuga i pierwszy usiadł na podwiniętych nogach.

Tragarze powoli złożyli bagaże. Przykucnęli błyskając niespokojnie oczyma. Tymczasem Smuga, jakby nie widział wymierzonych w siebie strzał, spokojnie wydobył z kieszeni fajkę, nabił ją tytoniem i włożył do ust. Teraz z nieprzemakalnego woreczka wyjął pudełko zapałek. Na widok płonącej zapałki wśród Pigmejczyków rozległ się szmer podziwu. Twarze ich straciły dziki, groźny wyraz. Z ciekawością ludzi pierwotnych obserwowali każdy ruch białego łowcy.

— Inuszi, podaj mi woreczki z solą i tytoniem — polecił Smuga.

Olbrzymi Masaj podniósł się z ziemi. Pigmejczycy natychmiast zacieśnili krąg, lecz jakby zapomnieli o trzymanych w rękach łukach. Zaciekawieni wspinali się na palce, aby lepiej widzieć każdy ruch Inusziego. Nie czynili też wrogich gestów, gdy zbliżył się do Smugi z żądanymi przez niego dwoma woreczkami. Smuga wyjął z kieszeni notes, wydarł z niego dwie kartki. Na jedną nasypał trochę soli, a na drugą tytoniu. Obydwa papierki położył przed sobą. Teraz ręką wykonał zapraszający ruch w kierunku starego Pigmejczyka.

Karzeł ani drgnął. Smuga spokojnie pykał fajeczkę, spod oka zerkając na Pigmejczyków. W końcu stary Bambutte, nie opuszczając napiętego łuku, krok za krokiem zbliżył się do Smugi. Była to denerwująca chwila. Łowcy odetchnęli! Staruch

przykucnął i odłożył broń. Najpierw podniósł papierek z tytoniem. Powąchał, kiwnął wełnistą głową, po czym polizał palec, dotknął nim soli i włożył do ust. Próba musiała wypaść zadowalająco, ponieważ zaraz posypał tytoń solą i razem z papierkiem wepchnął do ust. Widocznie był to nie lada przysmak. Na jego twarzy pojawił się przyjazny uśmiech. Pełnymi ustami zagadał coś do swych towarzyszy. Ci natychmiast zdjęli strzały z cięciw łuków. Zbliżali się do Smugi, który podniósł się i każdemu sypał do garści trochę soli i tytoniu. Prawdopodobnie uważali papier za nie znany sobie smakołyk, gdyż jeden z Pigmejczyków pokazał na migi kieszeń mieszczącą notes. Smuga z największą powagą wydobył go i każdemu Pigmejczykowi wręczył po jednej kartce. Pierwsze lody zostały przełamane. Dla zacieśnienia więzów przyjaźni Smuga ofiarował Pigmejczykom po sznurku szklanych korali. Teraz nabrali zaufania do dziwnego człowieka o białej skórze. Niektórzy pocierali twarz podróżnika dłonią, aby sprawdzić czy się przypadkiem nie pomalował białą farbą. Byli zdumieni, gdy ręce ich pozostały nie "zbrudzone".

— Oni chyba po raz pierwszy ujrzeli białych ludzi — odezwał się Tomek ośmielony pokojowym zachowaniem karłów.

Pigmejczycy głośno wymieniali różne uwagi, które rozbawiły tak Murzynów, jak i Smugę rozumiejącego narzecze Bantu. Jeden karzeł przystąpił do Tomka i w wielkim skupieniu zaczął opukiwać sztucer.

— Kropnij, brachu, na wiwat — mruknął bosman. — Niech się ucieszą pędraki!

Tomek bez słowa odsunął Pigmejczyka. Przyłożył broń do ramienia i wypalił w górę. Pigmejczycy, jak rażeni gromem, padli twarzami na ziemię. Powstali dopiero po długich namowach, odsuwali się jednak od "kija wydającego grzmoty".

Smuga wyjaśnił Pigmejczykom, że wraz z towarzyszami łowi różne dzikie zwierzęta, a najmniejsi ludzie świata oświadczyli, iż zdążają do sąsiedniego plemienia na ucztę. Powiadomiono ich za pomocą tam-tamów o szczęśliwym zakończeniu polowania na słonia, spieszyli więc, by wziąć udział w uroczystej uczcie.

Smuga przetłumaczył Tomkowi i bosmanowi słowa Pigmejczyków.

— Dworują sobie z nas te pędraki! Na sam widok słonia rzuciliby swoje patyki i drałowali gdzie pieprz rośnie! — zawołał rozgniewany marynarz.

— To po jakie licho siadałeś, bosmanie, przed nimi na ziemi? — roześmiał się Smuga. — Możesz być pewny, że jedna zatruta strzała powali największego słonia, a poza tym nie posądzaj tych ludzi o brak odwagi.

Pigmejczycy z niezwykłym zainteresowaniem przyglądali się podróżnikom, którzy, ich zdaniem, nosili bardzo śmieszne ubrania i posiadali tyle niezwykłych przedmiotów. Po krótkiej naradzie ze swymi wojownikami stary dowódca Pigmejczyków zaproponował łowcom, aby się wspólnie udali na ucztę do sąsiedniego plemienia. Solennie zapewnił, że będą gościnnie przyjęci.

Smuga bez namysłu przyjął zaproszenie. Spodziewał się, że od pierwotnych mieszkańców dżungli najprędzej będzie mógł zasięgnąć bliższych informacji o okapi.

Pigmejczycy okazali się wspaniałymi przewodnikami. Znali ukryte w gąszczu ścieżki, jak i przejścia przez moczary, a niedostępna oraz groźna dla innych dżungla otwierała przed nimi swe mroczne, tajemnicze podwoje.

Bugandczycy jakby zapomnieli o uprzednich obawach; śmiali się głośno i dyskutowali. Zaprzyjaźnienie się z Pigmejczykami gwarantowało karawanie bezpieczeństwo. Wspólna wędrówka umożliwiała łowcom przyjrzenie się najniższym ludziom świata. Tomek bez przerwy zerkał na nich spod oka.

Przede wszystkim zwracała uwagę nienormalna budowa ciała Pigmejczyków. Wzrost najwyższego nie przekraczał metra i trzydziestu centymetrów. Mieli długie tułowia, krótkie szyje i duże, okrągłe głowy. Chód krótkich nóg był jakby kaczkowaty, lecz za to biegali wspaniale, a wspinali się jak koty, posługując się przy tym nieproporcjonalnie długimi rękami. Jedyne ich odzienie stanowiły pęczki trawy zwisające pod wydętymi brzuchami na sznurku sporządzonym z lian. Włosy na głowie, gęsto i krótko skręcone tak jak puszek pokrywający ciało, miały rdzawy kolor. Jedynie zarost na twarzy był szczecinowaty i czarny. Szczególnie dzikiego wyglądu nadawały im ostro opiłowane przednie zęby. Wyraz ich twarzy zmieniał się bardzo często; gdy mówili, poruszali jednocześnie całą twarzą, głową, rękami i nogami. Skóra Pigmejczyków wydzielała specyficzny, inny niż u Murzynów, zapach.

Długi i szybki marsz przez dżunglę zmęczył tragarzy, odetchnęli więc z prawdziwą ulgą, gdy w mrocznym gąszczu, blisko, odezwało się dudnienie bębnów. Byli u celu.

NA TROPIE OKAPI

— Panie bosmanie, wioska Pigmejczyków jest już pewnie niedaleko, skoro tak wyraźnie słychać tam-tamy — zagadnął Tomek, ocierając chustką zroszone potem czoło.

— Kto ich tam wie? Widocznie dla Bambutte wszystko jest blisko — burknął bosman, sapiąc jak miech kowalski. — Od samego rana karzełki zapewniają, że zaraz będziemy na miejscu. Tymczasem już południe, a my bez przerwy drałujemy po lesie. Taki murzyński mikrus toczy swoje brzuszysko prawie po ziemi, to i nie zmęczy się zbytnio. Co innego jednak, gdy człowiek o przepisowym wzroście musi udawać gazelę!

— Niech się pan nie denerwuje. Jestem przekonany, że już wkrótce ujrzymy wioskę — uspokajał Tomek swego druha. — Ciekawe, co też oznacza to bicie w bębny?

— Co ma oznaczać? Mikrusy zwołują się na wyżerkę, ot i wszystko! Dla nich zabity słoń to jak ziarno dla ślepej kury!

Niebawem rozjaśnił się leśny półmrok. Przednia straż Pigmejczyków krzyknęła donośnie. Ścieżyna kończyła się na sporej polanie, na której wśród kęp drzew widać było kilkanaście nędznych szałasów. Gromada mieszkańców wioszczyny wybiegła na spotkanie gości, lecz zaraz przystanęła niezdecydowanie, gdy za Bambutte wyłoniła się z gąszczu karawana. Biali łowcy również zatrzymali się w połowie drogi. Tymczasem obydwie grupy Pigmejczyków udzielały sobie wyjaśnień. Pośrednictwo przypadkowych przewodników musiało wypaść jak najlepiej, ponieważ wojownicy pigmejscy gromadnie zbliżyli się do łowców. Pokazywali sobie białych ludzi wydając okrzyki zdumienia. W pierwszej chwili kobiety chwyciły dzieci na ręce i biegły skryć się w gąszczu, lecz gdy naczelnik wioski poprowadził karawanę na środek polany i zezwolił na rozłożenie obozu, zjawiły się z powrotem.

Tragarze złożyli pakunki, zdjęli juki z osłów, a następnie zaczęli rozkładać obóz. Łowcy rozpięli dla siebie mały namiot, natomiast Murzyni wybudowali szałasy, po czym ogrodzili całe obozowisko. Była to konieczna ostrożność, ponieważ Pigmejczycy niemal nie przywiązywali znaczenia do prawa własności i bez złej intencji mogli narobić wiele szkoły. Aby odwrócić uwagę Bambutte od obozu, Smuga rozdał im podarki. Łowcy

przeżyli wiele wesołych chwil obserwując dorosłych Pigmejczyków, którzy z największą powagą czynili przekomiczne grymasy, przeglądając się w ofiarowanych im małych lusterkach. Wśród upominków znalazły się też szklane korale, scyzoryki, tytoń i największy przysmak — sól. Naczelnik wioski otrzymał dodatkowo pudełko zapałek, co wprawiło go w szczególny zachwyt. Ciekawie oglądał niezwykły upominek, nie odkładając z rąk długiej fajki, która podobna była do kawałka grubej gałęzi. Smuga podsunął mu zapaloną zapałkę; tymczasem Pigmejczyk porwał z ogniska węgielek, wcisnął go do fajki, po czym pospiesznie wziął zapałkę z rąk podróżnika i trzymał, dopóki sama nie zgasła parząc mu palce. W ten sam sposób wypalił jedną po drugiej kilka zapałek, a następnie zadowolony niezmiernie schował do ust pudełko wraz z zawartością. Tomek obawiał się, że karzeł chce je połknąć, ale Smuga wyjaśnił mu, że prymitywni ludzie, nie zmuszeni warunkami do noszenia ubrań, w ten sposób zwykli przechowywać różne przedmioty.

Pigmejczycy, zachwyceni niezwykłymi podarunkami, stali się nadzwyczaj przyjaźni. Nie czynili łowcom przeszkód w rozglądaniu się po osadzie. Tomek nie mógł się nadziwić ich bardzo skromnemu życiu. Chatynki, uplecione z gałęzi i dużych liści, nie sięgały nawet wysokości dorosłego człowieka. Niemal zupełnie nie widziało się tu naczyń. Pokarm Pigmejczyków stanowiły dzikie brzoskwinie, jagody, banany, korzenie roślin, wiele gatunków jadalnych liści, grzyby, miód, słowem to, co można znaleźć w dżungli. Mięso było szczególnie upragnionym dla nich pokarmem.

Pigmejscy myśliwi, uzbrojeni w łuki i zatrute strzały, zapuszczali się daleko w lasy, by polować na małpy, ptaki lub węże. Czasem odważniejsi łowcy zabijali wielkiego słonia. Wtedy uszczęśliwione plemię wyprawiało wspaniałą ucztę, na którą zazwyczaj zapraszano sąsiadów. Na taką właśnie uroczystą chwilę trafili nasi podróżnicy.

Zaledwie Pigmejczycy zaspokoili pierwszą ciekawość spowodowaną przybyciem dziwnych, białych ludzi, natychmiast przypomnieli sobie o czekającym ich zadaniu. Bohaterami dnia byli dwaj nieustraszeni łowcy słoni. Ostatnie ich polowanie miało nadzwyczaj pomyślny przebieg, na dowód czego przynieśli do wioski jako trofeum myśliwskie odciętą trąbę słonia. Ten zaszczytny i nadzwyczaj smaczny kąsek natychmiast spożyli w gronie wodza oraz najodważniejszych wojowników. Teraz zaś, po przybyciu zaprzyjaźnionych sąsiadów, Pigmejczycy wraz ze swym skromnym dobytkiem mieli przenieść się tam, gdzie leżała olbrzymia "góra" świeżego mięsa.

Biali łowcy ruszyli razem z Pigmejczykami. Przebywając z nimi dłużej najłatwiej mogli sobie zaskarbić ich zaufanie. Przeprawa przez dżunglę ułatwiała nawiązywanie przyjaźni. Toteż Smuga skwapliwie korzystał z okazji, by dowiedzieć się czegoś o zwyczajach leśnych karłów. Wiedział już przedtem, że Pigmejczycy otaczają największą tajemnicą polowanie na słonie, które przy prymitywnym uzbrojeniu było udokumentowaniem zręczności i odwagi. Najdrobniejsza nieostrożność myśliwego lub

nie przewidziany przez niego odruch potężnego zwierzęcia oznaczały śmierć. Aby poznać pigmejski sposób polowania na słonie, Smuga ofiarował dary naczelnikowi plemienia i obu odważnym myśliwym. Dzięki temu Mtoto uchylił mu rąbka tajemnicy.

Myśliwi udający się na polowanie na słonie żegnani są przez całe plemię uroczystościami z tańcami i śpiewem. Podczas polowania żywią się jedynie tym, co znajdą w lesie.

Pierwszą czynnością jest wytropienie w gąszczu samotnego zwierzęcia, ponieważ najmniejsi ludzie świat, uzbrojeni jedynie w krótkie, ostre dzidy, nie mogą się pokusić o zaatakowanie całego stada. Z kolei tak długo podążają śladem słonia, aż ułoży się on na ziemi do snu. Wtedy pozostaje im do wykonania najtrudniejsza i najbardziej niebezpieczna część zadania. Jeden z myśliwych musi się niepostrzeżenie podkraść do śpiącego olbrzyma, by ostrym jak brzytwa końcem dzidy przeciąć mu żyłę na tylnej nodze pod kolanem. Okaleczone zwierzę, nie mogąc skutecznie atakować swoich prześladowców, usiłuje zazwyczaj przed nimi uciec. Jeżeli słoń mimo rany atakuje, to drugi myśliwy ściąga na siebie jego uwagę. Kiedy w końcu zwierzę wyczerpane ucieczką i upływem krwi słabnie, odważny łowca podcina mu żyłę na drugiej nodze. Słoń pada obezwładniony. Myśliwi odrzynają mu trąbę, co ostatecznie przyspiesza upływ krwi i powoduje śmierć.

Na polowanie drugim sposobem Pigmejczycy uzbrajają się w dzidy o długich drzewcach zakończonych ostrzem w rodzaju harpuna. Myśliwi wbijają dzidę w brzuch śpiącego słonia. Pod wpływem bólu zwierzę zrywa się do ucieczki. Wtedy dzida, tkwiąca harpunowatym ostrzem we wnętrznościach, uderza o ziemię, drzewa i krzewy i wbija się coraz głębiej. Polowanie takie trwa dłużej, gdyż słoń ucieka, dopóki ból i upływ krwi nie obezwładnią go całkowicie.

Tyle opowiedział Mtoto. Smuga wyjaśnił swym przyjaciołom, iż słyszał o jeszcze innym sposobie łowów, a mianowicie o strzelaniu do słoni z łuków zatrutymi strzałami. Po trafieniu słonia strzałą Pigmejczycy podążają jego śladem i czekają, aż padnie martwy wskutek niezawodnego działania trucizny.

— To mi bardziej pasuje do tych mikrusów — orzekł bosman Nowicki, który nie mógł jakoś uwierzyć, by Pigmejczycy wyruszali na takie polowanie uzbrojeni jedynie w dzidy.

Wkrótce jednak łowcy ku swemu zdumieniu stwierdzili, że Mtoto powiedział prawdę. Zabity słoń miał przecięte żyły i ścięgna pod kolanami obu tylnych nóg. Pozbawiony był również trąby, którą myśliwi zabrali od razu jako trofeum.

Gromada karłów przystąpiła do ćwiartowania słonia. Przede wszystkim wykroili długie, białe kły, z których każdy ważył ponad dwadzieścia pięć kilogramów. Zgodnie ze zwyczajem miał je otrzymać naczelnik plemienia. Potem odrąbali nogi zwierzęcia i cięli

cały tułów na spore kawały. Dopiero po dokonaniu tego przystąpili do budowania szałasów. Biali łowcy rozłożyli się obozem w pobliżu pigmejskiego koczowiska.

Następnego dnia przygotowano ucztę. Miała ona trwać tak długo, póki cały zapas mięsa nie zostanie zjedzony. Mali ludzie i jeszcze mniejsza dzieciarnia napełniali osadę wesołym gwarem. Nie codziennie przecież udawało im się najeść do syta. Z całego plemienia zaledwie dwaj myśliwi mieli odwagę polować na słonie, a nie każda ryzykowna wyprawa kończyła się pomyślnie.

Tomek zachęcony przez Smugę uważnie obserwował afrykańskich karłów. Teraz się dopiero przekonał, że wbrew powszechnemu mniemaniu Murzyni nie wiodą w dżungli beztroskiego życia. Większość żyła w najprymitywniejszych warunkach, a głód i niedostatek były ich codziennymi towarzyszami. Tomek zwrócił również uwagę na stosunek dorosłych do dzieci. Maleństwa były otaczane troskliwą opieką nie tylko własnych rodziców, lecz wszystkich członków plemienia. O ile w wioskach murzyńskich spotykało się na ogół mało dzieci, u Pigmejczyków roiło się od nich. Naśladując dorosłych, pigmejscy chłopcy przysiadali na kamieniach bądź zwalonych pniach. Dziewczynki, jak kobiety, siadały wprost na ziemi, wyciągając nogi.

Podróżnicy skracali sobie czas ciekawymi rozmowami na temat najniższych ludzi świata, a tymczasem nad ogniskami rumieniły się bryły mięsa. Gospodarze ofiarowali białym łowcom jedną nogę zabitego zwierzęcia. Smuga przyjął ten podarunek, a swoim wyjaśnił, że uważa to za gest przyjaźni ze strony Pigmejczyków.

Wkrótce rozpoczęła się oryginalna uczta pod gołym niebem. Pigmejczycy i Bugandczycy obsiedli kołem dymiące połcie pieczeni, która znikała w ich przepastnych brzuchach z nieprawdopodobną szybkością. Jednocześnie raczyli się dzikimi owocami oraz jadalnymi roślinami i korzeniami.

Tomek z przerażeniem spoglądał na pęczniejącego Samba. W końcu zaniepokojony zawołał:

— Sambo, jesteś już tak gruby, że brzuch ci pęknie za chwilę! Przestań pchać w siebie takie fury jedzenia, bo słabo mi się robi, gdy na ciebie patrzę.

— Nie bój się, potężny biały buana — odparł Murzyn. — Sambo kocha jeść, a dobre mięso kocha Samba! Ty tylko zamknij oczy i nie patrz, a wszystko będzie dobrze.

Ucztujący stawali się coraz bardziej ociężali. Naraz zadudniły bębny "ngoma". Rozpoczęły się tańce przeplatane śpiewem.

Zaimprowizowany przez Pigmejczyków taniec przedstawiał łowy na słonia. Jedni tancerze napinali łuki, inni potrząsali krótkimi, ostrymi dzidami bądź harpunami, a Mtoto, jako główny bohater dnia, skradał się niczym lampart, zadawał zdradliwe ciosy wyimaginowanemu słoniowi, unikał groźnych uderzeń jego trąby i kłów, aż ostatecznie zwyciężył olbrzymie zwierzę. Tomek i towarzysze z zainteresowaniem oglądali ciekawe widowisko.

Ta niezwykle oryginalna pantomima kończyła się wręczeniem kłów zabitego słonia naczelnikowi. Stary Pigmejczyk, zadowolony ogromnie z darów otrzymanych od białych ludzi, ofiarował Smudze jeden ciężki kieł. Smuga dziękował naczelnikowi, lecz równocześnie niemal nie odrywał wzroku od nóg czarownika. Uwagę jego przykuły nałożone ponad kostkami opaski, wykonane z brązowej skóry o czarnych i jaskrawo białych pręgach ułożonych w oryginalne desenie.

Bosman miał właśnie zamiar odnieść cenny dar do namiotu, ale w tej chwili Smuga zbliżył się do czarownika.

— Jak się nazywa zwierzę, z którego masz zrobione opaski na nogach? — zapytał.

Czarownik z wielkim upodobaniem spojrzał na skórzane ozdoby i odparł:

— Okapi...

Tomek i bosman krzyknęli zdumieni. Smuga gestem nakazał im milczenie i powiedział:

— Słyszałem o takim zwierzęciu. Czy to prawda, że żyje ono w dżungli?

— Ono żyje tam, gdzie bagno i gąszcz — wyjaśnił czarownik. — Dobre mięso, dobra skóra.

— Chciałbym schwytać okapi. Czy mógłbyś, wielki czarowniku, powiedzieć, gdzie można je znaleźć? — zapytał Smuga.

— To trudne. Okapi jest mądry. Wie, że człowiek boi się bagna. Okapi tam siedzi i dobrze chowa swoje dobre mięso i skórę. Idź, buana, dwa księżyce tam — odpowiedział czarownik wskazując na zachód.— Trafisz na bardzo wielkie bagno. Tam szukaj, a może znajdziesz.

Po długim wahaniu czarownik odstąpił Smudze jedną skórzaną opaskę w zamian za nóż myśliwski i trzy garście soli.

— Ciekawe, co by Hunter powiedział, gdyby usłyszał czarownika mówiącego z najobojętniejszą miną o legendarnym jakoby okapi? — rzekł Smuga, gdy tylko znalazł się z towarzyszami w namiocie.

— Teraz nie możemy już wątpić w istnienie dziwnego zwierzęcia — zawołał Tomek. — Ze słów czarownika wynika, że jadł nawet jego mięso.

— Ani chybi, że te żarłoki muszą znać każde zwierzę żyjące w dżungli, które nadaje się do zjedzenia — potwierdził bosman. — No, no, trzeba przyznać, że miałeś nosa zwracając uwagę na te skórzane opaski. Mnie by to nie przyszło do głowy.

— Oryginalny deseń pokrywający skórę rzucił mi się w oczy — odparł Smuga przyglądając się opasce. — Wspomniałem wam już kiedyś, że o okapi mówił mi ktoś w Szwajcarii. Był to Stanley, który od Murzynów zamieszkujących dżunglę Konga dowiedział się o istnieniu tego zwierzęcia. Stanley wspominał mi, że okapi ma na nogach pręgowaną skórę. Dlatego też od razu zwróciłem uwagę na opaski u nóg czarownika.

— Powiedział, że o dwa dni drogi stąd mają się znajdować bagniste okolice, w których można napotkać okapi. Kiedy wyruszamy w drogę? — gorączkował się Tomek.

— Jutro skoro świt zwijamy obóz — odparł Smuga.

— Dobra nasza, ale łyknijmy rumu za pomyślność wyprawy — zaproponował bosman wyciągając manierkę.

— Po raz pierwszy trafiliśmy na prawdziwy ślad tego legendarnego zwierzęcia. Warto uczcić to wydarzenie — zgodził się Smuga.

ŻELAZNE PAZURY

Mijał trzeci tydzień od chwili opuszczenia osiedla Bambutte. Nasi łowcy rozłożyli się obozem na małym wzniesieniu w pobliżu pokrytej bagnami dżungli. W okolicy tej, według zapewnień starego czarownika pigmejskiego, miały przebywać okapi. Smuga przekonał się wkrótce, że bagnista dżungla absolutnie nie nadaje się do przeprowadzenia łowów na większą skalę. Grząska ziemia usuwała się spod nóg, a głębokie bajora stanowiły zdradliwe pułapki. Nieuchronna, straszna śmierć groziła człowiekowi, który by się nieopatrznie zapuścił w rozległe, przepastne błota.

Smuga nie zraził się nieprzystępnością okolicy. Natychmiast też podjął małe rekonesansowe wypady na obszar topieliska porosłego dżunglą. Oczywiście nie mógł zabierać z sobą jednocześnie Tomka i bosmana. Jeden z nich, oprócz Murzynów, musiał czuwać nad obozem. Z tego też powodu Tomek lub bosman na zmianę towarzyszyli Smudze podczas poszukiwań okapi. Jedynie Dingo brał udział w każdej wyprawie.

Od czterech dni Tomek był niepodzielnym panem obozu. Smuga w towarzystwie bosmana oraz dwóch Bugandczyków i jednego Masaja udali się w odległe, zachodnie okolice dżungli. Tomek nie spodziewał się rychłego powrotu towarzyszy. Żywe usposobienie nie pozwoliło mu na bezczynność, toteż już po dwóch dniach zaczął przemyśliwać, jak by sobie urozmaicić przymusowy pobyt w obozie.

O niecały kilometr na północ rozpoczynał się szeroki pas sawanny. Tomek miał ogromną ochotę wyprawić się tam na polowanie. Zapasy żywności kurczyły się w przerażający sposób, lecz Smuga kategorycznie zabronił mu oddalać się zbytnio od obozu. Tymczasem Inuszi odkrył nie opodal ślady słoni, znalazł legowisko nosorożca, a w końcu zwrócił uwagę Tomka na małpy koczujące na skraju dżungli.

— Gdzie są małpy, tam mogą być też lamparty. Duży biały buana chciał lamparty — kusił Inuszi.

Tomek mężnie nie ulegał ponętnym podszeptom, lecz przy wieczornym ognisku z uwagą przysłuchiwał się rozmowom Murzynów.

— Bambutte to mądrzy i odważni ludzie — chwalił jakiś Bugandczyk. — Taki mały człowiek, a nie boi się nawet wielkiego słonia.

— Szkoda, że Mtoto nie przyszedł tu z nami. Nie bylibyśmy głodni — dodał inny.

— Duży biały buana szuka dziwnych zwierząt w błotach, a nie dba o jedzenie — mruknął któryś.

— Duży biały buana to wielki myśliwy, ale mały biały buana jest jeszcze większy. Kto zabił soko? — zacietrzewił się Sambo. — Jak mały buana zechce, to będziemy mieć całe góry mięsa.

Tomek z serdecznością spojrzał na Samba, który poniesiony zapałem zaczął opowiadać, ilu to wielkich i niezwykłych czynów dokonał mały biały buana. Murzyni co chwila wołali z podziwem: "Ho, ho!" lub "O, matko, czy to możliwe?"

Tomek, opędzając się od chmar owadów, kraśniał z dumy. Czuły na pochlebstwa, uwierzył, że nie ma dla niego niemożliwych do wykonania przedsięwzięć.

Inuszi uważał Masajów za wyższą kastę ludzi. Na ogół nie mieszał się do ogólnych rozmów tragarzy, mimo że nudził się ogromnie. Toteż gdy Sambo zamilkł na chwilę, opowiedział, jak to mały buana wywiódł w pole ich czarownika zabawną sztuczką z monetą, którą wyjął z jego ucha.

Bugandczycy aż pokładali się ze śmiechu i prosili Tomka, aby zademonstrował im swe umiejętności. Chłopiec nie dał się wiele prosić. Przy ognisku rozbrzmiały śmiechy i pochwały.

Murzyni wołali:

— O, matko! To naprawdę wielki czarownik!

— Ho, ho, jak tylko zechce, to schwyta okapi!

— Zabił soko jak małą muchę, żaden zwierz mu nie umknie!

— Na pewno da nam jeść!

— Duży biały buana kazał nam słuchać małego buany. Będziemy polować, jak mały buana chce — zapewnił Sambo.

— Lamparty są w pobliżu. Wykopiemy duży dół, przykryjemy go gałęziami, a u góry nad pułapką powiesimy kawał mięsa. Lamparty wpadną w dół, a my zamkniemy je w klatce — podszepnął Inuszi.

Tomek wahał się jeszcze, chociaż perspektywa samodzielnych łowów nęciła go coraz bardziej. Postanowił spokojnie przemyśleć całą sprawę. Udał się do namiotu na spoczynek, polecając Inusziemu, aby jak zwykle wyznaczył Murzynom kolejność nocnego czuwania.

Tomek długo nie mógł zasnąć. Rozmyślał o Smudze i bosmanie, którzy w tej chwili spali zapewne gdzieś na moczarach w nędznym szałasie. Ciekaw był, czy uda im się wytropić okapi. Obliczał, ile to pieniędzy otrzymaliby za nieznane zwierzę. Stawał się coraz bardziej senny i już przymknął oczy, gdy Sambo wsunął się do namiotu.

— Buana, buana! Czy słyszysz? — szepnął.

Tomek natychmiast zapomniał o śnie. Usiadł na posłaniu. W spowitej ciemnością nocy dżungli rozmawiały tam-tamy. Zerwał się i wybiegł przed namiot. Odległe, ciche dudnienie płynęło gdzieś z północy. Więc Smuga mylił się, twierdząc, że okolica była całkowicie bezludna!

Prawdopodobnie ambitny i czuły na pochwały, lecz rozsądny chłopiec nie zdecydowałby się opuścić obozu, gdyby chodziło jedynie o szukanie rozrywki. Miał zbyt wiele doświadczenia, aby nie docenić niebezpieczeństw grożących w dżungli. Teraz jednak sytuacja zupełnie się zmieniła. Smuga był przekonany, że w pobliżu nie ma siedzib ludzkich. Skoro okazało się inaczej, należało się jak najszybciej upewnić, czy nic nie grozi obozowi.

Olbrzymi Masaj, Inuszi, cicho zbliżył się do Tomka i szepnął:

— Tam-tamy mówią, buana. One daleko, ale lepiej w nocy palić małe ognisko.

— Masz rację, Inuszi. Tam-tamy grają gdzieś na północy. Głos leci po stepie na znaczną odległość. Myślę, że teraz musimy się rozejrzeć po okolicy.

— Dobrze mówisz, buana — przytaknął Masaj.

— Weźmiemy trzech ludzi i sprawdzimy, czy nie grozi nam jakie niebezpieczeństwo.

— Dobrze, buana, tak zrobimy. Teraz, buana, idź spać, a Inuszi będzie czuwał.

— Zgoda. O świcie urządzimy małą wyprawę na północ — zakończył Tomek.

Zadowolony z siebie powrócił do namiotu. Teraz nikt nie mógł mu zarzucić, że lekkomyślnie złamał rozkaz Smugi.

Krzykliwa kłótnia małp i wrzask papug wyrwały Tomka z głębokiego snu. Przyzwyczajony do niebezpieczeństw chłopiec zaledwie otworzył oczy, natychmiast rozejrzał się czujnym wzrokiem dokoła. Przez tkaninę namiotu przesączało się światło dzienne. Sambo chrapał jeszcze w najlepsze. Tomek mocno potrząsnął go za ramię i polecił: — Przygotuj śniadanie, Sambo. Zaraz wyruszamy na zwiady.

— Szkoda, buana, że tak prędko przebudziłeś Samba. Śnił mi się Mtoto i wielki, wielki słoń. Mtoto zabił słonia i dał Sambowi mnóstwo jedzenia — markotnie powiedział Murzyn.

— Nie martw się. Sambo. Może napotkamy po drodze jakąś zwierzynę — pocieszył go Tomek.

Sambo zaraz się rozchmurzył i wybiegł z namiotu. Tymczasem Tomek zaczął się przygotowywać do wyprawy. Wybrał kilka długich, mocnych rzemieni oraz lasso, przeczyścił i nabił broń, po czym udał się na posiłek. Czarna kawa i trochę konserw zaspokoiły jego pierwszy głód, lecz Murzyni upominali się o zwiększone racje. Tomek obiecał, że podczas wyprawy postara się upolować jakieś zwierzę.

Inuszi wybrał trzech rosłych tragarzy, polecił im zabrać broń. Tomek wytłumaczył Bugandczykom, jak mają się zachowywać w obozie podczas jego nieobecności.

Poprzedzany przez uzbrojonego w karabin Inusziego ruszył na północ ku sawannie. Trzeba przyznać, że chociaż duma rozpierała ambitnego chłopca, nie zaniedbywał ostrożności. Nie polegał na Inuszim ani towarzyszących im trzech Bugandczykach. Co kilkadziesiąt kroków pozostawiał dobrze widoczne znaki na drzewach, uważnie badał wszelkie ślady na ziemi, jak przystało na wytrawnego tropiciela. Roztropne zachowanie białego chłopca budziło uznanie wśród Murzynów. Toteż bez jakichkolwiek sprzeciwów wykonywali wszystkie jego rozkazy i natychmiast dzielili się z nim spostrzeżeniami.

— Buana, buana! Tędy szła wielka leśna świnia[58] — poinformował jeden z Bugandczyków.

Tomek słyszał o leśnych świniach przebywających w gąszczu dżungli. Miały to być zwierzęta kopytne, których budowa świadczyła, że stanowią przejście od dzika do południowoafrykańskich świń brodawkowych. Spotkanie z dziką świnią nie należało do bezpiecznych. Miały one po dwie pary potężnych, długich (do dwudziestu pięciu centymetrów) kłów, groźnie sterczących z pyska, którymi w razie potrzeby potrafiły się zajadle bronić. Tomek nie zamierzał ryzykować spotkania z nimi. Huk strzału mógłby ściągnąć w pobliże obozowiska tubylcze plemię, co w obecnej sytuacji nie było pożądane. Przyjrzał się więc śladom świni i ruszył w dalszą drogę.

Niebawem znaleźli się na skraju lasu. Tutaj, w pobliżu małpich gniazd, Murzyni odkryli ślady lampartów. Na brzegu sawanny Tomek wszedł na wysokie drzewo, aby przez lunetę dokładnie się przyjrzeć okolicy. Po długim penetrowaniu terenu zadowolony zeskoczył na ziemię. Nigdzie nie było widać śladu ludzkich siedzib. W bujnej zieleni sawanny spokojnie pasły się stada antylop i żyraf. Był to najlepszy dowód, że nikt nie niepokoił zwierzyny.

Tomek poinformował o tym Murzynów i oznajmił im, że postanowił urządzić kilka pułapek na lamparty. Chwytanie tych drapieżników w głębokie doły nie przedstawiało większego ryzyka i mogło urozmaicić nudny okres oczekiwania na powrót towarzyszy. Nastrój Murzynów poprawił się po upolowaniu przez Tomka elanda o pięknych, śrubowało skręconych rogach, zaliczanego do największych antylop żyjących w sawannach afrykańskich. Po posiłku w obozie dał hasło do ponownego wymarszu. Tym razem Murzyni zabrali łopaty do kopania dołów.

Niemal cztery dni upłynęły na przygotowywaniu pułapek. Były to głębokie doły wykopane w pobliżu małpich gniazd. Każdy dół maskowano rusztowaniem z gałęzi. Nim minął tydzień, schwytano dwa piękne okazy. Tomek proponował poczekać z wydobyciem drapieżników aż do powrotu Smugi, ale Inuszi zapewniał go, że sami na pewno dadzą sobie radę z zamknięciem zwierząt w klatkach.

---

[58] ***hacochoerus aethiopicu,*** **inaczej guziec, zamieszkuje całą Afrykę na południe od Sahary. Żyje w sawannach i w buszu, zwłaszcza w pobliżu wody.**

Odważny, zręczny Masaj umiał zabrać się do rzeczy. Przygotował długie drągi z rozwidleniem na jednym końcu, którymi Bugandczycy unieruchomili lamparta, przyciskając go do ziemi, a Inuszi bez wahania wskoczył do pułapki. Zbliżył się do szczerzącego kły drapieżnika i podsunął mu krótki, gruby kij. Kły natychmiast wpiły się w drewno, a wtedy Inuszi zarzucił na pysk rzemienną pętlę. Związanie łap było już drobnostką, W ten sposób w przeciągu godziny obydwa lamparty przeniesiono w klatkach do obozu.

Schwytanie lampartów zmuszało Tomka do polowania. Jednego dnia wybrał się z Sambem na skraj dżungli. Wypatrywali na drzewach małpich gniazd. Nagle usłyszeli dźwięczne nawoływania miodowoda.

— Buana, buana! Ptak miodowy — zawołał Sambo. — Zaraz będziemy mieli słodki miód!

Zwyczajem krajowców Tomek gwizdnął przeciągle. Ptak, jakby zrozumiał, że przyjęto jego wezwanie, poderwał się do lotu. Chłopcy pobiegli za nim. W pierwszej chwili Tomek bez zastanowienia podążał za zmyślnym miodowodem, lecz gdy się trochę zmęczył, przystanął i rzekł:

— Nie powinniśmy sami oddalać się zbytnio od obozu. Ptak wprawdzie doprowadzi nas do ula, ale czy potrafimy sami odnaleźć właściwy kierunek, aby wrócić do obozowiska? Nie, nie pójdziemy dalej!

— Trafimy, buana! Sawanna niedaleko, pójdziemy wzdłuż lasu i trafimy — zapewnił Sambo.

Tomek wahał się, ale miodowód nie dawał za wygraną. Gdy tylko spostrzegł, że chłopcy przystanęli niezdecydowani, zaczął zataczać nad nimi koła, mknął jak strzała w las, zawracał i krzyczał donośnie.

— Ul już blisko, buana! — zachęcał Sambo.

Ptak kilkakrotnie znikał w lesie i powracał, wołając coraz głośniej i natarczywiej. Tomek rozejrzał, się uważnie. Chociaż znajdowali się w dżungli, Sambo słusznie dowodził, że nie mogło być mowy o zbłądzeniu. Wystarczyło przecież wyjść na skraj widocznej między drzewami sawanny i udać się brzegiem lasu, by dojść do obozu.

— Miodowód zachowuje się tak, jakby ul naprawdę znajdował się już blisko — odezwał się Tomek. — Chodźmy za nim jeszcze trochę.

Zaledwie się poruszyli, ptak krzyknął donośnie i powiódł ich w las. Wkrótce znaleźli się na leśnej polance. Miodowód wyprzedził amatorów miodu, usiadł na gałęzi olbrzymiego, zbutwiałego baobabu i głośno wyrażał swą radość.

Tomek spoglądał na baobab, w którego pniu widać było duży otwór, ale nie mógł wypatrzyć pszczół w pobliżu dziupli.

— Spojrzyj, Sambo! Ktoś już musiał nas uprzedzić i wybrał miód. Ani jednej pszczoły nie ma wokół dziupli. Wystrychnęliśmy się na dudków — powiedział. — Ale kto to mógł być?

Sambo jeszcze nie dowierzał.

— Buana, zajrzę do dziupli. Może tam jest choć trochę miodu — zaproponował.

— Zajrzyj, ale wygląda na to, że obejdziemy się smakiem — odparł Tomek.

Murzyn szybko wspiął się na najniższą gałąź, stanął na niej, ostrożnie zajrzał w dziuplę.

— Nie ma pszczół ani miodu, ale tu coś jest, buana — poinformował. — To pewno jakiś mały zwierz. Sambo widzi skórę.

— Nie wkładaj tam ręki. Sambo! Licho wie, co za zwierzątko może być w dziupli zbutwiałego drzewa — ostrzegł Tomek.

Sambo był zbyt zaciekawiony, aby usłuchać dobrej rady. Powoli wsunął rękę w dziuplę. Po chwili wydobył jakiś przedmiot i natychmiast zeskoczył na ziemię.

— Patrz, buana, to było w drzewie — zawołał podniecony.

— Ciekawe, co jest w tym zawiniątku z lamparciej skóry? — powiedział Tomek. — Zajrzyj do środka!

— Nie, nie buana! Ty to zrób! Inuszi mówił, że jesteś wielki czarownik — pospiesznie odparł Murzyn i skwapliwie wsunął do rąk Tomka dziwne zawiniątko.

Tomek uśmiechnął się wyrozumiale do zabobonnego towarzysza. Położył zawiniątko na ziemi, po czym szybko rozsupłał duży węzeł. Rozwinął skórę. Zdumieni chłopcy ujrzeli sporą woskową kulę. W jednym miejscu wyschnięty wosk był pęknięty. Tomek wcisnął palec w szczelinę, rozszerzył ją, a wtedy ujrzał kłąb wysuszonych roślin, zwierzęcych włosów oraz kły i pazury.

— Cóż to może być? — zdumiał się.

— Fetysz[59], wielki fetysz — szepnął Sambo z nabożną czcią. — Chociaż jesteś wielki czarownik, buana, włóżmy to lepiej z powrotem do dziupli.

Tomek nie był zaskoczony przestrachem młodego Samba. Wiedział, że wielu uczonych uważało fetyszyzm za najstarszą religię murzyńską. Kult ten rozpowszechniony był szczególnie w Afryce Zachodniej. Każdy fetysz reprezentował jakiegoś ducha. Z tego też względu fetysze otaczano czcią i zwracano się do nich z różnymi prośbami. Fetyszem mógł być każdy przedmiot, jak: kamień, kawał drewna, kości zwierząt bądź zwierzęta.

Tomek jeszcze raz uważnie przyjrzał się woskowej kuli. Z łatwością rozpoznał, że kły oraz pazury znajdujące się między ziołami i włosami należały do lamparta.

— Buana, Sambo włoży to do dziupli i uciekajmy stąd — szepnął Murzyn, rozglądając się trwożliwie.

---

[59] Wszystkie przedmioty, którymi ludy pierwotne oddają cześć boską, zwą się fetyszami. Fetysz zwierzęcy jest totemem.

Tomek nie podzielał jego obaw i nie miał ochoty rozstawać się z fetyszem. Postanowił zabrać go dla ojca, który kolekcjonował różne ciekawostki z podróży po świecie. Nie namyślał się długo. Pośpiesznie owinął kulę w skrawek lamparciej skóry.

— Masz rację, że najlepiej będzie, jeśli znikniemy stąd jak najprędzej, lecz fetysz zabieram jako upominek dla ojca — odezwał się Tomek.

— Buana, nie rób tego — doradzał zaniepokojony Sambo. — Duch się pogniewa i będzie bardzo źle.

— Duchy nic nam nie zrobią, bo istnieją tylko w twojej wyobraźni.

— Nie mów tak, buana! Duchów jest bardzo, bardzo dużo! Są duchy złe i dobre. Sambo zawsze składa ofiary złym duchom.

— Oj, Sambo, Sambo! Dlaczego składasz ofiary złym duchom? Przecież to grzech! Módl się do jednego dobrego i sprawiedliwego Boga, a nie stanie ci się żadna krzywda.

— Nie, buana, Sambo jest mądry i wie, co robić. Dobry Bóg i tak będzie dobry, a jak złe duchy dostaną ofiarę, to nic Sambowi nie zrobią. Uciekajmy stąd szybko!

— No, dobrze, porozmawiam z tobą przy sposobności na temat twoich duchów. A teraz rzeczywiście wracajmy do obozu.

Pobiegli w kierunku obozowiska, nie podejrzewając nawet, że od dłuższej chwili byli pilnie obserwowani. Otóż kiedy miodowód przyfrunął na polanę, z przeciwnej strony dochodził do niej stary, dobrze zbudowany Murzyn. Natarczywy głos ptaka od razu zwrócił jego uwagę. Cofnął się więc w krzewy, niespokojnie spoglądając w kierunku, skąd nadleciał wszędobylski i ciekawski miodowód. Wkrótce też ujrzał nadchodzących chłopców. Gdy Sambo wspinał się na baobab, Murzyn odruchowo chwycił za rękojeść noża, ale widok sztucera w rękach młodego białego człowieka skłonił go do zachowania ostrożności. Czekał drżąc z gniewu i niepokoju. Chłopcy rozglądali się na wszystkie strony, co wykluczało możliwość zaskoczenia. Tomek schował zawiniątko za pazuchę i obaj z Sambem pospiesznie wrócili do obozu. Stary Murzyn dążył za nimi trop w trop. Widział Tomka wchodzącego do namiotu, policzył tragarzy, których zachowanie świadczyło o tym, że nie mieli zamiaru zwijać obozu, po czym mrucząc tajemne zaklęcia pobiegł szybko na północ.

Zaledwie noc zapadła nad dżunglą, na polanie wokół zbutwiałego baobabu zaczęły się dziać dziwne rzeczy. W srebrzystej poświacie księżycowej widać było zgromadzonych kilkunastu Murzynów. Każdy z nich trzymał w ręku jakieś zawiniątko. Od czasu do czasu przykucali na ziemi, obrzucając się wzajemnie nieufnymi spojrzeniami. Jeden z zebranych — stary Murzyn — usunął głaz sterczący u stóp drzewa. Wydobył spod niego mały żelazny kociołek i duży ludzki czerep. Inni rozniecili ognisko i umieścili nad nim kociołek napełniony wodą. Wkrótce woda gotowała się bulgocąc, a stary Murzyn szeptał zaklęcia, wsypywał do wody miałko utarty proszek, liście ziół i korzenie roślin, po czym przykrył kocioł płaskim kamieniem. Murzyni kołem przykucnęli przy ognisku. Nie

odzywali się ni słowem. Dopiero gdy ogień wygasł, stary Murzyn odrzucił kamień-pokrywę. Zaczerpnął czerepem płynu o odurzającej woni. Pili kolejno. W miarę jak podawano nowe porcje, oczy pijących nabierały blasku, ruchy się ożywiały. Mistrz tajemnego obrzędu schował w końcu próżny kociołek pod głaz, wydobył z zawiniątka skórę lamparta, zarzucił ją na głowę i ramiona, naciągnął na ręce jakby rękawice z lamparciej skóry o palcach zakończonych ostrymi pazurami. W ślad za starcem wszyscy Murzyni nałożyli podobne kaptury i rękawice. Przez wycięte otwory błyskały półprzytomne oczy.

— Bracia-lamparty, nie mogę pokazać wam dzisiaj naszego wszechmocnego fetysza — ponuro odezwał się starzec. — Zaręczam jednak, że przebywająca w nim dusza lamparta łaknęła wczoraj krwi. Wosk pękł z pragnienia. Lampart upomina się o ofiarę. Musimy odzyskać fetysz i napoić go krwią podstępnego białego człowieka, który poważył się zabrać naszego brata-lamparta z dziupli świętego baobabu.

— O, ooo... — głucho jęknęli Murzyni.

— Teraz przygotujmy się, bracia-lamparty, do spełnienia ofiary — polecił czarownik.

Murzyni otoczyli baobab. Rozpoczęli dziwny taniec. Czołgali się na czworakach, wykonywali lamparcie skoki, aż oszołomienie ich doszło do obłędnego szału. Zgrzytali zębami i wołali:

— Prowadź nas, bracie-lamparcie!

Czarownik wyciągnął przed siebie ręce. Błysnęły pazury. Murzyni pobiegli za nim. Z gardzieli ich wyrwało się nieludzkie wycie. Warcząc i mrucząc, ludzie-lamparty jak szaleni pędzili przez las w kierunku obozu.

KLĘSKA I ZWYCIĘSTWO

Tomek przebudził się pod przemożnym wrażeniem, że z głębi dżungli dosłyszał chrapliwe szczeknięcie Dinga. Nasłuchiwał przez dłuższą chwilę. W końcu zaczął przypuszczać, że to pomruki lampartów, umieszczonych w klatkach w pobliżu namiotu, musiały go wyrwać ze snu. Uspokoił się, lecz jakoś nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok i rozmyślał o towarzyszach tropiących okapi. Zastanawiał się, jak długo jeszcze potrwa ich nieobecność. Czy uda im się schwytać to dziwne zwierzę? Z kolei myśli Tomka skierowały się ku ojcu. Co też on teraz porabia? Zapewne przez tak długi czas zdołał już oswoić goryle.

Naraz wydało mu się, że w pobliżu obozu rozbrzmiał stłumiony okrzyk. Nauczony doświadczeniem nie poruszył się i znów zaczął nasłuchiwać. Prawą dłonią dotknął zimnej, twardej rękojeści rewolweru, który kładł zawsze na noc obok siebie na posłaniu. Tuż za ścianą namiotu lamparty niespokojnie kręciły się w klatkach, biły ogonami o żelazne pręty i gniewnie mruczały. Nieoczekiwanie jakiś skulony cień o nieokreślonych kształtach, ni to ludzkich, ni zwierzęcych, przesunął się na tle oświetlonej światłem księżyca płóciennej ściany.

Tomek poczuł przyspieszone bicie serca. Szczelnie zasłonięte wejście do namiotu rozchyliło się szeroko. Dziwaczna postać opadła na czworaki. Bezszelestnie zaczęła się skradać w kierunku jego posłania. Tomek zamarł; w srebrzystej poświacie ujrzał olbrzymiego lamparta.

"Lamparty wydostały się z klatek" — pomyślał.

W tej chwili domniemany lampart powstał na tylne nogi. Potworne, kosmate łapy wyciągnęły się do przerażonego chłopca. Tomek spostrzegł zakrzywione pazury. Nagle przypomniał sobie zabrany z dziupli baobabu fetysz. Wydało mu się, że lampart przyszedł upomnieć się o swe szczątki umieszczone w woskowej kuli. Włosy mu się zjeżyły na głowie. Ujrzał błysk ślepiów. Bez namysłu wyszarpnął rewolwer spod koca, błyskawicznie strzelił dwukrotnie między oczy bestii i wrzasnął:

— Na pomoc!

Krzyk Tomka i potworne wycie w całym obozie rozległy się niemal jednocześnie. Zakotłowało się wokoło. Rozgorzała gwałtowna walka. W obliczu realnego niebezpieczeństwa Tomek odzyskał zimną krew. Odtrącił przerażonego Samba, który chciał go zatrzymać w namiocie, i w samym wyjściu natknął się na olbrzymiego Inusziego, który z nożem w zębach tłukł karabinem napastujące go zakapturzone stwory. Przerażeni tragarze rozpierzchli się na wszystkie strony, a tymczasem Masaj, jak przystało na potomka plemienia wojowników, gromił wroga. Bił karabinem jak maczugą, ponieważ w wirze walki nie mógł złożyć się do strzału. Potężnymi uderzeniami walił napastników na ziemię. Wielki lampart z rozwianym futrem na głowie skoczył mu na plecy. Napadnięty z tyłu Inuszi upadł na kolana, ale zaraz dźwignął się na nogi ze swym groźnym ciężarem i przechyliwszy się gwałtownie głową do ziemi, przerzucił napastnika przed siebie. Upuścił karabin, błyskawicznie przygniótł sobą potężne cielsko i chwycił nóż trzymany w zębach. Dziwne zwierzę wydało nadzwyczaj ludzki jęk.

Sfora lampartów rzuciła się na Inusziego. Tomek zagryzł wargi do krwi i naciskał spust rewolweru tak długo, aż metaliczny szczęk uprzytomnił mu, że wystrzelał już wszystkie naboje. Przerażony wierny Sambo podbiegł zaraz do Tomka i podał mu sztucer. Chłopiec natychmiast chwycił broń; huknęły strzały. Gwałtowny atak lampartów załamał się. Kilku Bugandczyków ochłonęło z pierwszego przestrachu i przyłączyło się do walki. Naraz w ciemnym lesie rozległy się strzały karabinowe. Tomkowi przemknęło przez myśl, że to chyba nadchodzi nieoczekiwana pomoc. Lamparty zaczęły pierzchać w gąszcz. Zapewne i Bugandczycy nabrali podobnego przeświadczenia, bo krzyknąwszy donośnie, ruszyli w pościg za umykającym wrogiem. Przy Tomku na pobojowisku pozostali tylko Sambo i nieustraszony Inuszi.

Tomek ochłonął, niebezpieczeństwo na razie minęło. Nie miał już wątpliwości, że Smuga i bosman zdążyli przybyć na pomoc w ostatniej chwili. Chrapliwe szczekanie Dinga rozległo się w pobliżu. Co chwila słychać było strzały i bojowe okrzyki Bugandczyków.

Tomek zbliżył się do bezwładnie leżącej na ziemi postaci. Odrzucił skórę zwierzęcia i ujrzał zabitego Murzyna. Teraz zrozumiał wszystko. Na obóz napadli Murzyni przebrani za lamparty. Pobladł straszliwie. Usiadł na ziemi.

"Strzelałem do ludzi — myślał z rozpaczą. — Zabiłem tego w namiocie i... na pewno jeszcze innych..."

Rozsądek podszeptywał mu, że nie miał innego wyjścia, przecież bronił się przed napastnikami, lecz mimo to drżał jak w febrze.

— Mój Boże, zabiłem człowieka — szepnął poszarzałymi wargami i rozpłakał się.

Taki był chrzest bojowy młodego Tomka Wilmowskiego.

Tymczasem Sambo i Inuszi dorzucili chrustu do ogniska. Przyglądali się Tomkowi, ale nie śmieli się do niego zbliżyć. Byli przekonani, że dzielny biały buana żałuje, iż zabił tak mało wrogów. Poczciwy Sambo zdobył się w końcu na odwagę. Podszedł do Tomka i usiłował go pocieszyć:

— Buana, buana! Nie martw się, ten Murzyn w namiocie też nie żyje. Zabiłeś mnóstwo złych ludzi. Wygrałeś wielką bitwę. Teraz wszyscy Murzyni będą śpiewać o białym buanie, który jest wielkim wojownikiem. O, matko! Sambo bardzo chce być tak wielkim wojownikiem!

Tomek spojrzał na niego i odrzekł:

— Nie mów w ten sposób, Sambo. Ja naprawdę nie chciałem nikogo zabić. Czy ty tego nie rozumiesz?

— Sambo rozumie, bo widział, jak biały buana strzelał. Buana jest wielkim wojownikiem!

— Ale ja nie wiedziałem, że to są ludzie!

— To nic, biały buana nie boi się ani lwa, ani soko, ani człowieka-lamparta.

Sambo nie mógł pojąć, o co mu chodziło. Tomek tęsknym wzrokiem spojrzał na dżunglę, czy przypadkiem nie ujrzy powracających przyjaciół, słyszał przecież w dżungli ich strzały. Tylko od nich mógł się spodziewać pociechy.

Sporo czasu minęło, zanim oczekiwani z utęsknieniem przez Tomka Smuga i bosman ukazali się na polanie otoczeni rozkrzyczanymi Murzynami. Mocno uścisnęli dzielnego chłopca, po czym natychmiast przystąpili do udzielenia pomocy rannym. Okazało się, że w krótkiej, zaciętej walce padło wiele ofiar. W krzewach znaleziono zaduszonego Bugandczyka, który pełnił wartę w chwili rozpoczęcia ataku. Dwóch innych tragarzy zostało boleśnie zranionych. Napastnicy ponieśli znacznie większe straty — sześciu zginęło w samym obozie.

Bosman przyglądając się poległym zawołał:

— Niech cię kule biją, kochany brachu! Toś ty tu stoczył przepisową bitwę! Nie ma co mówić, prawdziwe jatki. Nie myślałem, że taki morus z ciebie! No, ale i my zadaliśmy im w lesie bobu.

— Jak to się stało, że przybyliście na pomoc akurat podczas bitwy? — zapytał Tomek ochłonąwszy z wrażenia.

— Dziwna to historia, Tomku. Ty wygrałeś bitwę, a myśmy w tym czasie ponieśli sromotną klęskę — wyjaśnił Smuga. — Przez wiele dni nie mogliśmy znaleźć ani śladu okapi. W końcu szczęście się do nas uśmiechnęło. W bagnistym gąszczu spotkaliśmy kilka sztuk tych rzadkich zwierząt. Z wielkim trudem udało się nam odłączyć od stada samicę z jej przychówkiem. Przez dwa dni i dwie noce deptaliśmy im po piętach. Dzięki sprytowi Dinga mogliśmy osaczać je nawet w ciemności. Płochliwe okapi goniły już resztką sił. Idąc za nimi, dotarliśmy aż w pobliże naszej polany. Wtedy właśnie stało się

najgorsze. Pomiędzy nas i gonione zwierzęta wpadli nieoczekiwanie zakapturzeni ludzie, którzy wyjąc niesamowicie popędzili w kierunku obozu. Zaniepokojeni o was, natychmiast pospieszyliśmy za nimi. Nie mogliśmy dotrzymać im kroku, tak byliśmy zmęczeni pościgiem za okapi. Toteż wyprzedzili nas znacznie. Wkrótce w obozie padły pierwsze strzały.

— O! Boże! Więc przeze mnie cały wasz trud poszedł na marne — smutno powiedział Tomek. — I pomyśleć, że wszystkiemu winien zdradliwy miodowód, który zamiast do ula zaprowadził nas do tajemniczej kryjówki w baobabie!

Smuga uważnie obserwował podnieconego chłopca. Zły był na siebie, że nie zdołał zapobiec napadowi. Przewidywał, iż Wilmowski będzie miał do niego słuszny żal. Przysunął się więc do Tomka i rzekł:

— Nie myśl teraz o okapi. Warunki, w jakich żyją te oryginalne zwierzęta, uniemożliwiają pomyślne przeprowadzenie łowów. W bagnistej dżungli nie można urządzić większej obławy. Okapi były bardzo wyczerpane pościgiem, a mimo to nie mogliśmy się do nich zbliżyć na długość lassa. W najlepszym razie może by się nam udało je zastrzelić. Widziałem jednak te dziwne zwierzęta na własne oczy, a to również już coś znaczy. Przykro mi, że nieopatrznie naraziłem cię na tak poważne niebezpieczeństwo. To twoja pierwsza walka, podczas której musiałeś strzelać do ludzi. Wiem, jak się teraz czujesz. Pamiętaj, że każdy człowiek ma święte prawo bronić swego życia. Dzielnie się spisałeś. Nie martw się niepotrzebnie. Opowiedz, co się tutaj działo podczas naszej długiej nieobecności. Nie próżnowałeś; spostrzegłem w klatce dwa wspaniałe lamparty.

Słowa Smugi sprawiły chłopcu ulgę. Westchnął ciężko, po czym szczegółowo opowiedział wszystko, co się zdarzyło w obozie. Sprawozdanie swe zakończył:

— Słusznie mówił pan Hunter, że w głębi Afryki ujrzymy niejedno. Mimo to nie spodziewałem się, że napotkamy ptaki wprowadzające ludzi w zasadzkę bądź Murzynów naśladujących dzikie drapieżniki.

— Jak widać, zmyślna to i zdradliwa ptaszyna z tego miodowoda — wtrącił bosman Nowicki. — Po jakie licho ci Murzyni poprzebierali się za lamparty? Przecież i bez maskarady mogli napaść na obóz!

— Czy jesteś pewny, że oni nawet ruchami starali się upodobnić do lampartów? — zapytał Smuga.

— Tak właśnie robili, proszę pana — powiedział Tomek. — Kiedy ujrzałem pierwszego z nich, jak się czołga na czworakach w naszym namiocie, byłem przekonany, że moje lamparty wydostały się z klatki.

— Dzisiejsze wydarzenie przypomniało mi opowiadania słyszane od misjonarzy w stacji misyjnej w Duala[60]. Mówili oni wiele o osiedlach, których mieszkańcy byli

[60] Duala znajduje się w Kamerunie w zachodniej Afryce Równikowej.

przeświadczeni, iż przemienili się w prawdziwe lamparty. Ludzie ci we wszystkim starali się naśladować drapieżniki. Czołgali się na czworakach, przywiązywali do rąk i nóg lamparcie pazury, aby ich ślady dawały złudzenie kocich kroków, ofiarom swym zaś przegryzali tętnice na szyi.

— Powiedziałbym, że to wierutne baje, gdybym nie widział Bugandczyka z przegryzioną krtanią — wtrącił bosman. — Czy to naprawdę możliwe, żeby człowiek zachowywał się jak zwierzę?

— Mnie również wydawało się to bardzo dziwne — odparł Smuga. — Wiedziałem od dawna, że na Czarnym Lądzie istnieje wiele tajemniczych związków czy też klanów. Ludzie-lamparty mają właśnie tworzyć jeden z nich. Najbardziej w tym wszystkim przerażający jest fakt, że normalni ludzie stają się "lampartami" nie z własnej woli. Jak opowiadali misjonarze, ludzie-lamparty w czaszce ludzkiej sporządzają z krwi zamordowanego człowieka czarodziejski napój, który potajemnie dodają do pożywienia z góry upatrzonej osobie. Powszechna wiara w potęgę czarodziejskiego płynu jest tak wielka, że ofiara, wypiwszy miksturę i dowiedziawszy się o jej tajemniczej mocy, uznaje bez sprzeciwu swą przynależność do klanu. Każdy nowo przyjęty otrzymuje rozkaz sprowadzenia kogoś ze swej rodziny w odludne miejsce, gdzie ofiara zostaje zamordowana przez ludzi-lampartów. Dopiero wówczas nowy członek klanu nabiera prawa do morderczych wypraw[61].

Zapadła chwila przykrego milczenia. Pierwszy odezwał się Tomek:

— Jeżeli naprawdę jest tak, jak pan mówi, to ludzie-lamparty są okrutnymi zbrodniarzami. Wracajmy jak najprędzej do naszego głównego obozu.

— Najlepiej zwińmy manatki o świcie i jazda w drogę — poparł bosman swego druha. — Zamiast okapi mamy schwytane przez Tomka dwa lamparty. Lepszy rydz niż nic!

— Macie rację, musimy uznać własną klęskę. Nie tylko nie schwytaliśmy okapi, lecz straciliśmy jednego członka ekspedycji — powiedział Smuga wzdychając ciężko. — O świcie ruszamy w drogę powrotną.

— Nie możemy stąd odejść tak nagle — zaoponował Tomek. — Przed zwinięciem obozu muszę sprawdzić, czy przypadkiem jeszcze jakiś lampart nie wpadł w przygotowane pułapki.

— Dobrze, na to wystarczy kilka godzin — odrzekł Smuga.

Uczestnicy nieudanej wyprawy na okapi udali się na spoczynek, natomiast Inuszi i Tomek postanowili czuwać przez resztę nocy.

Łowcy nie zważając na zmęczenie zerwali się z posłań wczesnym rankiem. Pragnęli jak najprędzej opuścić miejsce, gdzie ponieśli podwójną klęskę. Urządzono skromny

---

[61] Zbrodniczą działalność ludzi-lampartów opisał Albert Schweitzer (1875-1965) w książce *Wśród Czarnych na równiku.* Zetknął się z nimi w założonej przez siebie misji w Lambarene w Gabonie, gdzie przebywał wraz z żoną od 1913 r. Zbudowanym tam i wyposażonym własnym kosztem szpitalem kierował aż do śmierci, a jego intelektualna i moralna postawa oraz działalność lekarska w Afryce zyskały mu wielki autorytet. W 1952 r. otrzymał pokojową nagrodę Nobla.

pogrzeb poległemu w walce Bugandczykowi, pochowano także we wspólnej mogile zabitych ludzi-lampartów. Tomek, Smuga i bosman wyruszyli, by przed wymarszem sprawdzić pułapki. W ostatnim dole, ku swemu zdziwieniu, zastali dużą leśną świnię. Był to ciekawy okaz fauny tropikalnych lasów Afryki. Mimo to Smuga nie ucieszył się zdobyczą. Przeniesienie ciężkiego dzika do obozu nastręczało obecnie wiele trudności. Liczba tragarzy zmniejszyła się o jednego człowieka. Tymczasem należało nieść nie tylko klatkę z lampartami, ale i obydwóch rannych Bugandczyków. Ostatecznie zdecydowano bardziej objuczyć osły i odbywać krótkie dzienne pochody.

Bosman udał się do obozu po Murzynów, przy których pomocy miano wydobyć świnię. Smuga i Tomek pozostali przy pułapce; czekając na powrót bosmana przyglądali się małpom dokazującym na drzewach. Dingo biegał po lesie. Łowcy dopiero wówczas spostrzegli, że pies się od nich oddalił, gdy z dala rozległo się jego chrapliwe szczekanie.

— Oho, Dingo zwietrzył jakąś zwierzynę — zawołał chłopiec.

— Na pewno małpy — odparł Smuga obojętnie. — Przywołaj psa!

Mimo nawoływań Dingo nie wracał. Chrapliwe szczekanie stawało się natomiast coraz bardziej natarczywe. Zaniepokojeni łowcy pobiegli w kierunku, skąd dochodził jego głos. Dingo szczekał na ich widok i łbem rozrzucał rusztowanie na zapomnianej przez Tomka pułapce.

— Ale ze mnie prawdziwa gapa! — zawołał Tomek nachylając się nad dołem. — Zupełnie zapomniałem o tej pułapce, a tymczasem dziki osiołek zdechłby w niej z głodu! Dobry Dingo, dobry! Nie denerwuj się, wypuścimy na wolność osiołka.

— Zamiast okapi schwytaliśmy lamparta, świnię i osiołka — powiedział Smuga, pochylając się nad pułapką. — Trzeba go uwolnić, bo...

Urwał w połowie zdania. W mrocznym dole ujrzał coś, co mu zaparło dech w piersi. Nic nie mówiąc zsunął się na dół. Przyjrzał się uważniej zwierzęciu, które chłopiec wziął za osła.

Tomek pochylony nad pułapką mówił:

— Biedny osiołek, musiał siedzieć w pułapce już parę dni. Pewnie się z trudem trzyma na nogach. Trzeba go zaraz nakarmić.

Smuga powoli się uspokoił, spojrzał na Tomka i rzekł:

— Urodziłeś się chyba naprawdę pod szczęśliwą gwiazdą. Jak dobrze zrobiłem zabierając cię na tę wyprawę!

— Co się stało? — zapytał zaniepokojony Tomek.

Smuga roześmiał się patrząc na przerażoną minę chłopca.

— Czy ty wiesz, co za zwierzę wpadło w twoją pułapkę? — zapytał.

Naraz jakaś myśl przyszła Tomkowi do głowy. Jednym susem znalazł się w dole obok Smugi. Najpierw wbił wzrok w wystraszone zwierzę, po czym spojrzał na podróżnika i zapytał:

— Czyżby to był...?

— Tak. To jest okapi!

Tomek zaniemówił z wrażenia. Potem poczerwieniał i krzyknął:

— Hura! Zwycięstwo!

Okapi wtulił się w kąt dołu.

— Odnieśliśmy wielki sukces, ale nie krzycz, gdyż strach gotów zabić wyczerpane zwierzątko.

— To zapewne jeden z tych dwóch okapi, które ścigaliście tak długo — domyślił się Tomek.

— Nie ulega wątpliwości, że maleństwo uciekając przed nami wpadło przypadkowo w pułapkę, a samica sama uratowała się dalszą ucieczką — dodał Smuga.

— Niech mi pan pomoże wydostać się z dołu! Sprowadzę bosmana i Murzynów. Musimy natychmiast przenieść okapi do obozu — gorączkował się Tomek.

— Zgoda, właź mi na ramiona!

Tomek drżąc z radości zaraz pobiegł z Dingiem w kierunku obozu. Po drodze spotkał towarzyszy niosących klatkę i sieci.

— Zwycięstwo! Zwycięstwo! Schwytaliśmy okapi! — zawołał ledwo dysząc ze zmęczenia.

Bosman usłyszawszy radosną nowinę natychmiast pociągnął z manierki spory łyk jamajki, a potem podążył za Tomkiem. Wszyscy chcieli się jak najszybciej przyjrzeć nieznanemu zwierzęciu. Z wielką ostrożnością wydobyli je z dołu. Młody okapi był tak wyczerpany, że nie stawiał oporu. Budową przypominał trochę osła i żyrafę. Do kłapoucha upodabniały go potężne uszy, natomiast trochę wyższy z przodu tułów, długa szyja oraz małe rogi wyrastające z kości czołowej na stożkowatej głowie zbliżały okapi do żyraf. Skórę pokrywała delikatna, połyskliwa, czarna sierść, a tylko boki głowy i gardziel były białe. W niezwykle oryginalne desenie wyposażyła natura nogi zwierzęcia. Były to naprzemianległe czarne i jaskrawobiałe pasy sierści.

Łowcy umieścili okapi w klatce, a następnie pospiesznie udali się do obozu. Smuga zaraz polecił zbudować małą zagrodę, do której wpuszczono wylęknionego okapi. Doświadczony łowca wiedział, że najłatwiej oswaja się różne dzikie zwierzęta udzielając im pomocy, gdy są wyczerpane. Wydobycie dzikiej świni zlecił bosmanowi i Tomkowi, sam zaś pozostał w obozie przy okapi.

Tego dnia nie mogli wyruszyć w drogę powrotną. Chcąc zabrać wszystkie złowione zwierzęta, należało poczekać, aż dwaj ranni tragarze powrócą do zdrowia. Wobec tego postanowiono obozować przez jakiś czas na polanie. Smuga pilnie rozstawiał straże wokół obozu, aby się zabezpieczyć przed powtórną napaścią ludzi-lampartów. Wszelkie obawy okazały się niepotrzebne.

Trójka przyjaciół często wyprawiała się w sawanny na polowania. Murzyni ochoczo znosili zabite zebry i antylopy, a wieczorem wokół obozu rozchodziły się smakowite zapachy pieczonego mięsa.

Po dwóch tygodniach odpoczynku zdecydowali się wracać do głównego obozu. Tomek gorliwie pomagał przy sporządzaniu przestronnej bambusowej klatki dla okapi. Zwierzątko przyzwyczaiło się już do widoku ludzi i brało pożywienie z ręki. Ośmielała je zapewne obecność krewniaków osłów. Smuga wprowadzał je do zagrody codziennie na kilka godzin. Wkrótce też trójka zwierząt żyła w jak najlepszej zgodzie, co szczególnie cieszyło łowców, gdyż obawiali się, aby okapi nie zdechł z tęsknoty za matką.

Pewnego dnia o świcie wreszcie wyruszyli w drogę. Ze względu na małą liczbę tragarzy musieli się często zatrzymywać na dłuższe wypoczynki, by zdobywać pożywienie dla zwierząt. Nastręczało to w dżungli wiele trudności. Dla leśnej świni zbierali korzenie i bulwy, chociaż nie gardziła ona i małpim mięsem, którym karmiono obydwa lamparty. Okapi sprawiał najmniej kłopotu. Klatkę o szeroko rozstawionych bambusowych prętach stawiali po prostu w krzewach, a łagodne zwierzę samo zdobywało sobie paszę.

Dziesięć dni karawana przedzierała się przez gęstwę dżungli. Od czasu do czasu rozlegało się dudnienie tam-tamów, lecz napotykani po drodze Pigmejczycy nie niepokoili podróżników. Zaprzyjaźnieni Bambutte zdążyli już rozgłosić wieść o pojawieniu się dziwnych białych ludzi, którzy łowią żywe zwierzęta i rozdają cenne podarunki. Smuga ofiarowywał im sól, tytoń i świecidełka, w zamian Pigmejczycy wskazywali dogodniejsze ścieżki lub nawet pomagali w niesieniu zwierząt.

W południe jedenastego dnia marszu Smuga orzekł, że karawana znajduje się już w pobliżu głównego obozu. Co pewien czas strzelano w górę z karabinów, aby oznajmić towarzyszom swój powrót. Łatwo sobie wyobrazić wzruszenie i radość Tomka, gdy około czwartej po południu odpowiedziały im bliskie strzały z broni palnej.

Wkrótce też karawana wkroczyła na leśną polanę, nad którą na wysokim maszcie powiewała polska flaga. Wilmowski i Hunter na czele Murzynów wybiegli na spotkanie towarzyszy. Łowcy ściskali się i całowali, Murzyni tańczyli z radości. Nawet Masajowie zapomnieli o swej powadze i żartowali wraz ze wszystkimi.

Wilmowski serdecznie uściskał syna. Odsunął go trochę od siebie, aby przyjrzeć mu się lepiej. Chłopiec zmężniał i spoważniał.

— Jesteś już niemal dorosłym mężczyzną! — żartował Wilmowski.

— Przysiądziesz z podziwu, Andrzeju, gdy się dowiesz, że twój zuch stoczył rzetelną bitwę z ludźmi-lampartami. Ho, ho! Było to naprawdę nie lada zwycięstwo! Sam naliczyłem w obozie sześciu truposzów— wtrącił bosman Nowicki.

Mocno opalona w słońcu twarz Wilmowskiego przybladła. Spojrzał na syna, potem zwrócił się do Smugi, który ciężko westchnął i rzekł:

— Tak, Andrzeju, to prawda. Tomek przeszedł swój chrzest bojowy i... dowodził bitwą. Mimo niespodziewanego napadu stracił tylko jednego człowieka... unieszkodliwiając sześciu wrogów. Podczas mojej i bosmana nieobecności Murzyni przebrani za lamparty i oszołomieni jakimś narkotykiem napadli na obóz w dżungli. Działo się to w nocy. Nawet dzisiaj trudno mi uwierzyć, że Tomek zdołał się obronić przed tłumem napastników. Przybyliśmy już pod sam koniec bitwy. Wierny Inuszi zasłużył na naszą szczególną wdzięczność, chociaż i Bugandczycy spisali się nadspodziewanie odważnie. Długa to historia, zajmijmy się najpierw zwierzętami.

Wilmowski zbliżył się do Masaja. Mocno uścisnął jego żylastą dłoń i podziękował wszystkim Bugandczykom. Z kolei przystanął przed zmieszanym chłopcem i odezwał się:

— Oszołomiły mnie zasłyszane wiadomości. Cóż mam na to wszystko powiedzieć? Naprawdę cieszę się, że wróciłeś zdrów, powinszuję ci więc tylko jak mężczyzna mężczyźnie.

Silnie uścisnął prawicę syna, który usiłował opanować wzruszenie.

POLOWANIE NA SŁONIE I ŻYRAFY

Trudno by było opisać radosny nastrój, jaki zapanował w obozie. Nikt tej nocy nie myślał o spoczynku. Z okazji szczęśliwego powrotu towarzyszy Wilmowski wydzielił wszystkim zwiększone racje żywności z zapasu, który obecnie można było już naruszyć. W najbliższym czasie wyprawa miała się udać w drogę powrotną do Bugandy, gdzie było znacznie łatwiej o prowiant. Raczono się więc konserwami, sucharami i owocami, a rozmowom nie było końca. Każdy miał coś do powiedzenia, każdy pragnął się czegoś dowiedzieć.

Okazało się, że Wilmowski i Hunter nie próżnowali w obozie. Dzięki ich troskliwym staraniom goryle czuły się w niewoli zupełnie znośnie. Nie tylko przyzwyczaiły się już do widoku ludzi, lecz nawet chętnie wśród nich przebywały. Pod tym względem szczególne upodobanie wykazywał młody goryl. Wyczuł w Wilmowskim przyjaciela. Snuł się za nim jak cień, w końcu przeniósł się z klatki rodziców do jego namiotu, gdzie urządzono mu wygodne posłanie na macie, z poduszką i kocem. Gorylątko było najlepszym pośrednikiem pomiędzy swymi rodzicami i ludźmi. Dzięki temu goryle szybko się oswajały.

Nie był to jedyny sukces pozostałych w bazie łowców. Schwytali i niemal oswoili kilka żyjących wyłącznie w Afryce koczkodanów[62] o zielonkawej sierści. Z innych odmian tego gatunku złowili błękitnawe i czerwone koczkodany Lalanda, a także pięć o bardzo wydłużonych pyskach pawianów[63], nazywanych z tego powodu również małpami psiogłowymi. Bardzo pomyślny przebieg polowania wprawił łowców w doskonały humor. Nastrój ich udzielał się Murzynom, którzy śpiewali, tańczyli i jedli przez całą noc.

Minęły trzy dni. Tragarze na tyle już wypoczęli, że można było rozpocząć przygotowania do powrotu. Wilmowski proponował, aby dokończyć łowy w Bugandzie,

---

[62] ***Cercopithecidae*** **— rodzina małp wąskonosych żyjących stadami w lasach głównie tropikalnej Afryki.**

[63] ***Papio*** **— rodzaj z rodziny koczkodanów. Mają potężnie rozwinięte uzębienie, podobnie jak małpy człekokształtne. Potrafią się bronić przeciw najgroźniejszym drapieżnikom i stawiają czoła nawet człowiekowi. W niewoli łatwo się uczą różnych sztuczek. W Egipcie były czczone jako zwierzęta święte. Zamieszkują całą Afrykę na południe od Sahary i Arabię.**

w pobliżu ujścia rzeki Kotonga do Jeziora Wiktorii, chciał bowiem dla przewiezienia zwierząt do Kisumu wynająć angielski parowiec kursujący po jeziorze. W ten sposób mogliby uniknąć długiego i uciążliwego marszu oraz znacznie zyskać na czasie. Byłoby to szczególnie korzystne ze względu na zwierzęta.

Wszyscy wyrazili zgodę na propozycję Wilmowskiego. Tomek w skrytości serca marzył jeszcze o polowaniu w okolicach Kilimandżaro, lecz nie zaoponował ni jednym słowem. Musiano myśleć przede wszystkim o jak najpomyślniejszych warunkach przewiezienia schwytanych okazów. Pocieszał się myślą, iż daleko jeszcze do zakończenia łowów. Przecież muszą schwytać żyrafy, słonie, nosorożce i lwy. Samo oswajanie słoni potrwa dwa do trzech miesięcy! Nie należy się więc martwić brakiem okazji do polowań.

Niebawem rozpoczęli powrotny marsz przez dżunglę. Murzyni uginali się pod ciężarem klatek. Łowcy pomagali im w wycinaniu ścieżek w gęstwinie, zdobywali pokarm dla ludzi i zwierząt, a także troszczyli się o bezpieczeństwo karawany. Dzień za dniem upływał na ciężkiej i mozolnej pracy. Toteż gdy w końcu wydostali się z bezmiaru ciemnej dżungli na tonącą w promieniach słonecznych sawannę, Wilmowski zarządził dłuższy wypoczynek, by wszyscy nabrali sił do dalszego marszu.

Posuwali się wolno, gdyż zdobywanie pokarmu dla zwierząt zmuszało ich do częstych postojów. Dopiero po kilku dniach zbliżyli się do Beni. Pojawienie się łowców dzikich zwierząt wywołało w osiedlu wielkie poruszenie. Olbrzymi bosman i Tomek cieszyli się szczególnym zainteresowaniem, ponieważ gadatliwi tragarze, z Matombą na czele, opowiadali o ich odwadze wprost nieprawdopodobne historie. Łatwowierni Murzyni wierzyli we wszystko, co im mówiono. Jak mogli bowiem wątpić w prawdziwość niesamowitej walki z ludźmi-lampartami, skoro biali łowcy z łatwością schwytali straszliwe goryle oraz kryjące się w niedostępnym gąszczu dżungli okapi?

Od pamiętnego starcia z ludźmi-lampartami Tomek znacznie spoważniał, mimo to spacerując po osiedlu odczuwał wielkie zadowolenie na widok ustępujących mu z drogi Murzynów.

— O, matko, wielcy i potężni muszą to być ludzie! — szeptali Murzyni. — Patrzcie, małe soko trzyma białego buanę za rękę jak ojca!

Gorylek z komiczną powagą dreptał obok Tomka czepiając się jego spodni, a gdy się zmęczył, wyciągał kosmate łapki prosząc w ten sposób o wzięcie na ręce. Jeszcze większą uciechę sprawiał Tomek zdumionym mieszkańcom osiedla sadzając małpę na grzbiecie Dinga. Sława łowców stała się tak wielka, że gdy Wilmowski rozpoczął werbunek dodatkowych tragarzy, zgłosili się niemal wszyscy dorośli Murzyni zamieszkujący w Beni. Wybrano dwudziestu najsilniejszych, by w ten sposób przyspieszyć marsz karawany. Sytuację polepszał fakt, że obydwa konie, pozostawione tu

uprzednio, szczęśliwie doczekały powrotu podróżników. Bez wierzchowców polowanie na żyrafy byłoby ogromnie utrudnione.

Rozpoczęli marsz na południe. Długimi etapami szybko dotarli do Jeziora Edwarda, zaledwie przystanęli w Katwe, po czym, omijając Jezioro Jerzego, udali się wzdłuż rzeki Kotonga na wschód. Niespokojnie spoglądali na gromadzące się na niebie chmury, które były zapowiedzią nadciągającej pory deszczowej. Należało jak najprędzej zakończyć łowy.

O dwa dni drogi od Jeziora Wiktorii łowcy napotkali w pobliżu rzeki z dala już widoczne wzniesienie, stanowiące idealne miejsce na obóz. Od południa zbocze wzniesienia opadało ku rzece. Na północ szeroko rozciągał się step porosły różnymi gatunkami akacji, od zachodu przylegał doń znaczny obszar błotnistego lasu. Bliskość rzeki oraz bujna roślinność pozwalały przypuszczać, że można się tutaj spodziewać obecności słoni[64].

Nie tracąc czasu rozłożyli obóz, otoczyli go kolczastym ogrodzeniem i przygotowali zagrody dla zwierząt.

Hunter, Smuga i Tomek z Dingiem wypuszczali się w okolice na poszukiwanie słoni i żyraf. Wytropienie słoni nie było zbyt trudne. W pobliskim lesie natrafili na szeroką ścieżkę wydeptaną przez olbrzymy. Wiodła ona prosto do rzeki, w której słonie kąpały się i zaspokajały pragnienie. Liczne świeże ślady dowodziły, że zwierzęta często chodziły tędy do wodopoju.

Przemyślano plan emocjonujących łowów. Kilkanaście metrów od ścieżki uczęszczanej przez zwierzęta łowcy wykarczowali mały teren i otoczyli go wysokim ogrodzeniem z grubych pni drzew. Wybudowaną w ten sposób zagrodę połączyli przesieką ze ścieżką słoni. Oczywiście nie była to lekka i łatwa praca. Gdyby słonie przedwcześnie spostrzegły obecność ludzi w lesie i zagrodę, na pewno by przestały chodzić tędy do wodopoju. Z tego powodu łowcy mogli pracować jedynie między godziną dziesiątą a trzecią, wtedy bowiem słonie zwykły odpoczywać i spać w gąszczu. Dzięki tej ostrożności, w czasie kiedy zwierzęta udawały się do rzeki, w lesie panowała kompletna cisza, a zamaskowane krzewami odgałęzienie ścieżki nie budziło podejrzeń.

Zaraz następnego dnia o świcie po zakończeniu przygotowań łowcy z trzydziestoma Murzynami udali się do lasu. Dwunastu Murzynów z Hunterem i bosmanem ukryło się w gąszczu przy ścieżce słoni, nie opodal przesieki wiodącej do zagrody. Dalszych dwunastu pod dowództwem Smugi i Tomka zaczaiło się w ten sam sposób po przeciwnej stronie przesieki. Wilmowski z pozostałymi Murzynami czuwali przy samym zamaskowanym krzewami wylocie odgałęzienia na ścieżkę słoni, aby w chwili rozpoczęcia łowów usunąć osłonę i odkryć umyślnie sporządzoną przesiekę prowadzącą

---

[64] **Słoń afrykański *(Loxodonta africana)* jest wyższy od indyjskiego, różni się od niego także znacznie większymi uszami i kształtem głowy, na której szczycie brak dwóch wielkich wypukłości charakterystycznych dla indyjskiego. Wyróżnia się dwa główne podgatunki słoni afrykańskich: jeden zamieszkuje sawanny i rzadkie lasy, drugi, mniejszy, żyje w gąszczu puszcz tropikalnych.**

prosto do zagrody. Wilmowski znajdował się więc pośrodku pomiędzy dwoma grupami wyznaczonymi do zastąpienia słoniom drogi i miał dać hasło do rozpoczęcia nagonki. Jego grupa miała również zabarykadować zagrodę natychmiast po wegnaniu do niej słoni.

W napięciu oczekiwano pory, w której słonie po najedzeniu się w lesie akacjowym powinny podążyć do wodopoju.

Zniecierpliwiony Tomek coraz to wyglądał na ścieżkę. Nic jednak nie mąciło ciszy lasu. Po jakimś czasie zaniepokojony odezwał się do Smugi:

— Co zrobimy, jeżeli słonie w ogóle nie nadejdą? Może spłoszyliśmy je budując tutaj zagrodę?

— Różnie może się zdarzyć, ale nie przypuszczam, żeby odkryły naszą obecność — odparł Smuga. — Zwierzęta te posiadają doskonale rozwinięty węch, słuch i dotyk, natomiast wzrok odgrywa u nich raczej drugorzędną rolę. Jeżeli nie zwęszyły nie znanego im zapachu ludzi, to i nie ma obawy, aby dostrzegły zbudowaną na uboczu zagrodę.

Rozumowanie okazało się nie pozbawione słuszności. Po pewnym czasie usłyszeli odgłos ciężkich stąpań. Niebawem też rozległ się trzask łamanych gałęzi i krótkie ostre trąbienie. Nadchodziły słonie.

Smuga ostrożnie wychylił głowę z gąszczu, lecz zaraz cofnął się i szepnął:

— Idą! Idą! Prowadzi je olbrzymia samica!

Ręką dał znak, aby wszyscy byli w pogotowiu. Murzyni przysunęli się do Smugi, trzymając w rękach wiązki suchej trawy i zapałki. Masajowie przygotowali karabiny do strzału.

Tomek niespokojnie wsłuchiwał się w płynące z głębi lasu odgłosy. Wiedział, że polowanie na słonie jest nadzwyczaj niebezpieczne. Na hasło Wilmowskiego grupa Smugi miała wyskoczyć na ścieżkę, by strzałami, krzykiem i ogniem zmusić olbrzymy do zawrócenia. Z kolei druga grupa powinna uczynić to samo, a wówczas zwierzęta znajdą się w potrzasku. Jeżeli osaczone i zdezorientowane słonie zboczą wtedy na sporządzoną przez łowców ścieżkę, to polowanie powinno się pomyślnie zakończyć. Gdyby zaś próbowały się przebić przez łańcuch nagonki, to nie ulegało wątpliwości, że stratują wszystko, co napotkają na swej drodze. Tomek bał się właśnie tego. Z podniecenia pot wystąpił mu na czoło i spływał kroplami po twarzy.

Słonie były coraz bliżej. Teraz już cały las rozbrzmiewał głuchym tętentem. Nagle zupełnie już blisko rozległo się krótkie trąbienie. Był to znak, że zwierzęta zwęszyły w lesie obecność obcych istot. Zaniepokojona przewodniczka słoni w ten sposób wyrażała swą obawę.

Smuga zmarszczył brwi. Spod oka spojrzał na Murzynów. Od ich postawy w decydującej chwili mogło wiele zależeć. Byli podnieceni. Na twarzach ich malowało się

duże napięcie, nikt się jednak nie cofał i nie okazywał strachu. Z kolei Smuga spojrzał na Tomka.

— Nie odstępuj mnie ani na krok — ostrzegł szeptem. — Gdyby słonie próbowały szarżować, skoczymy w las i schronimy się w gąszczu.

Tomek kiwnął głową, nie odrywając wzroku od widocznej poprzez drzewa ścieżki. Zbliżał się rozstrzygający moment. Las huczał i dudnił, słonie znajdowały się w pobliżu zasadzki. Za chwilę miną ją, a wtedy Wilmowski powinien dać znak do rozpoczęcia łowów. Smuga pochylił się do skoku. Słonie minęły już odgałęzienie wiodące do zagrody. Łowcy poczuli bijący od nich ostry zapach. Teraz za późno było na rozpoczęcie polowania. Smuga cofał się wolno w las, polecając ludziom zachować milczenie.

Gdy słonie mijały ich kryjówkę, zrozumieli, dlaczego Wilmowski nie dał hasła do rozpoczęcia obławy. Stado liczyło około dwudziestu pięciu sztuk. Takiej liczby w żadnym razie nie mogła pomieścić mała zagroda, a co gorsza zwierzęta, rozjuszone atakiem garstki ludzi, stratowałyby ich bez chwili wahania. Teraz łamiąc drzewa, depcząc krzewy i porykując, wolno minęły zasadzkę.

— Ależ to były olbrzymy! Wydaje mi się, że tutejsze słonie są wyższe od indyjskich — szepnął Tomek, gdy zwierzęta zniknęły w lesie.

— Słoń afrykański przewyższa indyjskiego wielkością i jest na ogół brzydszy, ponieważ ma krótszy korpus oraz wyższą budowę — potwierdził Smuga. — Zauważyłeś, że miały cienkie trąby, wielkie kły i olbrzymie uszy? Tym właśnie różnią się od indyjskich.

— Zwróciłem uwagę jedynie na wachlarzowate uszy. Ich kły przedstawiają zapewne dużą wartość?

— Muszę ci przede wszystkim wyjaśnić, że określane tak w mowie potocznej "kły" słonia są w rzeczywistości jego górnymi siekaczami. Handlarze chętnie je kupują. Z tego też powodu słonie tępione są bezlitośnie przez krajowców, którzy sprzedają kość słoniową białym handlarzom — tłumaczył Smuga. — Widziałem kiedyś w kraju Niam-Niam, jak kilkuset Murzynów otoczyło wielkie stado słoni w stepie porosłym wysoką trawą z gatunku prosa. Bijąc w bębny i wrzeszcząc nacierali zewsząd z zapalonymi wiązkami suchej trawy. Gdy słonie zostały stłoczone w środku koła, krajowcy podpalili trawę. Biedne zwierzęta prażone ogniem i duszone dymem własnymi ciałami osłaniały swe małe, aż w końcu padły zabite żarem. Ogień spełnił straszliwe dzieło, bo Murzyni już tylko dobijali zwierzęta oszczepami, a potem wyrzynali kły.

Rozmowę przerwał im Matomba, który przypadł do Smugi i zawołał:

— Buana, słonie znów idą!

Po chwili usłyszeli szybki tętent. Smuga zorientował się natychmiast, że tym razem liczba zwierząt jest znacznie mniejsza. Zaraz też wysunął się z Murzynami aż na sam brzeg ścieżki. Słonic były już bardzo blisko. Kiedy minęły odgałęzienie, huknął strzał.

Smuga i Tomek wyskoczyli na ścieżkę. Za nimi całą gromadą wysypali się Murzyni. Zdumione zwierzęta przystanęły o jakieś i pięćdziesiąt kroków od łowców. Długie, białe kły zalśniły na tle ciemnoszarych cielsk. Rozległ się krótki ryk. Słonie ruszyły naprzód trąbiąc bez przerwy.

— Zapalcie trawę! — rozkazał Smuga postępując kilka kroków.

Murzyni podnieśli piekielny wrzask. Jednocześnie zapalili wiechcie suchej trawy. Przerażone słonie napełniły las przenikliwym trąbieniem. Wrzask Murzynów, huk strzałów rewolwerowych i widok ognia skłoniły zwierzęta do ucieczki. Odwróciły się wolno i ruszyły w przeciwnym kierunku, ale niebawem wyrosła przed nimi nowa ruchoma zapora. Zdezorientowane znów zawróciły.

Smuga zdążył już przybliżyć się nieco ze swoją rozkrzyczaną grupą do odgałęzienia ścieżki wiodącej do zagrody. Widząc, że słoń prowadzący stado mija w pędzie zasadzkę, krzyknął do Tomka:

— Strzelaj do przewodnika!

Jednocześnie pociągnęli za spusty. Olbrzymia samica zachwiała się na klocowatych nogach. Przeraźliwe trąbienie urwało się na najwyższym tonie. Słoń pochylił się do przodu, po czym stęknąwszy głośno, zwalił się ukosem na ziemię. Potężne cielsko zablokowało niemal całą ścieżkę. Murzyni na ten widok wrzasnęli tak głośno, że pozostałe słonie zaczęły się cofać, trąbiąc przeraźliwie. Hunter i bosman przyparli je z drugiej strony, gdy akurat znalazły się na wprost zamaskowanej zagrody. Nieoczekiwanie ujrzały wygodną przesiekę pozornie wiodącą w głąb lasu. Duża samica, obok której dreptał przerażony młody słoń, pierwsza zboczyła na cichą ścieżkę. Za nią pobiegła reszta słoni. Ścigał je piekielny wrzask ludzi i huk broni palnej. Zaledwie ostatnie zwierzę zniknęło w zagrodzie, drużyna Wilmowskiego zaczęła blokować grubymi balami wejście do pułapki. Wkrótce słonie zorientowały się w swym beznadziejnym położeniu. Dokądkolwiek się kierowały, napotykały nieustępliwą zaporę ciężkich kloców. Szał gniewu ogarnął zwierzęta. Cielska o wadze ponad czterech ton uderzały w ogrodzenie. Na szczęście reszta łowców przybiegła Wilmowskiemu z pomocą. Wspólnymi siłami zamknęli wejście do zagrody i podparli je klocami. Ogrodzenie drżało i trzeszczało pod potężnymi uderzeniami szalejących słoni. Łowcy zaczęli się obawiać, by rozgniewane zwierzęta nie rozniosły zagrody. Murzyni rozpoczęli więc znów piekielny koncert; huknęły strzały.

Schwytane zwierzęta miotały się po zagrodzie, a Murzyni już ćwiartowali zabitego słonia. Większość z nich pod dowództwem bosmana i Huntera powróciła do obozu z potężnym zapasem świeżego mięsa. Reszta białych łowców z Santuru, Matombą i dwoma Masajami pozostała na straży przy zagrodzie. Mieli oni zapobiec ewentualnemu oswobodzeniu niezwykłych więźniów przez inne słonie udające się przez las do wodopoju.

Upłynęło kilka denerwujących godzin, zanim słonie zrozumiały, że nie zdołają odzyskać wolności. Dopiero teraz Tomek mógł im się przyjrzeć bliżej. W tym celu wspiął się na wysokie ogrodzenie. Słonie przerażone krzykami, strzałami i ogniem skupiły się pośrodku zagrody. Pomiędzy pięcioma dorosłymi kryły się dwa młode, chowając głowy pod brzuchy matek. Tomkowi żal było zatrwożonych zwierząt, chociaż wiedział, że w tych okolicznościach jedynie strach, głód, pragnienie i bezsenność potrafią nakłonić je do posłuszeństwa. Należało poczekać, aż opadną z sił, a wtedy łowcy podając im pokarm i wodę będą je mogli powoli oswoić. Trwa to zazwyczaj dwa do trzech miesięcy. Olbrzymie i nadzwyczaj silne zwierzęta, jakimi są słonie, mogły być przewiezione do Europy tylko po oswojeniu, gdyż nie sposób transportować je w klatkach.

Wilmowski z Santuru podjęli się przygotowania słoni do dalekiej drogi. Było to trudne i niebezpieczne zadanie, wymagające stałej ich obecności przy zwierzętach. Z tego powodu zbudowano przy zagrodzie wygodne szałasy, ponieważ oprócz Wilmowskiego i Santuru kilku Murzynów musiało zbierać pokarm dla słoni, a także nosić wodę, której każde zwierzę wypijało niemal szesnaście wiaderek dziennie.

W czasie gdy Wilmowski opiekował się słoniami, towarzysze jego mieli zapolować na żyrafy i nosorożce. Tomek szczególnie się do tych łowów palił. Podczas pobytu w Australii nabył dużej wprawy w urządzaniu pułapek na różne zwierzęta. Teraz postanowił samodzielnie przygotować ich kilka na nosorożce. Nie mniej ciekawie zapowiadało się dlań polowanie na żyrafy.

Pewnego dnia Smuga z Tomkiem wsiedli na wierzchowce, aby rozejrzeć się w terenie i w kilku najbliższych wioskach murzyńskich zwerbować większą liczbę mężczyzn do udziału w obławie na żyrafy. Towarzyszyło im pieszo paru Bugandczyków i Sambo. Ruszyli na północ, tam bowiem, według zapewnień krajowców, okolica była gęściej zamieszkała.

Na stepie napotykali jedynie stada zebr i antylop. Tomek często wydobywał lunetę, lecz nigdzie nie dostrzegał żyraf. Nie zrażał się niepowodzeniem, ponieważ wiedział, że w zaroślach mimozy żyrafy, dzięki ochronnej barwie swej sierści, nie są łatwe do wytropienia.

W pewnej chwili łowcy ujrzeli na północnym wschodzie wznoszący się z ziemi słup czarnego dymu.

— Step się pali! — krzyknął Tomek wstrzymując konia.

Smuga natychmiast wziął od niego lunetę. Długo obserwował potężniejącą kolumnę dymu.

— Nie wygląda mi to na żywiołowy pożar stepu. Ogień, mimo wiatru, nie rozszerza się dalej na boki.

— Buana, może to Murzyni palą step? Galia często tak robią — wtrącił Sambo.

— Po cóż Murzyni mieliby podpalać trawę na stepie? Pożar mógłby łatwo zniszczyć ich domostwa — powątpiewająco odezwał się Tomek.

— Niektórzy krajowcy, zwłaszcza ze szczepu Galia, umieją za pomocą ognia bez trudu i wysiłku karczować i jednocześnie użyźniać ziemię — wyjaśnił Smuga. — Czynią to przeważnie przed porą deszczową, gdy tropikalne słońce wypraży wybujałe mocno trawy. Okopują wówczas duży szmat stepu szerokimi rowami, po czym czekają na dobry wiatr i podpalają suchy gąszcz. Prąd powietrza niesie płomień na tę całą powierzchnię aż do rowów, których ogień przejść już nie może. W ten sposób teren zostaje dokładnie wykarczowany, a użyźniona popiołem ziemia wspaniale rodzi.

— Może to i niezły sposób — przyznał Tomek. — Patrzcie, dym już opada.

— Tak, tak, to pożar wzniecony przez ludzi. Wobec tego i wioska musi się znajdować w pobliżu. Jedźmy w tamtym kierunku — powiedział Smuga.

Niebawem zobaczyli liczniejsze kępy drzew, a wśród nich stożkowate, słomą kryte chatki okolone żywopłotem z kaktusów. Był to kral, czyli murzyńska wioska. Znad brzegu rzeczki dochodziły charakterystyczne odgłosy uderzeń kijami o zdartą z drzew korę, z której krajowcy sporządzają tu odzież.

Rozległo się szczekanie psów. Tomek ujął na smycz Dinga jeżącego się na widok kundli murzyńskich. Gromada mieszkańców wyszła na spotkanie przybyszów. Po pewnej chwili ku zdziwieniu podróżników z gromady tej nieoczekiwanie wybiegło dwoje Murzynów i wołając radośnie do Samba, rzuciło mu się na szyję. Poczciwy Sambo zapłakał przy tym powitaniu. Wkrótce wyjaśniło się: młodzi — dziewczyna i mężczyzna — byli rodzeństwem Samba; razem z nim zostali uprowadzeni przez handlarzy niewolników podczas napadu na ich rodzinną wioskę.

Na szczęście arabskie łodzie uwożące niewolników przychwycił na Jeziorze Wiktorii kapitan angielskiego parowca. Aresztował on niecnych handlarzy i uwolnił brańców. Murzyni bali się powrócić w rodzinne strony, tam grasował przecież bezlitosny Castanedo. Wylądowali więc na zachodnim wybrzeżu jeziora, gdzie zostali gościnnie przygarnięci przez miejscowe plemię.

Tomek i Smuga uradowali się tym niezwykłym spotkaniem. Zaraz też przyrzekli Sambowi, że pomogą mu w założeniu własnego gospodarstwa, aby mógł się zaopiekować rodzeństwem.

Sambo wzruszony ich życzliwością kłaniał się w pas Tomkowi wołając:

— Och, ooo! Mały biały buana jest naprawdę potężnym czarownikiem! Uwolnił biednego Samba od złego handlarza ludzi i doprowadził do brata i siostry! Tylko wielki, wielki czarownik może tak zrobić!

Po takim oświadczeniu wszyscy Murzyni klaskali głośno w dłonie na powitanie "potężnych" gości. Smuga, wykorzystując przyjazne nastroje, oznajmił, iż szuka ludzi do

obławy na żyrafy. Niemal wszyscy mężczyźni zgłosili swój udział, zapewniając łowców, że okolica obfituje w długoszyje zwierzęta o smacznym mięsie.

Przy akompaniamencie radosnych okrzyków łowcy wkroczyli do kralu. Tutaj podnieceni gospodarze wyjaśnili im, że jedna z młodych matek spodziewa się lada chwila przyjścia na świat pierwszego dziecka. Szczęśliwy przyszły ojciec zaprosił niecodziennych gości na uroczystość urodzin. Smuga nie mógł odmówić, ponieważ u niektórych plemion dzień urodzin dziecka jest ważnym świętem nie tylko dla matki, lecz dla wszystkich mieszkańców wioski. W obecnej chwili zainteresowanie Murzynów skupiało się wokół małej chatki, w której znajdowała się młoda matka. Należało więc poczekać, aż maleństwo przyjdzie na świat, by spokojnie ustalić warunki i dzień obławy.

Obydwaj biali łowcy ciekawie przyglądali się przygotowaniom do uroczystości. Prym wiodły tutaj kobiety. Jedne tłukły na miałki puder wysuszoną czerwoną glinę, inne przygotowywały oryginalne pieluchy i gąbki. Surowiec stanowiły liście i kwiaty bananowców. Kobiety młóciły duże liście tak długo, dopóki nie odpadły z nich wszystkie twarde i ostre cząstki. W końcu w liściu pozostawały tylko elastyczne włókna. W ten sposób liść przeistaczał się w miękką i chłonną pieluszkę. Gąbki natomiast sporządzano z kwiatu bananowego, przypominającego wielką, ważącą kilka kilogramów szyszkę. Wyciągano rdzeń kwiatu. Murzynki ubijały go na miazgę, przykrywały liśćmi bananowymi i udeptywały. Gdy sok liści przesycił zmiażdżony rdzeń kwiecia, gąbka była już gotowa do użycia.

Sposób sporządzania pieluch i gąbek przypominał Tomkowi przygody rozbitka Robinsona Kruzoe, który był zdany jedynie na własną pomysłowość. Wchodził więc Tomek do chat murzyńskich, oglądał sprzęty, wypytywał o ich zastosowanie i ani się spostrzegł, gdy zapadł zmrok.

Nagle rozbrzmiał głos gongu zwołujący wszystkich mieszkańców wioski. Łowcy natychmiast udali się na plac poza kręgiem chat.

Na środku stały słupy z wysoko zawieszoną poprzeczką. Z tego poprzecznego drąga zwisała na rzemieniach kamienna płyta, w którą stara, siwa Murzynka, przybrana w skóry i pióra, zawzięcie uderzała dużą, drewnianą maczugą. Obok na ziemi leżały fetysze w postaci ulepionych z gliny lalek, przedstawiających kobietę i mężczyznę, a także skóry zwierzęce, pazury, wypchane ptaki oraz gliniane naczynia i rogi bydlęce napełnione jakimiś płynami i maściami.

Na odgłos gongu pojawiła się gromada brunatnych dziewcząt. Tanecznym krokiem podbiegły do staruchy i wybijając rytm na bębnach rozpoczęły taniec. Stara Murzynka coraz szybciej uderzała w gong. Zmęczone dziewczęta przykucnęły dookoła rozpalonego ogniska i dalej biły w bębny. Dopiero teraz z małej glinianej chatki, stojącej na skraju placu, kobiety wyniosły na noszach młodą matkę. Wolno zbliżały się do ogniska. Na placu zaległa cisza.

— Życie, życie, życie! — zawołała położnica, a za nią okrzyk ten powtórzyły wszystkie tancerki.

Matkę uroczyście zaniesiono z powrotem do małej chatki, gdzie razem z dzieckiem miała pozostać przez długi czas. Przy wejściu poustawiano fetysze, aby odpędzały złe demony. Oczywiście Tomek nie omieszkał zajrzeć do chatki. Zdziwił się niepomiernie, gdy zamiast Murzyniątka ujrzał białego noworodka. Zaraz odciągnął na bok Smugę i zwierzył mu się ze swych podejrzeń.

— Oni na pewno porwali dziecko białej kobiecie! A może też zabili jego matkę?

Smuga roześmiał się i odparł:

— Uspokój się, Tomku. Chociaż wydaje się to dziwne, każde Murzyniątko przychodzi na świat białe. Jak wszystkie dzieci murzyńskie, i to maleństwo ściemnieje dopiero później[65].

Tomek był tak zaskoczony tym odkryciem, że jeszcze raz wrócił do chatki przyjrzeć się dokładnie maleństwu, a ponieważ była to dziewczynka, pozostawił dla niej kilka sznurków szklanych korali.

Nazajutrz łowcy omówili plan łowów na żyrafy. Murzyni zgodzili się wziąć udział w obławie w zamian za kilka żyraf, które Smuga obiecał dla nich zastrzelić. Termin rozpoczęcia polowania ustalono na ranek za dwa dni.

Około południa Smuga i Tomek znajdowali się już w drodze powrotnej do obozu. Sambo nie chciał się rozstawać z podróżnikami aż do chwili zakończenia łowów. Biegł teraz razem z bratem obok jadącego na koniu Tomka i bez przerwy opowiadał o nadzwyczajnych czynach białych buanów.

W niewielkiej odległości od obozu łowcy napotkali dość rozległą kępę karłowatych mimoz o czerwonawej korze. Niespokojne zachowanie Dinga skłoniło ich do zaglądnięcia w gąszcz. Pozostawili wierzchowce pod opieką Murzynów, a sami zagłębili się w mimozowy gaj. Dingo strzygł uszami i węsząc przy ziemi doprowadził ich do legowiska jakichś zwierząt. Mimozy, gęsto rosnące dookoła, były tak równo obgryzione, że zdawały się tworzyć żywopłot obcięty nożycami przez ogrodnika. Pod drzewkami leżało dużo zwierzęcego gnoju. Smuga zaledwie rzucił wzrokiem na legowisko, natychmiast uwiązał Dinga na smyczy i ruchem ręki nakazał chłopcu milczenie. Ostrożnie wycofali się w step. Teraz dopiero odezwał się do Tomka:

— Czy domyślasz się już, jakich zwierząt legowiska znajdują się w gąszczu mimoz?

— Nie, proszę pana, chociaż sądząc po śladach pozostawionych na ścieżkach muszą to być duże zwierzęta — odparł Tomek.

---

[65] Barwa skóry człowieka zależy między innymi od ilości i jakości barwnika (pigmentu) zawartego w skórze. Murzyn posiada w swej skórze bez porównania więcej pigmentu niż Europejczyk. Pigment Murzyna ma więcej ziarnek bardzo ciemnych. Natomiast noworodki mają jeszcze tak mało pigmentu, iż nawet noworodki murzyńskie są barwy różowej, niewiele ciemniejszej od naszych nowo narodzonych dzieci.

— To legowiska nosorożców. Tylko one objadają mimozy w ten sposób, że drzewka tworzą później jakby żywopłot. Nosorożce mają szczególne upodobanie do karłowatych mimoz o czerwonej korze. Musimy sporządzić tu kilka odpowiednich pułapek.

— W jaki sposób przygotowuje się pułapki na nosorożce? — zapytał Tomek.

— Siadajmy na konie, opowiem ci o tym po drodze.

Gdy wierzchowce ruszyły stępa, Smuga odezwał się:

— Nosorożce zazwyczaj przez dłuższy czas przebywają w jednym legowisku. Na wydeptanych przez nie ścieżkach lub też pod drzewem, pod którym zwykły odpoczywać, wykopuje się okrągłą jamę. Następnie umocowuje się w dole obręcz ściśle przystającą do brzegów, sporządzoną ze sprężystego drewna. W obręczy tej jak szprychy u koła zamocowane są ostre kolce wystrugane z drewna, zbiegające się w środku. Z kolei na obręcz należy położyć grubą rzemienną pętlę, której wolny koniec uwiązuje się do wielkiego, ciężkiego kloca wkopanego poziomo w ziemię. Pułapkę z obręczą, jak i kloc należy starannie zasypać ziemią, a powierzchnię wygładzić gałęzią, aby nosorożce nie zwietrzyły ludzi. Potem dobrze jest na pułapkę narzucić trochę gnoju. Jeżeli nosorożec nie odkryje zasadzki, wtedy wcześniej czy później następuje na obręcz i zapada nogą w dół. Gdy usiłuje wyciągnąć nogę, pętla zadzierzga się na niej i nie może się zsunąć, ponieważ kolce obręczy wbijają się w skórę i utrzymują sznur na nodze. Oczywiście zwierzę rzuca się jak oszalałe, wyrywa kloc z jamy i ciągnie go za sobą. Wkrótce jednak pada zmęczone, gdyż wielki kloc zahacza o krzaki i drzewa. Wtedy już łatwo je uwięzić.

— Czy zastawimy tutaj pułapki? — zapytał Tomek.

— Zajmiemy się nosorożcami natychmiast po zakończeniu łowów na żyrafy. Obręcze będą sporządzone na czas. Rozmawiałem już o tym z Matombą.

— Teraz rozumiem, co on tak zawzięcie strugał z drewna, gdy opuszczaliśmy obóz!

— Jak widzisz, nie zasypiam gruszek w popiele — roześmiał się Smuga.

Tomek wtórował mu, i on przecież od dawna miał już własne plany, z którymi się przed nikim nie zdradzał.

Niebawem łowcy przybyli do obozu. Smuga i bosman wyprawili się wkrótce do Wilmowskiego, który przebywał w lesie przy zagrodzie słoni.

Hunter, przyzwyczajony do samodzielności Tomka, nie zwracał na niego uwagi. Tymczasem chłopiec, nie spodziewając się rychłego powrotu obu przyjaciół, wtajemniczył w swe zamiary Samba i jego brata. Po krótkiej naradzie postanowili sprawić wszystkim niespodziankę zastawiając natychmiast pułapki na nosorożce. Tomek sprytnie zabrał się do rzeczy. Matomba miał już przygotowane cztery obręcze. Tomek wziął dwie z nich i ofiarował Murzynowi blaszany kubek składany, aby nikomu o tym nie mówił.

Wkrótce dwaj młodzi Murzyni wynieśli ukradkiem w krzewy łopatę i pęk grubych rzemieni. Tomek cichaczem wymknął się z obozu na step, gdzie dwaj druhowie

oczekiwali już na niego z przyborami łowieckimi. Nikt też nawet nie spostrzegł, kiedy trójka młodzieńców powróciła do obozu.

Następnego dnia Tomek nie miał sposobności zaglądnąć do mimozowego gaju, aby sprawdzić pułapki. Smuga zaraz po powrocie z zagrody słoni zabrał się do organizowania obławy na żyrafy, w której razem z Tomkiem miał odegrać główną rolę. Sprawdzono lassa, sporządzono duże, drewniane klatki, a w wirze nowych zajęć chłopiec nie spieszył się do samotnej wyprawy. Uważał, że jeżeli nawet jakiś nosorożec wpadł w pułapkę, to kloc i tak udaremni mu ucieczkę. Im zwierzę bardziej się zmęczy, tym łatwiej będzie je potem schwytać. Rankiem w dniu wyznaczonym na obławę Smuga polecił rozpalić na wzniesieniu ogień z wilgotnego drewna. Słup ciemnego dymu uniósł się do góry. Wkrótce w dali na północy ukazała się również czarna smużka. Był to znak, że Murzyni zgodnie z umową ruszyli ławą przez step. Mieli posuwać się na południe i biciem w bębny płoszyć zwierzynę. Tymczasem łowcy ukryci w drzewach nie opodal obozu powinni zastąpić drogę ściganym zwierzętom. Należało się spodziewać, że będą uciekały przed hałasującymi Murzynami na południe, a wtedy łatwo mogła się nadarzyć okazja do schwytania na lasso kilku żyraf. Oczywiście Smuga zabrał na łowy niemal wszystkich tragarzy, którzy pod dowództwem bosmana i Huntera mieli od południa zamknąć drogę żyrafom i w ten sposób skierować je wprost na stanowisko, gdzie czyhali ukryci jeźdźcy. Nagonka z wolna przeczesywała step. W dali przemykały wystraszone antylopy i pasiaste zebry. Wkrótce Tomek wypatrzył przez lunetę cwałującego afrykańskiego bawołu, a za nim szybko umykające antylopy. W tej chwili z miejsca, w którym przyczajeni byli bosman, Hunter i Bugandczycy, huknęły strzały.

— Przygotuj się, Tomku! Prawdopodobnie zaraz ujrzymy żyrafy — powiedział Smuga. — Słyszysz, jak głośno krzyczą nasi tragarze? Ruszyli ławą z południa, żeby napędzić na nas zwierzynę.

Tomek nie odrywał lunety od oka. Tymczasem wrzask nagonki przybliżał się i potężniał.

— Ho, ho! Ile różnych antylop pędzi w naszym kierunku — zawołał Tomek. — Uciekają razem z zebrami...

Znów rozległy się strzały.

— Czy nie widzisz żyraf? — zaniepokoił się Smuga.

— Zaraz, zaraz... Są, są i żyrafy! Ależ galopują! Ich długie szyje śmiesznie się kołyszą. Zupełnie jak wahadła zegarowe!

— Czy biegną prosto na nas? — zapytał Smuga.

W pobliżu odezwały się karabiny. Tomek poczerwieniał z gniewu i wykrzyknął:

— Zabili największą żyrafę!

— Pozwól mi lunetę — powiedział Smuga.

Przez chwilę spoglądał na step, po czym wskoczył na wierzchowca.

— Na koń! Żyrafy pędzą prosto na nas. To zapewne Hunter zabił przodownika stada, i słusznie uczynił, bo najlepiej nadają się do chwytania młode okazy. Przygotuj lasso!

Tomek nie dał sobie dwa razy powtarzać rozkazu. Dosiadł konia.

— Spojrzyj, jak łatwe będziemy mieli zadanie! Kundle murzyńskie osaczają stado!

Gromada psów opadła żyrafy, które kopnięciami racic usiłowały się przed nimi bronić. Obydwaj jeźdźcy uderzyli konie arkanami. Zaledwie żyrafy dojrzały nowego wroga, rozbiegły się po stepie nie zważając na gwałtownie ujadające kundle. Tomek spostrzegł młodą żyrafę ściganą przez dwa psy. Zaraz ruszył w jej kierunku. Zmyślne kundle przeszkadzały żyrafie w ucieczce, toteż Tomek z łatwością zbliżył się do niej na kilka metrów. Uniósł lasso ponad głowę i wziął szeroki rozmach. Arkan świsnął w powietrzu. Pętla opadła na szyję zwierzęcia. Żyrafa zaczęła się miotać na wszystkie strony. Tomek okręcił arkan naokoło kulbaki i osadził wierzchowca na miejscu. Pętla zacisnęła się na szyi żyrafy, która upadła na przednie kolana. Kilku Bugandczyków pędem zbliżyło się do Tomka wywijając sznurami.

Po chwili zarzucili na długą szyję zwierzęcia jeszcze kilka pętli. Żyrafa była uwięziona. Zdradliwe sznury zmuszały ją do posłuchu.

Tomek pozostawił wystraszone zwierzę pod opieką Murzynów. Pomógł Smudze schwytać jeszcze jedną żyrafę osaczoną przez Dinga i kundle. Był to koniec polowania. Cztery młode okazy wzięto żywcem, a pięć zastrzelono. Oprócz żyraf Hunter i bosman zabili kilka antylop i zebr. Wśród radosnych okrzyków Murzyni prowadzili żyrafy na arkanach do obozu, podczas gdy inni łowcy zajęli się ubitą zwierzyną.

Tomek wysforował się na koniu nieco przed towarzyszy. Dingo biegł obok niego. Chłopiec był przekonany, że pies czuje jeszcze zapach dzikiej zwierzyny, która uciekła przed nagonką w step, i nie zwracał uwagi na czworonożnego druha.

Zadowolony z pomyślnego przebiegu łowów mijał właśnie dużą kępę zarośli mimozy. Naraz rozległ się przenikliwy pisk. Olbrzymi nosorożec z łomotem wypadł z gąszczu. Rozwścieczona bestia gnała prosto na konia. Tomek natychmiast szarpnął cuglami, lecz przestraszony gwałtownym atakiem koń zaparł się czterema nogami w ziemię. Rozległ się krzyk przerażonych mężczyzn. Nim Tomek zdołał unieść sztucer do strzału, potężny łeb nosorożca zniknął pod koniem. Wierzchowiec i jeździec zostali wyrzuceni w górę. Wylatując z siodła chłopiec zdołał wydobyć jedynie prawą stopę ze strzemienia. Gwałtowne szarpnięcie za lewą nogę rzuciło go na ziemię. Wierzchowiec z rozdartym przez nosorożca brzuchem zwalił się na niego. Okropny ból przywrócił Tomkowi na krótką chwilę przytomność. Chciał zawołać o pomoc, lecz krwotok stłumił okrzyk. Zdawało mu się, że spada w bezdenną przepaść. Potem ogarnęła go cisza i ciemność.

Tomek nie wiedział już, co się działo po nieoczekiwanym ataku nosorożca. Rozjuszona bestia przetoczyła się jak huragan przez konia rozpruwając mu rogiem brzuch, przebiegła kilkanaście metrów i znów zawróciła ku swym ofiarom. Wierny Dingo

skoczył na potworny łeb, lecz wyleciał w powietrze jak piłka. Z rozoranym bokiem rzucił się znów na zwierzę i atakując gwałtownie usiłował odciągnąć potwora od swego pana. Hunter znajdował się najbliżej chłopca. Bez chwili namysłu zabiegł drogę nosorożcowi, który odtrąciwszy Dinga szarżował ponownie na drgającego w agonii wierzchowca i leżącego pod nim Tomka. Hunter podniósł karabin do ramienia; gdy cielsko rozhukanego nosorożca znajdowało się od niego zaledwie o jakieś pięć metrów, pewnie nacisnął spust. Zwierzę upadło grzebiąc ziemię nogami.

Bosman i Smuga przybiegli, gdy było już po wszystkim. Razem z Hunterem unieśli konia i ostrożnie wydobyli Tomka.

— Jezus, Maria! — jęknął marynarz ujrzawszy przyjaciela zalanego krwią.

Smuga pochylił się nad Tomkiem. Wyjął z kieszeni lusterko i chciał je przytknąć do ust chłopca, lecz ręce drżały mu jak w febrze. Widząc to, Hunter wziął od niego lusterko i przysunął do twarzy Tomka. Po dłuższej chwili błyszcząca powierzchnia zmatowiała.

— Oddycha, więc jeszcze żyje! Trzeba natychmiast przenieść go do obozu i powiadomić ojca. Przygotujcie nosze — rozkazał Hunter wzruszonym głosem.

Bosman Nowicki zagryzł usta. Czerwone krople zalśniły na jego wargach. Nie mówiąc ani słowa odsunął Huntera i przyklęknął przy Tomku, po czym z największą ostrożnością wziął go na ręce.

Marynarz wolno szedł w kierunku obozowiska. Od czasu do czasu poruszał wargami, jakby odmawiał modlitwę, a po jego pełnej bólu twarzy płynęły łzy.

ZAKOŃCZENIE

Mały parowiec wolno płynął ku wschodowi wzdłuż północnych wybrzeży Jeziora Wiktorii. Na skąpanym w słońcu pokładzie pod płóciennym palankinem spoczywał na leżaku Tomek Wilmowski. Obok niego siedział bosman Nowicki pykając krótką fajkę. Tomek wydobył z podręcznej torby blok listowy, oparł go na kolanach i zaczął pisać. Bosman uśmiechnął się domyślnie. Pochylił się ku Tomkowi. W miarę jak chłopiec pisał, czytał zdanie po zdaniu:

"Jezioro Wiktorii, styczeń 1904 roku.

Droga Sally!

Przeszło cztery miesiące upłynęło od czasu, gdy wysłałem do Ciebie ostatni list. Obiecałem wtedy napisać następny po zakończeniu łowów na goryle i okapi. Nie przypuszczaliśmy wówczas, że cała wyprawa potrwa tak długo. Chociaż przytrafiło się nam wiele nieprzewidzianych wypadków, całe łowy zakończyliśmy nadzwyczaj pomyślnie. Obecnie płyniemy po Jeziorze Wiktorii parowcem, który opuścimy w Kisumu. Stamtąd pojedziemy koleją do Mombasy, gdzie ma już oczekiwać na nas "Aligator", statek pana Hagenbecka, przystosowany do przewozu dzikich zwierząt.

Ciekawi Cię zapewne, jakie schwytaliśmy okazy. Otóż mamy pięć słoni. Wprawdzie złowiliśmy siedem, lecz tatuś wypuścił dwa z nich do lasu, ponieważ nadzwyczaj trudno było je oswoić. Dalej wieziemy cztery młode żyrafy, jednego starego i jednego młodego nosorożca, których zdobycia omal nie przypłaciłem życiem. O tym jednak wspomnę później. Mamy również trzy lwy, dziką świnię, dwa lamparty, trzy goryle (samca, samicę i małe rozkoszne gorylątko), jednego okapi, kilka szympansów, koczkodany i inne jeszcze gatunki małp. Ponadto otrzymałem dwa młode hipopotamy od kabaki, tj. króla Bugandy.

Jak widzisz, parowiec, którym obecnie płyniemy, przypomina biblijną arkę Noego. Jeżeli tylko uda nam się dowieźć pomyślnie wszystkie zwierzęta do Europy, będziemy

prawdziwymi krezusami. Na prośbę tatusia, pan Hunter, nasz przewodnik i tropiciel, zgodził się towarzyszyć nam aż do Hamburga. Stało się to konieczne ze względu na mój wypadek podczas polowania na żyrafy. Zwierząt należy troskliwie doglądać, a tymczasem od trzech miesięcy jestem tylko ciężarem dla zapracowanych towarzyszy.

Muszę Ci teraz opisać, jak to się stało. Otóż chciałem, w tajemnicy przed wszystkimi, samodzielnie schwytać nosorożca. Nie mówiąc nic nikomu zastawiłem dwie pułapki. Przypadek zrządził, że w legowisku przebywała cała rodzina nosorożców składająca się z samca, samicy i młodego. Samiec i mały nosorożec zostały unieruchomione w pułapkach, a tymczasem samica, nie mogąc ich oswobodzić, wpadła w prawdziwy szał. Gdy wracaliśmy z polowania na żyrafy, wyskoczyła niespodziewanie z gąszczu. Koń przestraszył się, zaparł się nogami w ziemię i padł przebity wielkim rogiem nosorożca przygniatając mnie jednocześnie. Wierny Dingo rzucił się na rozjuszoną bestię, by odwrócić jej uwagę. Nosorożec ranił poczciwca i byłby mnie stratował na śmierć, gdyby nie pan Hunter, który zastąpił mu drogę i położył go celnym strzałem.

Długo ważyły się moje losy. Jak twierdzi kochany bosman Nowicki "śmierć ciągnęła mnie za jedną nogawkę spodni, a oni za drugą". Dopiero po czterech tygodniach poczułem się lepiej. Oczywiście nie było już mowy, abym brał udział w łowach bądź doglądał zwierząt. Jeszcze i teraz nie wolno mi się zbytnio męczyć, toteż większość czasu spędzam na leżaku.

Poczciwy Dingo również został otoczony troskliwą opieką. Już po tygodniu zapomniał o wypadku i brał dalej udział w łowach. Ojciec mój wynajął angielski parowiec kursujący po Jeziorze Wiktorii. Dzięki temu uniknęliśmy długiego i męczącego transportowania zwierząt lądem, a jednocześnie umożliwia mi to tak pożądany obecnie wypoczynek.

Nie sposób opisać wszystkich naszych przygód w Afryce. Jest to kraj prawdziwych kontrastów. Obok olbrzymów Watussi mieszkają tu najniżsi ludzie świata. W dżungli Konga żyją ludzie-lamparty, których okrucieństwa wyludniają całe okolice. Gdy opowiem Ci o nich w sposobnej chwili, z trudem będziesz mogła uwierzyć w tę nieprawdopodobną historię. Nawet małe mrówki toczą tu regularne wojny z termitami. Przyroda płata figle. Pocisz się straszliwie w stepie w okolicy równika i spoglądasz jednocześnie na górę pokrytą wiecznym śniegiem i lodowcami. Co krok to inna niespodzianka!

Opowiem Ci wiele po powrocie do Londynu. Wyprawa nasza bowiem napotykana najrozmaitsze trudności i niebezpieczeństwa. Z takimi jednak towarzyszami, jak bosman Nowicki, pan Smuga, pan Hunter i tatuś, można zwalczyć wszystkie przeszkody. Wiele bym dał, aby być równie dzielnym i odważnym jak Oni!

Nie chciałem pisać o pewnym wydarzeniu, lecz bosman Nowicki, który zagląda mi przez ramię i odczytuje ten list, domaga się, abym wspomniał chociaż, że stoczyłem prawdziwą bitwę z ludźmi-lampartami. Niestety, wbrew mej woli zostałem zmuszony do walki z ludźmi. Jedyną dla mnie pociechą jest fakt, iż byli to fanatyczni mordercy.

Rozpisałem się i mógłbym teraz pisać bez końca o naszych najrozmaitszych nieprawdopodobnych przygodach przeżytych podczas afrykańskiej wyprawy. Chciałbym się dowiedzieć, kiedy przyjedziesz do Anglii?

Muszę się przyznać, że obecnie, gdy muszę wypoczywać po niebezpiecznych przejściach, bardzo często powracam myślą do naszego pobytu w Australii. Stale przypominam sobie dni spędzone w domu Twoich Rodziców, którzy byli dla mnie tacy dobrzy i serdeczni. Trochę nawet tęsknię. Tak bardzo chciałbym znowu zobaczyć się z Tobą! Napisz mi więc wszystko o sobie i Twoich Rodzicach, dla których załączam moc serdecznych pozdrowień od nas wszystkich, a od Pana Bosmana w szczególności.

Czekam, naprawdę niecierpliwie czekam na Twój długi list.

Tomasz Wilmowski

P. S. Twój i mój kochany Dingo także niecierpliwie na Ciebie czeka.
Tomek.